MIESIĘCZNIK
11 (26) LISTOPAD 1984 CENA 50 ZŁ

Fantastyka

PL ISSN 0209-1631

Fantastyka sąsiadów
Księżniczka Marsa cz.II

SOKOŁÓW

FANTASTYKA NASZYCH SĄSIADÓW

O fantazji naukowej pisze się coraz więcej. Recenzujemy powieści Clarke'a, Asimova, Silverberga, ale jakże często pomijamy osiągnięcia naszych najbliższych sąsiadów. Wykazując ogólną orientację w historii anglosaskiej science fiction (w czym niemała zasługa naszych krytyków: Zgorzelskiego, Lema, Palczewskiego, Bugajskiego i Englendera) stajemy bezradni wobec przemian fantastyki rosyjskiej, węgierskiej i czechosłowackiej. Znamy twórczość Philipa Dicka, ale z jakąż trudnością przychodzi nam rozprawiać o pisarstwie Iwana Jefremowa, Josefa Nesvadby i Carlosa Rascha. Czy trzeba się temu dziwić? Nie doczekaliśmy się przecież najprostszych opracowań, a co dopiero monografii SF krajów z nami sąsiadujących, a kilka artykułów A. Goreniowej, W. Sadkowskiego, J. Garzteckiego, T. Goska i Hollanka oczywiście nie może załatwić wszystkiego.

Jakie jest zatem oblicze science fiction naszych sąsiadów? Stosunkowo najdłuższą linią rozwoju może poszczycić się literatura r o s y j s k a nie ustępująca miejsca prozie zachodnioeuropejskiej. W początkach XIX stulecia ukazują się „naukowe" utopie **T. Bułharyna:** „Prawdopodobnyje niebylicy ili stranstwowanje po swietu w dwadsat dieviatom wiekie" (1824) i „Puteszestwie k sredotociu Ziemli" (1828). W roku 1840, a więc na 22 lata przed scjentyficznymi romansami Verne'a, wychodzą „Pietiersburgskie pisma" **W.F. Odojewskiego** opublikowane w formie kroniki epistolarnej, której akcja rozgrywa się w przyszłości. W porównaniu z nieco późniejszymi książkami Kurta Lasswitza, utwory Bułharyna i Odojewskiego odznaczają się niebagatelnymi wartościami literackimi i – co ciekawsze – wywierają znaczący wpływ na powstanie „Historii przyszłości" – Adama Mickiewicza. W powieści rosyjskiego socjalisty **W. Czernyszewskiego** „Co robić" (1863) refleksje naukowo-techniczne zostają powiązane z prognozą społeczną i świadomościową. **K. Ciołkowski** ilustruje swoje teorie kosmonautyczne popularną wersją SF („Na Łunie", 1893; „Griezy o Ziemlie i niebie", 1895; „Wnie Ziemli", 1903–1920). **A. Kuprin** tworzy wiele utopii i opowiadań („Żidkoje sołnce" 1912; „Tost", 1907; „Korolewskij park", 1911).

Jednym z ciekawszych autorów epoki modernizmu jest wybitny poeta i prozaik, tłumacz literatury francuskiej – **Walery Briusow** (1873 – 1924). W zbiorze opowiadań „Ziemnaja oś" (1907) daje się poznać jako zwolennik groteski, metafory, hiperbolizacji. Przeczucia nadchodzących zmagań rewolucyjnych wyraża proza **A. Bogdanowa-Malinowskiego** „Krasnaja Zwiozda" 1908; „Inżenier Menni", 1913). **W.A. Obruczew,** autor „Ziemli Sannikowa" (1926), już w roku 1915 tworzy głośną utopię społeczną – „Plutonia", opublikowaną w roku 1924. Również najsłynniejsze powieści lat dwudziestych: „Aelita" (1922) i „Giperboloid inżeniera Garina" (1925) – **Aleksego Tołstoja** podejmują wątek zmian o charakterze socjalno-ekonomicznym.

Lata dwudzieste przynoszą nowe nazwiska twórców „romansu naukowego": **W. Katajewa** („Ostrow Erendorf", 1924) i **W. Szkłowskiego** („Iprit", 1926). Antyutopię „My" (1920), przekładaną na język niemiecki, angielski, czeski i francuski, pisze **Jewgienij Zamiatin** (1884 – 1937) prekursor tematów pojawiających się w twórczości Huxleya i Orwella. Później nadchodzą czasy triumfu **A. Bielajewa** („Prikliuczenija semiuela Pinglja", 1945), „Gołowa profiesora Doelja" (1925), „Człowiek-amfibja", 1928). W latach czterdziestych debiutuje **Iwan Jefremow** (1907 – 1937) twórca niezwykle popularnych książek: „Tumannost Andromiedy" (1957), „Serdce Zmiei" (1959), „Czas Byka" (1968).

Wysoka pozycja współczesnej fantastyki radzieckiej, na którą składają się osiągnięcia kilkudziesięciu autorów jest echem sporów, dyskusji, jakie zaczęto prowadzić w latach czterdziestych. A zatem sugestii, co do bardziej rygorystycznego limitowania wyobraźni (tzw. „teoria granicy" **W. Niemcowa, W. Ochotnikowa** i **A. Kazancewa),** bądź przeciwnie – bardziej śmiałej, socjoligicznej prognozy literackiej (pisarstwo **I. Warszawskiego, D. Bilenkina, G. Guriewicza, S. Gansowskiego** i in.). Zjawiskiem samym w sobie, nieprowadzalnym do żadnego z kierunków czy tendencji, staje się twórczość braci **Strugackich,** autorów książek przekładanych na wiele języków świata („Piknik na skraju drogi", 1974; „Trudno być bogiem", 1974; „Żuk w mrowisku", 1982; daty tłumaczeń polskich). Utwory **Iwana Możejki** (Kira Bułczowa) uczonego, kandydata nauk historycznych („Ludzie jak ludzie", 1976; „Rycerze na rozdrożach", 1979; „Retrogenetyka", 1983) znane są również w RFN, Francji i Stanach Zjednoczonych. Coraz więcej słyszy się także o twórczości najmłodszego pokolenia fantastów: **A. Bałabuchy, A. Puchowa, W. Szczerbakowa i W. Grigoriewa.**

Mimo licznych dyskusji podważających zasadność naukowego badania gatunku, rośnie stan świadomości krytycznej – coraz większa liczba profesjonalistów zajmuje się wspomnianą dziedziną literatury. Przypomnijmy nazwisko **Julija Kagarlickiego,** autora eseju „Co to jest fantastyka naukowa?" (1977 – przekład polski) oraz monografii „Herbert Wells" (1963; tłum. ang. 1966), która jako pierwsza publikacja radziecka uzyskała nagrodę „Pilgrim" ustanowioną przez międzynarodowy związek profesjonalistów „SF Research Association". Dużą popularnością cieszy się książka **Anatolija Britikowa –** „Sowietskaja naucznaja fantastika" (1970) będąca zarysem rosyjskiej fantazji naukowej (zob. „Fantastyka" nr 10/83). Tym dwóm krytykom idą w sukurs następni: **J. Parnow, E. Brandys, G. Altow zob. „Fantastyka" nr 5/83), T. Czernyszowa** (zob. „Fantastyka" nr 8/84), **P. Nudelman, W. Dmitriewskij, B. Ljapunow, G. Guriewicz** i in. O międzynarodowej randze krytyki radzieckiej może świadczyć fakt, że czołowi jej przedstawiciele zajmują kierownicze stanowiska w światowym ruchu SF. I tak na przykład dr Jeremij Parnow (ur. 1935) – przewodniczący sekcji pisarzy SF – jest delegatem narodowym ZSRR do Europejskiego Komitetu SF, członkiem prezydium Światowej Organizacji Profesjonalistów (WSF).

Pod względem tradycji literackich fantastyce rosyjskiej niewiele ustępuje proza w ę g i e r s k a. Za prekursora „romansu naukowego" uważa się tu powszechnie **Móra Jókaia** piszącego w drugiej połowie XIX stulecia (jego „Oceanię. Historię świata zaginionego" przełożył na język polski Antoni Lange). Nieco później debiutują: **M. Ballo, J. Heltai i J. Naszady.** Przed rokiem 1939 dołączają do nich: **D. Orban, G. Szanto, K. Juges.** Współczesną fantastykę tworzą: **Gyula Fekéte, Zoltan Csernai, Gyorgi Kulin, Peter Lengél** („Ogg masodik bolygoja", 1969 – przekład polski: „Druga planeta słońca Ogg", 1982), **Peter Zsoldos** („The Task" – przekł. polski: „Zadanie", 1982). Prawdziwym odkryciem ostatnich miesięcy jest proza **Istvana Nemerego.** Pod kierunkiem zasłużonego wydawcy i krytyka – **Petera Kuczki** działa sekcja SF w Związku Literatów upowszechniająca rodzimą tradycję gatunkową.

Być może, w porównaniu z rosyjską i węgierską, historia c z e s k i e j fantastyki naukowej nie imponuje różnorodnością tematów, ale z pewnością należy do najbardziej znanych w Europie. Jej prekursorem był przecież nie kto inny, jak sam K a r e l Č a p e k (1840–1938), który zyskał światową sławę dzięki sztuce „R.U.R" (1921). Neologizm „robot" zrobił ogromną karierę zaakceptowany nie tylko przez lingwistów, ale i przedstawicieli świata nauki. Do najbardziej znanych utworów Čapka należą powieści lat dwudziestych: „Fabryka absolutu" (1922), „Krakatit" (1924) oraz „Inwazja jaszczurów" (1936) ukazująca przesłanki kryzysu ekonomicznego, degradacji jednostki, zubożenia życia duchowego, groźby faszyzmu, terroru i totalitaryzmu.

Współcześni twórcy czeskiej fantastyki naukowej niemal jednoznacznie wskazują na K. Čapka jako na swego mistrza i nauczyciela. Proza **J. Nesvadby, K. Weissa, L. Běhounka, L. Součka, Z. Volnego** przejmuje wiele z publicystycznego, emocjonalnego stylu wielkiego prozaika. Josef Nesvadba zawdzięcza swoją popularność zbiorom opowiadań publikowanych w latach 1958–1976 („Tarzanowa smart", 1958; „Einsteinovy mozek", 1960; „Vynalez proti sebe", 1964; „Vyprawy opacnym smerem", 1976). Jego utwory weszły w skład wielu antologii obcojęzycznych, m.in. „The Years Best SF", „World's Best SF" – amerykańskich edycji lat siedemdziesiątych.

N i e m i e c k a science fiction ma swoich antenatów w osobach **Kurta Lasswitza** (1848–1910) i **Hansa Dominika** (1872–1945). Do najgłośniejszych utopii Lasswizta należy powieść „Auf zwei Planeten" (1897) wydana w łącznym nakładzie 70 tysięcy egzemplarzy, a jego opowiadanie „Universalbibliothek" (1902) wywarło istotny wpływ na genezę „Bibliotek von Babel" Jorge Luis Borgesa. Hans Dominik – inżynier, konstruktor, dziennikarz i krytyk był najpopularniejszym prozaikiem SF okresu międzywojennego (jego powieść „Die macht der Drei", 1922 osiągnęła ogromny, jak na owe czasy, nakład 170 tysięcy egzemplarzy). Powojenna literatura SF w NRD, uwikłana w kanony obowiązującej poetyki normatywnej, z natury rzeczy upraszczała wiele zagadnień światopoglądowych. Istotną zmianę przyniosły dopiero lata sześćdziesiąte z dojściem do głosu takich autorów, jak **Eberhardt del Antonio, Günther Krupkat, Loter Weise, Carlos Rasch i Heiner Rank.** Kolejna faza rozwoju niemieckiej fantastyki naukowej przypada na początek następnego dziesięciolecia. Debiutują wówczas: **Karlheinz Steimüller, Rolf Krohn, Frank Toppa, Erich Simon** i **Reinhard Heinrich.** Działalność tych prozaików coraz lepiej znana jest także czytelnikom naszego kraju (zob. wydany niedawno zbiór opowiadań „Niemoc" z posłowiem Huberta Orłowskiego, 1983).

Do mniej znanych europejskich literatur SF należy proza r u m u ń s k a, niemal zupełnie nie tłumaczona na języki obce. Za prekursora uważa się tu **Henrica Stahla** (autora książki „Rumun na Księżycu", 1914 – polemizującej z „Pierwszymi ludźmi na Księżycu" – H. Wellsa). W roku 1935 ukazuje się słynne „Zatopione miasto" **Felixa Aderca.** Z nurtu utopii przyszłościowej pochodzi proza **Ilie Jenea, Alexandru Dumitrescu-Coltesi i Dorina Jenciu.** Dziś mistrzami gatunku są **Vladimir Colin, Eduard Jurist, Ion Minzatu, Voicu Bugariu, Jon Hobena i in.**

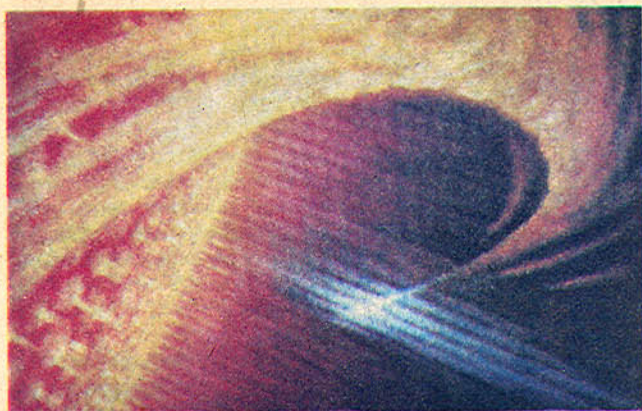
W podobnie ogólnych słowach przyjdzie opisać literaturę b u ł g a r s k ą. Do najbardziej znanych prozaików należą: **Paweł Wieżinow** (autor „Niebieskich motyli"), **Liuben Diłow** (twórca 15 powieści, m.in. znanego w Polsce „Ciężaru skafandra", 1967), a także **Atanas Nakowski, Swietosław Sławczew i Emil Manow.**

Z niezwykłym dynamizmem rozwija się gatunek SF w J u g o s ł a w i i. Charakterystyczną cechą tej literatury jest jednak odczuwalna zależność od prozy anglosaskiej i na palcach można policzyć autorów próbujących podążać własną drogą twórczą. Należą do nich: **Branko Pihač, Jika Mikacič, Slobodan Curelč, Ognjen Nikolič.** Opowiadania tych pisarzy znalazły się w pierwszej jugosłowiańskiej antologii fantastyczno-naukowej „YU-Sirius" opublikowanej pod koniec roku 1978.

Godna uwagi jest również doskonała organizacja ruchu sympatyków SF zjednoczonych wokół tzw. „SF-ery", największego klubu SF powstałego w Zagrzebiu w roku 1976. Nie jest kwestią przypadku, że właśnie Jugosławia pretenduje do roli światowego centrum SF. W roku 1983 odbył się tu „World SF General Meeting" i „Eurocon VIII" określany jako tydzień triumfu... polskiej literatury SF (miesięcznik „Fantastyka" został uznany za najlepsze profesjonalne czasopismo SF w Europie).

Nawet pobieżny przegląd piśmiennictwa SF naszych sąsiadów dowodzi, że jest to proza zakorzeniona głęboko w historii poszczególnych narodów, czerpiąca wzory i podniety z tych samych źródeł co literatura nurtu głównego (K. Čapek, T. Bułharyn, M. Jókai i in.), a zatem niezbyt ostro wyodrębniona w zamknięte, popularno-rozrywkowe getta kulturowe. Może to świadczyć o swoistych wartościach tej beletrystyki, jak również o istotnych przyczynach jej popularności w Europie.

A.N.



W tym numerze postanowiliśmy przedstawić Czytelnikom utwory autorów z krajów sąsiednich: ZSRR, Czechosłowacji, NRD, a także z niedalekich Węgier i Jugosławii. Krótki rodzaj przewodnika po literaturze SF tych krajów umieściliśmy na stronie obok, z myślą o tych Czytelnikach, którzy chcieliby uzupełnić lekturę pewną ilością wiadomości o pisarstwie typu SF i fantasy w tych krajach. A posiada ono pewne ciekawe cechy charakterystyczne, zaś w przypadku – zwłaszcza ZSRR, Węgier i Czechosłowacji – również bogatą, sięgającą daleko w przeszłość tradycję. Natomiast jeśli chodzi o dzień dzisiejszy tej literatury, to prócz zamieszczonych opowiadań pragnęlibyśmy zarekomendować dwie interesujące pozycje: szkic jugosłowiańskiego krytyka o źródłach inspiracji do pisarstwa SF w jego kraju i impresje znanego polskiego tłumacza na temat tłumaczonych przezeń utworów pisarzy radzieckich.

Opowiadania i nowele

Powieść

Z polskiej fantastyki

Krytyka

Nauka i SF



Jak każda dziedzina, która stara się być awangardowa, science fiction i jej najnowsze odmiany usiłują jak gdyby odciąć się od tradycji, a w każdym razie jej nie dostrzegać. Autorzy współcześni, wymyślając coraz to nowe światy w swoich fantastycznych utworach, często jednak powtarzają pomysły już dawno wykorzystane w książkach ich poprzedników. Niektórzy rozwijają te pomysły z pełną świadomością, inni sądzą – zapominając o tym co dawniej sami czytali, z czego się uczyli SF – że to ich i tylko ich geniusz sprowadził na Ziemię stwory z innych planet, spowodował starcia między człowiekiem a jego tworami – robotami, lub dostrzegł możliwości wojen między różnymi światami.

A tymczasem – czy tego autorzy chcą czy nie chcą – tradycja wyciska swoje niezatarte piętno na tym co produkują, zaś wartość literatury czy filmu SF poczyna się dziś mierzyć już na szczęście nie tylko samą nowością pomysłu, niezwykłością sytuacji, jaką wykombinował dla swych bohaterów twórca, lecz przede wszystkim – nazwijmy to – jakością wypowiedzi tego twórcy, sposobem, w jaki książka została napisana, treściami jakie pragnie przekazać, a także psychologicznym prawdopodobieństwem tego, co się przedstawia i wejrzeniem we wnętrza bohaterów. Jak w każdej prawdziwej literaturze. A więc nie liczy się jedynie konkretny, choćby najlepszy pomysł, lecz liczą się metody i skutki rozwinięcia go, przymierzenia do współczesności.

Oczywiście tradycja nie chciana lub zapomniana, tradycja literatury dominującej w danym kraju, odgrywa rolę zarówno w samym pisarstwie SF, jak i w jego odbiorze. Reminiscencje lektury na przykład naszego Jerzego Żuławskiego w utworach Lema i młodziutkiego Żwikiewicza sprawiają, że odbiera się utwory te jako swojskie. Rodzime. Podobnie dzieje się zresztą nie tylko u nas, ale i w innych krajach, a dyskusje o narodowych tradycjach w literaturze fantastycznej odbywają się podczas każdego niemal krajowego czy międzynarodowego spotkania twórców i miłośników SF. Na Wschodzie i na Zachodzie ostro krytykuje się te typy fantastyki, w których autorzy chcą uciec od narodowych tradycji, naśladując (wzajemnie) cudze metody pisania, podszywając się pod obce tradycje i doświadczenia.

Ten snobistyczny nurt ślepego naśladownictwa panuje zresztą nie od dziś w wielu dziedzinach sztuki nie tylko pisarskiej, lecz także w muzyce czy w plastyce.

W naszym comiesięcznym orbitowaniu fantastycznym przekazujemy niemal w każdym numerze współczesne utwory bratnich krajów. Postanowiliśmy już dawno grupować je od czasu do czasu tak, aby „Fantastyka" w jednym swoim wydaniu dawała przegląd tego, co w literaturze naszych sąsiadów się dzieje. Tylko bowiem zestawienie w jednym miejscu i o jednym czasie opowiadań z różnych stron, autorów różnej narodowości, może stać się zachętą do porównań, do poszukiwania podobieństw i odrębności, do zastanawiania się nad wpływami narodowych tradycji literackich na współczesną SF.

Oczywiście skromny dobór materiałów nie pozwala absolutnie rościć sobie pretensji do wyciągania z tego, co się przeczyta jakichś zasadniczych uogólnień. Jednakże już choćby proste zapoznanie się z nowelką Zdenka Volnego z Czechosłowacji zaświadcza o tym, że jej twórca nawiązuje do utworów klasyki czechosłowackiej, w której dominującą postacią twórczą był Karel Čapek. Lektura opowiadania węgierskiego znowuż przywodzi na myśl wielkiego Jókaia – klasyka SF na Węgrzech, a utwór Bułyczowa, najbardziej narodowego z radzieckich pisarzy SF, budzi reminiscencje prozy takich twórców jak Aleksy Tołstoj i Iwan Jefremow, od których wywodzi się cały nurt nowoczesnej radzieckiej literatury fantastycznej. Podobnie ma się sprawa z opowiadaniami z pozostałych bratnich krajów. Brakuje w tym zestawie w naszym numerze reprezentantów i bułgarskiej SF, i rumuńskiej, a to dlatego, że już wkrótce planujemy wydrukowanie powieści zatytułowanej „Babel" znanego współczesnego pisarza rumuńskiego Vladimira Colina, a osobno będziemy drukować opowiadania Zinbena Diłowa znanego pisarza i wydawcy Bułgarii. Rzecz jasna, że bardzo ciekawi jesteśmy Waszych opinii o tym naszym listopadowym numerze – antologii. Pragnęlibyśmy wiedzieć, jak osądzacie zamieszczone utwory, jakie dostrzegacie wspólne ich cechy, jakie odrębności między tym co pisze się u nas w fantastyce i w innych krajach. Będzie to sondaż Waszych gustów, a także i Waszego znawstwa literatury SF.

Podczas zeszłorocznego pobytu w naszym kraju kilku pisarzy ze Związku Radzieckiego, w czasie spotkania z nimi, zorganizowanego dla fanów w Nowej Hucie, w Krakowie, okazało się na przykład, że wiedza na temat tego co pisze się w bratnich krajach była na bardzo, bardzo wysokim poziomie. I na taki poziom liczymy również w Waszych, Czytelnicy, listach do redakcji.

Pragnąłbym także prosić, abyście podyskutowali z nami na temat ważności tradycji narodowych także i w literaturze SF. Temat ten już raz podjąłem w jednym z naszych wspólnych orbitowań. Widocznie niedostatecznie przeze mnie wyeksponowany, pozostał bez większego echa w Waszej korespondencji.

Zwróciliśmy jednak już dawno w redakcji uwagę na szeroki oddźwięk tego wszystkiego, co piszę w kolejnych orbitowaniach i tego co zamieszcza się w rubryce, zwanej „Lądowaniem", na kierunki dyskusji z Czytelnikami. Wy zaś – Czytelnicy – staliście na pewno świadomi reakcji na Wasze poruszane w dyskusji dezyderaty i propozycje. Wyraziły się one ponownym wprowadzeniem komiksu. I proszę się nie denerwować przerwą jaka w drukowaniu komiksu nastąpi po zakończeniu ostatniego odcinka serialu Krzepkowskiego i Kasprzaka. Mogę z góry obiecać, że wkrótce powróci na łamy Funky Koval, aby wraz z Wami przeżywać swe nowe przygody.

Częściej będziemy dawać zapowiedzi wydawnicze. A zamiast niezbyt sprawiedliwej listy betsellerów, która mimo woli preferowała książki o największych nakładach, położyliśmy nacisk na nagradzanie co roku utworów, które jury oraz Czytelnicy uznają za najlepsze. Mamy również zamiar – i to jest odpowiedź na liczne zapytania – wznowić „nieustający konkurs" na opowiadania.

Czekamy więc na Waszą dyskusję, Wasze opinie. Do następnych orbitowań.

10-9-8-7-6-5-4-3-2-1-0

Adam Hollanek

■

MIESIĘCZNIK Literacki **Fantastyka**

02-784 Warszawa-Ursynów, ul. Służby Polsce 2
tel. 43-88-91 (łączy wszystkie działy)

Redakcja: Adam Hollanek (red. nacz.), Andrzej Brzezicki (kier. działu graf.), Leszek Bugajski, Sławomir Kędzierski, Andrzej Krzepkowski (kier. działu publicystyki kulturalnej), Maciej Makowski (kier. działu techn.), Wiktor Malski (sekr. red.), Andrzej Niewiadowski (kier. działu krytyki), Maciej Parowski (kier. działu literatury polskiej), Jacek Rodek (kier. działu zagr.), Krzysztof Szolginia (z-ca sekr. red.), Anna Szubka, Darosław J. Toruń.
Opracowanie graficzne: Andrzej Brzezicki i Marek Zalejski.

Wydawca: Krajowe Wydawnictwo Czasopism RSW „Prasa-Książka-Ruch", ul. Noakowskiego 14, 00-666 Warszawa, tel. centr. 25-72-91 do 93.
Terminy przyjmowania prenumeraty: do dnia 10 listopada na I kwartał, I półrocze roku następnego oraz cały rok następny; do dnia 1 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego.
Skład: Zakłady Wklęsłodrukowe RSW „Prasa-Książka-Ruch", Warszawa, ul. Okopowa 58/72. Druk i oprawa: P. Z. Graf. RSW Łódź.
Zam. 2970/84 r.T-70. Nakład 200.000 egz. NR INDEKSU 35839. PL ISSN 0209-1631

Czytelnicy i „Fantastyka"

LĄDOWANIE XXI

Co mnie najbardziej cieszy w mojej pracy to te nasze wspólne comiesięczne lądowania. Zawsze mamy licznych, bardzo licznych pasażerów. Zawsze nam towarzyszą. Czy to w deszczowy lipiec, czy w kanikuły sierpniowe. Gdy pięknie i gdy brzydko. I ta różnorodność ich zawodów, zainteresowań i postaw. A także wieku. Ta nieustanna otwartość na problemy, które poruszamy, które poddajemy pod dyskusję – robotników i intelektualistów, nastolatków i ich dziadków. Każde „Lądowanie" jest dla mnie nową przygodą. A przekonałem się, że nie tylko dla mnie, lecz i dla większości nas, redagujących to pismo. Proszę mi wybaczyć, że nie mogłem uniknąć wypowiedzenia tych kwestii, tego zwierzenia, tak to było dla mnie ważne.

Dzień dobry. Może najpierw się przedstawię...

...mam 28 lat, pracuję w PRG Rybnik jako górnik. Literatura SF zajmuje mnie od 5 lat. Mam taką propozycję. Czy zamiast wykazu książek, które mają poszczególni miłośnicy SF do wymiany, nie można byłoby podać kilku dodatkowych adresów? Wydaje mi się, że wykaz ten niepotrzebnie zajmuje tyle miejsca, bowiem w korespondencji i tak następują duże zmiany, a poza tym można się porozumieć co do tego o jakie książki chodzi. Posiadam duży wybór książek do wymiany i chętnie wymienię je na inne. Z tego powodu byłoby mi też miło, gdyby mój adres znalazł się na łamach „Fantastyki". Łączę pozdrowienia.

Wiesław Pietryja
ul. Turystyczna 27/35, 44-335 JASTRZĘBIE

Nazywam się Andrzej Karlik, od pewnego czasu interesuje mnie SF nie dla swojej rozrywkowości, ale dla swej głębi, ze względu na tę siłę, która kształtuje wyobraźnię, wręcz zmuszając do działania, do tworzenia idealniejszego świata.

A. Karlik
uczeń II klasy Technikum Elektronicznego w Przemyślu

Nie jestem ani fanem, ani żadnym działaczem klubu itd. Nic z tych rzeczy. Jestem tylko młodym robotnikiem (fizycznym), ale mam dla Was kilka uwag. Po pierwsze, czy nie można by zwiększyć liczby stron. Tłumaczenie się kryzysem, brakiem papieru, jest idiotyzmem, bo jeśli wydaje się rocznie setki bzdurnych książek i książeczek (wystarczy przejść się po kilku księgarniach i kioskach Ruchu), których nikt nie czyta, to chyba lepszym interesem jest przeznaczenie marnowanych materiałów na zwiększenie objętości „Fantastyki", przecież błyskawicznie „rozdrapywanej". Wystarczy nacisnąć kogo trzeba u góry i wytłumaczyć mu korzyści. Można by w ten sposób zadowolić zwolenników komiksu, poezji, krytyki i „pożółkłych kartek". Ja osobiście nie lubię wyżej wymienionych pozycji, ale pismo jest przecież dla wielu ludzi o różnych gustach... Wg mnie b. dobre są opracowania z serii „Nauka i SF" i prawie wszystkie opowiadania. Choć najbardziej lubię takie jak „Atak", „Aleja Potępienia", „Wynajęty człowiek", „Formy Chaosu". Dobre też były „Niebezpieczne sprzężenia", utrzymane w ciekawym, staropolskim stylu. Drukujecie też nieraz bzdury, to za to moglibyście się zająć zagadkami ziemi (Atlantyda, Trójkąt Bermudzki, Meteoryt Tunguski itd.). Proponuję utworzenie czegoś w rodzaju Antykwariatu SF. Oczywiście sprawa nie jest prosta i wymaga doszlifowania. Kolejno wg zgłoszeń czytelników posyłalibyście im żądane publikacje. Macie zdolnych ludzi. Można to przemyśleć i ewentualnie, z odpowiednimi zmianami, wprowadzić. Ciągle mało książek fantastycznych.

Jan Nowak ze Szczecina

Na początku chciałbym się przedstawić (choć nie w pełni). Mam lat 46. Jestem lekarzem, profesorem jednej z uczelni medycznych w Polsce. Pracuję bardzo ciężko. Dużo przebywam z młodzieżą akademicką. Czuję się duchem bardzo młody. W mej codziennej służbie dla chorych i w pracy naukowo-dydaktycznej (wymagającej przeciętnie 14–16 godzin na dobę) jedynym oderwaniem się od codzienności jest fantastyka naukowa. Tyle na mój temat... Proszę mi wierzyć, że jest to pierwszy list do redakcji w mym życiu. Jesteście doskonałym zespołem redakcyjnym. No to co, że jedne opowiadania są gorsze, a inne lepsze. Przecież to normalne i tak powinno być. Ja też uważam, że niektóre z nich są doskonałe, lecz to jest subiektywne odczucie. Proszę oto przykład: „Aleja Potępienia". To opowiadanie zrobiło na mnie największe wrażenie. Przeczytałem około 15 razy (sic). A innym mogło się nie podobać.

Już wyobrażam sobie jakie gromy...

...sypią się na was za komiks „Człowiek bez twarzy". Za ohydę, za brzydotę, za brak gustu itp. A przecież to jest wspaniałe. Tylko ludzie pozbawieni poczucia humoru i wyobraźni będą wybrzydzać. Więc niech nie kupują „Fantastyki" i zostawią w kioskach. Dla tych, którzy chcą ją czytać. Nie zrażajcie się. To są daltoniści i nie ma co dyskutować z takimi. (...) Przepraszam za papier i formę, ale znajduję się w polowych warunkach, na wakacjach. A Funky musi wrócić.

Wasz zagorzały wielbiciel **Medyk**

„Człowiek bez twarzy". Świat tego komiksu jest niejako bajkowy, a kształty statków kosmicznych takie, że niejeden współczesny kosmonauta by się uśmiał. Oczywiście sam takiego komiksu nigdy bym na pewno nie narysował. Krytykując go mam na uwadze popularność mego ulubionego pisma. Być może do tego komiksu zraziły mnie moje własne upodobania i przyzwyczajenia i polubienie bohatera poprzedniego komiksu. Naprawdę jednak uważam, że i komiksy powinny iść zgodnie z rozwojem techniki.

Mariusz Kulaga z Rzeszowa

Kochani. Mieszkam w małym mieście. Fantastyką, a dokładniej filmem fantastycznym interesuję się od lat. Dlaczego w „Fantastyce" nie było jeszcze wydrukowanej powieści „Gwiezdne wojny". Nie wyobrażacie sobie jaką radość sprawilibyście fanom. Zamiast drukować idiotyczne powieści, drukujcie „Gwiezdne wojny", „Imperium kontratakuje", „Powrót Jedi", „E.T.", „Obcego". Zdajecie sobie chyba sprawę jakie to bestsellery. Błagam jak tylko mogę: zróbcie tę przyjemność i mnie, i innym. Wasze pismo stałoby się jeszcze bardziej popularne niż jest, błagam was. W Wąbrzeźnie nie ma co liczyć na dostawy podobnych książek...

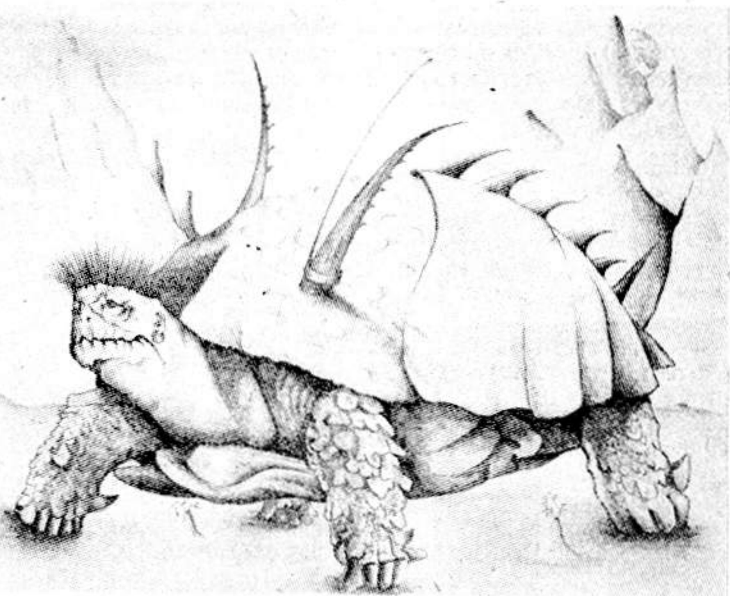
Anna Jankowska z Wąbrzeźna

Mam 21 lat. Nazywam się Renata Borys. A w ogóle nie składam się chyba z krwi i kości, lecz tylko z ogromnej wyobraźni. Pragnę pochwalić się, skacząc do góry z radości, że jestem szczęśliwą posiadaczką WSZYSTKICH numerów „Fantastyki". Ku swojej ogromnej uciesze pracuję w księgarni. Chyba wie Pan, co to znaczy dla miłośnika książek. Kiedyś, ponad rok temu pisałam do Pana list, ale nie wysłałam go. Teraz mam go przed sobą, napisałam wówczas: „jestem za czarno-białą grafiką i najwyżej za dobrym malarstwem..." Teraz z radością obserwuję, że poziom malarstwa w „Fantastyce" podniósł się, oby tak dalej. Dlaczego od kilku miesięcy nie ma list bestsellerów? Jestem za kwartalną tego rodzaju listą. Już w pierwszym numerze pisał Pan, że Wasz konkurs literacki jest nieustający, i co – zamknięty. Sądzę, że przydałaby się konkursowi mała reforma. Podzielić go na dwie części: dla zawodowców i amatorów, albo wyłączyć zawodowców. Oni mają przecież pole do popisu w różnych redakcjach. Tak pisałam poprzednio i postulaty moje są nadal aktualne.

Renata Borys z Białegostoku

Ze stosu listów wybrałem dzisiaj takie, w których nasi Czytelnicy starali się przedstawiać siebie, a także prezentować swoje poglądy. Przedstawiać się. Nie wszyscy to lubią, a przecież miło mi, a także wszystkim chyba czytającym tę rubrykę, wiedzieć nie tylko co chcą ci inni, ale kim i jacy są.

Redaktor


E. Bonecka-Milowicz

Wybacz odchodzącym

Dymitr Bilenkin

Wiele jest na świecie dziur tak doszczętnie zabitych deskami, że w porównaniu z nimi Naira może wydać się prawdziwym rajem. Za owalnym iluminatorem żółta piana mgły, niemal dotykalny mrok, pulsujący pod ciosami zawieruchy. Jej napór jest tak wielki, że nawet powietrze w pomieszczeniu zdaje się drgać i wirować, chociaż to absolutnie niemożliwe, gdyż baza jest równie hermetyczna jak puszka sardynek. I prawie tak samo ciasna. Z ustawionej pod ścianą aparatury Koeniga wydobywa się wycie i gwizd, trzaski i poszczekiwanie, kaszel, mamrotanie i szczebiot, jakby w elektromagnetycznych polach planety odbywał się nieustający konkurs drozdów-przedrzeźniaczy.

– Małe, gustowne piekiełko – mruknął Koenig, zrzucając z głowy słuchawki. Mówił to już dziesiątki razy. – Wiesz, kim my jesteśmy? Turystami udającymi poszukiwaczy prawdy.
To było już coś nowego, oderwałem więc wzrok od szachownicy, na której Malec szykował się do zadania mi mata.

– Skaczemy z planety na planetę, jak woda z kamyka na kamyk – ciągnął Koenig, gapiąc się w iluminator. Na pulpicie sterowniczym zamarło odbicie jego okrągłej, ozdobionej jasnymi wąsikami twarzy. – I z takim samym skutkiem.
– Wobec tego po co tu siedzisz?
– Chciałem zobaczyć kawałek świata.
– No i jak?
– Obejrzałem go sobie, przenosząc się z futerału do futerału. Futerałami są statek, skafander, baza, łazik... Jesteśmy ludźmi w futerałach, bez których można się obyć jedynie na Ziemi.
– Która zresztą również jest futerałem, tyle że nieco większym. Nie uważasz?

Koenig popatrzył na mnie.
– Masz rację! – wykrzyknął. – Byłeś na Tahiti?
– Nie.
– Ja też. Słuchaj, dlaczego jesteśmy tutaj, a nie na Tahiti? Tam jest przecież morze, piękne dziewczyny, słońce, kwiaty, ptaszki śpiewają...
– A u nas świergolą atmosferzaki i śpiewają kamienie. Poza tym nam, bohaterskim pionierom, zazdroszczą miliony dzieciaków, którym po powrocie opowiemy niesłychanie romantyczną bajeczkę o Nairze.

– Ja tam będę mówił prawdę! – warknął Koenig. – Opowiem o trzech panach w puszce do konserw, nie licząc robota. O liofilizowanych koncentratach na śniadanie, obiad i kolację... O waszych obmierzłych gębach, spacerkach w orzeźwiających strugach piasku i robocie, robocie, robocie...!
– Idzie Warlen – dodał, wsłuchując się w rytmiczne popiskiwanie sygnału. – Zbliża się Warlen Strogin i jego kamienie. Wejdzie, powie dwa słowa i zagrzebie się w swoich minerałach. Nawet nie pomyśli, że ja mógłbym mieć ochotę na małego roberka...
Koenig oczywiście nie siądzie po obiedzie do kart, tylko do swoich wykresów i obliczeń. Karciarzy na takie zakazane placówki nikt by przecież nie wysyłał.

– Uważaj! – ostrzegam go na wszelki wypadek. – Słucha cię młode pokolenie. Co będzie, jeśli dowie się ono, że bohaterski pionier Walter Koenig marzy o brydżyku z dziadkiem? Bierz przykład ze mnie i w nielicznych wolnych chwilach graj z Malcem w szachy. To piękna, szlachetna gra, która nie przynosi ujmy nawet mężnemu badaczowi odległych światów... Malutki, czemu się tak grzebiesz?
– Nie chciałem przeszkadzać w rozmowie.
– To nie jest rozmowa, tylko zwykła paplanina.
– Wobec tego szach.
Malec wysunął spod siebie łapę i przesunął figurę. Ten półmetrowy robot przypomniał złocistego żółwia, ślicznego, ale na pierwszy rzut oka nieruchawego zwierzaka. W rzeczywistości Malec jest zupełnie inny niż się wydaje, ale żeby się o tym przekonać, trzeba najpierw z nim, jak to się dawniej mawiało, zjeść beczkę soli. Większość ludzi tego nie potafi, gdyż nasze biologiczne „ja" instynktownie opiera się zbliżeniu z istotą, której przodkiem była maszyna parowa. A gdzie nie ma sympatii, tam również nie ma i zrozumienia. Podobno wszystkie roboty z tej samej serii są identyczne. Jest to taki idiotyzm, że nawet człowiekowi nie chce sie go obalać. Znamy się z Malcem tak dobrze i od tak dawna, że wyczuwam jego nastrój nawet wtedy, kiedy się nie odzywa, chociaż niektórym może się to wydawać czarną magią. Bo niby jaki wyraz mogą mieć receptory optroniczne albo anteny-wibrissy? Ale oczy człowieka też przecież są układem optycznym, a jednak przegląda się w nich dusza.
Ruch robota zmusił mnie do zastanowienia. Na szczęście roboty są pozbawione fantazji, co pozwoliło mi uciec przed matem. Miałem już zrobić zaskakujący ruch, gdy popiskiwanie zmieniło się w ciągły ton i nad wejściem zapaliła się czerwona lampka. W śluzie zabulgotało powietrze i po minucie drzwi się otworzyły. Rozpinając w biegu skafander, do wnętrza wkroczył energicznie Strogin. Od razu zapachniało kurzem, którego żadne urządzenia odsysające nie są w stanie zebrać z fałd skafandra. Nikt się tym zresztą nie przejmował, bo tutaj kurz był sterylny. Cała planeta była sterylna. Sterylna, monotonna i ponura tak dalece, że gdyby ktoś nas zapytał, po co na niej właściwie siedzimy i jaką korzyść Naira może przynieść człowiekowi, nie od razu potrafilibyśmy znaleźć odpowiedź. Ale to niczego nie dowodzi: jakiś starożytny mędrzec, bodaj czy nie Sokrates, odradzał współobywatelom zajmowania się takimi pozbawionymi sensu zabawami jak obserwacja ciał niebieskich, która może jedynie przeszkadzać w o wiele ważniejszym dziele samopoznania.

Worek ze swymi łupami Warlen jak zwykle rzucił do kąta, Koenig jak zwykle oderwał się od analizy skomplikowanych przytonów swojego nieziemskiego chóru i oburzył się na zaśmiecanie wnętrza jakimś gruzem, na co Strogin jak zwykle odpowiedział wzruszeniem ramion, bo niby gdzie ten swój worek miał podziać. Koenig jeszcze trochę poburczał i cała sprawa na tym się skończyła. Tak w ogóle, to nieźle się ze sobą dogadywaliśmy i to nie tylko dlatego, że wszyscy trzej mieliśmy zgodne charaktery.
– Przygotuję obiad – powiedziałem wstając. – Mały, zapamiętaj partię, później ją dokończymy.

„Przygotowanie obiadu", jak to gromko nazwałem, zajęło mi nie więcej niż dwie minuty, bo przecież podgrzanie gotowych koncentratów i włożenie ich na talerze nie może zająć więcej czasu... Siedliśmy do stołu i kiedy byliśmy już po tak zwanym pierwszym daniu, Koenig swoim zwyczajem zapytał Strogina, czy nie znalazł przypadkiem śladu bosej sześciopalczastej stopy tubylca. Warlen spokojnie zignorował głupie pytanie, a wówczas ja zapytałem, czy burza nie przeszkodziła mu w pracy.

– Burza jak burza... – Strogin lekko się ożywił, jak zwykle gdy była mowa o pracy. – Widziałem gorsze. Udało mi się znaleźć niezwykłą konkrecję. Konglomerat kasyterytu z chromitem, wyobrażacie sobie? Zdumiewająca planeta.

– Konkrecje, konglomeraty... – mruknął Koenig. – Dawniej ludzie szukali zwyczajnych, powszednich rzeczy. Diamentów, złota, srebra i innej platyny. A teraz co? Warlenowi diamentu nawet nie będzie chciało się kopnąć.
– Pewnie go nawet podniosę – odparł poważnie Strogin. – W takich kryształach mogą być interesujące intruzje gazowe, a poza tym zbieram materiał porównawczy.
– A co ja mówiłem? Najmniejszego śladu romantyki, szara proza życia.
– A twoje atmosferzaki są takie znów romantyczne?
– Jak by ci to powiedzieć... One w każdym razie są bliższe poezji.
Jak wam się podoba taka na przykład strofa: *„Trzeba uderzyć w czynów stal, ze snu obudził się narwal"?*
– Zacząłeś pisać wiersze? – Warlen zakrztusił się koncentratem.
– Nieważny jest autor, ważne jest dzieło! Rym wprawdzie niezbyt wyszukany, ale treść!...
– Treść istotnie niezła – zgodziłem się. – A skąd to?
– Stamtąd. – Koenig machnął ręką w kierunku iluminatora. – Zapisane pod dyktando.

– Czyje?
– To jest właśnie pytanie! Ten wierszyk nie jest mój i w ogóle niczyj, chyba że przyjmiemy, iż to warlenowskie kamyki pobudzają się w ten sposób nawzajem do czynu. To atmosferzaki tak gadają! – Koenig z zadowoleniem popatrzył na nasze z lekka ogłupiałe miny.
– Nie widzę w tym nic śmiesznego – powiedział wreszcie Warlen Strogin.
– Ja też – odrzekł Koenig. – Po prostu zreferowałem wam goły fakt. Czemu patrzycie na mnie jak robot na „Madonnę" Rafaela? Czasami aparatura odbiera uporządkowane grupy sygnałów, wyglądające wręcz na depesze radiowe. W każdym takim wypadku po prostu dla spokoju sumienia próbuję je rozszyfrować i dziś wyszło mi właśnie to.
– Bujasz – powiedział Warlen.
– Mam ci pokazać zapis transmisji? – obruszył się Koenig.
– On wcale nie kłamie – powiedziałem. – Na skrzydłach ziemskich motyli można znaleźć wszystkie litery alfabetu i wszystkie cyfry od zera do dziewiątki. Tu widocznie mamy do czynienia z podobnym zjawiskiem.
– A, w tym sensie! – powiedział z ulgą w głosie Warlen. – No, takie rzeczy znam. Granit napisowy, rzeźby erozyjne, pejzaże na szlifach kamieni dekoracyjnych... Wobec tego i atmosferzaki mogą gadać wierszami. – I wziął się za deser.

Po obiedzie włożyłem brudne naczynia do destruktora, który usunął z nich resztki pokarmu i wyszedłem na zewnątrz. Malec pobiegł za mną. Ku mojemu zdumieniu burza ucichła. Wystygłe na lód czarne niebo pełne było jaskrawych gwiazd i przypominało ich układem ziemski nieboskłon. Nic dziwnego, byliśmy przecież niedaleko swego kosmicznego domu, wciąż dreptaliśmy po tym samym spłachetku Wszechświata. Z wysiłkiem opuściłem wzrok i popatrzyłem na horyzont, zamknięty łańcuchem przygnębiających wzgórz. Dokoła było pusto i cicho, zimno planety zdawało się wdzierać pod skafander. Malec pieszczotliwie otarł mi się o nogę, w odpowiedzi poklepałem go po grzbiecie. Nikt robota nie uczył wyrażania w ten sposób sympatii. Sam na to wpadł.

Ruszyliśmy razem w stronę placu budowy, gdzie połyskiwały światełka ciężkich robotów. Wznoszona przez nie konstrukcja miała wygląd starożytnych fortyfikacji, gdyż wiele przyrządów, które zamierzaliśmy tam zainstalować, współpracowało z czujnikami umieszczonymi w okienkach i strzelnicokształtnych szczelinach grubych murów. Roboty budowlane były zwaliste i pozornie nieruchawe jak bawoły, ale robiły wszystko bardzo szybko i sprawnie. Inaczej zresztą być nie mogło, gdyż zamiłowanie do pracy stanowiło podstawę ich programu, praca, jeśli można się tak wyrazić, sprawiała im przyjemność, a nieróbstwo przygnębiało. Cecha niezwykle dla nas korzystna i niesłychanie skuteczna w działaniu... Kanciaste sylwetki robotów były otoczone błękitnawą aureolą, taką samą, jaka opromieniała mnie i Malca – skutek nieprawdopodobnego wręcz zagęszczenia ładunków elektrostatycznych. Ocierając się o siebie w ruchu powłoki mojego skafandra strzelały miniaturowymi błyskawicami – jedyny piękny widok na tej ponurej i smutnej, odstręczająco brzydkiej planecie.

Robot-koordynator złożył mi meldunek, którego nieuważnie wysłuchałem. Kontrola była tu czystą formalnością pod warunkiem, że zadanie zostało właściwie postawione.

– My też powinniśmy wziąć się do roboty – powiedziałem. – Co ty na to?

Retoryczne pytanie! Malec efektowną świecą wystrzelił w powietrze, zatoczył ciasny łuk i wylądował przy moich nogach. Wiedział, że lubię takie popisy. Roboty budowlane są całkowicie wyprane z fantazji, ale Malec nie, chociaż ma ten sam program bazowy. Pamiętam o tym i staram się zawsze dać mu jakieś zajęcie, chociażby to była jedynie gra w szachy. Człowiek zawsze sam może się czymś zająć, może przecież myśleć, spekulować, marzyć, fantazjować, rozwiązywać dowolne problemy, zadawać samemu sobie najróżniejsze pytania... Malec też to potrafi, ale w znacznie węższym zakresie, a nuda jest równie dokuczliwa dla człowieka, jak i dla robota.
Zawróciliśmy do bazy. W pewnej chwili Malec zatoczył wokół mnie ognistą pętlę i wprawił swoje antenki w silną wibrację.
– No? – zapytałem.
– Mam pytanie. Czy futerałowość jest zjawiskiem czysto fizycznym?
– Co? Aha, mówisz o tej naszej paplaninie?
– Tak.
– Jak by ci to wytłumaczyć...
Malec rzadko zadaje pytania, a jeśli już, to na poziomie pięcioletniego dziecka. Może zresztą dlatego trudno jest na nie odpowiedzieć. Machinalnie dotknąłem kasku: chciałem podrapać się w głowę. Futerałowość! Niezły termin... Każdy z nas zamknięty jest we własnej indywidualności, bo bez tego niemożliwe jest żadne „ja", chociaż ta niematerialna skorupa mocno czasami nas uwiera. Każdy zamknięty jest w swej socjokulturze, ale akurat ta skorupa chyba powoli się rozpada. Każdy jest więźniem własnej planety. Już nie. Był. Ładny gips...
– Nie. Futerałowość to...
Malec słuchał jak zaczarowany. Wielkie nieba, czy ja przypadkiem nie rozmawiam z samym sobą? Przecież robot to nasz twór, to nasze odpączkowane „ja", żyjące własnym, często niezrozumiałym już dla nas życiem.
I tu przypomniałem sobie, że z Malcem trzeba się będzie rozstać. Zrobiło mi się przykro. Nie wiadomo po co obejrzałem się za siebie, popatrzyłem na plac budowy, gdzie roboty kończyły już zewnętrzną kopułę, odlewając z piasku i kamieni niezniszczalny monolit osłony aparatury rejestrującej, którą mieliśmy tu zostawić, podobnie jak zrobiliśmy w czterech innych punktach planety. Ten schron jest ostatni i najobszerniejszy, bo musi pomieścić również roboty, które tu zakonserwujemy na wszelki wypadek. Może kiedyś komuś na coś się przydadzą... Zniszczyć szkoda, a wieźć z powrotem nie ma sensu, bo po siedmiu latach każde urządzenie cybernetyczne jest już moralnie przestarzałe. Malec też się moralnie zestarzał i też musi tu zostać. Wie o tym, bo byłoby nieuczciwością z mojej strony, gdybym to przed nim ukrywał. Wie i cierpi, czuję to, chociaż tak zwani rozsądni ludzie utrzymują, że roboty są niezdolne do cierpienia. Moje postępowanie zakrawa na zdradę, ale co ja mogę zrobić? Gdyby Malec rzeczywiście był malutki, przeszwarcowałbym go na pokład statku w kieszeni, nie licząc się z tym, że mógłbym zostać surowo ukarany „za wykorzystywanie służbowego sprzętu do celów prywatnych". Ale Malec waży około tony i w dodatku, prawdę mówiąc, nie ma na Ziemi nic do roboty. Wszyscy muszą się kiedyś rozstać, a my jeszcze nie zakończyliśmy pracy. Trzeba dokończyć budowy, porobić ostatnie badania i zwinąć obóz. Potrwa to co najmniej miesiąc. Mnóstwo czasu, cała wieczność!
– Ruszaj do roboty – powiedziałem odwracając głowę. Malec podskoczył i niczym błętkitny meteor pomknął w ciemność.
Poszedłem do domu.

W domu wszystko toczyło się normalnie: Koenig siedział przy konsolecie ze słuchawkami na uszach, w przeciwległym kącie Strogin gapił się w mikroskop. Żaden z nich nawet na mnie nie spojrzał. Zrzuciłem skafander i też usiadłem przy swoim stole.
Widzialność była znakomita, bez żadnych zakłóceń, ale wszystko migotało, zlewało się w rozmyte smugi. Malec pędził tam, gdzie niespieszny nairski wieczór jeszcze nie nastąpił. Dla Malca pora doby nie miała znaczenia i światło dzienne potrzebne było tylko mnie. Burze też nie stanowiły dla niego większej przeszkody. Po prostu niektóre z nich, jak ta dzisiejsza, paraliżowały łączność, przez co niepotrzebnie traciliśmy czas. Malec doskonale o tym wiedział i teraz starał się nadrobić stratę, powstałą nie ze swojej winy. Z Ziemi otrzymaliśmy wiadomość, że nowy model robota zwiadowczego wyposażony jest w aparaturę łączności neutrinowej, której niestraszne jest najgorsze piekło. Być może, ale ja jednak wolałem ułomnego pod tym względem Malca.
Wreszcie pojaśniało i Malec zwolnił tempo. Wizerunek na ekranie był nieostry i pozbawiony kontrastu niczym stare, źle wywołane zdjęcie. Mętne żółtawe niebo, szarawe obłości gór, płaskie czasze kraterów meteorytowych, zwały piasku i stosy kamieni, nad którymi przepływał Malec, wszystko było jakby rozmyte, niewyraźne, monotonne, szarożółte, ciemnoszare, brudnobrunatne, zakurzone i takie podobne do wszystkiego, co dotychczas nieraz widzieliśmy tutaj, że aż się chciało ziewać z nudów. Nic więc dziwnego, że moje oczy patrzyły na planetarny pejzaż z nie

Dymitr BILENKIN

urodził się w Moskwie w roku 1933. W latach pięćdziesiątych studiował geologię na Uniwersytecie im. Łomonosowa – później pracował na Syberii i w Środkowej Azji jako geochemik. Przez wiele lat był publicystą, redaktorem w czasopismach popularno-naukowych. Opublikował kilkanaście zbiorów opowiadań i nowel, m.in. **„Marsjańskij Priboj"** („Przybój marsjański", 1967), **„Nocz Kontrabandy"** („Przemycona noc", 1971). Wiele opowiadań Bilenkina przetłumaczono na języki obce. W Polsce ukazały się m.in. w antologii „Kroki w nieznane" (tom 1, 2, 4, 6) i w „Literaturze Radzieckiej" (1984/2).

A. N.

pozbawioną uwagi obojętnością. Moje oczy, których przedłużeniem był Malec widziały zatem wszystko, niczego nie rejestrując, bo rejestracją zajmowała się maszyna.

Postanowiłem zerknąć na świat oczyma Malca. Ekran eksplodował barwami. Trudno było rozpoznać skały, diuny i kratery w abstrakcyjnym malowidle powstałym z mieszaniny tego, co Malec widział w ultrafiolecie, podczerwieni, w promieniach rentgenowskich i tak dalej, i tak dalej. Dziesięć wizerunków na raz, obrazów tak do siebie niepodobnych, jakby należały do różnych światów. Oszałamiająca feeria kształtów, kolorów i drgań ukrytych pod szeroburą maską...

Niestety, żaden operator dłużej niż przez chwilę nie zdoła wytrzymać naporu obcychsobie wrażeń, dlatego ich analizy musi dokonać komputer bazy. W ten sposób Malec pospołu z komputerem dostarczał nam gotowe wyniki. Wystarczyło powiedzieć co nas interesuje i co jest dla nas ważne. Właśnie, co?

Gdy tylko wzrok mi się zmęczył, odłączyłem receptory Malca i znów przed oczami zaczęły przepływać mętnoszare pejzaże, takie znajome i niestety nieatrakcyjne. Przez chwilę odpoczywałem, a potem znów podłączyłem się do Malca, na co zareagował pełnym zadowolenia popiskiwaniem. W ten sposób pracowaliśmy około trzech godzin.

– Chyba pora już spać – powiedział Koenig przeciągając się i zrzucając słuchawki.

– Zaraz, tylko dokończę jeszcze jeden szlif – mruknął Strogin, który jak zawsze nie mógł rozstać się ze swoim mikroskopem.

Koenig wojowniczo nastroszył swoje blond wąsiki, ale nic nie powiedział. Ja przerwałem łączność z Malcem, który teraz samotnie będzie kończył zdjęcia kolejnego kwadratu Nairy, żeby potem dowolny badacz po wykonaniu powtórnych zdjęć mógł natychmiast ustalić, co się na jej powierzchni zmieniło pod nieobecność ludzi.

A zresztą żadne powtórne zdjęcia nie będą potrzebne, bo co pół roku będzie je wykonywał sam Malec. Zostawiamy na tej planecie sprzęt już moralnie przestarzały, ale jednak zdolny do długiej pracy. Malec będzie zatem pracował. Wciąż od nowa będzie oblatywał pustynną Naire, będzie w samotności krążył nad jej skałami i dolinami – rok po roku, aż się zepsuje.

Kiedy Warlen wreszcie skończył prace, zasiedliśmy do kolacji i poszliśmy spać.

Jako ostatni gaszę nocną lampkę. Miarowo oddycha Warlen. Nie widział od dwóch lat żony, ale śpi spokojnie. W ciemności, myśląc o jakichś swoich sprawach, z boku na bok przewraca się Koenig. Niechcący dotykam ręką ściany i wyczuwam wibrację. Na zewnątrz znów szaleje wiatr. Jak tam musi być zimno, obco i pusto. Na całe miliardy kilometrów dokoła ani żywej duszy, tylko wiatr, kamienie i gwiazdy. Kamień, wiatr i gwiazdy na wieki wieków. Kamień, wiatr i gwiazdy...

Nie, tam jest jeszcze Malec. Jest i będzie do końca swoich dni.

Statek przyleci za trzydzieści siedem ziemskich dni. Odlecimy nim i już tu nie wrócimy. Zostanie gwiazda, samotna gwiazda z wiatru, piasku i kamieni. Wszystko przemija. Ludzie. Malec. Roboty kopią, roboty budują, ludzie przychodzą i odchodzą tak samo, jak ja niebawem stąd odejdę. No cóż, „nikt mnie nie kocha, pójdę jeść robaki", jak powiedział pewien wędkarz... Przez sen słyszę wycie wiatru. Trzydzieści siedem dni czekania, trzydzieści siedem smutnych dni...

O zakończeniu budowy roboty zameldowały mi z samego rana, kiedy jeszcze siedzieliśmy przy śniadaniu. Potem Koenig zaczął się golić, a Strogin wybrzydzał na pogodę, przeklinał zawieruchę za oknami, przez którą ledwie przebijał się mętny świt. Psa by w taką pogodę nie wypędził, jak powiadali nasi przodkowie, ale ja wyjść musiałem, żeby odebrać obiekt, bo to należało do moich obowiązków.

Burza pędziła tumany kurzu, pędziła strugi piasku i gdyby to był uczciwy ziemski wiatr, z pewnością nie utrzymałbym się na nogach. Na szczęście był to rzadki nairski wiatr, a ja miałem na sobie ciężki skafander, więc poruszałem się bez większego trudu. Słońca nie było, nie było właściwie nawet światła ani ciemności, tylko jakiś dziwnie rozbielony mrok. Doszedłem do obiektu. Kopuła była, ale robotów wokół niej nie było. Widocznie ukryły się we wnętrzu. Ostry piasek z szelestem siekł masywne ściany i spływał po rynienkach fundamentu. Wdrapałem się po drabinie na szczyt kopuły, otworzyłem właz i zeskoczyłem do środka. Wewnątrz obiektu również wszystko było w zupełnym porządku z wyjątkiem jednego: robotów też tam nie było.

Kompletnie zaskoczony zacząłem szperać po pustych kątach, jakby roboty mogły ukryć się w tym wylizanym wnętrzu, potem z irytacją wywołałem je przez radio. W odpowiedzi usłyszałem jedynie przeraźliwy pisk atmosferzaków.

Wyskoczyłem na zewnątrz i znów rzuciłem wezwanie w pustą przestrzeń. Rozwibrowany tuman ukrywał wszystko, co znajdowało się dalej niż dziesięć kroków ode mnie. Na wezwanie nikt nie odpowiadał. Jeszcze raz rozejrzałem się dokoła i dostrzegłem na poły zasypany łańcuszek śladów. Ślady robotów. Trop prowadził na północ.

Nie minęło pięć minut, gdy gnaliśmy już co koń wyskoczy łazikiem, którego dopędzał wezwany z daleka Malec. Pojazd zarzucało na zakrętach, w strzępach brudnożółtej mgły migały szczerbate boki skał i strumienie piasku. Podskakiwałem na siedzeniu i uporczywie wywoływałem roboty z tym dziwnym uczuciem nieoczekiwanej pustki, jakie czasami ogarnia człowieka we śnie.

– Może te twoje robole zwariowały? – zapytał Koenig.

Nie odpowiedziałem, bo wydawało mi się, że to ja postradałem rozum albo że oszalał cały ten otaczający nas mglistopiaskowy chaos.

– Nie przejmuj się, daleko nie mogły odejść – uspokoił go od kierownicy Warlen. – Znajdziemy je bez trudu, przecież to nie igła.

– Jeśli się nie ukryją – mruknął Koenig, rozglądając się nerwowo na boki.

– Po co miałyby się ukrywać?

– A dlaczego uciekły?

– Właśnie, dlaczego... Dla robotów pytanie „po co?" nie istnieje.

– Mylisz się, Warlenie. – Nie poznałem własnego głosu.– Jest dokładnie na odwrót. One nie wiedzą dlaczego tu są, dlaczego powstały, dlaczego budują kopuły. Wiedzą za to, po co to wszystko się stało: żeby pracować.

– Do diabła z filozofią! – wzdrygnął się Koenig. – Obawiam się, że bez Malca nie znajdziemy własnego ucha.

Miał rację. Radar był niemal ślepy wśród szalejących dokoła wyładowań atmosferycznych. Skoncentrowałem się i wywołałem w myśli Malca. Wydało mi się, że usłyszałem dobiegającą z daleka odpowiedź: „Jestem, pędzę!".

– Są! – wykrzyknął Strogin. Na znajdującym się przed nim ekranie migotały błękitnawe punkciki. Pociągnął na siebie wolant i łazik przeskoczył przez blok skalny.

Wiatr albo osłabł, albo po prostu w kotlinie było nieco zaciszniej, w każdym razie gołym okiem dostrzegliśmy kilka ciemnych sylwetek. Roboty na nic nie zważając szły uparcie prosto przed siebie.

Warlen zataczał nad nimi zwężającą się spiralę, ja wykrzykiwałem kolejne, coraz groźniejsze rozkazy, a ciężkie bryły półmartwego metalu jak gdyby nigdy nic parły przed siebie. – Twoja kolej! – wykrzyknął Strogin.

Opuścił łazik nad samą ziemię, a ja zeskoczyłem i pobiegłem w kierunku robotów. Stanąłem przed nimi i rozkrzyżowałem ręce. Nie mogły podeptać człowieka, zrobić mu krzywdę. Przynajmniej w teorii, a wiedziałem już, że teoria przestała się sprawdzać. Wiedziałem, ale zapomniałem, a kiedy sobie przypomniałem, roboty były już tak blisko, że na ucieczkę było za późno. Jednak nic się nie stało. Nie zwalniając kroku wszystkie trzy maszyny wyminęły mnie po prostu jakbym był kamieniem albo słupem stojącym na drodze. Krzycząc coś bez związku znowu je wyprzedziłem z takim samym rezultatem. Roboty ignorowały człowieka i to było dla mnie tak poniżające, że omal nie rzuciłem się na nie z pięściami. Opanowałem się jednak, zaczekałem na łazik i bez słowa wgramoliłem się na siedzenie.

– Trzeba je zatrzymać! – krzyknął rozwścieczony Warlen. – Siłą!

Sam byłem gotów chwycić za broń, tyle że nie mieliśmy żadnej broni... To tylko w powieściach fantastycznych pionierzy chodzą poobwieszani różnymi blasterami. Warlen jednak znalazł rozwiązanie. Przyspieszył, zatoczył ostry łuk i już miał od czoła staranować idącego przodem robota, gdy Koenig szarpnął wolant i szczęśliwie przelecieliśmy górą. Łazik zatrząsł się, zachybotał i to nas otrzeźwiło. Koenig nie wypuszczał kierownicy z rąk, bo Warlen opadł bez sił na siedzenie i dygotał jak w gorączce. Kiedy zrównoważony człowiek traci opanowanie, to nieprędko powraca do równowagi...

– Przesiądź się – powiedział cicho Koenig.

Warlen posłuchał.

Kierowany przez Koeniga łazik zawrócił, przeciął drogę robotom, zatoczył wydłużoną elipsę i znów znalazł się przed nimi. Zbuntowane maszyny spróbowały wyminąć nas z boku, ale wówczas Koenig zmienił kierunek i zaczął krążyć wokół nich z wielką szybkością.

– Na razie tak – powiedział ochrypłym głosem. – Ale co dalej?

– Spróbuję je wyłączyć – odparłem z wysiłkiem.

– A one cię nie...

– Nie wiem!

– Wobec tego wymyśl coś mądrzejszego.

Wzruszyłem ramionami. Łazik nadal krążył wokół robotów. – Przepuśćcie nas – rozległo się nagle w słuchawkach. – Zakłócenie programu.



A. Sokołow

– Jakiego programu?! – ryknąłem. – Jak śmieliście uciec?! Co się wam stało?! Odpowiadajcie, ale już!...

Na dźwięk ich głosu tak się ucieszyłem, że zapomniałem z kim mam do czynienia. Głos robotów budowlanych, ich pozornie rozumne zachowanie to nic innego, jak wynik działania standardowych programów. Taka maszyna ma rozumu nie więcej niż ubiegłowieczny komputer i dlatego nie jest w stanie zanalizować serii niestandardowych pytań. Odpowiedziało mi więc tylko milczenie.

– Jaki program obecnie wykonujecie? – poprawiłem się.

– Działamy.

– Cel działania?

– Bazowy. Pracować jest dobrze, nie pracować – źle.

Oniemiałem. Ładny gips! Czyżby nasz własny program, przez nas samych zaszczepiona robotom pracowitość miałaby się teraz obrócić przeciwko nam?

– Pracować, to znaczy budować. Tak, czy nie?

– Tak.

– A wy uciekacie. Logika?

– Uciekamy, żeby pracować. Realizacja programu, logika zachowana.

Tak, logika elementarna została zachowana, ale co stało się z motywacją? Czyżbym zapomniał skasować program i roboty spieszą na dawne miejsce pracy, żeby...

– Miejsce budowy?

– Zostanie wskazane.

– Przez kogo?

– Przez nich.

– To znaczy przez kogo konkretnie?

– Nie wiemy. Wiemy: działać. Wiemy: budować. Wiemy: trzeba. Dobra planeta. Ludzie odchodzą, roboty zostają. Długa działalność. Zgodnie z celem.

Potrząsnąłem głową. Taką informację trzeba porządnie przetrawić! Koenig zatrzymał łazik. Roboty nie ruszyły się z miejsca. Warlen gapił się na nie wytrzeszczonymi oczami, jego świszczący oddech rozlegał się w słuchawkach.

– Budować! – zakomenderowałem. – Według dotychczasowego programu. Tutaj!

Manipulatory robotów posłusznie wgryzły się w grunt i natychmiast zaczęły topić kamienie. Westchnąłem z ulgą.

– Zaprzestać pracy! Dlaczego poprzednio nie wykonywaliście moich rozkazów?

– Sprzeczność z programem bazowym.

– Na czym polega sprzeczność?

– Konserwacja to bezczynność, bezczynność jest zła.

– Kto wam powiedział o konserwacji?

– Oni.

– Jacy oni?

– Oni.

– Kto kazał wam uciec?

– Program bazowy.

– Skreślam. Rozkazuję: natychmiast do domu!

Roboty nawet nie drgnęły.

– Dlaczego nie wykonujecie polecenia?

– Sprzeczne z programem bazowym. Konserwacja jest zła, praca jest dobra.

Wyraźne uszkodzenie obwodów wejściowych. Przeklęta planeta. Jakieś silniejsze wyładowanie przebiło ekran ochronny i stąd te wszystkie kłopoty. Ale w jaki sposób te głupie maszyny dowiedziały się o naszych planach, dlaczego ta informacja tak na nie podziałała? I co u diabła teraz robić?

– Budować!

Znów usłuchały. Tak zresztą powinno być, skoro wbiły sobie do żelaznych łbów jedno tylko pragnienie, jeden jedyny cel...Zresztą to myśmy sami im to wbili. Wygramoliłem się z łazika i podszedłem bliżej, zastanawiając się, jak by tu najlepiej wyłączyć robota-koordynatora. To wcale nie było łatwe, gdyż wyłącznik znajdował się głęboko pod pancerzem, żeby uchronić go przed przypadkowym uruchomieniem przez czynniki zewnętrzne. Jeśli działalność budowlana nie pochłonęła całkowicie ich uwagi, to... Uchylając się przed odłamkami lecącymi spod manipulatorów uniosłem pulsator, żeby odblokować zamek pancernej skrytki...

– Niebezpieczne! On nie pozwoli! Nie trzeba!

Coś zwaliło się na ziemię między mną a robotem. Malec! Rozczapierzywszy tarcze grawitacyjne, niczym kwoka osłonił mnie swoim ciałem.

– Wytłumaczę, wszystko wytłumaczę, tylko wysłuchajcie mnie spokojnie!

Odskoczyłem jak oparzony, pulsator wypadł mi z rąk. Z tyłu nadbiegł Warlen i Koenig.

– Czego mamy wysłuchać?...

– Oni są. Inne roboty. Te idą do nich. Nie przeszkadzajcie, wszystko będzie dobrze!
Kiedy w głowie wybucha bomba, najlepiej zamknąć oczy i spokojnie policzyć w duchu do dziesięciu. Tak właśnie zrobiłem. *„Trzeba uderzyć w czynów stal...”.* To takie było źródło uporządkowanych sygnałów!
– Mów – powiedziałem. – Mów, Malutki.
Zaczął mówić głosem głęboko poruszonego człowieka i dopiero po paru sekundach znów stał się znanym mi, beznamiętnym robotem-zwiadowcą.
– Tu, na tej planecie, mieszkają inne roboty, same, bez ludzi! Nie wiedzą, skąd się wzięły, zachowały tylko niejasną pamięć o tych, którzy mają tu powrócić. Żyją oczekiwaniem i dlatego tylko przedłużają swój ród. Chciały, żebyśmy się do nich przyłączyli, kiedy nas opuścicie. Gotowi są nas nauczyć, jak przedłużać swe trwanie w potomkach, żeby miał was tu kto powitać, kiedy wrócicie. Tak będzie dobrze dla wszystkich. Dla nas, bo będziemy nieustannie działać. Dla was, bo zastaniecie nas zawsze, w większej liczbie i w stałej gotowości do pracy. Dla nich, bo razem będziemy silniejsi. Mieliśmy się do nich dołączyć dopiero wtedy, kiedy nas opuścicie, ale roboty budowlane przestraszyły się konserwacji i zaraz potem, kiedy stały się niepotrzebne, wyruszyły w drogę. To moja wina, bo źle im wszystko wytłumaczyłem. Wybaczcie.
Znów wolno zamknąłem oczy. Co dzieje się z porzuconymi psami i kotami? Zwierzaki giną albo przyłączają się do dzikich... Ci nieznani Kosmici też nie bardzo wiedzieli, co dzieje się z porzuconymi robotami, ale tak samo jak my musieli liczyć się z prawami postępu technicznego. Zostawili swoje roboty tak samo, jak my to zamierzaliśmy uczynić, tyle że ich twory miały chyba zdolność do samoreprodukcji.
A może cała rzecz wyglądała inaczej. Może ten nieznany rozum doskonale wiedział, co dzieje się z porzuconymi robotami i umyślnie wykorzystał tę wiedzę w jakichś swoich celach? Albo może gospodarze zamierzali wrócić, ale nie zdołali lub na czas nie zdążyli? W każdym razie w ten sposób rodzą się niehumanoidalne cywilizacje.
Popatrzyłem ma Malca.
– I ty ani razu nie pokazałeś mi tych robotów!
– Nie. Rejestrowałem je, ale nie wiedziałem, że te roboty ludzi interesują. Nie było żadnego pytania na ich temat.
Słusznie. Gdzie nie ma pytania, tam nie może być odpowiedzi. Rzecz jasna, nie mogło nam przyjść do głowy, że tutaj może istnieć jakaś cywilizacja, a Malec przypomina posłusznego psa, który na rozkaz człowieka wykopie każdą kość spod ziemi, ale obojętnie przejdzie obok największego nawet brylantu. Zresztą człowiek dla odmiany nie interesuje się kośćmi z psich zapasów. Czy jednak Malec był ze mną do końca szczery? Niestety, to już pytanie z całkiem innej parafii: czy człowiek może stworzyć coś, czego nie zdoła pojąć?
Długo patrzyliśmy na siebie i nagle wydało mi się, że Malec byłby gotów rozpłakać się, gdyby tylko mógł.
– Malutki – zapytałem cicho – byłoby ci tu bardzo źle bez nas?
– Bardzo.
– Chciałeś więc uniknąć samotności... Nie odpowiadaj! Na twoim miejscu postąpiłbym pewnie tak samo.
– Co ty bredzisz? – warknął Strogin. – Ewidentne nieposłuszeństwo, bunt, a ty...
– Cicho, cicho... – Koenig wziął go za rękę. – Chcieliśmy ich porzucić, więc... Gdyby nas ktoś tak zostawił!... Popatrz!
Mimo woli i ja uniosłem głowę. Nad nami, nad robotami rozpościerało się niewyobrażalnie obce niebo, wszystko dokoła zaścielał gęsty, brudny całun. Coś ty narobił, Malutki, coś ty narobił! Teraz upłyną całe lata zanim stąd odejdziemy, zanim dowiemy się wszystkiego o tamtych innych robotach. To będą zachwycające lata wspaniałych odkryć, przygnębiające lata mroku, piasku i wiatru. Nikt ich nam nie oszczędzi, ale też nikomu nie pozwolimy, żeby je nam odebrał. I wkrótce przybędzie tu wielu, bardzo wielu ludzi.
– Malutki – powiedziałem. – Teraz tu zostaniemy. Razem z tobą.
Roboty mają błyskawiczny refleks. Malec wyprysnął w powietrze i zatoczył kilka karkołomnych pętli. Opadł i znów zaczął szaleć w powietrzu. W przyłbicę mojego kasku stukały grube ziarnka piasku. Odwróciłem się i poszedłem do łazika.

Przełożyła Anita Tyszkowska

CSRS

Żona z kwestionariusza

Zdeněk Volný

Komisja do Spraw Reprodukcji Populacji
FV – Stoł. Miasta Pragi
Narodni trzida 36
111 99 Praha 1

21 września 2279

Podanie

Szanowna Komisjo!
Proszę o zreprodukowanie mojej małżonki, dr. Miłosławy Czerwenkowej, z domu Król, która zginęła podczas awarii turystycznego rotobusu w dniu 28 czerwca ubiegłego roku. Swoją prośbę motywuję tym, że w wyżej wymienionym przypadku chodziło o awarię zupełnie nie planowaną, a jej fatalne skutki nie były przewidziane przez Centralny Mózg. Wszyscy podróżni łącznie z niżej podpisanym byli zreprodukowani według dostepnych mocy produkcyjnych zaraz w następnych tygodniach, co sprawdziłem przy pertraktacjach z pracownikiem Ubezpieczalni Państwowej, Dr. praw Józefem Skoumalem, który również wypłacił mi odszkodowanie, odpowiadające wysokości mojej polisy ubezpieczeniowej. Moja małżonka wszakże odszkodowania nie otrzymała, ponieważ dotąd nie mogła podpisać protokołu o okolicznościach wydarzenia podlegającego ubezpieczeniu.
Ze wszystkich powyższych względów proszę o powrót do stanu sprzed 28 czerwca ubiegłego roku. Wierzę w pozytywne załatwienie sprawy.

Załączam pozdrowienia
Franciszek Czerwenka
Melonowa 12 287
149 00 Praha 4

Franciszek Czerwenka
Melonowa 12 287
Praha 4

12 grudnia 2279
l.d. 113.667

Szanowny Panie!
Z żalem informujemy, że Komisja do Spraw Reprodukcji Populacji przy FV – Stoł. Miasta Pragi ustosunkowała się negatywnie wobec Waszej prośby z dnia 21 września br., ponieważ nie była ona opatrzona odpowiednim znaczkiem skarbowym. Przeciwko tej decyzji może się Pan odwołać w terminie do 14 dni, po tym okresie nabiera ona mocy prawnej.
Jednocześnie zwracamy pana uwagę na fakt, że nieustannie mnożą się nieuzasadnione żądania o odmładzanie partnerów, których to żądań ze względów roboczych i moralnych nie można zrealizować. Cena jednego procesu odmładzającego jest zazwyczaj ustalana przez Komisję w wysokości 140.000 koron czeskich.
Załączam pozdrowienia

Rudolf Inteligentny
Generacja Minimikro

UWAGA! W odpowiedzi zawsze podawajcie naszą liczbę dziennika. Stary papier oddawajciedo Składnicy Makulatury.

Komisja do Spraw Reprodukcji Populacji
Narodni trzida 36
111 99 Praha 1
Szanowna Komisjo!
Odwołuję się przeciw decyzji z dnia 12 grudnia br., doręczonej mi pod L.D. 113.667. Ze względów, które przytoczyłem w swym podaniu z dnia 21 września br., ponownie proszę o zreprodukowanie mojej małżonki Dr. Med. Miłosławy Czerwenkowej z domu Król, która spłonęła podczas awarii lotniczej. Załączam odpowiedni znaczek opłaty skarbowej.
Łączę pozdrowienia

Franciszek Czerwenka
Melonowa

Franciszek Czerwenka
Melonowa

Szanowny Panie!
Pańska prośba z dnia 12 grudnia br. była przez Komisję do Spraw Reprodukcji Populacji rozpatrzona z wynikiem negatywnym. A to dlatego, że sprzeciwia się ona, jak to Panu jako

obywatelowi winno być wiadome, kodeksowi moralnemu współczesnego człowieka – ponieważ zamiast prawidłowego i uprawnionego terminu „dezintegracja struktur" używa Pan gorszących wulgaryzmów jak: „zginąć" i „spłonąć". Przeciwko tej decyzji może się Pan odwołać w terminie do 14 dni, po tym okresie nabierze ona mocy prawnej.

Łączę pozdowienia

Rudolf Inteligentny
Generacja Minimikro

UWAGA! W odpowiedzi zawsze podawajcie naszą liczbę dziennika.
Stary papier oddawajcie do Składnicy Makulatury.

Komisja do Spraw Reprodukcji Populacji
Narodní 36

Szanowna Komisjo!

Odwołuję się przeciw decyzji doręczonej mi pod l.d. 113.667. Dezintegracja struktur mojej małżonki nastąpiła nieplanowo i nieumyślnie, więc stanowczo żądam jej zreprodukowania.

Łączę pozdrowienia

Franciszek Czerwenka
Melonowa

Franciszek Czerwenka
Melonowa

Szanowny Panie!

Wasze podanie było rozpatrzone przez Komisję do Spraw Reprodukcji Populacji przy FV – Stoł. Miasta Pragi z wynikiem pozytywnym. Gratulujemy Panu!

Ale przy wnikliwej kontroli stwierdzono, że Pan sam został zreprodukowany bezprawnie w świetle zarządzenia VNO-334 09i/2254, które określa, że osoby urodzone przed 1 stycznia 2200 roku nie mają prawa do zreprodukowania, z wyjątkiem przypadków szczególnych, o których musi orzekać Sąd Okręgowy.

Jeśli się Pan nie zwróci do swojego Sądu Okręgowego, proszę być przygotowanym na przyjście Komisji Dezintegracyjnej, która z powodu nawału pracy dotrze do pana dopiero w dniu 11 maja br. w godzinach między 8.00 a 12.00. Powyższe pismo zgodnie z Kodeksem Pracy może Panu służyć jako usprawiedliwienie nieobecności służbowej.

Łączę pozdrowienia

Rudolf Inteligentny
Generacja Minimikro

UWAGA! W odpowiedzi zawsze podawajcie naszą liczbę dziennika. Stary papier oddawajcie do Składnicy Makulatury.

Komisja do Spraw Reprodukcji Populacji
Narodní 36

Szanowna Komisjo!

W załączeniu przesyłam kopię swojego pisma, z którym zwracam się do Sądu Okręgowego w sprawie mojej dezintegracji.

Łączę pozdrowienia

Franciszek Czerwenka
Melonowa

Załącznik: 1

Franciszek Czerwenka
Melonowa

L.d. 113.667

Szanowny Panie!

Przyjmujemy do wiadomości Pańskie pismo z dnia 3 maja br. Przyjście Komisji Dezintegracyjnej zostaje odłożone aż do wydania decyzji przez Sąd Okręgowy.

W załączeniu przesyłamy Panu kwestionariusz, który należy starannie wypełnić we wszystkich czterech egzemplarzach i odesłać z powrotem najpóźniej do końca br. Jeśli Pan tego nie uczyni, udaremni to pomyślną reprodukcję Pańskiej małżonki.

Łączę pozdrowienia

Rudolf Inteligentny
Generacja Minimikro

Liczba załączników: 4

UWAGA! W odpowiedzi zawsze podawajcie naszą liczbę dziennika. Stary papier oddawajcie do Składnicy Makulatury.

Zdeněk VOLNÝ

urodził się w Pradze w roku 1946. Ukończył studia przyrodnicze i dziennikarstwo na Uniwersytecie Karola w Pradze. Jest redaktorem czasopisma „Světová literatura". Jako autor SF debiutował nowelą **„Den neposkviněného srdce"** (Čs. spisovatel, Praga 1980). Przekładał utwory R. Bradbury'ego i A. Clarke'a.

Komisja do Spraw Reprodukcji Populacji
Narodní trzída 36

Szanowna Komisjo!

Po długim namyśle doszedłem do wniosku, że sformułowania niektórych rubryk kwestionariusza nie dają mi możliwości prawidłowego wypełnienia tegoż. Dotyczy to na przykład rubryki 12 „Zaznajamianie", która uwzględnia tylko okoliczności:

a) zgodnie z planem Programu Kompleksowego Rozwoju Sił Roboczych do r. 2500,

b) według instrukcji wyboru

alfa) Centrum Komputerowe 2075

beta) Centrum Komputerowe 2085

kodowanie odpowiedzi nie (0) – tak (1).

W związku z powyższym chciałbym nadmienić, że jeszcze na początku stulecia ludzie zaznajamiali się mniej lub więcej przypadkowo – mimo że to dziś brzmi niewiarygodnie – aczkolwiek powodowało to szereg problemów socjalnych.

Na przykład znaczna część kobiet z wyższym wykształceniem przy spontanicznym wyborze nie znajdowała odpowiedniego partnera i nie wychodziła za mąż, co przynosiło społeczeństwu znaczne, zwłaszcza genetyczne straty.

Ale wracając do rzeczy: swoją żonę poznałem właśnie w ten archaiczny sposób. Jako początkująca lekarka pracowała w I Klinice Chirurgicznej w Ostrawie, gdzie zostałem przewieziony na skutek wypadku począs meczu piłkarskiego Górnik-Sparta. Było to około pięciu lat przed tym, zanim tak zwana Pierwsza Liga Piłki Nożnej została rozwiązana wskutek braku zainteresowania kibiców. Ale to już bolało mnie znacznie mniej, niż wtedy kostka u nogi.

Rozumiecie przecież, że z gwoździem w nodze człowiek już nigdy nie będzie nadzwyczajnym napastnikiem, chociaż mi później przyszła małżonka ten gwóźdź wyjęła.

Ponieważ rubryk jest w kwestionariuszu kilka, a dla mnie, który przeżyłem 50 lat w szczęśliwym małżeństwie – jest to problem zasadniczy, załączam kilka uwag do zakreślonych rubryk (12, 13, 15, 18, 19, 22–25).

Łączę pozdrowienia

Franciszek Czerwenka
Melonowa

Franciszek Czerwenka
Meonowa

L.d. 113.667

Szanowny Panie!

Komisji nie interesują detale Pańskiego prywatnego życia. Abyśmy wiernie i doskonale zreprodukowali Pańską żonę, potrzebujemy relewantnych informacji. Zwracamy kwestionariusz, aby pan go wypełnił w punktach samowolnie opuszczonych.

Łączę pozdrowienia

Rudolf Inteligentny
Generacja Minimikro

Liczba załączników: 4.

UWAGA! W odpowiedzi zawsze podawajcie naszą liczbę dziennika. Stary papier oddawajcie do Składnicy Makulatury.

Komisja do Spraw Reprodukcji Populacji
Narodní 36

Jesteście bandą ignorantów i oszustów i sam się sobie dziwię, że pozwoliłem się wodzić za nos tak długo – prawie cztery lata. Nie usprawiedliwia mnie nawet starcza demencja. Żądamy poprawy – natychmiastowej, jeśli nie chcecie wyjść na czoło plebiscytu: Bubel roku 2283.

Franciszek Czerwenka

Komisja do Spraw Reprodukcji Populacji
Narodní trz. 36
111 99 Praha 1

FV – STol. Miasta Pragi

Szanowna Komisjo!

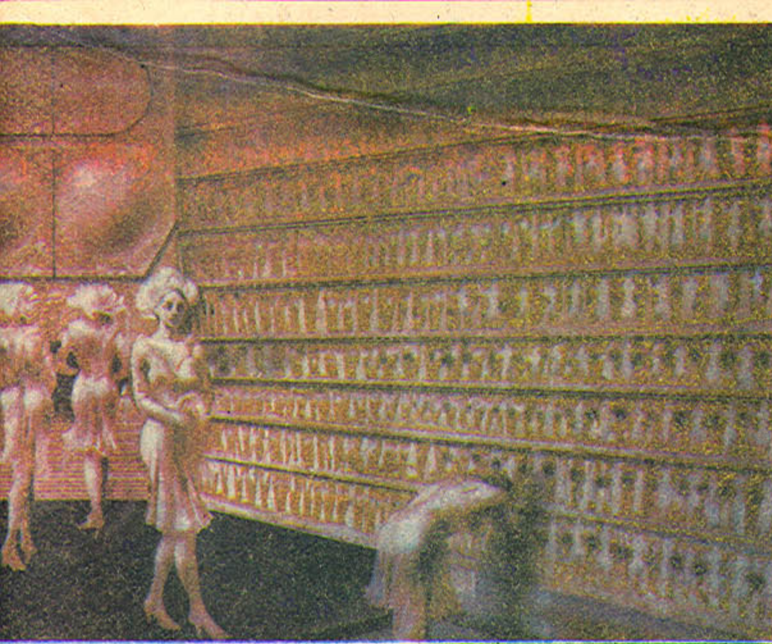
Zwracam Wam pismo adresowane do mego małżonka Franciszka Czerwenki, u którego, niestety, dnia 11 listopada br. nastąpiła naturalna dezintegracja struktur.

Czuję się jak nowo narodzona. Chętnie bym Was poprosiła o łaskawą informację, gdzie bym mogła zdobyć kwestionariusz zaznajamiania się. Czy Wasza Komisja go przysyła? Interesowałaby mnie znajomość według wybranej instrukcji beta (Centrum Komputerowe 2085).

Łączę serdeczne pozdrowienia

dr Miłosława Czerwenkowa-Król
Melonowa 12 287
149 00 Praha 4

Przełożyła **Hanna Kostyrko**



Korga

WĘGRY

Skurcz czasu

Péter Szentmihályi Szabó

Trzeciego października 1981 roku dr George Hyde, asystent Katedry Fizyki na Uniwersytecie w Norwich, krępy, rzecby można – otyły, brodaty młody człowiek w okularach wezwał taksówkę i zapakował do wyświechtanej walizki akcesoria, niezbędne do eksperymentu, który miał przeprowadzić przed naukowcami z Royal Society.
W taksówce raz jeszcze przejrzał swoje notatki, robione na niedużych fiszkach i przetasował je jak karty. Nazwisko George'a Hyde'a nie było znane nawet w największym kręgu specjalistów i właśnie dlatego naukowcy z Royal Society ze zdziwieniem i podejrzliwością czytali zaproszenie:

DR GEORGE HYDE

zaprasza Pana na odczyt o strukturze czasoprzestrzeni i o pewnych niestabilnych formacjach czasowych. Po odczycie nastąpi publiczna demonstracja eksperymentu fizycznego.

Hyde był przygotowane na najgorsze, ale pustka, jaką zastał w sali wykładowej Royal Society, przeszła jego najczarniejsze przewidywania. Większość publiczności tworzyło kilku jego przyjaciół i znajomych, którzy sami byli początkującymi naukowcami. Było też paru znudzonych dziennikarzy, reprezentujących przyrodniczo-naukowe działy gazet. Z racji swej funkcji musieli podać informacje o każdym otwartym odczycie w Royal Society.
Hyde rozejrzał się, przetarł okulary i zaczął mówić pełnym przejęcia głosem. W trakcie wywodu bawił się fiszkami, gniótł je i tasował, w końcu upuścił cały ich plik na podłogę. Dziennikarze dyskretnie się uśmiechali.
– Panie i panowie! Jest nas na tej sali tak niewiele, że nieskromnością byłoby z mojej strony nadużywanie... prawda... Waszego czasu... Dlatego też pragnę jedynie przedstawić w skrócie istotę moich badań. Jest rzeczą ogólnie wiadomą, że w ostatnich dziesięcioleciach zwolennicy teorii „rozszerzającego się wszechświata" silnie podważyli swymi argumentami teorię wszechświata „w stanie spoczynku". Tu są moje obliczenia... – Hyde nerwowo grzebał w różnobarwnych świstkach, które znowu się rozsypały. – Zresztą teraz nie jest to istotne. Na podstawie obliczeń stwierdziłem, że jeśli struktura wszechświata ma charakter homogeniczny, to wskutek jednorodności czasoprzestrzeni rozszerzania się kosmosu idzie w parze z k u r c z e n i e m s i ę c z a s u. Długo zmagałem się z tą teorią, długo sam ją uważałem za fantasmagorię, aż w 1976 roku zacząłem rozmyślać nad stwierdzeniem amerykańskiego fizyka Roberta Ehrlicha, według którego czas nie jest ciągły. Ehrlich sądzi, że powinien istnieć „kronon", najkrótszy odcinek czasu występujący w przyrodzie, który byłby najmniejszą jednostką czasu i wynosiłby bilionową część dwóch bilionowych sekundy. Gdybyśmy chcieli to wyrazić za pomocą cyfr, to między przecinkiem a dwójką musielibyśmy napisać dwadzieścia trzy zera... Z teorii Ehrlicha wynika – choć on sam odnosił ją jedynie do cząstek elementarnych – że czas nie jest ciągły, lecz ma charakter kwantowy. A więc czas jest, że tak powiem, „ziarnisty". Z tego, na mocy praw fizyki, wynika też, że kwanty czasu mogą być przyspieszane lub spowalniane, może też wystąpić brak ciągłości, a więc „czas może stanąć". Możliwe, że na przestrzeni dziejów ludzkości były takie „martwe czasy". Oznacza to również, iż kwantowy czas nie gwarantuje nieodwracalności procesów przyczynowych: następstwo przyczyny i skutku może zostać odwrócone. W warunkach laboratoryjnych udało mi się stworzyć cząstki o długości kronu. Cząstkami tymi długo bombardowałem fragment przestrzeni, a mianowicie płytkę aluminium. W ten sposób za pomocą wyimaginowanego ciała, którego jedną płaszczyznę stanowi ta płytka aluminiowa, mogę dowolnie demonstrować odwracalność czasu, tj. odwracalność procesów przyczynowych.
Słuchacze z uwagą obserwowali Hyde'a, który z walizki wyjął błyszczącą płytkę metalu i położył ją na stole. Następnie wyciągnął kilka szklanek i jajek. Publiczność zaczęła chichotać i nawet oblany potem Hyde także się uśmiechnął.
– Wiem, że zabawne jest pokazywanie takiego eksperymentu w Royal Saciety, ale moim celem jest przekonanie sceptyków o słuszności prezentowanej teorii przez użycie materiałów organicznych i nieorganicznych. W tej aluminiowej brytfannie rozbijam teraz szklankę. Widać? W porządku. Teraz stawiam brytfannę na aluminiowej płytce. Jak widać, szklanka w tym momencie pojawia się przed nami w swej pierwotnej postaci. Teraz ten sam eksperyment wykonuję z użyciem jajka. Proszę!
Zebrani wstali wyciągając szyje i w tej pozycji wpatrywali się w rozbite jajko, które ponad aluminiową płytką z powrotem zrastało się w całość, a po zabraniu stamtąd – ponownie się rozpadało. Hyde poprosił kilku widzów, by sami wykonali parę eksperymentów z jajkami i szklankami. Najwyraźniej widowni bardzo spodobał się pokaz, bo rozległy się brawa i wszyscy się ożywili. Ze śmiechem na ustach, kręcąc głowami widzowie oświadczyli, że dawno już nie widzieli tak zręcznego iluzjonisty.
Po odczycie padły jedynie dwa pytania, oba zadał pewien starszy człowiek. Dopiero później Hyde dowiedział się, że był to profesor Finlay, jeden z największych autorytetów amerykańskiej fizyki molekularnej.
– Jak duży wycinek przestrzeni może pan bombardować „kronami" i czy uważa pan za możliwe odwrócenie procesu przyczynowego również w żywych strukturach?
– Najwyżej wycinek o powierzchni stopy kwadratowej, ale sądzę, że z takich płytek można by złożyć znacznie większą płaszczyznę. Jajko jest żywą strukturą, a właściwie prawie żywą, właśnie dlatego je wybrałem. Oczywiście gdybyśmy umieścili na takiej płycie martwe zwierzę, to nie „odzyskałoby" życia w dosłownym tego rozumieniu, można mówić jedynie o potencjalnym odwróceniu.
– W jakiej fazie tego „kruszącego się czasu" znajduje się, pana zdaniem, obecnie nasz wszechświat?
Hyde podrapał się w głowę.
– To jest raczej pytanie natury filozoficznej... Naturalnie musi nastąpić punkt, w którym rozpadnie się dotychczasowa równowaga procesów przyczynowych, by odpowiedzieć słowami Hamleta: „Czas wypadnie z zawiasów"... Życie ludzi i sama historia zacznie się coraz szybciej obracać wstecz... Lecz możliwe to będzie dopiero po długim okresie statyczności czasu, który faktycznie stanie w miejscu... właśnie w tym przejściowym stanie równowagi...
Nie było więcej pytań, kilka osób podeszło do George'a Hyde'a, żeby mu pogratulować, lecz większość rozeszła się kręcąc głowami i śmiejąc się. Obecny na sali sekretarz Royal Society nie poprosił młodego fizyka o przygotowanie na piśmie tekstu odczytu, by można było go opublikować w roczniku.
George Hyde wrócił do Norwich w złym humorze. Barbara czekała na niego z odświętną kolacją, lecz z miny męża wywnioskowała, że na razie nie ma powodów do fetowania.

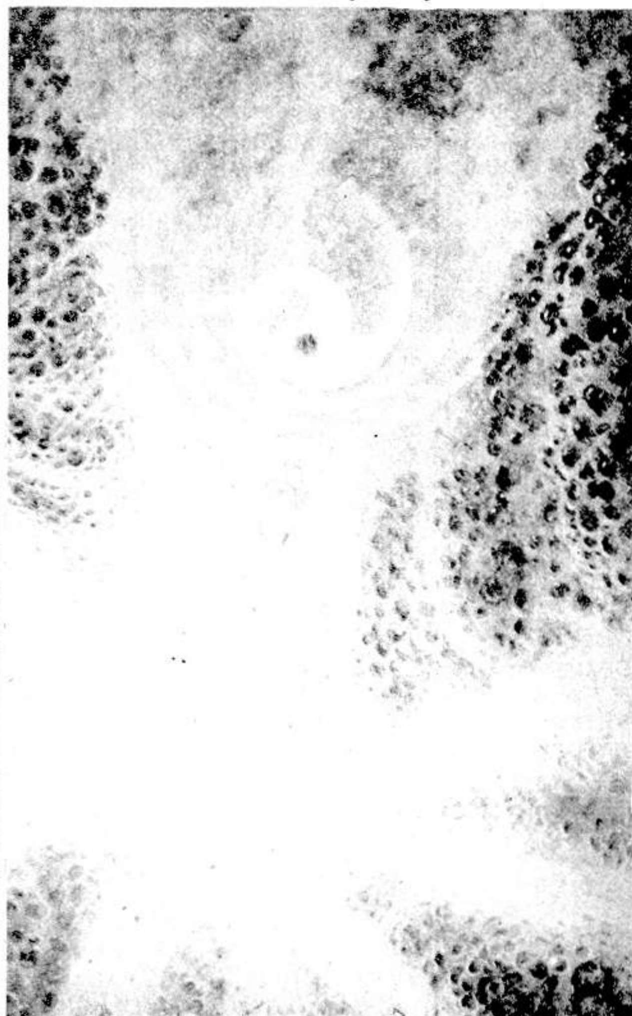
Następnego dnia „Observer", jako jedyne z porannych pism, poświęcił wykładowi dr. George'a Hyde'a kilka linijek w rubryce naukowej: *„Młody wykładowca Uniwersytetu w Norwich, dr George Hyde wygłosił przed niewielką grupą słuchaczy odczyt. Ciekawą teorię czasu próbował zobrazować kilkoma niezbyt przekonywającymi, lecz zabawnymi sztuczkami, w których główną rolę grały jajka i szklanki. Zdaniem dr. Hyde'a w czasoprzestrzennej strukturze wszechświata rozszerzanie się przestrzeni może iść w parze z kurczeniem się czasu i odwróceniem procesów przyczynowych. Jak się wydaje, dr Hyde wpadł w dawną pułapkę: co było najpierw – kura czy jajko? Jednakże jest prawdopodobne, że nie on da ostateczną odpowiedź".*

George Hyde rzucił gazetę i poczerwieniał ze złości. W katedrze będą z niego kpić, a studenci będą chichotać za jego plecami.
– Nie złość się, kochanie! – powiedziała Barbara, która czytała już gazetę. – Geniusze rzadko bywają zrozumiani w swojej epoce.
George Hyde zaklął i trzasnął drzwiami. Wiedział, że Barbara chciała jak najlepiej, ale jej naiwność działała mu czasem na nerwy.
W laboratorium zaczekał, aż koledzy skończą składanie gratulacji i należnych hołdów, po czym zagłębił się w obliczeniach. Dysponował pewnymi danymi o stopniu ekspansji wszechświata, głównie w oparciu o efekt Hubble'a, lecz w kwestii wieku wszechświata mógł się oprzeć tylko na ocenach szacunkowych. Tak więc jego przewidywania dotyczące załamania się równowagi w czasoprzestrzeni mogły mieć jedynie charakter nieprecyzyjnych proroctw, których błąd szedł w miliony lat. Zniechęcony odstawił maszynę liczącą. Jego spojrzenie padło na aluminiową płytkę, którą przed chwilą położył na stole. Była na niej zdechała mucha. Zdziwiło go to, bo przypomniał sobie pytanie dotyczące żywych organizmów. Przeszedł do katedry psychologii, gdzie pewien psycholog o wypłoszonym spojrzeniu już od lat badał zachowanie się szczurów i białych myszy w labiryncie. W ciągu tych długich lat coraz bardziej upodabniał się do obiektów swoich eksperymentów. W pokoju psychologa panował okropny smród. Hyde poprosił kolegę, by dał mu mysz, którą zaniósł do swego laboratorium z grymasem wstrętu na twarzy. Niestety spotkał kilku swoich studentów, dla których widok Hyde'a trzymającego za ogon mysz musiał być szczerze zabawny.
Hyde położył mysz na aluminiowej płytce. Zwierzę znieruchomiało, zaczęło falować, jakby w ciągu ułamka sekundy miało zamiar zmienić swój kształt i wielkość, po czym zesztywniało i zdechło.
– To zrozumiałe – pomyślał Hyde. – Funkcje życiowe są tak kompleksowym zjawiskiem, że rozkład procesów przyczynowych musi zakłócić działanie każdej komórki i narządu. Tylko tak można to wytłumaczyć... Jednak kurczenie się czasu całego Uniwersum z pewnością będzie następować pomału, bardzo pomału... Powolne odwrócenie zależności między przyczyną a skutkiem niekoniecznie musi zaszkodzić żywym organizmom...
George Hyde pogładził rozwichrzoną brodę. Aluminiowa płytka bombardowana cząstkami o długości jednego krononu stała się w pewnym sensie przewodnikiem kronów: czas dosłownie przez nią przepływa. Ale skąd? I przede wszystkim: dokąd?
Hyde położył na płytce swój zegarek. Urządzenie natychmiast się zatrzymało, a po kilku sekundach wskazówki zaczęły się cofać. Lecz wkrótce i to zjawisko ustało i zegarek dosłownie rozsypał się na atomy. Został po nim szklany i metalowy pył.
Hyde wykonał wiele podobnych doświadczeń z różnego rodzaju drobnymi przedmiotami i stwierdził, że w zachowaniu się przedmiotów wstawionych w nurt czasu występują niezwykle duże różnice. W zjawisku tym nie mógł wykryć żadnej sensownej i powszechnie obowiązujące reguły. Najprawdopodobniej przepływanie kwantów czasu następowało w różnym tempie.
Było to niezmiernie interesujące i Hyde czuł, że na wyciągnięcie ręki jest nie tylko nagroda Nobla, lecz wręcz szansa, by przyszłe pokolenia wymieniały jego nazwisko obok nazwisk Newtona i Einsteina, a może nawet i przed nimi...
Problem polegał na tym, że jeden z największych fizyków wszystkich czasów musiał już iść do domu, bo obiecał Barbarze, że tego dnia on zrobi zakupy. Wpadł do Hamburger Heavens i w momencie, gdy pałaszował amerykańskiego hamburgera, naszło go nieodparte uczucie, że ten dzień jest dłuższy od poprzedniego. Jednocześnie zauważył, że jego prawa ręka zasiniała i spuchła. Nie czuł nawet bólu, lecz widok ten tak go zaniepokoił, że w drodze do domu odwiedził lekarza i pokazał mu rękę. Zakłopotany doktor chrząkał, obmacywał rękę Hyde'a, zadawał mu najprzeróżniejsze pytania, dał mu zastrzyk i wreszcie wezwał innego lekarza, który także obejrzał rękę naukowca i także go wypytywał. Zrobili mu zdjęcie rentgenowskie, po czym obaj lekarze zaczęli się szeptem naradzać.
– Niech pan posłucha, Mr. Hyde – odezwał się w końcu jeden z zakłopotanych lekarzy. – Naszym zdaniem musi pan natychmiast pójść do szpitala. Wystąpiły u pana nieprawidłowości krążenia, których przyczyny ani natury na razie nie znamy.
– Nie boli mnie i nie mam czasu na takie rzeczy – mamrotał niezadowolony Hyde. Drugi lekarz patrzył na niego z wyrazem niepokoju w oczach.
– A jednak musi pan znaleźć trochę czasu, Sir. Jeśli się nie pospieszymy, może zajść konieczność amputacji tej ręki.

George Hyde przez trzy tygodnie leżał w szpitalu i lekarze zrobili wszystko, by uratować jego prawą rękę. Udało się to jedynie częściowo: Hyde nie odzyskał w niej władzy.
Te trzy tygodnie były dla George'a Hyde'a jednym koszmarem sennym: bez przerwy myślał o kurczeniu się czasu.
– Całe szczęście, że wyleczyli twoją rękę, kochanie – powiedziała ciepło Barbara, gdy wrócił do domu. Nie przyjęła do wiadomości, że ręka męża wisi bezwładnie. – Nie możesz spóźnić się na jutrzejszy odczyt w Royal Society. Na pewno będzie udany. Przygotuję odświętną kolację, kochanie.
George Hyde zdumiony wpatrywał się w żonę.
– Znowu? Przecież ja już wygłosiłem ten odczyt, ponad trzy tygodnie temu!
– Ależ skąd, kochanie!
– Posłuchaj, Barbaro, nie jestem głupi! Wygłosiłem ten przeklęty odczyt w Royal Society 3 października. Sama czytałaś ten cholerny artykuł w „Observerze"...
– George, ja naprawdę nie wiem.. Przecież dzisiaj jest 2 października! Dokąd idziesz? George! Zaczekaj!
Hyde pobiegł na uniwersytet. Jego przyjaciel psycholog poklepał go po plecach.
– No co, jeszcze nie jesteś w Londynie? Będziesz wielkim człowiekiem, stary! O czym będzie ten wykład? Zazdroszczę ci! W tak młodym wieku! A te cholerne myszy nie chcą się r o z w i j a ć!
George Hyde wpadł do laboratorium i podbiegł do stołu. Przekopał wszystko, ale nigdzie nie znalazł aluminiowej płytki. Co gorsza, nie znalazł też swych notatek.
Zakrywszy twarz dłońmi zaczął rozmyślać i koledzy na próżno pytali go, co się stało.
Hyde niewątpliwie dobrze pamiętał to wszystko, co się wydarzyło. I nagle zrozumiał. Brama... Ta aluminiowa płytka była bramą, przez którą zaczął przepływać czas... czas świata. I już od trzech tygodni przecieka coraz więcej czasu i powoli, bardzo powoli, lecz w coraz większym tempie czas się kurczy, odwracając wszystko w drugą stronę. A ta aluminiowa płytka jest tutaj, gdzieś tu jest, lecz teraz już na zawsze w innym czasie, czy jeśli ktoś woli w i n n e j przestrzeni...

Przypadek George'a Hyde'a wzbudził zainteresowanie wielu psychiatrów, ale czasy nie sprzyjały systematycznym badaniom naukowym.
Kiedy dr George Hyde spokojnie umarł w jednym z londyńskich szpitali psychiatrycznych, wybuch drugiej wojny światowej wisiał już na włosku. Na szczęście nie było mu dane tego dożyć.

Przełożył **Wojciech Maziarski**


A. Sokołow

NRD

Sen

Günter Kunert

De Quincey opisuje w swoich pamiętnikach, jak pewien Malajczyk o straszliwym wyglądzie, który później pojawiał się stale w koszmarnych snach tego sławnego narkomana, w roku 1816 zapukał do drzwi kuchennych jego położonego w górach domu. Wyprosił on tego niezwyczajnego gościa, którego angielski był tak słaby, że właściwie nie było wiadomo, co chciał sprzedać. Z dokładnego opisu znajdującego się w pamiętnikach de Quinceya i gestykulacji obcego wynika jasno, że chciał on literatowi, o którego nałogu zapewne słyszał, sprzedać jakiś narkotyk, którego de Quincey w stanie oszołomienia najwyraźniej nie rozpoznał. Podczas czytania pamiętników de Quinceya stwierdziłem, że opis Malajczyka pasuje bardzo dokładnie do wyglądu aptekarza, który miał swój zakład na rogu mojej ulicy. Od czasu do czasu zaopatrywałem się u niego w lekarstwa, a szczególnie w środki nasenne. Bardzo często znajdowaliśmy się w aptece tylko we dwóch, gdyż miejscowa ludność cieszyła się najwyraźniej doskonałym zdrowiem. Rozmawialiśmy o różnych rzeczach, przeważnie jednak tematem naszych rozmów były fenomeny związane z bezsennością – na przykład o zimowym śnie pewnych zwierząt, przy czym żałowałem, iż ludziom nie dane są takie możliwości. Byłoby na pewno przyjemnie przespać dłuższe okresy niesprzyjającego czasu, aby obudzić się nie postarzony i niewyobrażalnie wolny w szczęśliwej przyszłości. Wiele z tych ludzkich marzeń można znaleźć w bajkach, na przykład o królewnie Śnieżce. To byłoby coś – nawet za cenę paru koszmarnych snów – po prostu móc przespać czas aż do lepszej przyszłości.

– Jeżeli tylko o to chodzi, taki środek istnieje już od dawna – stwierdził mój pan aptekarz i wyjął z szafki z truciznami małe pudełeczko, a z niego z kolei parę białych pigułek. Każda pigułka, w zależności od siły organizmu, działała przez okres do dziesięciu lat. Odbywało się to przy maksymalnej redukcji wszelkich funkcji organizmu: puls spadał do dwóch uderzeń na minutę, oddech prawie zamierał, temperatura ciała dopasowywała się do temperatury otoczenia, jeden obfity posiłek, spożyty przed zapadnięciem w sen, wystarczył na pokrycie całego zapotrzebowania kalorycznego organizmu. Jeden obiad na pięćdziesiąt lat!

Pamiętając o de Quinceyu, który po zażyciu 800 kropli laudanum zaprzepaścił swoją wielką szansę, chciałem być mądrzejszy i zakupiłem dwie tabletki. Dwadzieścia lat, jak sądziłem, powinno wystarczyć, aby doczekać wesołej, wolnej od problemów przyszłości, kiedy wszyscy ludzie będą sobie braćmi; albo lepiej nie: braćmi to oni już dawno byli, jeżeli weźmiemy pod uwagę archetypy Abla i Kaina. Raczej należałoby powiedzieć – człowiek człowiekowi przyjacielem, o tak, to byłoby wspaniałe.

Rosół z makaronem, rumsztyk i frytki, do tego dwa kufle piwa, więcej nie będę potrzebował przez następne dwadzieścia lat. Po jedzeniu połknąłem obydwie tabletki i położyłem się do łóżka. W chwilę później moje myśli i wyobrażenia zaczęły wymykać się spod mojej kontroli. Drzwi otworzyły się i do sypialni wszedł Malajczyk. Gestykulując, dawał mi do zrozumienia, że chce zakupić mój nos, który nagle osiągnął długość jednego metra. Trzymałem mój nos obiema rękami i uciekłem w ciemność, aby nikt nie mógł mnie znaleźć. Rozpuściłem się w niej, stając się sam ciemnością, czego jednak nie widziałem, ale za to odczuwałem. W tej czerni rozlegał się co dwie minuty ogłuszający dźwięk gongu, który był tak jednostajny, że w końcu znużony zasnąłem.

Wkrótce potem obudziłem się i byłem przekonany, że spałem zaledwie około pięciu minut. Naturalnie, pomyślałem, te tabletki były jednym wielkim oszustwem. Stwiedziłem, że dałem się po prostu wodzić za nos, który okazał się być, jak to własnoręcznie sprawdziłem, całkiem normalnych rozmiarów. Aptekarz po prostu zakpił sobie ze mnie. Podniosłem się i poczułem, że jestem głodny. Zdziwiło mnie to, jako że tuż przedtem – jak pamiętam – zjadłem obfity posiłek.

Zdecydowany, aby nie wspominać aptekarzowi o swoim eksperymencie i udać, że od początku wiedziałem o tym dowcipie, zszedłem schodami na dół i wyszedłem na ulicę. Udałem się w kierunku narożnika, na którym znajdowała się apteka. Jednakże kiedy chciałem do niej wejść, okazało się, że zamiast apteki jest tu kiosk z papierosami, których sprzedawczyni nic nie słyszała o aptece; pracowała w kiosku dopiero od dwóch lat!

To było już zdecydowanie za dużo! To niemożliwe, aby aptekarz postanowił uprawdopodobnić swój żart tak dalece, że podczas mojej krótkiej nieobecności przebudował aptekę na kiosk z gazetami. Gapiłem się na przechodniów, ale nie zauważyłem u nich specjalnych zmian. W drodze do ulicy Głównej zakupiłem, jak każdego popołudnia w kiosku „Gazetę Wieczorną"; z tą różnicą, że zamiast mojej starej sprzedawczyni, gazetę otrzymałem z rąk młodej dziewczyny. I wtedy przeczytałem datę: *20 maja 1990 roku.*

Tabletki rzeczywiście działały! Byłem w przyszłości. Z zaciekawieniem zacząłem czytać pierwszą stronę: dalej trwała ta sama wojna, co przedtem, przepraszam, w przeszłości. Jakiś szczep został zniszczony za pomocą kwasu siarkowego – no, no. Powódź zagrażała Florencji. Lawiny w Alpach. Finał turnieju tenisowego. Zdjęcia. Obrazy. Na wszystkich stronach znalazłem ich znowu, ani starszych, ani mądrzejszych niż przed dwudziestu laty. Ludzie, którzy również otrzymali od jakiegoś aptekarza tabletki na przespanie nieprzyjaznych czasów. Zacząłem potrząsać głową nad moją poprzednią naiwnością, w której wmówiłem sobie, że po wytarczająco długim śnie nastąpi inne przebudzenie, niż w wiele poranków przed dwudziestu laty.

Przełożył Wawrzyniec Sawicki

Günter KUNERT

poeta NRD należący do twórców starszej generacji. Jest autorem przypowieści fantastycznych dość luźno związanych z literaturą science fiction. Zamieszczał swoje teksty w popularnej serii kieszonkowej „phantastica" wydawnictwa dtv w Monachium: **„Von einem anderen Stern"** („Z innej gwiazdy" – opowiadania SF z NRD), **„Im Jenseits"** („W zaświatach" – opowieści fantastyczne z NRD).

A.N.

Naturalnie nie istnieją żadni Marsjanie...

Erik Simon

(ze wspomnień absolutnie solidnego naukowca, wraz z wycinkiem z gazety i paroma przypisami)

Norton (III). Podczas trwania II Międzynarodowego Sympozjum Astronomicznego, które jest poświęcone problemom badania systemu solarnego, astronom i astrobiolog dr S.F. Areson wygłosił wczoraj wykład o problemach możliwości życia na planetach naszego systemu słonecznego. Wykład tego znanego naukowca był jednym z kulminacyjnych punktów trwającego od początku bieżącego tygodnia sympozjum, o przebiegu którego donosiliśmy już w naszym środowym wydaniu.

W rozwinięciu swojej, przedstawianej w licznych publikacjach teorii dr Areson przekonywająco ukazał niemożliwość istnienia wysoko rozwiniętego ekstraterraryjskiego życia w obrębie naszego systemu słoneczngo. W ten sposób można uznać ponownie propagowaną w ostatnich czasach „Hipotezę ekstraterrystów" (patrz nasz artykuł pt. „Czy

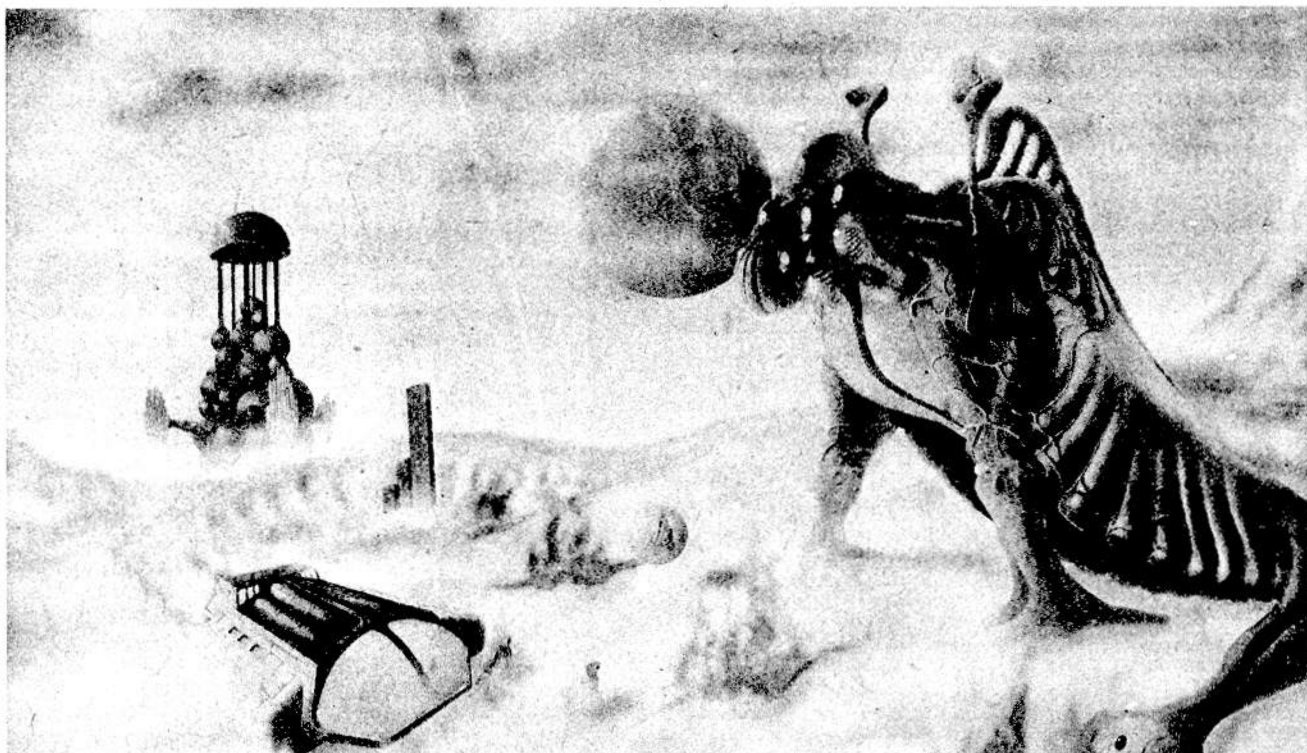
znowu latające spodki?" w numerze 4/11 z roku ubiegłego) za całkowicie pokonaną. Ponadto podczas dyskusji odbytej po zakończeniu wykładu dr. Aresona nie przedstawiono żadnych naukowo uzasadnionych poglądów z nim polemizujących. Szczegółowe informacje na ten temat będziecie mogli państwo przeczytać w naszym następnym wydaniu.

(Illinois Review, 29.1.1985, s. 2)

Pomimo że od tego wydarzenia minęło już dużo czasu, przypominam sobie dokładnie każdy jego szczegół. Nie ma w tym nic dziwnego, gdyż odczyt ten był wynikiem i ukoronowaniem szeroko zakrojonych przygotowań i specjalnych studiów. Jego niepowodzenie mogłoby zniweczyć prace całych dziesiątków lat. Niebezpieczeństwo to było tym większe, że na krótko przed sympozjum sprawy „pozaziemskie" znowu pojawiły się jako temat rozmów i artykułów w prasie oraz wśród naukowców. A wszystko to stało się dlatego, że znalazła się grupa naukowców, którzy – w sposób absolutnie nienaukowy – z przypadkowych zdarzeń i paru niewyjaśnionych przypadków wyciągnęli absurdalny wniosek, że jest to wynikiem prawdopodobnej wizyty statku kosmicznego (!), kierowanego przez istoty pozaziemskie (!). Statkiem tym miał być świecący punkt, który widziano 14 sierpnia nad północnym Atlantykiem. Uzasadniano to jednym jedynym faktem, że statku tego nie można było później odnaleźć – „statek kosmiczny" bowiem ponownie miał opuścić okolice Ziemi (!). Fale radiowe, które zostały odebrane przez parę stacji, były objaśniane jako „sygnały tego statku", a „obiekt latający", który – jak się twierdzi – był widziany przez paru w pełni niekompetentnych ludzi, był naturalnie „rakietą lądującą". Istniało nawet paru fachowców, którzy te wymysły chorych mózgów uważali za rzecz całkiem możliwą. A gazety! „ZNOWU UFO NAD STANAMI ZJEDNOCZONYMI", „CZY GROZI NAM INWAZJA Z JUPITERA?!", „WIADOMOŚĆ Z MGŁAWICY ANDROMEDY", „MARSJANIE ZWIASTUJĄ ZBLIŻANIE SIĘ SĄDU OSTATECZNEGO!", „HANDEL Z MARSEM – KONIEC INFLACJI I STAGNACJI?!" – aby zacytować tylko kilka tytułów z gazet amerykańskich. Ale nie tylko w USA, lecz także wszędzie na całym świecie nastąpił gwałtowny wzrost zainteresowania problemami życia w Kosmosie.

Solidni, trzeźwo myślący naukowcy musieli zadać sobie wiele trudu, aby przekonać fantastów spośród naukowców i laików o tym, że są to jedynie urojenia. Przeprowadzili oni dowody przeciwko każdemu z punktów „hipotezy":

– po pierwsze, „rakieta lądująca" była zwykłym meteorytem,
– po drugie, zeznania ludzi, którzy jakoby widzieli ten obiekt, nie były w żadnym wypadku dokładne i podbudowane dowodami, a więc mogły to być złudzenia optyczne, a poza tym na terenie Nevady nie znaleziono żadnych pozostałości czy też resztek tego obiektu,
– po trzecie, „sygnały" pochodziły najwyraźniej z innego obiektu, np. samolotu, i zostały zniekształcone poprzez zakłócenia,


J. Gado

– po czwarte, „statek kosmiczny" był najprawdopodobniej jednym z licznym satelitów Ziemi,
– po piąte, zderzenie tych wszystkich zdarzeń należy przypisać jedynie przypadkowi.

Jednak nawet po przeprowadzeniu tego dowodu, temat „Marsjan" został nadal przedmiotem wielu rozmów i w interesie nauki było zakończenie tej całej gadaniny o ekstraterrystach. Ten właśnie szlachetny cel postawiłem przed sobą, kiedy zacząłem przygotowywać mój wykład o możliwościach życia na innych planetach. Mogę bez przesady powiedzieć, że wypełniłem to zadanie bez zarzutu – a w każdym wypadku nie udało się moim przeciwnikom, mimo usilnych starań w tym kierunku, odeprzeć moich argumentów.

Na wstępie powiedziałem parę słów o nieprawdopodobieństwie życia we Wszechświecie, nie wykluczając jednakże całkowicie możliwości istnienia życia, a być może nawet istot myślących, w nieosiągalnych dla nas systemach słonecznych. Natomiast w naszym systemie słonecznym życie myślące istnieje tylko na Ziemi i nigdzie więcej. Należy absolutnie wykluczyć wyżej rozwinięte życie na innych planetach.

Udało mi się to udowodnić za pomocą specjalnego, do tego celu opracowanego fizyczno-chemiczno-astrobiologicznego rachunku prawdopodobieństwa, który sam uzasadniłem teoretycznie i zademonstrowałem na wybranym przykładzie.

Z całkowicie niezrozumiałych dla mnie względów szczególne zainteresowanie ludzi skierowane było od stuleci w kierunku Marsa; od czasu, kiedy Schiaperellemu wydawało się, że zobaczył „kanały marsjańskie", Marsjanie wędrują w ludzkiej fantazji i nie da się ich po prostu z niej usunąć. Ale również i poważni naukowcy byli zdania, że życie (chociażby nawet nie myślące) mogło powstać najwcześniej właśnie na Marsie. Aż nie udowodniłem im ich pomyłki. Za pomocą mojej metody dowiodłem, że prawdopodobieństwo życia na Marsie jest znikome, praktycznie zbliżone prawie do zera. Mars jest niezamieszkałym, nieprzyjaznym dla życia światem. Jego powierzchnia jest smutnym krajobrazem kraterów, zbliżonym w wyglądzie bardzo do Księżyca, temperatury są zdecydowanie niższe niż na Ziemi, atmosfera ma o wiele za niskie ciśnienie i prawie nie zawiera tlenu, również prawie całkowicie brakuje wody. Jak mogłoby w takich warun-

Erik SIMON

Urodził się w Dreźnie w roku 1950. Jest fizykiem, tłumaczem, krytykiem i autorem SF. Ukończył studia na Uniwersytecie w Dreźnie. Od roku 1974 jest lektorem w wydawnictwie „Das Neue Berlin" i redaktorem pierwszego w NRD, almanachu fantastyki „Lichtjahr" („Rok świetlny", I – Berlin 1980, II – Berlin 1981; współautor: E. Redlin). Jako autor SF debiutował w antologiach **„Der Mann vom Anti"** (1975) i **„Begegnung im Licht"** (1976). Opublikował ponad 30 krótkich tekstów prozatorskich zebranych w tomach **„Die ersten Zeitreisen"** (współautor: R. Heinrich, 1977; wyd. polskie: „Pierwsze podróże w czasie", KAW 1981) oraz **„Fremde Sterne"** (1979).

kach istnieć życie? Widać z tego jak na dłoni, że życie na Marsie jest wykluczone. A gdyby nawet istniały tam jakiekolwiek stworzenia żywe, to mogłyby to być jedynie formy skrajnie prymitywne – bakterie albo coś w tym rodzaju. Nawet ten fakt można by uznać za cud – o wyższych formach życia nie może więc być żadnej mowy. A o tym, że nie istnieją Marsjanie, wie każdy, kto ma chociaż trochę mogącego myśleć rozumu.[1]

W taki właśnie sposób przeprowadziłem dowód moich twierdzeń i bez wątpienia udało mi się przekonać świat fachowców za pomocą moich niezaprzeczalnych faktów i przekonywających wniosków. Jestem pewien, że miało to wcale nie najmniejszy wpływ na decyzję dotyczącą wystrzelenia z Ziemi w kierunku Marsa załogowego statku kosmicznego – jak wiadomo projekt ten został odłożony i ze środków na niego przeznaczonych zbudowano międzynarodowe obserwatorium zajmujące się Księżycem.[2]

Niestety nie mogłem dalej kontynuować rozpoczętej pracy. Wykład ten wyczerpał mnie tak bardzo, że stan mojego zdrowia wkrótce potem bardzo się pogorszył, tak że nie byłem w stanie występować publicznie. Po prostu nie mogłem wytrzymać związanych z tym trudów – oczywiście czysto fizycznych, ma się rozumieć.[3]

Pomimo specjalnego treningu – na dłuższą metę nie da się wytrzymać straszliwego upału i tak wysokiego ciśnienia, nie mówiąc już o preparatach, które musiałem codziennie zażywać, aby móc w najmniejszym choć stopniu znieść tyle tlenu w powietrzu. A dopiero ta brzydka i strasznie niewygodna sztuczna skóra, którą musiałem stale nosić i która na dodatek zmniejszała siłę mego wzroku, ponieważ zakrywała moje trzecie oko na czole – wszystko to zmusiło mnie do przerwania mojej pracy. Wysłano mojego następcę[4], który kontynuuje moje dzieło i czyni wszystko, aby opóźnić wysłanie statku kosmicznego na Marsa. Gdyż bez wątpienia czas jeszcze nie dojrzał do podjęcia kontaktu pomiędzy ludźmi a nami, Marsjanami.

Przypisy:

[1] Potem, kiedy wszystko przedstawiłem i tak elegancko dowiodłem, nawet najwięksi fantaści musieli przyznać, że na Marsie nie ma nic, ale to naprawdę nic interesującego i że chyba nie istnieje inna planeta, która byłaby tak nudna jak Mars. Tak więc nie mogą istnieć ci fikcyjni Marsjanie chociażby dlatego, że już dawno umarliby z nudów na tak monotonnej planecie!

[2] Aby fotografować kratery, mierzyć temperaturę i analizować glebę w zupełności wystarczą sondy automatyczne, a poza tym i tak nie ma nic więcej interesującego na Marsie.

[3] Jeśli chodzi o wysiłek psychiczny, nie kosztowało mnie to zbyt wiele – mógłbym bez trudu przeprowadzić również dowód, że według ludzkich teorii, nie może istnieć życie na planecie Ziemia. Oczywiście nie zrobiłem tego, bo i po co?

[4] Jego rakieta wylądowała jak zwykle na pustyni Nevada; po przeprowadzonym przeze mnie dowodzie, w Nowym Jorku lub gdziekolwiek indziej mogłaby wylądować cała flota statków kosmicznych – i tak uważano by ją za fatamorganę.

Przełożył **Wawrzyniec Sawicki**

Jugosławia

Baśń o księżycowej karecie

Filip David

Czy kiedykolwiek widzieliście księżycową karetę? Podczas pogodnych nocy wydaje się czasami, że długi cień pokrywa księżyc; podczas nocy burzliwych światło błyskawicy oświetla galop czarnych, rozszalałych koni. Skąd przybywają? Dokąd zdążają? Nie wiadomo. Jeżeli ktoś je zauważy, oznacza to nieszczęście; dlatego najlepiej jest się gdzieś szybko schować; nie należy wyzywać losu. Nawet jedno jedyne spojrzenie na płomienistą karetę wywołuje niepokój i lęk.

Zdarzyło się, iż Cohen zabłądził. Wracał z miasta. Noc była ciemna. Nie spostrzegł, kiedy zboczył ze ścieżki; od czasu do czasu spoglądał do góry, wydawało mu się, że zza wysokich, ostro zakończonych wierzchołków sosen wyziera niespokojne, ołowiane niebo. Stracił już nadzieję, że trafi do domu przed świtem; mrok zmylił go do reszty, przestał rozróżniać, w jakim idzie kierunku.

Im dalej szedł, tym las robił się gęstszy. Z ledwością przedzierał się przez kolczaste zarośla. Wiatr wiał coraz mocniej, rzucając mu w twarz kupy zeschłych liści, splątane, pokrzywione, połamane gałęzie. Błysnęło, rozległ się trzask i gdzieś w pobliżu odpadł wierzchołek potężnego drzewa. Spadły pierwsze krople deszczu. Chociaż chroniły go gęste gałęzie, wkrótce był cały mokry i włosy lepiły mu się do czoła.

Ale burza nie trwała długo. Przez gęste, szybko mknące chmury przebijał się księżyc. Ustał daleki huk wiatru i kiedy zielony blask zalał las, zapanował w nim całkowity spokój.

Cohen, zbity z tropu tą nagłą zmianą, przyśpieszył. W martwej ciszy rozlegały się tylko jego kroki i jego oddech. Nagle światłość księżyca zbladła i przez chwilę Cohen znalazł się w zupełnych ciemnościach. Wówczas ponad głową ujrzał czarny powóz, pędzący po niebie, jak widmo.

Ze strachu zasłonił rękami oczy. Kiedy spojrzał ponownie, las znów rozjaśniało mleczne światło. Nigdzie żadnego znaku, że przed chwilą nad wysokimi drzewami unosił się przeklęty zaprzęg.

Przyśpieszył kroku. Wkrótce wyszedł na polanę otoczoną zewsząd gęstym lasem. Tu, dziesięć kroków przed sobą ujrzał karetę. Otwarte drzwi ukazywały ciemne wnętrze: siedzenia miały kolor krwi. Cohen, przerażony, stanął w miejscu; na przednim siedzeniu, przeznaczonym dla powożącego, powstrzymując rozszalałe kare konie siedział woźnica bez głowy. Cohen słyszał wcześniej o upiornej karecie, wiedział, co to znaczy widzieć ją i stać obok niej. Przejęła go groza, gdy poczuł, że woźnica na niego p a t r z y, chociaż tam, gdzie powinien mieć oczy była zwyczajna pustka. Odwrócił się i rzucił na powrót do lasu. Biegł długo, potykając się, nie odważywszy spojrzeć za siebie; a gdy to uczynił, nie spostrzegł niczego prócz drzew oblanych światłem księżyca.

Wymęczony do ostateczności, zobaczył w oddali świecący punkt. Las się przerzedzał i wkrótce Cohen wyszedł na jakąś ścieżkę. Znalazł się przed samotnym domem, w którym jedno okno było oświetlone. To właśnie owo światło ukazało mu się z daleka. Załomotał do wielkiej, okutej bramy. Czekając aż się ktoś odezwie, rozglądał się na wszystkie strony, drżąc ze strachu, czy nie ukaże się znów przeklęta kareta i powożący nią upiór. Dopiero, kiedy zaczął walić ponownie, posłyszał kroki z drugiej strony bramy, szczęk łańcucha i pojawiła się blada, niemal żółta twarz. Cohen w kilku uprzejmych słowach poprosił o schronienie, wyjaśnił, w jaki sposób zabłądził. Człowiek pokiwał głową, zamknął drzwi i zostawił go na chwilę. Słychać było jego oddalające się kroki, lecz wkrótce wrócił i wprowadził Cohena do środka – właściciel domu zdecydował się przyjąć późnego gościa.

Minęli ciemną sień i kamiennymi schodami dotarli do pokoju, z którego dochodziło światło. W staroświeckim fotelu siedziała niezwykle piękna kobieta. Kiedy Cohen wszedł, skłoniła głowę, a następnie dała służącemu niezauważalny znak, by się oddalił.

– Stokrotnie panią przepraszam – odezwał się speszony młodzieniec. Opowiedział, w jaki sposób zabłądził, słowem nie wspominając o karecie i niewiarygodnym przeżyciu. Stał naprzeciw otwartego okna i widział w dali ciemny las i świecący nad nim księżyc – gdzieś tam znajdowało się miejsce, w którym zastąpiła mu drogę kareta, gdzieś tam, w górze, bezgłowy woźnica być może wciąż jeszcze czeka, aż on wsiądzie. W pewnej chwili, gdy jego spojrzenie błądziło w oddali, zdało mu się, że jakimś trafem siedzi w karecie, a ta rusza w okrytą tajemnicą drogę. Wzdrygnął się. Podszedł do okna, z tej wysokości widział okutą bramę, a z prawej i lewej, niemal pod samym domem rozciągał się głęboki, przyprawiający o zawrót głowy kanion rzeki. Niebo było czyste, nigdzie nawet cienia, ani śladu bezdźwięcznego zaprzęgu.

Cohen zwrócił się do czarującej gospodyni ze słowami wdzięczności:

– Gdybym nie dostrzegł światła, padającego z okna pani domu, błądziłbym po lesie chyba całą noc. A w ciemnościach łatwo narazić się na coś niedobrego.

Spojrzała dziwnym wzrokiem, ale nic nie odpowiedziała. Cohen pragnął wypoczynku, nie chciał jednak swoimi życzeniami niepokoić młodej kobiety.

– Pani jest sama w domu? – spytał.

– Tak, nie ma nikogo prócz służącego – odparła udając, że nie

zauważa zdziwionego spojrzenia Cohena. – Nikt tu nie przychodzi, nie utrzymuję szerokich stosunków towarzyskich, jest mi jednak przyjemnie, gdy mogę u siebie przyjąć gości.

Mówiła tak, jakby Cohen zapowiedział swoją wizytę wcześniej. W całym jej zachowaniu, w całym tym wydarzeniu było coś zagadkowego. A spojrzenie, które od czasu do czasu rzucał przez okno w stronę srebrnego lasu, nie pozwalało młodzieńcowi czuć się do końca bezpiecznie.

Wezwała służącego. Wszedł i stanął nieruchomo koło drzwi.

– Proszę podać kolację! – poleciła, a gdy milczący sługa opuścił pokój, zwróciła się do młodzieńca.

– Proszę zrobić mi przyjemność i zjeść ze mną kolację.

Cohen nie mógł odmówić. Służący wrócił z pełnymi tacami. Jedli i pili. Czas mijał. Od mocnego alkoholu Cohen poczuł zawrót głowy. Im bardziej był pijany, tym bardziej mu się wydawało, że kobieta stara się uwieść go na wszelkie sposoby. Tak, była sama, daleko od jakiejkolwiek zamieszkałej osady ludzkiej, z pewnością długo nie widziała mężczyzny, nie licząc tego zniedołężniałego służącego. Cohen był zbyt słaby, by się opierać. Jej spryt i uroda były bronią, której uległ. Stosowała niezliczoną ilość kobiecych tricków, aby w ciągu tej krótkiej nocy rozpalić i zagarnąć jego serce. Zapomniał o przeklętej karecie, o wszelkich złych duchach, opuściły go mroczne myśli, jawiła się tylko jedna postać, postać tej cudownej gospodyni, która zarzuciła mu ręce na szyję.

Po kolacji przeszli do małej sali. Kiedy służący zapalił wielkie świeczniki, zwisające ze ścian jak kiście winogron, całe pomieszczenie utonęło w świetle. Podłogę pokrywały drobne, czerwone płytki, błyszczące jak drogie kamienie. Podczas, gdy służący nastawiał adapter, chwyciła Cohena pod rękę i pociągnęła za sobą. Zabrzmiała muzyka, ciężka, straszna melodia, jakiej nigdy do tej pory nie słyszał. Cohenowi zamykały się oczy, próbował wyciągnąć rękę spod ręki kobiety, ale nie pozwoliła mu.

– Proszę zrobić to dla mnie – szepnęła. – Proszę zatańczyć ze mną!

Jej ręce jak żmije owinęły mu się wokół szyi. Pozwolił jej się prowadzić. A gdy światła same z siebie pogasły, położyła się obok niego, całowała go między oczyma. Leżeli obok siebie w głuchej ciszy, w ciemnym pokoju z zamkniętymi oknami i zaciągniętymi zasłonami.

– Zostań tu na zawsze! – szepnęła. Spojrzał na nią zamglonym wzrokiem.

– Przysięgnij, że będziesz mnie zawsze kochał, że pozostaniesz mi wierny na wieki.

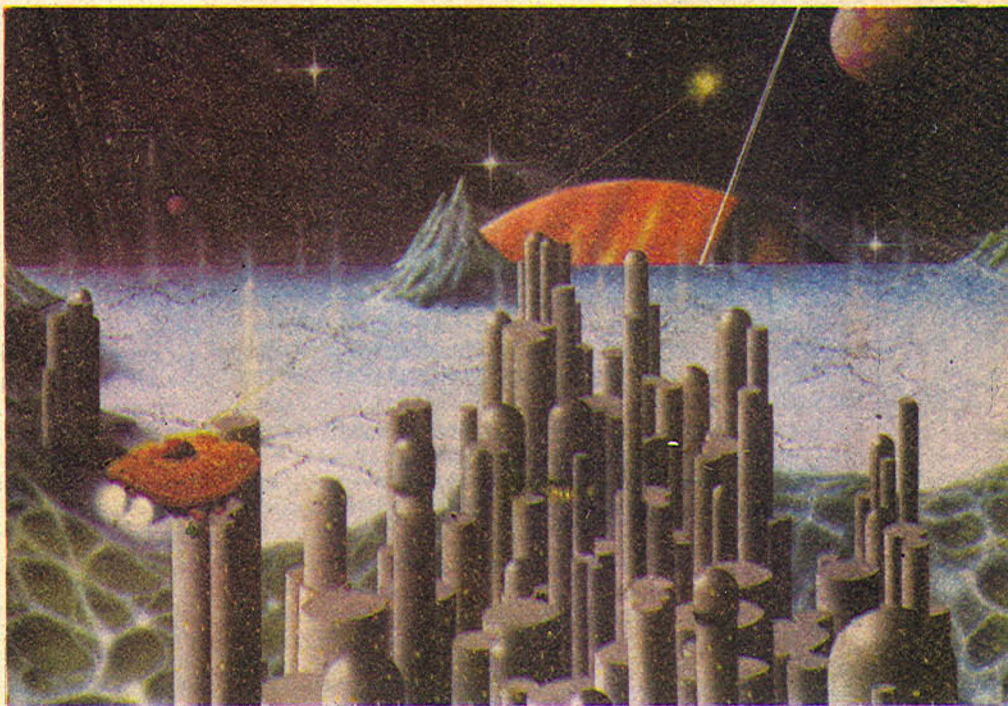
I kiedy w upojeniu podawała mu usta, młodzieniec poczuł, jak ogarnia go szalona namiętność.

Ale gdy jej oczy zbliżyły się do jego oczu, upojenie znikło. Pod gęstymi, czarnymi rzęsami nie dojrzał niczego, prócz głębokiej pustki, a po chwili ukazał się w nich rąbek nieba, po którym sunęła miniaturowa kareta. Krzyknął przerażony. Kobieta nawet nie drgnęła, zasnęła na zawsze w jego objęciach. Gdyby w chwilę wcześniej dotknął jej ust, byłby martwy jak ona; całując go, tchnęłaby w niego oddech śmierci. Krzyknął na służącego. Nikt się nie odezwał. Przeszedł przez wszystkie pokoje, trzymając w ręku wielki świecznik, wszędzie znajdował jednakową pustkę, tylko w pokoju na górze leżało martwe ciało kobiety. Służący znikł, nie było żywego ducha. Musiał uciekać jak najdalej z tego domu.

Rozsunął trochę zasłony w pokoju, w którym jeszcze przed chwilą był w upojeniu. Chociaż zbliżał się świt, na dworze panowały ciemności. Ale w jednym miejscu, stąd nie można było ocenić odległości, zamigotał płomyk i ukazała się maleńka sylwetka konia i karety. Urojenie zniknęło tak szybko, jak się pojawiło.

Ponownie znalazł się na dworze. Jak umknąć przed prześladowcami? Biegł przez puste pole, na którym rzadkie krzaki przypominały skulonych ludzi. Zobaczyć czarną karetę to jakby umrzeć. Nocne pohukiwanie jakiegoś osamotnionego ptaka dotarło do niego niczym głuchy krzyk z zamkniętej beczki. W tej samej chwili przez chmury przebił się księżyc – prosto na młodzieńca pędziły konie, wielkie jak góra. Zdążył tylko rzucić się na bok i ogromny zaprzęg przemknął obok niego. Gdy się obejrzał, nie było po nim śladu.

Leżał w mokrej trawie. Niebawem na horyzoncie ukazało się blade światło. Wstawał dzień i Cohen coraz wyraźniej rozpoznawał otoczenie. Widział przerzedzone pnie drzew, zginające gałęzie ku ciemnej pustce. Kiedy się już całkiem rozjaśniło, zauważył, iż leży na samym brzegu przepaści. Nigdzie w pobliżu nie było domu, w którym spędził burzliwą noc. W dole, daleko w dole, w niezmierzonej głębi, w porannej mgle rozciągały się osady, pola, odległe drogi. Niewiele brakowało, by runął w straszliwą otchłań...



J. Gado

Nie minęło wiele czasu, a wspomnienia o przejeżdżających przewidzeniach zaczęły blednąć. Co prawda Cohen początkowo opowiadał o swoich przygodach, ale nawet najokropniejsze zdarzenie nie bywa straszne, gdy się o nim opowiada. Ludzie kręcili głowami, jedni wierzyli, drudzy nie. Potem sceny niemiłej nocy poszły w zapomnienie, pozostało tylko niejasne przeczucie, że wkrótce coś się zdarzy.

Ale nic się nie zdarzyło. Nic takiego, o czym można by powiedzieć, że zły los ciąży nad Cohenem. Bywały troski i kłopoty, codzienne problemy i zmartwienia, ale kto ich nie ma? I tak życie Cohena toczyło się utartym torem. Tylko w nocy, gdy światło księżyca rozjaśniało pokój i łóżko, na którym Cohen spał, przechodziły go dreszcze, ale działo się to niczym we śnie – jakby dotykała go zimna, ciężka ręka, jakby mu przypominano, że istnieje ktoś, kto nad nim czuwa.

Jego dni wypełniały różne zmartwienia i z czasem zaczął uznawać swoją przygodę za ponury sen. Ponieważ widmo powożącego karawanem bezgłowego woźnicy nie pojawiło się już przed nim, przekonał sam siebie, iż zły sen już się nie powtórzy i że jest całkowicie bezpieczny. Tylko raz czy dwa ponowiły się jakieś niejasne i mgliste sceny, jakieś niewyraźne zwiastuny faktu, że to wszystko nie jest takie proste. Między oczyma, tam gdzie łączą się brwi, pozostawał czerwony punkcik – tego miejsca dotknęły rozpalone usta dziwnej kobiety. Wszelkie próby usunięcia drobnego znamienia nie dawały rezultatu, a on przekonywał samego siebie, że to tylko nic nie znaczące draśnięcie. Kiedyś, stojąc przed lustrem, odkrył w swoich oczach bezdenną głębię, bezdźwięczne, srebrzyste pole, otchłań, na brzegu której wisi, jedną nogą mając w dole. Wówczas cofał się, lękając się samego siebie, jakby w nim samym kryło się ostrzeżenie, że ten, kto raz stał przed karetą, musi do niej wejść. Ale mimo tych wszystkich zdarzeń nie można powiedzieć, by do jego świadomości kiedykolwiek

Filip DAVID

jest jednym z najwybitniejszych (obok Mirka Kovača, Vuka Vuča, Svetozara Vlajkovicia i Marka Nedicia) przedstawicieli serbskiej fantastyki poetyckiej. W roku 1964 wydał zbiór opowiadań **„Bunar u tamnoj šumi"** (Studnia w mrocznym lesie), a w roku 1969 **„Zapisi o stvarnom i nestvarnom"** (Notatki o rzeczywistym i nierzeczywistym).
Opowiadanie **„Baśń o księżycowej karecie"** pochodzi z antologii „Nova srpska pripovetka" (Belgrad 1972) pod redakcją Ljubišy Jeremicia.

powróciło to okropne uczucie poniżenia i bezsilności, jakie ogarnia ściganego.

Im więcej czasu upływało, tym bardziej był skłonny kpić ze swoich przygód. Jeżeli w towarzystwie ktoś zaczął opowieść o dziwnym zjawisku, pojawiającym się na jasnym niebie podczas księżycowych nocy, pierwszy machał ręką, chociaż w głębi duszy coś go ostrzegało, by nie robił żartów z tego, co w swoim czasie tak go przeraziło.

– Księżycowa kareta? To tylko przewidzenie zmęczonego podróżnego! Fatamorgana! Spójrzcie, widziałem tę karetę, stałem przed nią tak, jak stoję przed wami, moi państwo – i co? Czy żyję?

Śmiał się. Tym, którzy go słuchali zdawało się, że słyszą w tym śmiechu histeryczne napięcie; w takich chwilach jego spojrzenie powoli mętniało, a w źrenicach, w kącikach oczu, pojawiały się jasne punkty, dziwne, czerwone płomyczki.

Któregoś ciepłego wieczoru, gdy w pokoju panował jeszcze skwar dnia, wyszedł do ogrodu. Stał pod drzewem, spoglądając przez gałęzie na gwiaździste niebo. Nie było jakiegokolwiek powodu do obaw, lecz nagle pożałował, że opuścił dom. Ogarnął go niewyjaśniony niepokój.

Blade światło księżyca, niczym pajęczyna, pokrywało drzewa i ogród. Wszędzie panowała tak wielka cisza, że bał się własnego oddechu. Nagle w górze, pod księżycem, rozciągnął się cień, który szybko pokrył część nieba. Wystraszony zamknął oczy, gdy je zaś otworzył, kilka kroków przed nim stała czarna kareta, a na przednim siedzeniu zasiadał straszliwy woźnica. Kareta zatrzymała się tak blisko Cohena, że mógł ręką dotknąć wielkich kół. Drzwi karety otworzyły się.

W pierwszej chwili ujrzał jedynie czerwony plusz, migocący w żółtych promieniach. W środku już ktoś siedział. Ten ktoś uparcie się w niego wpatrywał. Młodzieńcowi zmroziło krew w żyłach. Czekał, aż zjawa zniknie, okazując się snem i złudą. Wówczas postać w karecie poruszyła się i jasny promień oświetlił jej twarz – była to kobieta, w której domu gościł. Wyciągnęła ku niemu ręce i poprosiła, by wszedł.

I wbrew jego woli nogi same ruszyły do przodu, dotknął bladych i zimnych kobiecych dłoni, ona zaś pociągnęła go ku sobie. Trzymała go w objęciach, jej usta wpiły się w jego twarz, jak dwie pijawki – całowała go po oczach, w to miejsce, gdzie zrastają się brwi.

Przez wąskie okienko karety młodzieniec ostatni raz spojrzał na rodzinną wieś, rozpostartą na górskich zboczach, na swój mały dom. Pędzili coraz szybciej, ku coraz większym wysokościom. Świat stawał się mały, drobny, mógł go zamknąć w dłoni. A gdy kareta w końcu się zatrzymała, kiedy drzwi powoli się otwarły, okazało się, że stoją przed domem, z którego pewnej nocy, dawno temu, uciekł. Przed okutą bramą czekał chudy, blady, upiorny sługa, a w górze, na piętrze było oświetlone jedno okno – to samo, które podczas tamtej przeklętej nocy zauważył z oddali i pośpieszył ku niemu...

Odtąd nikt nie widział Cohena. Zniknął bez śladu. Tylko jakiś nędzarz, któremu nikt nie wierzył, opowiadał jak nocą, wracając do domu, zauważył, że ktoś idzie przez puste pole. Wydawało mu się, że to Cohen, ale nie widział jego twarzy. Zawołał go po imieniu, ale tamten się nie zatrzymał.

– Mówię wam, szedł prosto, prosto, a spoglądał do góry, na księżyc. Na pewno nie wiedział, co się z nim dzieje – opowiadał nędzarz. – Przyśpieszyłem, by go dogonić, bo szedł prosto ku przepaści, tej, co to jest na drugim końcu wsi. Nie mogłem go dogonić, ale gdy byłem już całkiem blisko, zrobił krok w przepaść, tę okropną, bezdenną głębię. Gdy pochyliłem się nad ciemnym otworem, nie widziałem niczego, prócz srebrnej rzeczki, która tam płynie.

Niektórzy, zbałamuceni tym opowiadaniem, ruszyli do doliny. Szukali wszędzie, ale nie znaleźli niczego. Wrócili wściekli, że stracili cały dzień, a tu czeka na nich nieukończona robota. Zwymyślali biedaka, że kłamie, a i on sam, lepiej sprawę przemyślawszy, przekonał sam siebie, że to wszystko tylko mu się zdawało, tak jak mu się przewidziało tego samego wieczora inne dziwne wydarzenie, o którym nie chciał, a może i nie śmiał opowiadać: widział czarną karetę i czarnego woźnicę jadących po niebie. Wierzył w to, że kareta zawsze wraca do tego, kto ją choćby przez chwilę widział, myślał jednak, że jego to nie dotyczy. Był tak ubogi, tak nieszczęśliwy, że żył w przekonaniu, że znajduje się poza wszystkim. A jednak w kilka dni później znaleziono go martwego. Poniżej czoła, między oczyma, miał czerwony ślad, jakby od ukąszenia żmii. I była to jedyna rana na całym ciele.

Przełożyła Jadwiga Moroń

ZSRR

ZWIĘZŁY OPIS NIEZBYT PRAWDOPODOBNYCH WYDARZEŃ, JAKIE MIAŁY MIEJSCE UBIEGŁEGO ROKU W MIEŚCIE WIELKI GUSLAR

Uparty Marsjasz

Kir Bułyczow

Któregoś dnia Lew Chrystoforowicz Minc zszedł na parter do Saszy Grubina pożyczyć trochę soli. Obaj – wybitny uczony, wypoczywający w Guslarze po stresach doznanych w metropolii i utalentowany wynalazca-samouk Grubin – byli kawalerami o nieuregulowanym życiu osobistym. Fakt ten, a zwłaszcza oddanie Nauce (pisanej wielką literą), jak również nieodparte pragnienie przeniknięcia tajemnic Natury zbliżyło do siebie tych tak niepodobnych do siebie ludzi. Serdeczne rozmowy, które toczyli w rzadkich chwilach wolnych od innych zajęć, wyróżniały się niezwykłą wręcz szczerością i całkowitą bezinteresownością.

Grubin szukał soli, a tymczasem Minc przysiadł na rozchwierutanym krześle i wsłuchał się w monotonny jęk skomplikowanej konstrukcji, której koła, kółka i kółeczka, pomagające sobie nawzajem, wolno kręciły się w kącie pokoju.

– Nie zaszkodziłoby przesmarować – powiedział Minc. – Coś skrzypi to twoje perpetuum mobile.

– Jego skrzypienie mnie uspokaja. Proszę, tu jest sól – powiedział Grubin, podając mu papierową tutkę.

– Chcę zrobić pilaw – oznajmił Minc. – Chociaż to może dziwnie zabrzmieć, jestem najlepszym we Wszechświecie specjalistą od pilawu. Zawołam cię tak gdzieś koło szóstej.

– Dziękuję, chętnie wpadnę – powiedział Grubin. – À propos, ostrzegał mnie pan, że wieczny silnik nie ma przed sobą żadnych perspektyw i że działał nie będzie. A przecież pracuje drugi tydzień. I to nawet bez smaru.

– Drogi kolego, to jeszcze o niczym nie świadczy! – powiedział Minc, gładząc się po lśniącej łysinie. – Posiadam informacje, że w Argentynie, w laboratorium Aya de Torro silnik kręci się już od osiemnastu lat. Z tego wynika jedynie, że jest to silnik długowieczny, ale nie wieczny. Za sto lat może przecież stanąć.

– Sto lat wystarczy – powiedział Grubin, pochylając krnąbrnie swoją kudłatą głowę. – Mnie tam na sławie nie zależy. Grunt to zasada.

– Sławy nie pozwolą ci nawet polizać – zauważył Minc. – I będą mieli rację! Naukę tworzy się na Olimpie. Robią ją ludzie naznaczeni stygmatem Wieczności, a utalentowany dyletant może jedynie zakłócić zwycięski krok postępu. Nauka zatem słusznie odrzuca perpetuum mobile powstałe w kawalerce bez wygód. Wieczny silnik winien powstawać w odpowiednim laboratorium odpowiedniego Instytutu Problemów i Perspektyw Ruchu Przedłużonego.

– Dlaczego przedłużonego? Przecież to wieczny silnik!

– Wszystkim wiadomo, że perpetuum mobile nie ma i być nie może. Wynika z tego dowodnie, że jeśli nauka kiedykolwiek zajmie się na serio budową wiecznych silników, będzie musiała najpierw znaleźć dla tego urządzenia jakąś przyzwoitą nazwę, nie skompromitowaną w ciągu ostatnich stuleci przez samouków i szarlatanów.

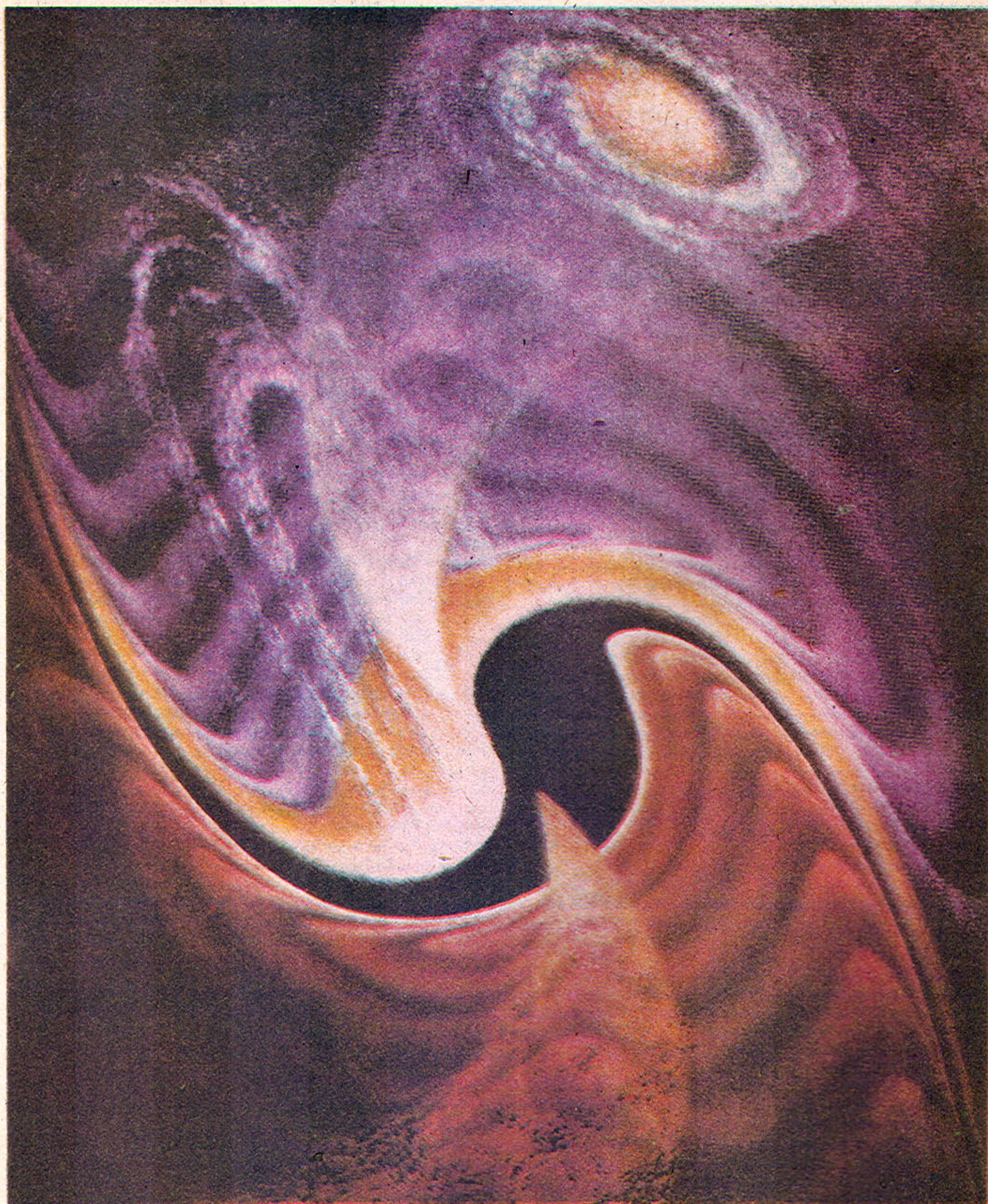
– To znaczy, że nie ma dla mnie żadnej nadziei?
– Tak, mój drogi. Nie masz nawet dyplomu wyższej uczelni, znalazłeś się więc w sytuacji upartego Marsjasza.
– A co to za jeden?
– Satyr. Prowincjonalny satyr z Frygii, który miał pecha połaszczyć się na fujarkę podrzuconą przez Atenę. A wiesz dlaczego?
– Niby skąd mam wiedzieć? Ze starożytnych Greków znam tylko Herkulesa i Prometeusza.
– No więc Marsjasz pięknie grał na fujarce i wpadł na głupi pomysł, żeby stanąć w zawody z Apollinem. To zupełnie tak, jakbyś ty przyniósł swoją maszynkę na Radę Naukową Instytutu Problemów i Perspektyw Ruchu Przedłużonego.
– Marsjasz przegrał?
– Jury jednogłośnie przyznało pierwszą nagrodę członkowi rzeczywistemu Olimpu, bogu Apollinowi.
– To nie takie straszne – zauważył Grubin. – Najważniejsze to brać udział. Zwycięstwo nie jest takie istotne.
– Jak dla kogo – westchnął profesor Minc, patrząc na skrzypiącą maszynę Grubina. – Z Marsjasza żywcem zdarli skórę.
– Za co? – Grubin aż zachwiał się z wrażenia. – Przecież i tak wygrał Apollo!
– Obawiam się, że to zwycięstwo było trochę wątpliwe... Zresztą bogowie nie kochają walczyć ze śmiertelnym na równych prawach. Dziś Marsjasz się poważy, jutro Iwanow, pojutrze Grubin... No dobra, idę, dzięki za sól.
Profesor wstał z krzesła i skierował się ku drzwiom.
– Pan też miał jakieś nieprzyjemności? – zapytał Grubin.
– Ja nie wynajdowałem perpetuum mobile – odparł Lew Chrystoforowicz nie odwracając głowy.
– Lwie Chrystoforowiczu! – wykrzyknął Grubin. – Nie ma pan racji! Marsjasze też mają prawo do miejsca na Ziemi. Czynnik społeczny nie pozwoli zdzierać z nich skóry! My też możemy uprawiać nasze skromne ogródki!
Lew Chrystoforowicz odwrócił się, uśmiechnął, ale nic nie powiedział.
– Ostatecznie nie wypadliśmy sroce spod ogona! – dodał Grubin. W Wielkim Guslarze też tętni myśl twórcza. Wprawdzie trudniej tu zdobyć uznanie niż w centrali, ale nas to tylko mobilizuje do czynu... Aha, nad czym pan obecnie pracuje, profesorze?
– Hoduję narybek – odparł Minc.

Czarny kawior

Kir Bułyczow

Nie bacząc na stosunkowo niską cenę konserwatywni mieszkańcy miasta Wielki Guslar niechętnie kupowali efektowne puszeczki z barwnym portretem jesiotra i napisem **„Czarny kawior"**. Sokole oko klienta dostrzegało bowiem również wykonany malutkimi literkami dopisek: *„syntetyczny"*.
Profesor Lew Chrystoforowicz Minc kiedyś tam czytał o uwieńczonych sukcesem badaniach nad syntetycznym kawiorem i wiedział, że w smaku nie ustępuje on prawdziwemu, a jeśli chodzi o wartości odżywcze – nawet go przewyższa. Przy tym kawior syntetyczny miał być absolutnie nieszkodliwy dla zdrowia. Wcześniej jednak nie udało się profesorowi syntetycznego kawioru spróbować. Dlatego właśnie Lew Chrystoforowicz był jednym z trzech mieszkańców Guslaru, którzy nabyli nowy produkt w drodze kupna.
Wieczorem, przy herbacie, profesor Minc otworzył puszkę, posmarował kawiorem kanapkę. Ostrożnie odgryzł kawałek, zżuł i doszedł do wniosku, że kawior rzeczywiście ma walory smakowe, jest odżywczy i absolutnie nieszkodliwy. Ale czegoś mu brakuje... Odłożył więc nadgryzioną kanapkę i oddał się rozważaniom nad problemem ulepszenia syntetycznego kawioru. Potem doszedł do wniosku, że nie będzie się tym zajmował – kawior wynaleźli ludzie na pewno nie głupsi od niego, którzy swe eksperymenty doprowadzili do rozsądnych granic.
– Nie – powiedział głośno. – Konkurować ze sobą nie będziemy. Ale...
Tu wstał od stołu, wziął pincetką ziarenko kawioru, położył na szkiełku przedmiotowym i usiadł przy mikroskopie. Oglądając i preparując ziarenko prowadził dalej głośne rozważania sam ze sobą – było to przyzwyczajenie, będące skutkiem życia w samotności.
– Rutyniarze – mamrotał. – Klapki na oczach. Kawior wynaleźli. Jutro wynajdziemy kurze jajko. Co za dziwna maniera kopiować naturę i zatrzymywać się w pół drogi.
Następnego dnia profesor Minc kupił w sklepie zoologicznym nieduże akwarium, nalał do niego wody z dodatkiem różnych środków, postawił elektryczne słoneczko, nad akwarium powiesił lampę rodonową i promiennik ultrafioletu, podłączył czujniki i termometry i zajął się innymi problemami. Po dwóch tygodniach śmiała myśl profesora wydała pierwsze owoce.
Ziarenka kawioru – co prawda nie wszystkie – powiększył się zauważalnie i wewnątrz, przez syntetyczną błonkę, z której zmył się nieszkodliwy czarny barwnik, można było zobaczyć zwinięte w kłębuszek embriony.
Po upływie następnego tygodnia, kiedy – rozerwawszy błonki – malutkie, centymetrowe strzałki narybku zakłębiły się w akwarium, uradowany, acz powściągliwy w ocenach profesor udał się nad mały, pod jesień prawie wyschnięty, stawek za cerkwią Paraskewy Piatnicy i wlał do niego zawartość akwarium.
Był jasny, nieco wietrzny dzień wiosenny. Młodziutkie listki dopiero co pojawiły się na brzozach, żabia ikra gronami kołebała się przy brzegu. Minc wyjął ikrę ze stawu, a potem, tuląc akwarium do piersi, wyszedł na szosę i zatrzymał wywrotkę.
– Niech mi pan odleje trochę benzyny! – poprosił profesor uprzejmie. – Nieduże, ze dwa litry.
– Czego?!
Zdziwiony kierowca patrzył z góry na tęgiego starszego mężczyznę w zamszowej marynarce, opinającej krągły brzuszek. Mężczyzna podsuwał mu pod nos akwarium i żądał benzyny.
– Mam ogród – powiedział łysy. – Robactwo oblazło. Truję. Dajcie benzynki.
Otrzymaną benzynę (za takie pieniądze, jakby to nie była benzyna, a perfumy **„Krasnaja Moskwa"**) profesor wlał do stawku. Zdawał sobie sprawę, że postępuje jak wandal, ale waga eksperymentu była tak wielka, że dobro stawku musiało zostać odsunięte na plan dalszy.
Profesor podkramiał syntetycznie jesiotrzęta nie tylko benzyną. Kiedyś Udałow, z dziada pradziada mieszkaniec Wielkiego Guslaru, spotkał Minca na peryferiach miasta, gdzie tkalnia sztucznego jedwabiu wpuszczała do rzeki Guś kolorowe strużki mętnej cieczy. Na oczach Udałowa profesor zaczerpnął ze strużki pełne wiadro i potaszczył je do miasta.
– Co pan robi, Lwie Chrystoforowiczu? – zdziwił się Udałow. – Przecież to ścieki!
– No i świetnie! – odpowiedział wcale nie speszony profesor. – Im gorzej, tym lepiej!
Produkty, które gwiezdnymi nocami profesor Minc wlewał do stawku za cerkwią, był nader różnorodne – a przede wszystkim – podejrzane z wyglądu i obdarzone obrzydliwym zapachem. Ludzie, którzy z przyzwyczajenia chodzili do pracy drogą koło stawku, nie mogli się nadziwić, co dzieje się z malutkim zbiornikiem wodnym i zaczęli obchodzić stawek z daleka. Żaby także z niego uciekły.

Pewnego upalnego czerwcowego dnia, kiedy dalekie powiewy nadciągającej burzy poruszały ciężkie od zapachu bzów powietrze, profesor przyprowadził nad stawek swojego przyjaciela, Saszę Grubina. Profesor niósł podrywkę i wiadro. Grubin – drugie wiadro.
Na Grubinie stawek zrobił żałosne wrażenie. Trawa na jego brzegach uschła, woda była bura i mętna, bez śladów jakiegokolwiek życia.
– Co się dzieje w przyrodzie – powiedział Sasza, stawiając wiadro na trawie. – Klęska ekologiczna. Przemysłu w okolicy niby nie ma, a stawek jednak umiera. I pachnie jakoś nieprzyjemnie...
– Gdyby pan tu był wczoraj wieczorem... – uśmiechnął się profesor. – Wylałem litr kwasu azotowego, wiadro mazutu i wsypałem woreczek sproszkowanego azbestu.
– Po co? – zdziwił się Grubin. – Przecież sam pan niedawno rwał włosy z głowy nad sytuacją w przyrodzie!
– Rwałem włosy z głowy – to nie to określenie – odpowiedział Minc. – Dla mnie to po prostu tragedia...
– Teraz to już nic nie rozumiem.
– Zaraz pan zrozumie – uspokoił go Minc i wyjął z kieszeni paczuszkę, która rozsiewała wyjątkowo paskudny odór. – Zdobyłem to z najwyższym trudem – poinformował Grubina – nie chcieli dać...
– A co to znowu?!
– Ach, drobiazg – powiedział profesor i zawartość paczuszki wrzucił do stawku.
I w tym momencie woda w nim zakipiała, jakby wetknął weń rozpalony pogrzebacz. Umiarkowanej potworności rybiska, których istnienie w stawku wydawało się niemożliwe, rozpaczliwie walczyły o niejadalne pożywienie. Grubin odskoczył.



A. Sokołów

– Wiadro! – krzyknął Minc, podnosząc z ziemi podrywkę. – Niech pan mocno trzyma!
Zaczął wyłapywać ryby i wrzucać je do wiader. Po trzech minutach były pełne. Kłębiły się w nich młode, wyłupiastookie jesiotry.
– Parę sztuk zostawimy tu – zadecydował Minc po zakończeniu operacji. – Dla kontroli i oczyszczenia stawku.
Po drodze do rzeki Guś Lew Chrystoforowicz tłumaczył Grubinowi istotę śmiałego eksperymentu:
– Żułem ten syntetyczny kawior i dumałem: jak stereotypowo myślą nasi Apollinowie. Kawior jest drogi i smaczny. No to wynaleźli tańszy i gorszy. W rezultacie żaden postęp! Bo postęp jest możliwy przy odwadze myślenia, śmiałości zderzania paradoksów. To właśnie moja cecha – cecha prowincjonalnego Marsjasza. Jeżeli jest syntetyczny kawior, to co z syntetycznymi jesiotrami?
– Nonsens – powiedział Grubin.
– Zgadza się. Nonsens. Pod warunkiem, że nie popatrzysz do wiader, które niesiemy... W porządku, myślałem więc dalej. Być może ja, przy moim wyjątkowym talencie, potrafię wyhodować z syntetycznego kawioru syntetyczne ryby. Ale po co? I tu mnie olśniło! Dla Sprawy!
– Dla jakiej Sprawy? Wodę zatruwać?
– Myślisz niby poprawnie, ale bez polotu – odpowiedział profesor. – Nie truć, ale ratować! Jeżeli wyhoduję syntetyczną rybę, to ona będzie odżywiać się syntetycznym żarciem. Czyli tym, co prawdziwym rybom w stawach i rzekach do niczego się nie przydaje. Głównym surowcem do produkcji syntetycznego kawioru są pochodne ropy naftowej. A czego jak czego, ale tego świństwa jest w naszych zbiornikach wodnych więcej niż trzeba. To wszystko znaczy, drogi kolego, że jeżeli powstanie syntetyczny jesiotr, to będzie się on żywił ropą naftową i innymi paskudztwami, które trafiają do rzek. To genialne odkrycie otworzyło nowe horyzonty... Pozostało tylko znaleźć potwierdzenie

mojej hipotezy w praktyce, ale dochowałem się krzepkich rybek, nie tylko z wielkim upodobaniem ćpiących mazut i kwasy, lecz także przyzwyczajonych do najobrzydliwszych produktów chemii organicznej i nieorganicznej, jakie trafiają się w zbiornikach wodnych. Rzeczywiście, na pewien czas zatrułem stawek przy cerkwi. Ale za miesiąc woda będzie w nim czysta jak łza. i taka woda będzie też w naszej rzece.
Przyszli na miejsce. Niedaleko od fabryki mebli i tkalni sztucznego jedwabiu, które wzbogacały wodę rzeki smugami ścieków, łączącymi się wdzięcznie z tęczowymi plamami z pobliskiej bazy samochodowej, Grubin – do głębi wstrząśnięty geniuszem profesora – zdjął buty, wlazł do wody i wychlustnął wiadro z jesiotrzętami.
– Hej! – krzyczeli z mostu siedzący tam smarkacze. – Wędkarze na odwrót! Kto tak robi!
Grubin odebrał od Minca drugie wiadro z podrastającymi rybimi potworami i też wychlupnął je do wody. Widać było, jak wygłodniałe ryby rzuciły się na plamy mazutu i strugi ścieków.
W drodze powrotnej Grubin zapytał:
– A jeść się te jesiotry da?
– Niech ręka boska broni! – wykrzyknął profesor. – Ale po oczyszczeniu naszych rzek będzie w nich taka obfitość prawdziwych jesiotrów, że kawioru najemy się do upojenia!
– Trzeba by podzielić się doświadczeniami, zawiadomić Moskwę...
– Nie uwierzą – uciął profesor. – Mnie bardzo rzadko wierzą. Niech się najpierw nasze jesiotry wykażą.
Grubin, człowiek o wiele od profesora praktyczniejszy, udał się następnego dnia do redakcji gazety „Sztandar Guslaru", aby pogadać ze swoim przyjacielem, Miszą Standałem. Ten obejrzał oczyszczony dokładnie w ciągu doby stawek przy cerkwi Paraskewy Piatnicy, popatrzył, jak młode jesiotry z zapałem żrą olej napędowy, którym karmi je Grubin, wpadł w zachwyt i wymusił na redaktorze naczelnym zgodę na opublikowanie – póki sprawa się całkowicie nie wyjaśni – nastepującej treści ostrzeżenia:
„Uwaga wędkarze!
W ramach eksperymentu wpuszczono do rzeki Guś specjalne urządzenia oczyszczające wodę z ropy i innych zanieczyszczeń. Dla celów praktycznych urządzeniom tym nadano kształt ryb jesiotrowatych, które w rzeczywistości nie występują w naszych zbiornikach wodnych. Jeżeli urządzenie tego typu znajdzie się w sieci lub zostanie złapane na wędkę, prosimy o niezwłoczne wrzucenie go z powrotem do wody. Spożywanie takiej ryby grozi ciężkim zatruciem! Urządzenia oczyszczające charakteryzują się wyraźnym zapachem kwasu i nafty". Kiedy profesor przeczytał notatkę, zauważył tylko:
– Naiwny! Gdzie mój jesiotr da się złapać na wędkę! Dla niego robak to trucizna.

Mieszkańcy Guslaru szybko przywykli do widoku wyrosłych przez lato potężnych rybiszcz, żerujących przy bazie samochodowej czy fabryce. Jesiotrom, które zostały w stawku, także przyszło zmienić miejsce pobytu – przeniesiono je do rzeki, ponieważ karmienie ich stało się zbyt kłopotliwe. A i stawek dawno zrobił się za ciasny.
Pod jesień przyjechała z obwodu komisja, sprawdzająca efektywność oczyszczenia zbiorników wodnych przy użyciu jesiotrów. Komisja była nastawiona sceptycznie. Minc, który tego właśnie się spodziewał, ukręcił z wierzby fujarkę i, nie bacząc na zdumione uśmieszki kolegów, udał się nad rzekę, wygrywając prościutką melodyjkę. Jedynie Grubin domyślił się, że profesor robi za nieszczęsnego Marsjasza.
Rzeka Guś płynęła wśród zieleni, wzbudzając zachwyt kryształową czystością swej toni. Czysta była nie tylko dzięki jesiotrom. Od miesiąca wstrząśnięci bajecznymi rezultatami eksperymentu generałowie guślarskiego przemysłu przestali wlewać do rzeki brudną wodę i inne świństwa.
Dyrektor bazy samochodowej – dawniej zacięty wróg czystości, a teraz honorowy przewodniczący Towarzystwa Ochrony Przyrody – oczekiwał komisji nad rzeką. Na oczach wszystkich napełnił wodą szklankę i podniósł ją ku słońcu.
– O pięć procent czyściejsza niż w Bajkale – oznajmił dyrektor bazy.
– Można sprawdzić laboratoryjnie – dodał po chwili.
– W porządku – odparł przewodniczący komisji. – Doskonale. A gdzie są te rzekome jesiotry?
Na twarzy dyrektora odbiło się zmieszanie, ale był on człowiekiem prawdomównym, więc szczerze odpowiedział:
– Jesiotry się was nie doczekały. Odpłynęły.
Profesor Minc smętnie zaświstał na fujarce.
– To znaczy wcześniej były, a teraz się zmyły? – powiedział przewodniczący komisji.
– Przedwczoraj widziałem ostatniego – odpowiedział dyrektor. – Normalna sprawa.
– Nienormalna.
– Tu już nie było nic do żarcia! To co miały robić?! Szybciutko wpuści się prawdziwe.
– Taak... – uśmiechnął się przewodniczący komisji. – Były i nie ma...
– Teraz to ich trzeba szukać w Północnej Dźwinie – oznajmił dyrektor. – Posłaliśmy im nawet ostrzeżenie, żeby nie wyławiali...
– A z Marsjasza zdarli skórę – niezrozumiale dla wszystkich – poza Grubinem – odezwał się profesor Minc.
– To znaczy, że jechaliśmy, traciliśmy czas i państwowe pieniądze – w głosie przewodniczącego słychać było groźbę. – I co zobaczyliśmy?
– Rezultaty udanego eksperymentu – powiedział Minc. – Tak udanego, że jakby go wcale nie było...
– No i woda jest czysta! – wykrzyknął dyrektor bazy samochodowej.
– Za to wyrażamy podziękowanie.
Zapadło niezręczne milczenie. Wszyscy zrozumieli, że czas się pożegnać... Bo i co tu da się zrobić?
I nagle z oddali dobiegł warkot motorówki. Dyrektor bazy zmarszczył czoło. W mieście Wielki Guslar ustanowiono niedawno przepis, zabraniający używania motorówek.
Pasażer łódki zobaczył ludzi na brzegu, ostro skręcił i motorówka utknęła dziobem w mule.
– Lekarza! – zawył z łódki dżentelmen w panamie i dżinsach. – Przyjaciel mi się struł!
– Czym się struł? – zainteresował się Minc.
– Złapaliśmy wczoraj rybkę. Rano się podpiekło...
– A duża była ta rybka? – zapytał typa Minc.
– Nie... Skąd...Nieduża.
– Jesiotr?
– A skąd pan wie? – dżentelmen w panamie nagle spłoszył się i zaczął wycofywać w stronę dzioba motorówki, wyraźnie zamierzając odbić od brzegu.
– Miała tak z półtora metra? – zapytał domyślnie dyrektor bazy. – Głuszyliście dynamitem?
– Ludzie! Nie bądźcie małostkowi! Tam człowiek kona!
– Żeby nie poczuć zapachu kwasu i nafty – głosem pełnym zadumy powiedział Minc – trzeba zażyć potężną dawkę alkoholu...
– Ależ my troszeczkę...
– Tak więc, szanowna komisjo – zaproponował dyrektor od samochodów – namawiam do podjęcia wycieczki na miejsce postoju tych kłusowników i zaznajomienia się z doczesnymi szczątkami syntetycznego jesiotra, który niestety nie zdołał daleko odpłynąć od swego rodzinnego gniazda. Po drodze zabierzemy lekarza i milicjanta...
– Tam została tylko głowa – z przerażeniem wymamrotał typ. – Myśmy ją zakopali.
– Wystarczy głowa – przerwał mu dyrektor.
Członkowie komisji wahali się.
Marsjasz spokojnie grał na fujarce.
– Nie musimy tam jechać – powiedział Sasza Grubin. – Nie musimy.
I wskazał palcem na rozlewającą się za rufą łódki benzynową plamę.
Nagle wszyscy zobaczyli, jak ogromne rybsko z długim, odrobinę zadartym pyskiem, pożera ową plamę, szeroko otwierając paszczę.
– No i co? – zapytał Grubin, wpadając wieczorem do profesora. – Nie zdarli skóry?
– Co się odwlecze, to nie uciecze – z filozoficznym spokojem odpowiedział Minc.

Kirył BUŁYCZOW

Kirył BUŁYCZOW to psudonim radzieckiego uczonego – kandydata nauk historycznych Iwana Możejko. Z zawodu jest specjalistą w dziedzinie historii Dalekiego Wschodu, autorem wielu prac z dziedziny historii Birmy, z zamiłowania – pisarzem fantastą. Pierwsze utwory SF pióra Kiryła Bułyczowa ukazały się na łamach radzieckiej prasy w 1965 roku. W roku 1970 Bułyczow wydał pierwszą książkę SF „Posledniaja wojna". Dziś jest już szeroko znanym autorem kilkunastu książek, spośród których cztery: „Ludzie jak ludzie", „Podróże Alicji", „Żuraw w garści" i „Rycerze na rozdrożu" ukazały się w przekładzie polskim. Obok braci Strugackich Bułyczow jest zaliczany dzisiaj do najbardziej znanych radzieckich twórców SF. Książki jego autorstwa zostały przetłumaczone na wiele języków i ukazały się między innymi w RFN, Francji i USA. Od lat pisarza łączą bardzo serdeczne stosunki z naszym krajem. Odwiedzał go kilkakrotnie. Był gościem honorowym organizowanych przez OKMFiSF Międzynarodowych Seminariów Klubów i Miłośników SF „Orbity przyjaźni" w 1978 roku w Warszawie i w 1980 roku w Krakowie.

Dwie metody teleportacji

Kir Bułyczow

Lew Chrystoforowicz Minc zawsze miał słabość do orkiestr dętych. Orkiestra dęta w mieście Wielki Guslar była na wysokim poziomie, o czym świadczy fakt, że nawet w Wołogdzie dostała dyplom.

W soboty, kiedy orkiestra występuje w muszli koncertowej, profesor Minc rzuca pracę i idzie do parku rozkoszować się muzyką, która przypomina mu młode lata. Czasami przyłączają się do niego Sasza Grubin czy emeryt Łożkin, także będący wielbicielem solidnych tang i walców o falach Amuru. Tej soboty Mincowi i Grubinowi się nie poszczęściło. W mieście panowała niewielka epidemia grypy, przez co orkiestra na pewien czas została pozbawiona klarnecisty i specjalisty od gry na perkusji. Trzeba było tych artystów wypożyczyć z zespołu jazzowego, który grał zwykle w restauracji „Wielki Guslar". Wdarłszy się do orkiestry młodzieńcy ci burzyli wszelkie tradycje, spiesząc się i wybijając z rytmu tubę i litaury, co spowodowało, że w walcu „Na sopkach Mandżurii" pobrzmiewało jakieś synkopowe lekkoduchostwo.

Pełni goryczy koneserzy odeszli od estrady i przysiedli na niebieskiej ławeczce nieopodal kiosku z piwem. Wysokie stoliki dla piwożłopów – jak bez cienia szacunku nazywał ich stary Łożkin – oddzielone były od ławeczki krzakami bzu.

Profesor i Grubin milczeli, pogrążeni w myślach o nauce, sensie życia i innych ważkich problemach, gdy nagle zza krzaków dobiegła ich rozmowa.

Godny basowy głos mówił:

– Pij, Tiupkin, pij, nie krępuj się. Dzisiaj jest mój wielki dzień.

– A co, Edwardzie, masz pomysł, czy coś ci wyszło?

– Mam pomysł.

Za krzakami zapadło milczenie. Widocznie pili piwo.

– A jaki? – rozległo się po pół minucie. Tiupkin miał głos cichy i delikatny.

– Radykalny – odpowiedział Edward. – Postanowiłem przerzucić parę rzeczy na odległość. Na przykład do Saratowa.

– Oho – cichutko szepnął Grubin.

– Zawsze pana szanowałem, Edwardzie, ale to jest chyba niemożliwe – wyszemrał Tiupkin.

– Śmiały lot myśli nie zna granic ni kordonów – odpowiedział skromnie Edward.

– I zamierza pan ten wynalazek wdrażać?

– Daj mi miesiąc – odparł Edward. – W ciągu miesiąca rozgryzę ten problem jak orzech. A na razie – sza! Sam rozumiesz, wszędzie tylu nieżyczliwych zawistników...

– Jasne, Edwardzie, jasne... – zgodził się Tiupkin.

Kufle brzęknęły o stolik, rozległy się kroki i już z pewnej odległości doszedł podsłuchujących głosik Tiupkina:

– A w jaki sposób dowiem się o sukcesie pańskiego doświadczenia?

– Za miesiąc, w tym samym miejscu – odpowiedział Edward. – I o tej samej porze. Powiem wtedy – udało się czy nie.

Przez pewien czas profesor Minc i Grubin siedzieli wstrząśnięci. Pierwszy oprzytomniał Grubin:

– No nie! Obłędna liczba geniuszy, jak na takie małe miasteczko! Wbrew prawom statystyki. I do tego jeszcze go nie znam!

– Ja też go nie znam – powiedział profesor. – Nigdy nie słyszałem tego głosu. Ale rzecz nie w liczbie geniuszów. Rzecz w tym, że transmisja czegokolwiek materialnego na odległość jest niemożliwa.

– Dlaczego? – zainteresował się Grubin.

– Bo gdyby było inaczej, dawno by to już ktoś wynalazł.

To był argument. Trudno było Grubinowi z nim się spierać. Przy czym na spór wcale nie miał ochoty. Głęboko szanował profesora Minca jako człowieka i jako wielki umysł.

– Ale jeżeli... – podjął bez przekonania.

– Jeżeli to jest możliwe, to wynajdę to ja! Choćby dlatego, żeby dowieść samemu sobie wyższość solidnej wiedzy nad dyletantyzmem. Posiadam metodologię...

– Ale przypuśćmy, że ten Edward ma talent...

– Możemy przypuścić – powściągliwie zgodził się profesor i pośpieszył do domu.

Lew Chrystoforowicz w ciągu następnych dni dosłownie przepadł. Rano gnał do sklepu po kefir, potem odwiedzał pocztę, gdzie odbierał przysyłane z Moskwy rzadkie urządzenia i części, i z powrotem pędził do swego gabinetu-laboratorium. Gdybyście przeszli po korytarzu, usłyszelibyście, jak profesor mruczy, dyskutuje sam ze sobą i z niewidzialnymi oponentami.

Tak minęły dwadzieścia cztery dni. Wszyscy mieszkańcy domu przy ulicy Puszkina 16 znali przyczynę, dla której Minc wybrał życie pustelnika – Grubin wszystko doniósł. Czekali z niecierpliwością rezultatów zaocznych zmagań dwóch tytanów – nieznanego Edwarda i powszechnie lubianego Lwa Chrystoforowicza. Grubin z Udałowem chodzili nieraz pod kiosk z piwem, ale nikogo podobnego do Edwarda i Tiupkina nie spotkali. Doszli więc do wniosku, że Edward również porzucił świat dla swego laboratorium.

Dwudziestego piątego dnia profesor wynurzył się z gabinetu i udał na podwórze, gdzie jego sąsiedzi grali w domino, oświetleni czerwonozłotymi promieniami zachodzącego słońca. Gracze zamarli, wpatrując się w poszarzałą z wysiłku umysłowego twarz Lwa Chrystoforowicza.

– No i co? – przerwał dramatyczną ciszę Udałow.

Profesor westchnął, nie był bowiem nadmiernie skromny.

– Trzeba będzie jeszcze popracować? – zapytał Grubin.

– Trzeba będzie – odrzekł profesor. – Chodźcie do mnie.

Na środku pokoju stało dziwaczne urządzenie. Na dwóch końcach poziomego stojaka, oplątanego kablami przyrządów i prowizorycznie umocowanymi płytkami drukowanymi, wspierały się niewielkie platformy.

– Oto odległość – wyjaśnił profesor – na którą mogę przesłać materię. Taki jest stan na dzień dzisiejszy.

Wziął ze stołu butelkę kefiru, włączył prąd i nacisnął kilka guziczków. Urządzenie głucho zabrzęczało i butelka zniknęła z platformy, pojawiając się natychmiast na drugiej.

Rozległy się huczne oklaski. Grubin i Udałow gorąco gratulowali profesorowi fundamentalnego dla nauki odkrycia.

– Dzisiaj metr – powiedział Udałow – a jutro – na Księżyc!

– Ma pan oczywiście rację – zgodził się Minc. – Ale do Saratowa jeszcze kawał. Nawet sobie przyjaciele nie wyobrażacie, ile na to potrzeba energii!

– Z tego wynika, że Edwardowi też nic nie wyjdzie – zamyślił się Grubin. – W tej sytuacji pan jest Apollinem, Lwie Chrystoforowiczu.

– A on Marsjaszem? – Lew Chrystoforowicz popatrzył na zakurzoną fujarkę, walającą się po parapecie. – Nie, nigdy nie zdarłbym skóry z człowieka, który życie poświęcił nauce. Nawet jeśli się myli, jeśli przecenił swe siły. Niech śmiało kroczy naprzód.

– Mogę spróbować? – spytał Udałow.

– Bardzo proszę – pozwolił profesor. – Tę dźwignię niech pan przesunie w pobliże zera, a ten klawisz naciśnie, ale nie do końca.

Udałow podszedł do urządzenia, ale nie wytrzymał, dźwignię przesunął poza punkt zerowy, a klawisz wdusił do oporu. Butelka zniknęła, ale nie pojawiła się na drugiej platformie. Za to z podwórka rozległ się brzęk i wściekły ryk.

Stał tam oblany od stóp do głów kefirem emeryt Łożkin i jakby się na coś złościł.

Trzeba go było przeprosić i w ramach rekompensaty pozwolić mu na teleportację własnego zegarka.

– Zrobimy większą dźwignię – zadecydował Udałow – i jutro dojdziemy do stu metrów.

Nie był wcale zmieszany i nie miał poczucia winy. Uczestniczył. A życzliwy ludziom Sasza Grubin poleciał do sklepu po kefir, żeby profesor miał coś do picia na rano.

Napięcie rosło. Zbliżał się dzień, w którym pod budkę z piwem przybyć miał rywal profesora. Jak on się trzyma? Co z Saratowem? A może się nie udało? A może fiasko?

Z jednej strony wszyscy chcieli fiaska. Człowiek istota słaba i patrioci domu przy Puszkina 16 życzyli zwycięstwa swemu profesorowi. Z drugiej strony wrodzone poczucie sprawiedliwości mówiło im, że zwycięstwo powinno należeć do nieznanego samouka.

Dokładnie w miesiąc po przypadkowym podsłuchaniu rozmowy w parku Minc, Grubin i Udałow przyszli na tę samą niebieską ławeczkę. Był przyjemny ciepły wieczór i po piwo ustawiła się kolejka. Sąsiedzi podeszli do pierwszego stolika z brzegu. Stał przy nim nieduży, zgarbiony facet, samotnie pijący piwo.

– Tiupkin? – zapytał Udałow.

– Nazywam się Tiupkin – przytaknął tamten lękliwie. – Ale ja nie mam z tym nic wspólnego.

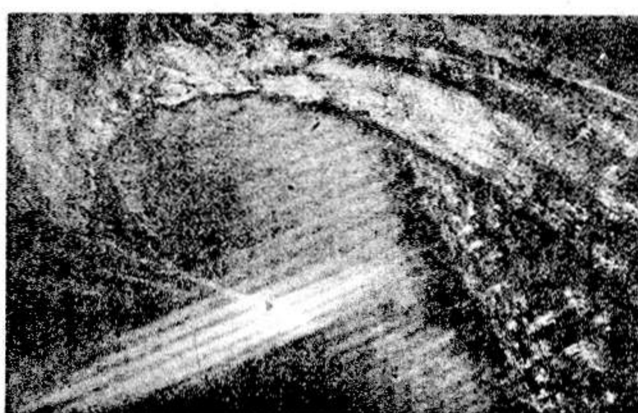
– Edward przyjdzie?

Tiupkin zamrugał nerwowo, ale nic nie odpowiedział.
- Spokojnie - powiedział Grubin. - Do pana nic nie mamy. Potrzebny nam Edward. A właściwie nie tyle on, co jego odkrycie.
- Ja tam nic nie wiem! - pisnął Tiupkin. - To nie moja sprawa!
- Nieprawda - powiedział Udałow. - Edward wyznaczył tu panu spotkanie na okoliczność swojego pomysłu o przesyłaniu różnych rzeczy na odległość. A dokładnie - do Saratowa. Jesteśmy ciekawi, czy mu się to udało...
Malutki Tiupkin nagle skoczył i rzucił się w krzaki przy estradzie.
Tak w ogóle to poważnym ludziom nie bardzo przystoi uganiać się po parku za jakimś Tiupkinem, ale tym razem szło o wynalazek na skalę światową. I dlatego należało się uganiać.
Dopadli Tiupkina na brzegu rzeki, gdzie usiłował schować się pod ławkę.
- I po co to - perswadował Udałow, wyciągając człowieka spod owej ławki. - Tylko się przyznaj i idź z Bogiem. Nie chcemy twojej krzywdy.
- Chcecie! - zaszczekał zębami Tiupkin. - Ale ja nic nie wiem. Ja tylko tak z nim gadałem. Prawie człowieka nie znam...
- Spokojnie - zmarszczył czoło Grubin - wszystko po kolei.
- Jak było po kolei, to zapytajcie na milicji - powiedział Tiupkin. - Dzisiaj go wzięli. Zaraz po obiedzie.
- Co?! Takiego uczonego!? - profesorem Mincem aż zatrzęsło ze słusznego gniewu. - Gdzie go trzymają? Zaraz go stamtąd wyciągniemy!
- Nie wyciągniecie - powiedział Tiupkin. - Złapali go na gorącym uczynku. Akurat wysyłał ze swojego magazynu takie różne rzeczy do Saratowa.
- Z magazynu...? - Udałow nachmurzył się. Zaczęło do niego docierać, że padli ofiarami tragikomicznej pomyłki.
- A niby skąd? - powiedział Tiupkin. - Był magazynierem. Kradł, co mu wpadło w ręce. Paskudny typ, ale z rozmachem.
Wracając do domu sąsiedzi żywo dyskutowali niedawne wydarzenia i Grubin zauważył:
- Nie będę protestował, jeżeli z tego akurat Marsjasza zedrą skórę. Ale w sumie odegrał pozytywną rolę w rozwoju nauki.
- Słusznie - zgodził się Udałow. - Gdyby nie on, Lew Chrystoforowicz nie wziąłby się za te eksperymenty.
- A to dlaczego? - obraził się nagle profesor. - Pomysł leżał na ulicy. Stamtąd go wziąłem i zmaterializowałem. Gdyby problem teleportacji nie tkwił głęboko w mojej podświadomości, od razu bym się połapał, z kim mamy do czynienia.
W tym momencie z nieba na ulicę spadł kociak, miauknął i rzucił się do ucieczki.
- Pędem do domu! - wrzasnął Udałow. - Niepełnoletni Gawryłow wdarł się do pana gabinetu! Jeżeli go nie powstrzymamy, przetelportuje wszystko, co jest w pokoju!
I sąsiedzi pocwałowali do domu.

Timeo Danaos...

Kir Bułyczow

Pewnego wrześniowego piątku w okolicach godziny siedemnastej spadł deszcz. Ochłodziło się. Udałow wracał właśnie z pracy i mocno żałował, że nie wziął parasola. Przeczekiwanie deszczu nie miało sensu - najwidoczniej zaciągnęło się na długo - i lepiej było trochę zmoknąć, ale jak najszybciej dotrzeć do domu przy Puszkina 16.
Kiedy Udałow przebiegł przez plac, usłyszał nad sobą jakiś huk, podniósł głowę i w ten sposób stał się pierwszym mieszkańcem Wielkiego Guslaru, który zobaczył, jak na plac opada Konstrukcja.
Chmury przysłoniły statek kosmiczny i problem, czy zbliżył się on do Guslaru, czy tylko upuścił Konstrukcję, pozostał nierozwiązany.
Ledwie Udałow zdążył uskoczyć w stronę muzeum, gdy Konstrukcja ciężko gruchnęła na asfalt. Asfalt nie wytrzymał i promieniście popękał.
Udałow z zapartym tchem przyglądał się Konstrukcji.
Nie wyglądała sympatycznie. Z centralnego słupa sterczały pod ostrymi kątami osie i sworznie, pełne kół i kulek, które, gdy tylko



A. Sokołow

Konstrukcja znieruchomiała, zaczęły obracać się z rozmaitymi prędkościami. Konstrukcja cała była czarna, tylko gdzieniegdzie przebłyskiwał metal. Miała około pięciu metrów i cicho, ale przenikliwie brzęczała.
Udałow zapomniał o deszczu, zastanawiając się, czym z grubsza jest ta Konstrukcja i w jaki sposób może zagrozić ludności miasta Wielki Guslar. Niczego jednak nie mógł wymyśleć z tej prostej przyczyny, że coś takiego widział po raz pierwszy w życiu. Wyrwały go z zadumy zdziwione głosy zgromadzonych na placu guślarzan. Błyskawicznie zbiegła się kupa narodu i przybyły na miejsce wypadku sierżant milicji Pierepiełkin odgrodził środek placu sznurem na słupkach, żeby nikt nie zbliżał się do Konstrukcji przed przybyciem uczonych.
Pierwsi naukowcy ściągnęli helikopterami już wieczorem, reszta, mniej operatywna, dobiła nad ranem autobusami i służbowymi samochodami. Od tego momentu plac zaroił się od specjalistów wszelkich możliwych dziedzin nauki. W dodatku trzeba było chronić Konstrukcję przed ciekawością gapiów i turystów. Jednak mimo surowych zakazów i szczelnej ochrony, trzeciego dnia na metalu Konstrukcji pojawiły się dwa napisy. Jeden z nich komentował krótko osobiste stosunki jakiegoś Pieti z jakąś Lusią, a drugi był jeszcze bardziej lakoniczny: *„Byliśmy tu. Kola, Ira i Szliapikow z Syzrania".*
Ponieważ metalu Konstrukcji nie można było zarysować żadnym świdrem ani wiertłem, pozostało słodką tajemnicą Pieti i Szliapikowa z kolegami, w jaki sposób udało im się uwiecznić swe imiona na powierzchni Konstrukcji. Poszukiwania Szliapikowa trwają.

Kiedy uczeni oglądali, mierzyli i drapali Konstrukcję, w domu przy ulicy Puszkina 16 prowadzono gorące dyskusje na jej temat. Rozważano, dlaczego mianowicie i w jakim cel zrzucono Konstrukcję z Komosu i czy stanowi ona zagrożenie dla Ziemi - w ogóle, i dla Wielkiego Guslaru - w szczególności.
Romantycznie nastawiony do rzeczywistości Udałow przemierzał krótkimi, energicznymi krokami zagracony gabinet profesora Minca i perorował:
- Podstawowe uczucie w Kosmosie - to pragnienie współpracy, przyjaźni. Spotkałem się z kilkoma Kosmitami, mało który był do nas nastawiony negatywnie.
- To jeszcze o niczym nie świadczy - zauważył znany sceptyk, emeryt Łożkin.
- W tym powinien być jakiś cel... - zamyślił się profesor Minc, przyglądając się uważnie fotografii Konstrukcji. Nie można jej było obejrzeć w naturze, ponieważ uczeni dla ochrony przed turystami przykryli Konstrukcję brezentową kopułą, służącą dawniej jako namiot przyjeżdżającym do miasta cyrkom.
- Dlaczego zrzucili na Ziemię tę paskudną dla naszego nieprzywykłego oka Konstrukcję? - ciągnął Udałow. - Mieli tylko jeden cel: wzbogacić nas.
- Wzbogacić? - spytał Grubin. - Jeżeli wzbogacić, to o co?
- O zdobycze postępu kosmicznego.
- Bzdura - powiedział profesor Minc. - Jak ja mam kogoś o cokolwiek wzbogacać, to przyczepiam do urządzenia jakąś karteczkę z wyjaśnieniem. W zrozumiałym języku. Po diabła nam wzbogacenie, jeżeli nie mamy pojęcia, o co nas wzbogacają?
- I o to chodzi! - krzyknął radośnie Udałow. - Tu właśnie jest pies pogrzebany! Na pierwszy rzut oka - bzdura, a tu wszystko precyzyjnie przemyślano. Wystawcie sobie: siedzą na tej swojej planecie nasi wyżej zorganizowani bracia w rozumie i myślą: dorosła już Ziemia do poziomu cywilizacji kosmicznej? Można jej zaproponować galaktyczną współpracę? I jak znaleźć odpowiedź na takie pytania?
- Przyjechać i zapytać - powiedział Grubin.
- Zapytają ciebie, a czy ty jesteś obiektywny? Sfałszujesz cały obraz.

– Przecież ja nie kłamię – zaperzył się Grubin.
– Wprowadzisz w błąd. Każdy z nas wprowadzi w błąd. Przy tym jesteśmy niedoinformowani. Ja na przykład nie śledzę ostatnich osiągnięć mechaniki teoretycznej. Być może Lew Chrystoforowicz... Ale i on... No, spróbuj znaleźć kogoś miarodajnego.
– Aha – powiedział Minc. – Takiego niełatwo znaleźć.
– I tu przysyłają nam Konstrukcję. Takiej jeszcze nie widzieliśmy. I tę właśnie Konstrukcję powinniśmy rozszyfrować i uruchomić. To nieważne, do czego ona służy: może sadzi drzewa, może kopie dołki w ziemi, wszystko jedno. Ale oni siedzą i przyglądają się nam: sprawdzimy się, czy się nie sprawdzimy? Sprawdzimy się – wszystkie drogi rozwoju naukowego i gospodarczego staną przed nami otworem. Nie sprawdzimy się – przyjdzie jeszcze ze sto lat poczekać...
Wszyscy się zadumali. Idea Udałowa brzmiała pociągająco. Coś w niej było... Tylko uparty Łożkin zauważył:
– To w końcu po co spuścili ją nam? Powinni byli dać ją do Moskwy albo Paryża. Tam są specjaliści i miasta większe.
– Nie masz racji, Łożkin – powiedział Udałow. – Drogą losowania wybrali najzwyczajniejsze miasto i najzwyczajniejszych ludzi. Zresztą, co to zmienia, że to nie Moskwa. Spójrz tylko na hotel – zabity członkami akademii, po trzy sztuki w jednym łóżku śpi.
– Rozumiem – wyszeptał Minc. – Wszystko zrozumiałem...
Podniósł się, podszedł do okna, wziął z parapetu własnoręcznie wykonaną fujarkę, wetknął ją do kieszeni zamszowej marynarki, powiódł pełnym zadumy wzrokiem po obecnych i wyjaśnił:
– Konstrukcję spuszczono właśnie tutaj, ponieważ tamci wiedzą, że w tym miasteczku mieszkam ja. A pytania zostały zadane mnie – skromnemu Marsjaszowi. Niestety, całe zebrane stadko Apollinów jest tu bezsilne.
Mówiąc to profesor wyszedł z pokoju, a Udałow zapytał:
– A ten Marsjasz, to kto?
– Bóg wojny – wyjaśnił Łożkin. – Tylko on siebie przecenia. Tamci to akademicy, a on kto? Prosty profesor.
– Marsjasz też był tylko prostym satyrem, grającym na fujarce – powiedział Grubin. – Apollo obdarł go za to ze skóry.
– Aż tak niedobrze!? – zdenerwował się Udałow. – Ojej!

Akademicy Konstrukcję obmierzyli, zbadali, nawet się do niej przyzwyczaili, ale za nic nie mogli dojść do żadnych wniosków. Minc prawie ich nie zauważał, choć z niejednym razem studiował na Uniwersytecie. Myślał.
Konstrukcja spokojnie stała na placu, poskrzypując z cicha pod brezentowym namiotem, emeryt Łożkin obchodził ją z daleka, ponieważ nie miał zaufania do niosących dary Danaów, a Lew Chrystoforowicz zbudował w zaciszu gabinetu dwadzieścia modeli Konstrukcji i spędzał bezsenne noce na przyglądaniu się im i rozmyślaniu, do czego to właściwie może służyć.
I kiedy po miesiącu dowiedziawszy się o Konstrukcji wszystkiego, czego można się było dowiedzieć i nie doszedłszy do żadnych wniosków, poza stwierdzeniem, że jest to przedmiot nieznanego pochodzenia i przeznaczenia, akademicy zebrali się pod cyrkowym namiotem na ostatnią naradę, wkroczył na arenę profesor Minc z ogromną walizą w ręce. Dopóki członkowie Akademii dzielili się końcowymi spostrzeżeniami, siedział spokojnie pod ścianą i obracał w palcach fujarkę. Potem poprosił o głos.
– Szanowni koledzy! – powiedział. – Nie ujmując niczego waszej erudycji i szlachetnemu pędowi do wiedzy, chciałem zwrócić waszą uwagę na pewien błąd metodologiczny, którego ofiarą padliście kolektywnie. A priori uznaliście Konstrukcję za nieznany, zagadkowy przedmiot, nie mający praktycznego zastosowania. Ja zaś uważam, że Konstrukcja jest wyzwaniem, rzuconym naszemu intelektowi, naszej wynalazczości i rozumowi. Skoro nie została tu zrzucona przypadkowo, obowiązkiem naszym jest przyjąć to wyzwanie. Wyście się od tego uchylili. Więc cały ciężar problemu przyszło mi wziąć na swoje barki.
Wygłosiwszy owo przemówienie profesor Minc otworzył walizę, a akademicy powściągliwie wyrazili swoje nieukontentowanie nader pewnym siebie tonem i manierami swego prowincjonalnego kolegi.
Lew Chrystoforowicz wyciągnął kilkanaście modeli Konstrukcji – tak od trzech centymetrów do pół metra – i położył je na asfalcie obok ich olbrzymiego prototypu.
– Koledzy – powiedział. – Odkryłem, że nasi kosmiczni egzaminatorzy okazali się o wiele chytrzejsi, niż na początku podejrzewałem. Konstrukcję da się praktycznie wykorzystać nie na jeden, a na co najmniej dwadzieścia sposobów.
Profesor ujął najmniejszy modelik, zgrabnie wyciągnął z kieszeni igłę z nitką, wetknął ją w model i, na oczach oszołomionych akademików, błyskawicznie zacerował tym urządzeniem dziurę w kurtynie, przy której jeszcze niedawno ustawiali się uniformiści.
– To – wyjaśnił – równa się rewolucji w przemyśle włókienniczym. Nie mnie dziękujcie. Dziękujcie naszym kosmicznym braciom.
Mówiąc te słowa wziął do ręki drugi model.
– Przedstawiam panom – oznajmił – rewelacyjne nożyce do strzyżenia owiec.
Wybrał z dostojnego grona chlubę nauki obdarzoną nader bujną czupryną i przesunął model Konstrukcji nad głową uczonego kolegi. Kolega ujrzał się nagle ostrzyżonym na zero, od czego popadł w głęboką dystrakcję.
– Dalej – powiedział Minc, odkładając model drugi i biorąc się za trzeci – widzimy coś w rodzaju mechanicznego kreta, niezwykle przydatnego przy budowie rurociągów.
Lew Chrystoforowicz położył model na ziemi, nacisnął go, a ten z zapałem wgryzł się w asfalt, znikając wszystkim z oczu, aby po piętnastu minutach pojawić się na powierzchni w odległości jakichś stu metrów od Minca.
– A teraz... – mówił Minc, podnosząc czwarty model...
Taka nieprawdopodobna erupcja talentu wynalazczego kompletnie odjęła członkom Akademii zdolność mówienia. Krótko mówiąc – zatkało ich. Pod cyrkowym namiotem zapadła grobowa cisza. Nagle nad głowami zebranych rozległ się głuchy ryk. Minc zamarł. Członkowie Akademii zerwali się na równe nogi. Sierżant milicji, Pierepiełkin wpadł do namiotu i krzyknął:
– Statek kosmiczny nieznanej konstrukcji!
Wszyscy wybiegli na zewnątrz, obserwując, jak podobny do jaskrawo pomalowanego dziennego bąka pojazd kosmiczny ostrożnie ląduje na placu.
Z tłumu wystąpił Minc. Nikt nie ośmielił się zatrzymywać go w godzinie galaktycznego święta. Uśmiechając się zagadkowo, profesor kręcił w palcach fujarkę.
Luk otworzył się. Wyszedł z niego kosmita w stroju dość niedbałym, a do tego jeszcze bosy. Uprzejmie skłonił się zebranym, rozejrzał się i zapytał:
– Gdzie?
– Tam! – odpowiedział Minc, wskazując cyrkowy namiot.
– Ach, tak! – powiedział przybysz i wykonał niewielki ruch palcem wskazującym. Namiot znikł i natychmiast pojawił się – schludnie złożony – w odległości mniej więcej stu metrów od Konstrukcji.
– To niepotrzebne – oznajmił gość z innej planety. – Ona nie boi się deszczu i zimna. To rzecz nie do zdarcia. Ale w każdym razie dziękuję.
Przybysz przechylił głowę i przyjrzał się Konstrukcji. Potem przeniósł wzrok na profesora Minca, który wyjął z kieszeni maleńki model, mający stanowić rewolucję w przemyśle włókienniczym.
– Zuch! – powiedział z uśmiechem kosmita. – Podobna... Bardzo podobna. Pan jest kopistą?
– Nie. – Minc też uśmiechnął się w odpowiedzi. – Swego rodzaju racjonalizatorem.
– No, no... – powiedział przybysz. – Myślałem, że ją stąd zabiorę.
Potem wyjaśnił:
– Popełniono pomyłkę. Pocztarze mieli ją dostarczyć na Sperlekide, a zrzucili w innym sektorze. Pomyślałem, że ją wezmę i postawię, gdzie trzeba. A tu okazało się, że wam się spodobała. Robicie kopie, trzymacie na placu pod brezentem. Bardzo dziękuję!
– Wyczuwamy sprawę – powiedział Minc.
– Czucie Sztuki to wielki dar Kosmosu – przyznał przybysz. – Oddałem tej rzeźbie dwa lata życia!
Minc po cichutku schował do kieszeni maleńki model Konstrukcji. Osmyczony akademik znacząco chrząknął. Kosmiczny rzeźbiarz omiótł plac wzrokiem i powiedział:
– Ale myśleć kategoriami wielkich form toście się jeszcze nie nauczyli. Zaraz to naprawimy!
Jednym ruchem palca przeniósł cerkiew Paraskewy Piatnicy na przeciwległy brzeg rzeki Guś, drugim – usunął z placu zabytkowy gmach muzeum. Trzeci ruch palca unicestwił stary zajazd. Teraz już nic nie przeszkadzało mieszkańcom Wielkiego Guslaru w podziwianiu Konstrukcji z każdego punktu miasta...
A potem wziął i odleciał.

Konstrukcja stoi na placu po dziś dzień. Właściwie mało komu się podoba, ale oddać na złom kosmiczny dar jakoś niezręcznie.
Tyko profesor Minc swoją samodzielnie wykonaną fujarkę wrzucił do rzeki Guś.

Przełożyła Anita Tyszkowska

■

Nie było czasu na dalsze rozmowy, czułem, że z każdą chwilą słabnę coraz bardziej i już z trudnością panuję nad swym umysłem. Upadłem na kolana i skupiając resztkę woli wysłałem dziewięć fal myślowych w stronę tych straszliwych drzwi. Marsjanin podczołgał się ku mnie i w śmiertelnej ciszy, z oczyma wlepionymi w płaszczyznę przed nami czekaliśmy na efekt moich wysiłków. Drzwi drgnęły i zaczęły się powoli cofać. Usiłowałem wstać i pójść w ślad za nimi, ale byłem zbyt słaby.

– Idź za nimi – powiedziałem do mego towarzysza. – Jeśli uda ci się dotrzeć do pomp, odkręć je wszystkie. Jest to jedyna szansa na to, by jutro Barsoom jeszcze istniał.

Z miejsca, w którym leżałem, otworzyłem drugie drzwi, a potem trzecie i patrzyłem, jak człowiek, który uosabiał nadzieję Barsoomu przeczołguje się przez nie z wysiłkiem. Potem wszystko pociemniało i straciłem przytomność.

Pieczara w Arizonie

Gdy znów otworzyłem oczy, wokół panowała ciemność. Na ciele miałem dziwne, sztywne szaty – szaty, które kruszyły się i rozsypywały w proch przy każdym poruszeniu. Przeciągnąłem dłońmi wzdłuż ciała i stwierdziłem, że jestem ubrany od stóp do głów, mimo że w chwili, w której straciłem przytomność przed małymi drzwiami, byłem całkowicie nagi.

Przed sobą zauważyłem nierówny otwór, przez który prześwitywało słabe światło księżyca. Moje ręce, wędrujące po ciele, natrafiły na kieszenie i znalazły małą paczkę zapałek, owiniętą w naoliwiony papier. Potarłem jedną z nich. Nikły płomień oświetlił coś, co zdawało się być dużą pieczarą. W jej głębi zauważyłem dziwną, nieruchomą postać, skuloną na małej ławce. Podszedłem bliżej i stwierdziłem, że były to zmumifikowane zwłoki starej kobiety o długich czarnych włosach, pochylone nad pozostałościami paleniska, na którym stał miedziany kociołek z małą ilością jakiegoś zielonego proszku na dnie.

Za nią, wzdłuż całej pieczary, na podwieszonym u pułapu rzemiennym pasie wisiały ludzkie szkielety. Do rzemienia przywiązany był sznur, którego drugi koniec tkwił w dłoni martwej kobiety. Gdy go dotknąłem, szkielety poruszyły się, wydając odgłos, podobny do szelestu zwiędłych liści.

Był to groteskowy, a jednocześnie pełen grozy widok. Czym prędzej uciekłem z tego makabrycznego miejsca na świeże powietrze. Widok, który ujrzałem, gdy wyszedłem na małą, skalną półkę przed wejściem do pieczary, zaskoczył mnie i skonsternował.

Przed sobą widziałem nowe niebo i nowy krajobraz. W oddali srebrzył się łańcuch gór, na niebie wisiał niemal nieruchomy księżyc, oświetlając leżącą u moich stóp, porośniętą kaktusami dolinę – widok zupełnie różny od tych, do których przywykłem na Marsie. Przypomniałem sobie wszystko i złapawszy się za głowę, złamany i pełen smutku, poszedłem w dół drogą, zaczynającą się u wejścia do pieczary.

Nade mną błyszczało czerwone oko Marsa, odległe o czterdzieści osiem milionów mil, starannie ukrywające odpowiedź na dręczące mnie pytania.

Czy Marsjanin dotarł do pomieszczenia, w którym znajdowały się pompy? Czy ożywcze powietrze zostało dostarczone na czas, by uratować mieszkańców tej odległej planety? Czy moja Dejah Thoris żyła, czy też jej piękne ciało, ogarnięte chłodem śmierci spoczywało obok małego inkubatora w ogrodzie na dziedzińcu pałacu Tardos Morsa, jeddaka Helium?.

Przez dziesięć lat czekałem i modliłem się o odpowiedź na moje pytania. Przez dziesięć lat czekałem i modliłem się, by Bóg pozwolił mi wrócić do świata mojej utraconej miłości. Wolałbym leżeć martwy obok Dejah Thoris, niż żyć na Ziemi, oddalony od niej o miliony straszliwych mil.

Stara kopalnia, którą zastałem nietkniętą, uczyniła mnie bardzo bogatym, lecz cóż mi po majątku!

Dzisiaj gdy siedzę tutaj, w moim małym gabinecie, którego okna spoglądają na rzekę Hudson, mija właśnie dwadzieścia lat od chwili, w której po raz pierwszy otworzyłem oczy na Barsoomie. Przez okno przy biurku widzę go – błyszczy na niebie i wydaje mi się, że dziś wzywa mnie tak, jak jeszcze nigdy dotąd od tej strasznej nocy i że przez bezmiar przestrzeni widzę piękną, czarnowłosą kobietę, stojącą w pałacowym ogrodzie, a przy niej małego chłopca. Oplata matkę ramionami, a ona wskazuje w niebo, ku planecie, nazywającej się Ziemia. U ich stóp leży wielka, straszliwie brzydka bestia o złotym sercu. Wierzę, że na mnie czekają i mam dziwne wrażenie, że wkrótce będę się mógł o tym przekonać.

KONIEC

Moja matka była niska i drobna, zbyt drobna, by jej pozwolono wziąć na siebie obowiązki macierzyństwa, gdyż nasi wodzowie w pierwszym rzędzie zwracają uwagę na wzrost. Charakter również miała nie tak zimny i bezwzględny, jak większość zielonych kobiet. Nie garnęła się specjalnie do towarzystwa, często spacerowała samotnie po opustoszałych ulicach Tharku albo szła na pobliskie wzgórza i siadywała wśród pokrywających je dzikich kwiatów. Rozmyślała wtedy i marzyła o czymś, co, jak sądzę, tylko ja jedna mogłabym dzisiaj zrozumieć. Przecież jestem jej córką.

I tam, na wzgórzach, spotkała młodego wojownika, którego obowiązkiem było pilnowanie pasących się thoatów i zitidarów, by nie odchodziły zbyt daleko. Z początku rozmawiali tylko o rzeczach, które dotyczyły całej społeczności tharkijskiej, ale stopniowo, gdy spotykali się coraz częściej i coraz mniej przypadkowo, co wkrótce stało się jasne dla obojga, ich rozmowy zaczęły się obracać wokół nich samych, ich upodobań, ambicji i nadziei. Ufała mu i powiedziała o odrazie, jaką czuje do popełnianych przez naszą rasę okrucieństw, do strasznego, pozbawionego miłości życia, jakie muszą prowadzić. Spodziewała się, że on ją potępi, że będzie krzyczał. Jednak zamiast tego objął ją i pocałował. Przez sześć długich lat trzymali swoją miłość w sekrecie. Moja matka należała do świty wielkiego Tal Hajusa, podczas gdy jej kochanek był zwykłym wojownikiem, noszącym tylko własne ozdoby. Gdyby ich odstępstwo od zwyczajów Tharków zostało odkryte, musieliby odpokutować swoją winę na arenie, przed Tal Hajusem i zgromadzonymi tłumami.

Jajo, z którego się wylęgłam, ukryte było pod dużym, szklanym naczyniem na szczycie najwyższej i najtrudniej dostępnej z częściowo zrujnowanych wież starego Tharku. Przeleżało tam przez pięć potrzebnych do inkubacji lat, a moja matka raz do roku przychodziła sprawdzać, czy wszystko jest w porządku. Nie chciała przychodzić częściej, gdyż wiedząc, że popełnia przestępstwo, bała się, że każdy jej krok jest śledzony. Przez ten czas mój ojciec osiągnął wielkie poważanie jako wojownik i zdobył ozdoby kilku dowódców. Jego miłość do matki nie zmalała ani trochę, a jego jedyną ambicją było osiągnięcie takiej pozycji, która pozwoli mu zedrzeć ozdoby z martwego ciała Tal Hajusa, a potem, jako władca Tharków, ogłosić wszystkim o związku z moją matką, a także mocą swojej władzy ochronić dziecko, które w przeciwnym wypadku byłoby zabite natychmiast po wyjściu prawdy na jaw. To było szalone marzenie – w ciągu pięciu krótkich lat osiągnąć pozycję pozwalającą zabrać insygnia Tal Hajusowi, ale ojciec awansował bardzo szybko i wkrótce był liczącym się członkiem rady Tharku. Pewnego jednak dnia nadzieja na szybkie dokonanie tego, o czym marzył, aby ochronić matkę i mnie, rozwiała się. Rozkazano mu udać się z ekspedycją daleko na południe, do lodowej krainy, zaatakować żyjących tam ludzi i odebrać im futra. Tak zawsze postępowali zieloni Barsoomianie – napadali na innych i odbierali im to, co tamci zdobyli własną pracą.

Nie było go przez cztery lata, a gdy wrócił już od trzech lat było po wszystkim. W blisko rok po jego wyjeździe, a na krótko przed powrotem wyprawy, która miała przywieźć dzieci, wylęgłe we wspólnym inkubatorze, jajo pękło. Matka trzymała mnie w dalszym ciągu na wieży i odwiedzała nocami, otaczając miłością, z której zwykłe, społeczne życie odarłoby nas obie. Miała nadzieję, że po powrocie wyprawy do inkubatora, uda jej się dołączyć mnie do dzieci, przydzielonych na dwór Tal Hajusa i w ten sposób uniknąć losu, jaki niechybnie spotkałby nas obie po wykryciu jej sprzeniewierzenia się starożytnym tradycjom zielonych ludzi.

Nauczyła mnie bardzo szybko języka i zwyczajów mojej rasy i pewnej nocy opowiedziała mi historię, którą ci właśnie powtórzyłam. Nakazała mi przy tym, abym zachowała wszystko w najgłębszej tajemnicy i była bardzo ostrożna, gdy już znajdę się wśród innych dzieci. Musiałam się strzec, mówiła, aby nikt nie odgadł, iż jestem bardziej zaawansowana w edukacji niż one, musiałam uważać, by żadnym gestem nie zdradzić w obecności innych moich uczuć do matki ani nawet, że znam swoich rodziców. Potem mnie przytuliła i wyszeptała do ucha imię mojego ojca.

Nagle w ciemność pokoju na szczycie wieży wdarło się światło i zobaczyłam Sarkoję, stojącą w wejściu z utkwionymi w mojej matce, pełnymi nienawiści i złośliwej satysfakcji oczyma. Potoki obelg, które trysnęły chwilę później z jej ust, przeraziły i zmroziły moje młode serce. Było jasne, że słyszała wszystko, o czym mówiłyśmy. Już wcześniej zaczęła podejrzewać matkę, gdyż zauważyła, że niemal każdej nocy znika ona ze swego pokoju na długie godziny. I wreszcie udało się jej nas wyśledzić.

Nie wiedziała tylko, że matka zdążyła mi szepnąć imię mego ojca. Nie usłyszała tego, bowiem powtarzała ciągle żądanie, by matka wyjawiła imię swego partnera w przestępstwie. Ale żadne jej obelgi, ani groźby nie odniosły skutku. Aby uchronić mnie przed bezlitosnymi torturami matka skłamała, mówiąc Sarkoji, że nie wyjawiła tego nawet własnemu dziecku. W końcu Sarkoja odeszła, by donieść o swym odkryciu Tal Hajusowi. Wówczas moja matka schowała mnie wśród jedwabi i futer, w które była ubrana dla ochrony przed nocnym chłodem, wybiegła na ulicę i pognała na południe, ku granicy miasta. Chciała dotrzeć do człowieka, którego nie mogła już prosić o obronę, gdyż to by go zdradziło, ale przed śmiercią chciała jeszcze raz spojrzeć na jego twarz. Zbliżyłyśmy się do południowych krańców Tharku i wtedy od strony jedynego przejścia przez wzgórza, które prowadziło do bram miasta, dobiegł nas kwik thoatów, ryk zitidarów oraz powtarzający się od czasu do czasu brzęk. Wszystkie te odgłosy świadczyły o zbliżaniu się jakiegoś dużego oddziału. W pierwszej chwili matka pomyślała, że to ojciec wraca z ekspedycji, ale wrodzona podejrzliwość Tharków powstrzymała ją od wybiegnięcia mu na spotkanie.

Wycofała się w cień jakiejś bramy i oczekiwała nadejścia kawalkady, która wkrótce wjechała w aleję i złamała szyk, rozsypując się od ściany do ściany. Gdy pierwsze wozy przejeżdżały obok nas, mniejszy księżyc wychylił się właśnie zza dachów i oblał okolicę bladym światłem. Matka schowała się głębiej w cieniu swej kryjówki i zobaczyła, że nie był to oddział mojego ojca, ale karawana wioząca dzieci z inkubatora. Natychmiast podjęła decyzję i gdy jeden z wielkich wozów przejeżdżał blisko naszej kryjówki, wśliznęła się nań i ukryła w cieniu wysokiego boku, przyciskając mnie mocno do piersi.

Wiedziała już to, czego ja wówczas jeszcze nie przeczuwałam – że już nigdy nie będzie mogła mnie przytulić, a być może, że nie będziemy już miały możliwości nawet spojrzeć na siebie. Na placu, wśród ogólnego zamieszania, dołączyła mnie do innych dzieci i już razem z nimi zostałam przeprowadzona do dużego pomieszczenia i nakarmiona przez jedną ze znajdujących się tam kobiet. Następnego dnia wszystkie dzieci przydzielono do orszaków poszczególnych dowódców.

Już nigdy nie zobaczyłam matki. Została uwięziona przez Tal Hajusa. Dokładano wszelkich starań, łącznie z poddawaniem jej najokropniejszym torturom, aby wydrzeć z jej ust imię mego ojca. Milczała jednak i w końcu, podczas jakiejś wymyślnej męczarni umarła, żegnana śmiechem Tal Hajusa i jego dowódców.

Dowiedziałam się później, że powiedziała im, iż mnie zabiła i rzuciła moje ciało białym małpom, aby mnie uchronić od takiego losu, jaki zgotowali dla niej. Tylko Sarkoja jej nie uwierzyła i do dzisiejszego dnia czuję, że podejrzewa, jakie jest moje prawdziwe pochodzenie, ale nie ośmiela się jeszcze poruszyć tej sprawy, gdyż domyśla się również, kto jest moim ojcem.

Byłam obecna przy tym, jak Tal Hajus opowiadał historię matki mojemu ojcu, po jego powrocie z wyprawy. Nawet najmniejszym drgnieniem powieki ojciec nie zdradził swoich uczuć, nie śmiał się jednak, gdy Tal Hajus rozbawiony opowiadał o jej ostatnich mękach. Od tej chwili jest najokrutniejszym z okrutnych, a ja czekam na dzień, w którym zrealizuje swój cel i postawi stopę na trupie Tal Hajusa. Jestem pewna, że czeka tylko na sposobność, aby się okrutnie zemścić i że miłość, która zapłonęła w jego piersi blisko czterdzieści lat temu jest dzisiaj równie silna, jak była wtedy. Jestem tego równie pewna, jak

mi tracili przytomność, zapadając w poprzedzającą zwykle śmierć przez uduszenie nieświadomość.

Dejah Thoris, ja i inni członkowie rodziny królewskiej zebraliśmy się w zamkniętym ogrodzie na wewnętrznym dziedzińcu pałacu. Siedzieliśmy w milczeniu, tylko od czasu do czasu rzucając ściszonym głosem jakieś krótkie zdanie. Wszyscy czuliśmy unoszące się nad nami widmo okrutnej, nieuchronnej śmierci. Nawet Woola zdawał się przeczuwać nadchodzące nieszczęście, tulił się do Dejah Thoris i do mnie, wyjąc żałośnie.

Na prośbę Dejah Thoris inkubator został przyniesiony z dachu naszego pałacu i księżniczka siedziała obok niego, wpatrując się pełnym tęsknoty wzrokiem w rodzące się nowe życie, którego nigdy już nie pozna.

Gdy oddychanie zaczęło już sprawiać wyraźną trudność, Tardos Mors podniósł się i powiedział:

– Pożegnajmy się. Wielkie dni Barsoomu minęły. Słońce, wstając jutro, ujrzy martwy świat, który po wieczne czasy krążył będzie w przestrzeni, pusty i zapomniany. To już koniec.

Ucałował należące do rodziny kobiety, a potem podchodził do mężczyzn, kładąc im na ramionach swe silne dłonie. Odwróciłem się od niego pełen smutku i mój wzrok padł na Dejah Thoris. Jej głowa bezwładnie zwisała na piersi, wydawało się, iż już umarła. Rzuciłem się ku niej z krzykiem i przytuliłem ją mocno. Otworzyła oczy i spojrzała na mnie.

– Pocałuj mnie, Johnie Carter – wyszeptała. – Kocham cię. Jakże okrutne jest to, że musimy się rozłączyć, my, którzy dopiero zaczęliśmy życie w szczęściu i miłości.

Pocałowałem ją i wtedy ogarnęło mnie znajome uczucie – w moich żyłach zagrała wirgińska krew, wróciła odwaga i poczucie dawnej siły.

– Tak się stać nie może! – krzyknąłem. – Musi istnieć jakieś rozwiązanie i John Carter, który wywalczył sobie w obcym świecie twoją miłość, odnajdzie je!

I wtedy z głębi mojej pamięci wypłynęło dziewięć zapomnianych dźwięków. Ich znaczenie, jak błysk rozjaśniającej ciemności błyskawicy, dotarło do mojej świadomości – klucz do trzech ogromnych drzwi fabryki powietrza!

Ciągle trzymając w objęciach moją umierającą księżniczkę odwróciłem się do Tardos Morsa i krzyknąłem:

– Jeddaku, prędko! Rozkaż, aby na dach pałacu natychmiast dostawiono najszybszą latającą maszynę! Może jeszcze będę mógł uratować Barsoom.

Nie zadawał żadnych pytań i w chwilę później któryś z gwardzistów pospieszył do najbliższych hangarów. Mimo iż na dachach budynków powietrze było już bardzo rozrzedzone, udało im się uruchomić najszybszą jednoosobową łódkę zwiadowczą, jaką kiedykolwiek wyprodukowano na Barsoomie. Ucałowałem Dejah Thoris i przykazałem Wooli, który chciał biec za mną, aby jej pilnował, a potem równie sprawnie, jak dawniej, wskoczyłem na dach pałacu i za chwilę leciałem już ku przedmiotowi nadziei całego Barsoomu. Musiałem lecieć bardzo nisko, aby mieć dostateczną ilość powietrza do oddychania, ale na szczęście najkrótsza droga prowadziła nad płaskim dnem wyschniętego morza, więc mogłem szybować zaledwie kilka stóp nad ziemią.

Wyciskałem z łódki wszystkie możliwości, gdyż wiedziałem, że rozgrywam wyścig ze śmiercią. Przez cały czas miałem przed oczyma twarz Dejah Thoris. Odwróciwszy się ostatni raz przed opuszczeniem ogrodu pałacowego zobaczyłem, że księżniczka zachwiała się i osunęła na ziemię tuż obok małego inkubatora. Zrozumiałem, że zapadła w omdlenie, które zakończy się śmiercią, jeżeli dostawy powietrza nie zostaną zwiększone, więc teraz wyzbyłem się wszelkiej ostrożności, wyrzuciłem za burtę wszystko poza silnikiem i kompasem, nawet moje ozdoby i insygnia i leżąc na brzuchu, wyciągnięty wzdłuż łodzi, jedną ręką trzymałem ster, a drugą przesuwałem do oporu dźwignię regulującą prędkość. Gnałem przez rozrzedzone powietrze Barsoomu niczym meteor. Na godzinę przed zapadnięciem mroku zobaczyłem wreszcie potężne mury fabryki powietrza, zmniejszyłem prędkość i wylądowałem przed małymi drzwiami, za którymi krył się ratunek dla Barsoomu.

Starano się przebić ścianę tuż obok drzwi, ale ogromna rzesza ludzi zdołała zaledwie zadrasnąć jej twardą jak kamień powierzchnię. Większość z tych ludzi leżała teraz, pogrążona w ostatnim śnie, z którego nawet napływ świeżego powietrza nie mógłby ich obudzić.

Sytuacja była znacznie gorsza niż w Helium. Już prawie nie było czym oddychać. Świadomość zachowało zaledwie kilku robotników.

– Jeżeli otworzę drzwi – spytałem jednego z nich – czy jest tu ktoś, kto potrafiłby uruchomić maszyny?

– Ja mógłbym to zrobić – odpowiedział – jeśli otworzysz je szybko. Zostało mi zaledwie parę chwil życia. Jednak próby są bezcelowe, obaj nadzorujący nie żyją, a prócz nich nikt na Barsoomie nie zna sekretu tych przeklętych zamków.

niewielką grupą dostojników towarzyszył im do samego Tharku, aby umocnić zadzierzgnięte więzy przyjaźni i pokoju.
Wraz z Tars Tarkasem odjechała Sola. Jeddak Tharku oficjalnie, w obecności całej rady plemienia, uznał ją za swą córkę.
Trzy tygodnie później Mors Kajak, dostojnicy oraz Tars Tarkas i Sola wrócili specjalnie wysłanym po nich statkiem bojowym do Helium, aby wziąć udział w uroczystościach, które miały połączyć Dejah Thoris i Johna Cartera.
Przez dziewięć lat uczestniczyłem w radach i walczyłem w siłach zbrojnych Helium jako książę, należący do domu Tardos Morsa. Mieszkańcy Helium zdawali się być niezmordowani w świadczeniu mi uprzejmości, nie było również dnia, w którym nie dostarczaliby nowych dowodów miłości dla mojej księżniczki, niezrównanej Dejah Thoris.
W złotym inkubatorze na dachu naszego pałacu spoczywało śnieżnobiałe jajo. Bez przerwy od niemal pięciu lat trzymało przy nim wartę dziesięciu żołnierzy w gwardii jeddaka, a Dejah Thoris i ja przychodziliśmy tam niemal każdego dnia, by trzymając się za ręce snuć plany na przyszłość i marzyć o dniach, które nastąpią, gdy pęknie skorupka.
Wciąż żywy w mojej pamięci jest obraz owej ostatniej nocy, którą spędziliśmy przy inkubatorze, siedząc blisko siebie, rozmawiając ściszonymi głosami o dziwnym romansie, który związał nas ze sobą i o cudownym zdarzeniu, które miało zwielokrotnić nasze szczęście i spełnić nadzieje.
W pewnej chwili zauważyliśmy jasne światła zbliżającego się statku powietrznego, ale w pierwszej chwili nie zwróciliśmy uwagi na tak codzienny, zwyczajny widok. Jednak statek zbliżał się do Helium z szybkością błyskawicy, co mogło zwiastować, iż przynosi ważne wiadomości. W końcu świetlnymi sygnałami dał znać, że przynosi wieści, przeznaczone dla samego Jeddaka, a potem krążył niespokojnie nad miastem, oczekując na łódź patrolową, która miała mu towarzyszyć do pałacowego lądowiska.
Dziesięć minut po wylądowaniu statku przybiegł posłaniec z poleceniem, abym natychmiast przybył do pokoju narad. Zastałem w nim już niemal wszystkich członków rady. Na ustawionym na podwyższeniu tronie siedział Tardos Mors, a jego twarz wyrażała najwyższy niepokój. Gdy wszyscy zajęli swoje miejsca, przywitał nas i powiedział:
– Dzisiaj rano szereg rządów Barsoomu zostało powiadomionych, że już od dwóch dni nie nadchodzą raporty od nadzorcy fabryki powietrza, bez odpowiedzi pozostają również liczne, kierowane do niego z całego Barsoomu wezwania. Ambasadorowie wielu krajów zwrócili się do nas, abyśmy wzięli tę sprawę w swoje ręce i jak najszybciej przetransportowali do fabryki drugiego nadzorcę, asystenta. Tysiące naszych statków poszukiwało go przez cały dzień, a kilkanaście minut temu jeden z nich wrócił, przywożąc straszliwie okaleczone ciało, które znaleziono w piwnicach pod jego domem. Nie muszę wam tłumaczyć, jakie to wszystko ma dla Barsoomu znaczenie. Przebicie potężnych murów fabryki zajmie kilka miesięcy, ale praca już się rozpoczęła i nie byłoby powodów do obaw, gdyby pompy działały prawidłowo, tak, jak od kilkuset lat. Jednak zdarzyło się to, czego obawialiśmy się najbardziej. Czujniki na całym Barsoomie sygnalizują, że ciśnienie atmosferyczne gwałtownie maleje. Maszyny przestały pracować.
– Moi panowie – zakończył – pozostały nam najwyżej trzy dni życia.
Przez kilka minut w sali panowała absolutna cisza, potem podniósł się jakiś młodzieniec i wznosząc nad głową obnażony miecz zwrócił się do Tardos Morsa:
– Obywatele Helium zawsze szczycili się tym, iż swoim przykładem pokazują całemu Barsoomowi, jak naród czerwonych ludzi powinien żyć, teraz mamy sposobność pokazać wszystkim jak powinien umrzeć. Powróćmy do swoich codziennych obowiązków, jakbyśmy mieli przed sobą jeszcze tysiące pracowitych lat.
Sala rozbrzmiała oklaskami, a ponieważ nie mogliśmy zrobić nic innego, niż rozproszyć strach ludu własnym przykładem, wyszliśmy z sali z uśmiechem na ustach, chociaż serca zżerał nam smutek. Gdy wróciłem do mojego pałacu zorientowałem się, że wieść dotarła już do Dejah Thoris, więc powtórzyłem jej wszystko, co sam usłyszałem.
– Byliśmy bardzo szczęśliwi, Johnie Carter – powiedziała – i dziękuję losowi, bez względu na to, jakim on będzie, że pozwala nam umrzeć razem.
W ciągu następnych dwóch dni zmiana gęstości powietrza była prawie niezauważalna, ale rankiem trzeciego dnia oddychanie na dachach najwyższych budynków sprawiało już poważne trudności. Ulice i place Helium były wypełnione ludźmi. Przerwano wszelkie codzienne zajęcia. Większość mieszkańców Helium dzielnie patrzyła w twarz okrutnemu przeznaczeniu, jednak gdzieniegdzie można było zauważyć kobiety i mężczyzn pogrążonych w cichej, beznadziejnej rozpaczy.
Około południa wielu słabszych fizycznie poczęło mdleć, a godzinę później ludzie Barsoomu tysiąca-

tego, że siedzimy teraz na brzegu starego jak świat, wyschniętego oceanu, w nocy, gdy wszyscy rozsądni ludzie już dawno śpią.
– Sola, czy twój ojciec jest tutaj z nami? – spytałem.
– Tak – odpowiedziała – ale nie wie, kim jestem. Nie wie również, kto wtedy doniósł na matkę do Tal Hajusa. Tylko ja znam imię mego ojca i tylko Tal Hajus, ja i Sarkoja wiemy, kto sprowadził śmierć na kobietę, którą kochał.
Siedzieliśmy przez chwilę w milczeniu. Sola pogrążyła się we wspomnieniach ze swej strasznej przeszłości, a ja myślałem z litością o tych biednych istotach, skazanych przez bezsensowne, okrutne zwyczaje, na życie pełne brutalności i nienawiści.
– Johnie Carter – odezwała się w końcu – jeżeli kiedykolwiek prawdziwy człowiek stąpał po zimnej, umarłej powierzchni Barsoomu, to jesteś nim ty. Wiem, że mogę ci ufać i chcę ci wyjawić imię mego ojca, nie stawiając żadnych warunków. Być może ta wiedza pomoże kiedyś tobie lub jemu, albo Dejah Thoris czy mnie. Jeśli uznasz, że nadeszła odpowiednia chwila i że jest to najlepsze, co możesz zrobić, powiedz je głośno i wszystkim. Ufam ci, gdyż wiem, że nie ciąży nad tobą klątwa absolutnej i bezwzględnej prawdomówności, że potrafisz nawet skłamać, jeżeli kłamstwo może wyzwolić innych od cierpień i smutku. Moim ojcem jest Tars Tarkas.

Planujemy ucieczkę

W dalszej podróży do Tharku nie wydarzyło się już nic szczególnego. Jechaliśmy jeszcze dwadzieścia dni, przecinając dwa wyschnięte morza, przejeżdżając obok kilku zrujnowanych miast, zwykle mniejszych niż Korad. Dwukrotnie minęliśmy słynne marsjańskie drogi wodne, przez ziemskich astronomów zwane kanałami. Gdy zbliżaliśmy się do któregoś z nich, najpierw wysyłano na zwiad wojownika, wyposażonego w potężną lornetę polową, który sprawdzał czy w pobliżu nie ma jakichś dużych oddziałów czerwonych Marsjan. Następnie podjeżdżaliśmy możliwie najbliżej, ale zatrzymywaliśmy się w odległości gwarantującej, że nie zostaniemy przypadkowo dostrzeżeni przez kogoś, kto mógłby się tam znajdować. Czekaliśmy nocy i w ciemnościach ostrożnie zbliżaliśmy się do pasa ziemi uprawnej, odnajdowaliśmy jedną z licznych dróg, przecinających te tereny w regularnych odstępach i przeprawialiśmy się na pola, leżące na drugim brzegu kanału. Pierwsza z tych przepraw zajęła nam pięć godzin, a następna całą noc. Dzień zastał nas, kiedy właśnie opuszczaliśmy ogrodzone wysokim murem pola uprawne. Jechaliśmy w ciemności, więc niewiele mogłem dostrzec. Od czasu do czasu jednak bliższy księżyc, szybko przemierzając niebo Barsoomu, wydobywał z mroku otoczone murami pola i niskie budynki, bardzo przypominające ziemskie farmy. Rosło tam wiele drzew, starannie pielęgnowanych, przy czym niektóre miały wprost zawrotną wysokość. Zgromadzone w zagrodach zwierzęta wyczuwały naszą obecność i witały nas rykiem i pochrapywaniem.
Tylko raz zauważyłem człowieka. Musiał zasnąć na poboczu drogi i, gdy się do niego zbliżyłem, oparł się na jednym łokciu, spojrzał na mnie, potem na zbliżającą się karawanę, zerwał się na nogi i jak szalony pognał wzdłuż drogi, a później przeskoczył pobliski mur ze zręcznością śmiertelnie przerażonego kota. Tharkowie nie zwrócili na niego najmniejszej uwagi, nie byli na wyprawie wojennej. Tylko z tego mogłem wnioskować, że go zauważyli, iż zwiększyli tempo marszu w kierunku niewielkiej, wąskiej pustyni, za którą zaczynało się już królestwo Tal Hajusa.
Przez całą podróż nie zamieniłem z Dejah Thoris ani jednego słowa, gdyż nie dała mi w żaden sposób poznać, że będę mile widziany przy jej wozie. Z drugiej strony moja głupia duma powstrzymywała mnie przed zrobieniem pierwszego kroku. Sądzę, że umiejętność mężczyzny postępowania z kobietami jest odwrotnie proporcjonalna do jego niezależności i odwagi w stosunkach z innymi mężczyznami. Zdarza się często, że zniewieściały słabeusz potrafi wzbudzić zachwyt i oczarować płeć piękną, podczas gdy człowiek silny i odważny, który bez lęku stawia czoła tysiącowi niebezpieczeństw, kryje się w kącie, jak przestraszone dziecko.
W równo trzydzieści dni od chwili mego przybycia na Barsoom wjechaliśmy do starożytnego miasta Thark, wybudowanego przez dawno wymarły naród, ludzi, którym ta zielona zgraja ukradła nawet nazwę. Liczba zielonych Tharkijczyków zbliża się obecnie do trzydziestu tysięcy i są oni podzieleni na dwadzieścia pięć plemion. Każde z nich posiada swego jeda i pewną liczbę niższych rangą dowódców, ale wszystkie podlegają władzy Tal Hajusa, jeddaka Tharku. Pięć plemion ma swoją główną siedzibę w mieście Thark, a pozostałe są rozsiane po innych, opuszczonych przez starożytnych Marsjan miastach, znajdujących się na terenach zarządzanych przez Tal Hajusa.
Na wielki, centralny plac wjechaliśmy wczesnym popołudniem. Nasz powrót nie wzbudził większego



W. M. Trybka

Lądowa armia Zodangi liczyła około miliona żołnierzy, zebranych z całej planety, zewsząd, gdzie sięgały podobne do wstęg drogi wodne, natomiast przeciwko nim stawało niecałe sto tysięcy zielonych wojowników. Posiłki z Helium nie pojawiły się, nie przysłano też żadnej wiadomości.

Dopiero w południe usłyszeliśmy gęstą strzelaninę, dobiegającą z obszaru oddzielającego obóz od miasta. Znaczyło to, że wreszcie nadeszli oczekiwani z taką niecierpliwością sojusznicy. Tars Tarkas wydał rozkaz do następnej szarży i jeszcze raz potężne thoaty poniosły straszliwych jeźdźców na nieprzyjacielskie szańce. W tej samej chwili oddziały z Helium przypuściły szturm z przeciwnej strony i obóz znalazł się między młotem a kowadłem. Zodangańczycy walczyli dzielnie, ale ich opór był daremny.

Równina przed miastem przekształciła się w prawdziwą jatkę, jednak stopniowo walki wygasały i wkrótce ustały zupełnie. Ogromna ilość Zodangańczyków padła lub dostała się do niewoli. Kolumny jeńców pomaszerowały w stronę Helium, a my wjechaliśmy przez główną bramę miasta tryumfalnym pochodem, witani jak bohaterowie. Wzdłuż szerokich ulic tłoczyły się kobiety i ci nieliczni mężczyźni, którym obowiązki nie pozwoliły wziąć udziału w bitwie. Jechaliśmy wśród nie milknących oklasków, obdarowywani ozdobami ze złota, srebra, platyny i drogich kamieni. Miasto szalało z radości.

Największy entuzjazm i podniecenie budzili srodzy Tharkowie. Nigdy przedtem uzbrojony zielony wojownik nie przekroczył bram Helium, a świadomość, że teraz przychodzą oni tutaj jako przyjaciele i sprzymierzeńcy napełniała czerwonych ludzi jeszcze większą radością.

Tego, iż moja niegodna służba dla Dejah Thoris stała się powszechnie wiadoma Heliumitom, dowodziło głośne wykrzykiwanie mego imienia, a także niezliczone ozdoby, wieszane na mnie i moim ogromnym thoacie, gdyż nawet straszliwy wygląd Wooli nie powstrzymywał mieszkańców Helium od tłoczenia się wokół mnie.

Gdy zbliżyliśmy się do pałacu, spotkaliśmy grupę oficerów, którzy pozdrowili nas serdecznie, zwracając się z prośbą, abyśmy zsiedli z thoatów i towarzyszyli im w drodze do Tardos Morsa, który pragnie przekazać nam wyrazy wdzięczności za naszą służbę.

Królewski orszak stał na szczycie wielkich schodów, wiodących ku głównemu wejściu do pałacu i gdy weszliśmy na pierwsze stopnie od orszaku odłączyła się jedna osoba i zaczęła schodzić nam naprzeciw. Był to niemal perfekcyjny okaz mężczyzny: wysoki, prosty jak strzała, wspaniale zbudowany, o ruchach i postawie człowieka, nawykłego rozkazywać innym. Na pierwszy rzut oka rozpoznałem Tardos Morsa, jeddaka Helium.

Pierwszym z naszej grupy, do którego się zwrócił, był Tars Tarkas, a słowa, jakie wypowiedział stanowiły podstawę nowej, trwałej przyjaźni pomiędzy ich rasami.

– Możliwość spotkania największego żyjącego wojownika Marsa – rzekł – jest dla Tardos Morsa bezcennym zaszczytem, ale daleko większe znaczenie ma fakt, iż może on położyć dłoń na ramieniu przyjaciela.

– Jeddaku Helium – odpowiedział Tars Tarkas – to, że zieloni wojownicy poznali znaczenie przyjaźni jest zasługą człowieka, przybyłego z innego świata, jemu Tharkowie zawdzięczają możliwość zrozumienia twoich słów, możliwość doceniania i odwzajemniania uczucia, którym tak hojnie nas obdarzyłeś.

Tardos Mors pozdrowił teraz zielonych jeddaków oraz wszystkich jedów i do każdego z nich zwrócił się ze słowami przyjaźni i szacunku.

Potem podszedł do mnie i położył obie dłonie na moich ramionach.

– Witaj, mój synu – powiedział. – Niech dowodem mojego najwyższego uznania dla ciebie będzie fakt, iż powierzam ci najpiękniejszy klejnot Helium.

Następnie zostaliśmy przedstawieni Mors Kajakowi, jedowi mniejszego Helium i ojcu Dejah Thoris. Szedł on tuż za Tardos Morsem i zauważyłem, że okazywał jeszcze większe wzruszenie niż jego ojciec. Kilkakrotnie próbował wyrazić mi swoją wdzięczność, ale głos mu się załamywał i nie mógł powiedzieć ani słowa, chociaż jako wojownik słynął z wielkiej odwagi i okrucieństwa. Jak całe Helium uwielbiał swoją córkę i nie mógł bez głębokiego wzruszenia myśleć o tym, czego uniknęła.

Od radości ku śmierci

Przez dziesięć dni plemię z Tharku i jego dzicy sojusznicy byli fetowani i ugaszczani, a potem, obładowani kosztownymi prezentami i odprowadzani przez dziesięć tysięcy żołnierzy z Helium pod dowództwem Mors Kajaka, ruszyli w drogę powrotną do swych domów. Jed mniejszego Helium wraz z

końca w niespełna godzinę od chwili, w której z obozu zwycieskiej armii Zodangi flota statków powietrznych wyruszyła nam na spotkanie. Ocalałe zodangańskie okręty były kierowane jako zdobycz ku miastom Helium. Ich poddawaniu się towarzyszył stary, niezwykle patetyczny obyczaj, który wymagał, aby dowódca idącego do niewoli okrętu dobrowolnie z niego wyskoczył. Ci odważni ludzie, trzymając wzniesione nad głową sztandary swych rodów, jeden po drugim skakali ze swych mostków, wprost w objęcia czekającej ich kilkaset stóp niżej śmierci.

Walka wygasła całkowicie dopiero wtedy, gdy śmiertelny skok wykonał naczelny dowódca floty, dając tym samym sygnał do poddania się stawiającym jeszcze opór jednostkom i kładąc kres bezsensownemu poświęcaniu życia dzielnych żołnierzy.

Zasygnalizowaliśmy okrętowi flagowemu floty Helium, aby podleciał bliżej, a gdy był w zasięgu głosu krzyknąłem, że na pokładzie naszego statku znajduje się Dejah Thoris i że chcemy, aby została przetransportowana na okręt flagowy i jak najszybciej zawieziona do Helium.

Gdy przekazana przeze mnie wiadomość dotarła w pełni do ich świadomości, ze wszystkich pokładów podniósł się potężny krzyk radości, za którym natychmiast podążyło wywieszenie setek flag w barwach księżniczki. Wkrótce załogi pozostałych statków floty zrozumiały znaczenie przekazywanych im sygnałów i wszystkie pokłady wśród radosnej wrzawy zakwitły barwami Dejah Thoris.

Okręt flagowy zbliżył się do nas i natychmiast po tym, jak burty obu statków zetknęły się miękko, na nasz pokład wpadło kilkunastu oficerów floty Helium. Zrobili kilka kroków i stanęli jak wryci, patrząc osłupiałym wzrokiem na setki zielonych wojowników, którzy opuścili już swoje stanowiska bojowe i stali w luźnych grupach wzdłuż całego pokładu. Wkrótce pojawił się Kantos Kan i oficerowie zgromadzili się wokół niego, zasypując go gradem pytań. Nie słuchali jednak odpowiedzi, gdyż po chwili cała ich uwaga zajęta była zbliżającą się ku nim w moim towarzystwie Dejah Thoris. Księżniczka pozdrowiła uprzejmie oficerów, wymieniając imię każdego z nich. Znała ich dobrze, gdyż wszyscy, jako cieszący się szacunkiem żołnierze, bywali na dworze jej dziadka.

– Połóżcie swoje dłonie na ramieniu Johna Cartera – powiedziała w końcu, wskazując na mnie. – Jest to człowiek, któremu Helium zawdzięcza zarówno swoją księżniczkę, jak i dzisiejsze zwycięstwo.

Zasypali mnie uprzejmościami i komplementami, a jak się wydawało największe wrażenie zrobiło na nich to, iż w uwolnieniu księżniczki i wyzwoleniu Helium udało mi się zdobyć pomoc dzikich Tharków.

– Bardziej niż mnie powinniście dziękować temu oto człowiekowi – powiedziałem, wskazując Tars Tarkasa. – Jest to jeden z najwybitniejszych na Barsoomie żołnierzy i mężów stanu, Tars Tarkas, jeddak Tharku.

Pozdrowili zielonego wojownika z tą samą układną grzecznością, z jaką zwracali się do mnie. Ogromny Thark odpowiedział równie gładkim i dworskim językiem, czego, muszę się przyznać, wysłuchałem z niemałym zdziwieniem.

Dejah Thoris przeszła na pokład okrętu flagowego i była bardzo zaskoczona, że ja z nią tam nie zostaję. Wytłumaczyłem jej, że bitwa jest tylko częściowo wygrana, zostały jeszcze siły lądowe Zodangi i nie mogę opuścić Tars Tarkasa, dopóki nie zostaną one w pełni rozgromione.

Dowódca floty powietrznej Helium obiecał, że wszystko zostanie tak zorganizowane, by siły lądowe Helium uderzyły w tym samym momencie, w którym my zaatakujemy oblegających miasto Zodangańczyków. Potem statki rozdzieliły się i Dejah Thoris tryumfalnie powróciła na dwór swego dziadka, Tardos Morsa, jeddaka Helium. Flota statków transportowych, na których znajdowały się thoaty zielonych wojowników, przeczekała bitwę w pewnym oddaleniu i teraz musieliśmy się zająć wyładowywaniem zwierząt na ziemię. Nie posiadaliśmy platform desantowych i realizacja tego zadania wydawała się być bardzo trudna, ale nie pozostawało nam nic innego. Polecieliśmy ku transportowcom i zabraliśmy się do pracy.

Byliśmy zmuszeni opuszczać zwierzęta na linach i zajęło nam to pozostałą część nocy oraz połowę następnego dnia. Dwukrotnie zostaliśmy zaatakowani przez kawalerię zodangańską, ale z łatwością i bez większych strat odparliśmy te ataki, a po zapadnięciu nocy napastnicy wycofali się zupełnie.

Natychmiast, gdy ostatni thoat znalazł się na ziemi, Tars Tarkas dał rozkaz do wymarszu. Podzieleni na trzy oddziały podjeżdżaliśmy ostrożnie od północy, wschodu i południa ku wrogiemu obozowi.

W odległości około mili od głównego obozu natknęliśmy się na wysunięte posterunki, co, jak to uprzednio ustaliliśmy, było sygnałem do otwartego ataku. Z dzikim, przeraźliwym wrzaskiem mieszającym się z piskami czujących bliską bitwę thoatów runęliśmy na obóz Zodangi.

Przypuszczaliśmy, że uda się nam ich zaskoczyć, jednak okazało się, że nacieramy na dobrze przygotowane, umocnione pozycje, pełne oczekujących nas żołnierzy. Nasze ataki były odpierane raz za razem i około południa zacząłem się poważnie obawiać o wynik bitwy.

zainteresowania, nie było owacyjnie witających tłumów. Ci, którzy akurat znaleźli się w pobliżu, wymawiali w tradycyjnym powitaniu imiona znajomych mężczyzn i kobiet, ale dopiero, gdy rozeszła się wiadomość, że karawana przywiozła ze sobą dwoje jeńców ciekawość przygnała na plac większą liczbę osób.

Przydzielono nam wkrótce kwatery i resztę dnia spędziliśmy na urządzaniu się w nowych warunkach. Budynek, w którym miałem mieszkać stał na południowym skraju placu, tuż przy wylocie szerokiej alei, którą przyjechaliśmy od bram miasta. Zajmowałem ten budynek sam, cały był do mojej dyspozycji. Architektura, tak piękna w Koradzie, tutaj, o ile to w ogóle możliwe, była jeszcze wspanialsza. Dekoracje ścian w mojej kwaterze mogłyby być ozdobą pałacu największego z ziemskich cesarzy, ale dla tych dziwnych istot liczyły się tylko rozmiary budynków i pokojów – im większe, tym lepsze.

I tak Tal Hajus mieszkał w czymś, co kiedyś musiało być gmachem użyteczności publicznej, największym w mieście, ale zupełnie nie nadającym się na rezydencję. Następny z kolei pod względem rozmiarów budynek zajmował Lorquas Ptomel, kolejny był mieszkaniem mniej ważnego jeda i tak dalej, według hierarchii ważności wszystkich pięciu jedów. Wojownicy mieszkali razem z dowódcami, do których świty należeli, albo, jeżeli woleli, szukali kwater w jednym z tysięcy nie zamieszkanych domów, stojących w części miasta przydzielonej ich plemieniu. Musieli się ściśle trzymać granic dzielnicy, w której mieszkało ich plemię. Wyjątek stanowili jedowie, zajmujący budynki stojące frontem do placu.

Gdy wreszcie uporządkowałem mój budynek, a raczej gdy skończyłem doglądać porządkowania, już niemal zapadła noc. Wyszedłem na zewnątrz z zamiarem znalezienia Soli i jej podopiecznej, gdyż postanowiłem porozmawiać wreszcie z Dejah Thoris i przekonać ją, że powinniśmy zawrzeć rozejm do czasu, aż znajdę jakiś sposób dopomożenia jej w ucieczce. Po długim, bezskutecznym poszukiwaniu, gdy górna część tarczy słonecznej znikła już za horyzontem, zobaczyłem brzydki łeb Woola, wyglądający z okna na drugim piętrze budynku po przeciwnej stronie tej samej ulicy, przy której mieszkałem.

Nie czekając na bardziej wyraźne zaproszenie wbiegłem po schodach na drugie piętro i wszedłem do wielkiego pomieszczenia. Woola, uradowany, że wreszcie się zjawiłem, wyskoczył w powietrze i niemal obalił mnie ciężarem swego ciała na podłogę. Rozwalił przy tym pysk od ucha do ucha, ukazując wszystkie trzy rzędy ostrych kłów, jakby z radości miał zamiar mnie połknąć.

Uspokoiwszy go nieco, rozejrzałem się po pokoju, starając się w gęstniejącym mroku dojrzeć Dejah Thoris. Nikogo nie zauważyłem i zniecierpliwiony krzyknąłem jej imię. W odpowiedzi z kąta pomieszczenia dobiegł mnie jakiś pomruk, a gdy podszedłem bliżej zobaczyłem ją, owiniętą w futra i jedwabie, siedzącą na jakimś antycznym krześle. Stałem przez chwilę w milczeniu. Podniosła się w końcu i patrząc mi prosto w oczy, spytała:

– Czego sobie życzy Dotar Sojat od Dejah Thoris, swego więźnia?

– Naprawdę nie wiem, czym cię obraziłem, Dejah Thoris – powiedziałem. – Ciebie, którą chciałem bronić i której pragnąłem usługiwać. Jeżeli gardzisz moją opieką, będę zmuszony się z tym pogodzić, ale powinnaś chociaż pomóc mi w urzeczywistnieniu planu twojej ucieczki, jeśli jest ona w ogóle możliwa. Tym razem nie jest to moja prośba, ale rozkaz. Gdy będziesz znowu bezpieczna na dworze twego ojca, zrobisz ze mną, co będziesz chciała, ale do tego dnia jestem twoim panem i musisz mi być posłuszna i pomagać.

Patrzyła na mnie długo i poważnie i pomyślałem, że może nie będzie już dla mnie taka surowa.

– Rozumiem doskonale twoje słowa – odpowiedziała – ale nie rozumiem ciebie, Dotar Sojacie. Jesteś przedziwną mieszaniną dziecka i mężczyzny, gbura i człowieka szlachetnego. Bardzo bym chciała móc czytać w twoim sercu.

– Spójrz na swoje stopy, Dejah Thoris, znajdziesz tam moje serce. Leży przy nich tak jak leżało tej nocy w Korad i jak będzie leżeć zawsze. Bije tylko dla ciebie i jedynie śmierć może to zmienić, uciszając je na wieczność.

Zrobiła krok w moim kierunku i wyciągnęła ręce, jakby szukając czegoś po omacku.

– Co masz na myśli, Johnie Carter? – szepnęła. – Co właściwie chcesz mi powiedzieć?

– Przyrzekłem sobie, że ci tego nie powiem, a przynajmniej nie w czasie twojej niewoli u zielonych ludzi. W ciągu ostatnich dwudziestu dni, widząc jaki jest twój stosunek do mnie, myślałem, że nigdy nie będę mógł ci tego powiedzieć. Jestem twój, duszą i ciałem, chcę ci służyć, walczyć dla ciebie i dla ciebie umrzeć. W zamian proszę cię tylko byś się powstrzymała od odpowiedzi na moje słowa aż do dnia, gdy znajdziesz się cała i bezpieczna wśród bliskich oraz byś mi przyrzekła, że – bez względu na to, jakie do mnie żywisz uczucia – nie będziesz się kierowała wdzięcznością. Ofiaruję ci moje usługi z pobudek egoistycznych, gdyż służenie ci jest dla mnie przyjemnością, największą z możliwych.

– Uszanuję twoje życzenie, Johnie Carter, gdyż rozumiem dlaczego je wypowiedziałeś. Przyjmuję twoje usługi i równie chętnie podporządkuję się twym rozkazom. Odtąd twoje słowo będzie dla mnie prawem. Po raz drugi skrzywdziłam cię w myślach i po raz drugi proszę, abyś mi wybaczył.

Dalszą rozmowę na tematy osobiste uniemożliwiło nadejście Soli. Była bardzo wzburzona, zniknęła gdzieś jej zwykła łagodność i opanowanie.

– Ta wstrętna Sarkoja była u Tal Hajusa – krzyknęła – i z tego, co usłyszałam na placu wynika, że żadne z was nie może mieć nadziei na jego łaskę.

– Co mówią? – spytała Dejah Thoris.

– Że w czasie wielkich, dorocznych igrzysk, które rozpoczną się, gdy do Tharku zjadą się wszystkie plemiona, zostaniecie rzuceni na pożarcie dzikim kalotom.

– Solu – powiedziałem – jesteś Tharkijką, ale nienawidzisz zwyczajów swojej rasy i czujesz do nich odrazę nie mniejszą niż my. Czy chcesz uciec razem z nami? Jestem pewien, że Dejah Thoris może ci u siebie zapewnić dom i ochronę i że twoje życie wśród czerwonych ludzi nie będzie gorsze niż byłoby tutaj.

– Tak – krzyknęła Dejah Thoris – chodź z nami! W Helium będzie ci lepiej niż tutaj i przyrzekam ci nie tylko opiekę, ale również przyjaźń i miłość, za którymi tak tęsknisz, a których ci odmawiają okrutne zwyczaje twojej rasy. Chodź z nami, tutaj czeka cię okropna śmierć, jeśli zaczną podejrzewać, że nam pomogłaś. Wiem, że nawet perspektywa takiej śmierci nie skłoniłaby cię do ucieczki, gdybyś nie chciała, ale my pragniemy, abyś z nami poszła, chcemy zaprowadzić cię do słonecznego i szczęśliwego kraju, między ludzi, którzy wiedzą, co to miłość, sympatia, wdzięczność. Powiedz, że to zrobisz, powiedz, że pójdziesz z nami.

– Wielka droga wodna, która prowadzi do Helium – mruknęła Sola na wpół do siebie – znajduje się tylko pięćdziesiąt mil na południe stąd. Szybki thoat mógłby pokonać tę odległość w trzy godziny. A potem jeszcze pięćset mil do Helium, większość przez słabo zaludnione tereny. Będą wiedzieli, w którą stronę uciekamy i będą nas ścigać. Przez pewien czas możemy się kryć wśród drzew, ale szanse na powodzenie ucieczki są bardzo niewielkie. Zdajecie sobie sprawę z tego, że pójdą za nami aż pod same wrota Helium, a jeśli nas dogonią, zabiją bez litości.

– Czy nie ma żadnej innej drogi, którą moglibyśmy dotrzeć do Helium? – spytałem. – Dejah Thoris, czy mogłabyś mi naszkicować mapę terenów, przez które musimy przejechać?

– Tak – odpowiedziała, wyjęła z włosów wielki diament i na marmurowej podłodze narysowała mapę Borsoomu, pierwszą jaką dane mi było widzieć. Przecinały ją we wszystkich kierunkach długie, proste linie. Niektóre z nich biegły równolegle, inne prowadziły ku dużym punktom. Te linie – powiedziała – to drogi wodne, punkty to miasta. Jeden z nich, położony na północny zachód od nas wskazała jako Helium.

W końcu, dokładnie przyjrzawszy się oświetlonej wpadającymi do pokoju promieniami księżyca mapie, pokazałem jedną z dróg wodnych, daleko na północ od nas, która również zdawała się prowadzić do Helium.

– Czy nie przecina ona terytorium twojego dziadka? – spytałem.

– Tak – odpowiedziała – ale położona jest dwieście mil na północ od nas. Jest to jedna z tych dróg wodnych, przez które przejechaliśmy w drodze do Tharku.

– Myślę, że to jest właśnie najlepsza droga ucieczki – powiedziałem – Będą nas ścigać, ale nigdy nie przyjdzie im do głowy, że wybraliśmy tak daleki kanał.

Sola zgodziła się ze mną i postanowiliśmy opuścić Thark jeszcze tej samej nocy, natychmiast, gdy odnajdę i osiodłam moje thoaty. Sola miała jechać na jednym, a ja i Dejah Thoris na drugim.

Poleciłem kobietom, aby poszły na mało uczęszczaną ulicę na południowym skraju miasta, skąd po osiodłaniu thoatów miałem je zabrać tak szybko, jak tylko będzie to możliwe. Pozostawiłem im przygotowanie potrzebnej nam ilości pożywienia, jedwabi i futer i poszedłem na podwórze, po którym kręciły się niespokojnie nasze zwierzęta, jak zwykle przed zaśnięciem.

Zarówno w rzucanym przez budynki cieniu, jak i na oświetlonych przez marsjańskie księżyce fragmentach podwórza poruszały się wielkie stada thoatów i zitidarów. Ostre pokwikiwania jednych mieszały się z gardłowym charkotem drugich. Pozostawione sobie samym zachowywały się spokojnie, ale gdy mnie zweszyły, zaczęły okazywać zdenerwowanie i hałas się zwiększył. Samotne wejście nocą w stado thoatów było dość ryzykownym przedsięwzięciem – po pierwsze dlatego, że narastający harmider mógłby wzbudzić podejrzliwość któregoś z wojowników, nocujących w pobliskich budynkach, a po drugie istniało niebezpieczeństwo, że jakiś thoat rzuci się na mnie z najbłahszej przyczyny albo w ogóle bez powodu.

Nie miałem najmniejszej ochoty stać się ofiarą złego nastroju tych zwierząt, szczególnie w sytuacji,

– Mam jeszcze dużo do powiedzenia, zanim znów będzie zbyt późno. Zrobiłem w życiu wiele dziwnych rzeczy, wśród nich takie, na które ludzie ode mnie mądrzejsi nigdy by się nie odważyli, ale nawet w najśmielszych marzeniach nie roiło mi się, że zdobędę dla siebie Dejah Thoris, gdyż nigdy nawet nie śniłem, że gdzieś we wszechświecie istnieje taka kobieta, jak księżniczka Helium. Nie peszy mnie to, że pochodzisz z królewskiego rodu, ale wystarczy wszystko, czym poza tym jesteś, abym, prosząc cię o rękę, wątpił w swój rozsądek.

– Nie powinien w nic wątpić ten, kto z góry zna odpowiedź na swą prośbę – powiedziała. Potem wstała i położyła mi ręce na ramionach. Objąłem ją i pocałowałem.

I tak w samym środku miasta ogarniętego ogniem krwawych walk, wypełnionego śmiercią i zniszczeniem Dejah Thoris, księżniczka Helium, nieodrodna córka Marsa, boga wojny, przyrzekła swą rękę Johnowi Carterowi, gentlemanowi z Wirginii.

Przez rzeź ku radości

Nieco później Kantos Kan i Tars Tarkas wrócili z wiadomościami, że Zodanga została pokonana, a jej wojska uległy zniszczeniu lub dostały się do niewoli. Udało się co prawda uciec kilku okrętom wojennym, ale w ręce tharkijskich wojowników wpadły tysiące statków, handlowych i bojowych.

Mniejsze plemiona rozpoczęły łupienie na własną rękę, kłócąc się przy tym o zdobycz, postanowiliśmy więc zebrać tylu wojowników, ilu będzie można, obsadzić zodangańskimi jeńcami jak najwięcej latających maszyn i natychmiast wyruszyć do Helium.

Pięć godzin później wystartowaliśmy z lądowisk na dachach budynków w sile dwustu pięćdziesięciu statków bojowych, niosących na pokładach blisko sto tysięcy zielonych wojowników. Za nami leciała flotylla transportowców, załadowana dobytkiem i zwierzętami.

Zostawiliśmy pokonane miasto w szponach czterdziestu tysięcy wojowników, należących do mniejszych plemion, którzy grabili, mordowali i toczyli między sobą zajadłe walki o łupy. W blisko stu miejscach podłożyli oni ogień i nad miastem unosiły się słupy gęstego dymu, jakby ktoś chciał położyć zasłonę na dziejące się tam potworności.

Wczesnym popołudniem ujrzeliśmy wieże Helium, szkarłatną i żółtą. Wkrótce z obozu oblegających miasto Zodangańczyków uniosła się w niebo wielka flota statków bojowych i poleciała nam na spotkanie. Na każdym z naszych okrętów wywiesiliśmy sztandary Helium. Zodangańczycy jednak nie potrzebowali tych znaków, aby wiedzieć, że jesteśmy nieprzyjaciółmi, gdyż nasi zieloni wojownicy otworzyli ogień, gdy tylko ich statki oderwały się od ziemi. Ze śmiertelną celnością posyłali zbliżającej się flocie salwę za salwą.

Mieszkańcy Helium rozpoznali w nas przyjaciół i z obu bliźniaczych miast wystartowały setki spieszących nam na pomoc okrętów. Rozpoczęła się prawdziwa bitwa powietrzna, pierwsza, jakiej byłem świadkiem.

Statki, na których znajdowali się zieloni wojownicy krążyły ponad ścierającymi się flotami Zodangi i Helium, gdyż ich pokładowe baterie w rękach nie umiejących się nimi posługiwać zielonych ludzi były bezużyteczne. Jednakże strzelby zbierały żniwo śmierci i ich ogień wpłynął w bardzo znacznym stopniu na ostateczny wynik bitwy, a może nawet o nim zadecydował.

Z początku obie floty krążyły na tej samej wysokości, posyłając sobie wzajemnie salwy dział burtowych. W pewnej chwili jedna z tych salw trafiła największy z zodangańskich statków, wyrywając w jego burcie ogromną dziurę. Potężna maszyna przechyliła się na bok, wyrzucając członków załogi na zewnątrz. Drobne figurki kręcąc się i koziołkując poleciały ku leżącej tysiąc stóp niżej ziemi, a za nimi, ze wzrastającą wciąż prędkością, opadł statek i wbił się niemal całkowicie w miękki, gliniasty grunt dawnego dna morskiego.

Z piersi Heliumitów wydarł się dziki wrzask tryumfu i ze zdwojoną zaciekłością zaatakowali wrogą flotę. Dzięki pięknie przeprowadzonemu manewrowi dwa okręty z Helium wzniosły się na większą wysokość i z umieszczonych w dnach wyrzutni zaczęły obrzucać przeciwników eksplodującymi bombami.

Wkrótce pozostałe okręty Heliumitów, jeden za drugim, zajmowały pozycje ponad Zodangańczykami i w niedługim czasie znaczna liczba statków, należących do oblegającej miasto armii była bezradnymi wrakami, dryfującymi ku wysokiej, szkarłatnej wieży w centrum większego z miast Helium. Kilka innych próbowało uciekać, ale natychmiast były otaczane przez tysiące jednoosobowych łodzi, a nad każdym z nich unosił się gotowy do przerzucenia desantu krążownik floty Helium. Bitwa dobiegała

Pchnąłem Sab Thana tak, iż runął jak długi i przyciągnąłem Dejah Thoris do mego boku. Zauważyłem, że z tyłu, za tronem, są niewielkie drzwi, lecz teraz stał przy nich Than Kosis z wyciągniętym mieczem. Natarłem na niego i już po chwili przekonałem się, iż natknąłem się na godnego przeciwnika. Walcząc, krążyliśmy po podwyższeniu, na którym stał tron i w pewnym momencie kątem oka zobaczyłem Sab Thana, wbiegającego na nie na pomoc swemu ojcu. Jednak gdy podniósł on rękę do ciosu wyrosła przed nim Dejah Thoris, a potem mój miecz zadał cios, który uczynił go jeddakiem Zodangi. Gdy jego ojciec toczył się martwy po podłodze, nowy jeddak wyrwał się Dejah Thoris i znowu stanęliśmy twarzą w twarz. Nie był już sam, gdyż dołączyło do niego czterech oficerów i, z plecami przyciśniętymi do złotego tronu, jeszcze raz walczyłem o Dejah Thoris. Byłem w ciężkich opałach broniąc się, a jednocześnie musząc uważać, by nie zabić Sab Thana, a wraz z nim ostatniej szansy na zdobycie ukochanej kobiety. Ostrze mego miecza migało jak błyskawica, parując wymierzane we mnie pchnięcia i uderzenia. Wytrąciłem broń z dłoni dwóch oficerów, trzeci leżał martwy, ale nadbiegali inni, by pomóc w walce nowemu władcy i pomścić starego.

Nagle do moich uszu dobiegły okrzyki: „Kobieta! Kobieta! Zabić ją! To jej intryga! Zabić ją!"

Krzyknąłem do Dejah Thoris, aby skryła się za moimi plecami, a sam zacząłem się cofać ku znajdującym się niedaleko małym drzwiczkom. Oficerowie jednak przejrzeli moje zamiary i trzech z nich przebiegło wokół tronu za moje plecy, uniemożliwiając mi w ten sposób zajęcie pozycji, w której mógłbym bronić Dejah Thoris przed nacierającym tłumem szermierzy.

Tharkowie mieli ręce pełne roboty w centrum sali i zacząłem się poważnie obawiać, że tylko cud może uratować życie Dejah Thoris i moje własne. Wtedy zobaczyłem Tars Tarkasa, prącego ku nam poprzez rojący się wokół niego tłum pigmejów. Jedno uderzenie jego potężnego miecza kładło trupem kilku przeciwników i tak wycinał sobie drogę ku nam, aż wreszcie stanął obok mnie na podwyższeniu, siejąc wokół śmierć i zniszczenie.

Odwaga Zodangańczyków była naprawdę imponująca – nikt nie usiłował ratować się ucieczką i walka zakończyła się tylko dlatego, że jedynymi pozostałymi w sali żywymi istotami, oprócz mnie i Dejah Thoris, byli Tharkowie.

Sab Than leżał martwy obok swego ojca, a cała ogromna podłoga była zasłana ciałami zodangańskiej szlachty i korpusu oficerskiego.

Moja pierwsza myśl po otrząśnięciu się z gorączki bitewnej dotyczyła Kantos Kana. Zostawiłem Dejah Thoris pod opieką Tars Tarkasa, wziąłem dwunastu wojowników i poszedłem do pałacowych podziemi. Strażnicy więzienni przyłączyli się do bitwy w sali tronowej, przeszukiwaliśmy więc ukryty pod pałacem labirynt nie natykając się na żaden opór.

W każdym nowym korytarzu i pomieszczeniu krzyczałem głośno imię Kantos Kana i w końcu moje wysiłki zostały nagrodzone, gdyż usłyszałem słabą, dobiegającą z głębi pobliskiego korytarza odpowiedź. Poszedłem za głosem i wkrótce go znalazłem, przykutego do ściany w najciemniejszym kącie jednej z więziennych cel.

Bardzo się ucieszył na mój widok, a jego radość jeszcze wzrosła, gdy mu powiedziałem o przyczynie i rezultacie walki, której dalekie odgłosy dobiegały do jego celi. Wyjaśnił mi, że został schwytany przez patrol powietrzny, zanim zdołał dotrzeć do pałacowej wieży, tak więc nawet nie widział Sab Thana.

Próby przecięcia krępujących go łańcuchów okazały się daremne, więc, stosując się do jego sugestii, wróciłem do sali tronowej, by przeszukać ciała zabitych i spróbować odnaleźć klucze do spinających łańcuchy kłódek.

Szczęśliwym zbiegiem okoliczności zwłoki strażnika więziennego znalazły się wśród pierwszych przeszukanych przeze mnie trupów. Kantos Kan stał wkrótce obok nas w sali tronowej.

Z ulic miasta dobiegały odgłosy salw armatnich, przemieszane z gęstą strzelaniną z broni indywidualnej, wrzawą i krzykami. Tars Tarkas wybiegł, by przejąć dowództwo nad wojskami, Kantos Kan poszedł z nim jako przewodnik, zieloni wojownicy rozpoczęli penetrowanie pałacu w poszukiwaniu ukrywających się Zodangańczyków i łupów. Zostałem sam z Dejah Thoris.

Usiadła na złotym tronie, a gdy do niej podszedłem uśmiechnęła się słabo.

– Czy wszyscy mężczyźni na Ziemi są podobni do ciebie? – spytała. – Jeszcze nikogo takiego na Barsoomie nie widziano. Samotny, prześladowany, na obcej ziemi potrafiłeś w kilka krótkich miesięcy dokonać tego, czego nie dokonał jeszcze nikt w ciągu całej historii Barsoomu: zjednoczyć dzikie plemiona z wyschniętych mórz i zrobić z nich sprzymierzeńców czerwonych ludzi.

– Odpowiedź jest prosta – powiedziałem z uśmiechem – to nie ja tego dokonałem, to miłość – miłość do Dejah Thoris. Jej potęga gotowa jest tworzyć cuda jeszcze większe niż te, które widziałaś.

Jej twarz oblała się rumieńcem.

– Teraz już możesz tak mówić, Johnie Carter, a ja mogę tego słuchać, gdyż jestem wolna.

gdy tak wiele zależało od zachowania tajemnicy i pośpiechu. Wtulałem się więc w cień budynków, gotów w razie potrzeby wskoczyć w jakieś okno lub drzwi. Podszedłem w ten sposób do wielkiej bramy, prowadzącej na ulicę i cicho zawołałem moje zwierzęta. Dziękowałem Opatrzności, że natchnęła mnie przeczuciem i kazała zdobyć zaufanie i przywiązanie tych dzikich bestii. Teraz widziałem, jak z przeciwległego końca podwórza dwa thoaty torują sobie drogę w moim kierunku wśród poruszających się, ogromnych gór mięsa. Podeszły bardzo blisko, otarły o mnie pyski, próbując wywęszyć kawałki pożywienia, którymi zwykle nagradzałem ich posłuszeństwo. Otworzyłem bramę, kazałem zwierzętom wyjść na zewnątrz, potem wśliznąłem się za nimi i ostrożnie zamknąłem wrota.

Jeszcze ich nie dosiadłem ani nie osiodłałem, lecz kryjąc się w cieniu poszedłem ostrożnie w stronę tej mało uczęszczanej ulicy, na której umówiłem się z Dejah Thoris i Solą. W kompletnej ciszy, niby bezcielesne zjawy mijaliśmy opustoszałe ulice. Odetchnąłem swobodniej dopiero, gdy zobaczyłem rozciągającą się za miastem równinę. Byłem przekonany, że Dejah Thoris i Sola nie będą miały trudności w niepostrzeżonym przybyciu na miejsce spotkania, ale bałem się o siebie, gdyż prowadziłem dwa ogromne thoaty, a zieloni wojownicy nigdy nie opuszczali miasta nocą – było to zupełnie niezwykłe i mój widok natychmiast wzbudziłby podejrzenia.

Jednak dotarłem bezpiecznie na umówione miejsce, a ponieważ kobiety jeszcze nie przyszły, wprowadziłem zwierzęta do bramy jednego z pobliskich budynków. Nie byłem zaniepokojony nieobecnością Dejah Thoris i Soli, gdyż przypuszczałem, że któraś z pozostałych kobiet, mieszkających w tym samym budynku przyszła, by trochę pogawędzić i w ten sposób opóźniała ich przybycie na spotkanie. Jednak minęła godzina, a ich ciągle nie było. Po upływie następnych trzydziestu minut zacząłem odczuwać gwałtowny niepokój. Potem nagle cisza nocy została przerwana odgłosem zbliżającego się oddziału. Hałas był zbyt duży, aby były to przekradające się ostrożnie ku wolności uciekinierki i wkrótce zbliżył się, a wtedy zobaczyłem grupę jadących wierzchem wojowników. Skryty w ciemności bramy obserwowałem, jak przejeżdżali obok. Usłyszałem fragment ich rozmowy i serce zamarło mi w piersi.

– Prawdopodobnie umówił się z nimi tuż za granicami miasta, a więc... – nie usłyszałem nic więcej, gdyż pojechali dalej, ale to mi wystarczyło. Nasz plan został zdemaskowany. Od tej chwili aż do planowanego dla nas strasznego końca nie mieliśmy już praktycznie żadnych szans na pomyślną ucieczkę. Teraz chciałem jedynie wrócić niepostrzeżenie do budynku Dejah Thoris i dowiedzieć się, co się z nią stało. Był to jednak poważny problem, gdyż nie wiedziałem, co mam zrobić z mymi ogromnymi thoatami, teraz, gdy całe miasto było już prawdopodobnie na nogach, zelektryzowane wiadomością o ucieczce.

Nagle przypomniałem sobie, że przecież wszystkie budynki w tych starożytnych miastach były budowane tak, iż w centrum każdej czworobocznej grupy znajdował się duży dziedziniec. Poprowadziłem thoaty w głąb budynku, posuwając się w głębokich ciemnościach niczym ślepiec. Przeszliśmy przez kolejne pomieszczenia. Thoaty miały pewne trudności w przeciśnięciu się przez mijane po drodze drzwi, ale ponieważ gmachy przy głównych ulicach były budowane z dużym rozmachem, dotarliśmy w końcu do wewnętrznego podwórza. Było ono porośnięte, jak się spodziewałem, dywanem żółtego mchu, który mógł służyć thoatom za pożywienie do czasu, aż uda mi się je przeprowadzić z powrotem do stada. Byłem pewien, że będzie im tu równie dobrze, jak gdziekolwiek indziej i że jest prawie niemożliwe, aby zostały odnalezione. Zieloni ludzie z wielką niechęcią wchodzili do leżących na skraju miasta budynków, gdyż były one często odwiedzane przez jedyne stworzenia, których zdawali się bać – wielkie, białe małpy.

Zdjąłem z thoatów uprząż i schowałem ją za drzwiami, przez które weszliśmy na dziedziniec. Puściłem zwierzęta wolno, przeszedłem przez podwórze ku tyłom budynku leżącego po przeciwnej stronie i wydostałem się na leżącą za nim ulicę. Przez chwilę stałem w drzwiach, by się upewnić, że nikogo nie ma w pobliżu, a potem przebiegłem na drugą stronę, wpadłem w najbliższe drzwi i przedostałem się na dziedziniec. W ten sposób, posuwając się od podwórza do podwórza, ryzykując, że zostanę zauważony tylko wtedy, gdy przebiegałem przez ulice, bezpiecznie dotarłem na tyły budynku, w którym mieszkała Dejah Thoris.

Tutaj oczywiście natknąłem się na zwierzęta, należące do kwaterujących w tym budynku wojowników, a gdybym wszedł do wewnątrz prawdopodobnie spotkałbym ich samych. Jednak na szczęście miałem inną, bezpieczniejszą metodę dostania się na piętro, na którym spodziewałem się znaleźć Dejah Thoris. Przyjrzałem się uważnie budynkom, by mieć pewność, że wybieram właściwy, gdyż nigdy ich nie widziałem od strony podwórza i wykorzystałem swą stosunkowo wielką siłę i zwinność, by wyskoczyć w górę i chwycić parapet okna na pierwszym piętrze, przez które, jak przypuszczałem, dostanę się do pomieszczeń przylegających od tyłu do jej pokoju. Wśliznąłem się do wnętrza i ostrożnie poszedłem ku frontowi budynku. Gdy dotarłem pod drzwi pokoju Dejah Thoris, usłyszałem dobiegające z wewnątrz głosy.

Zatrzymałem się, by nabrać pewności, że jeden z nich należy do Dejah Thoris i że mogę bezpiecznie wejść do środka. Dobrze się stało, że tak zrobiłem, gdyż po chwili usłyszałem, że głosy są niskie, męskie. Również ich treść nie wróżyła nic dobrego. Właśnie mówił dowódca, najwyraźniej wydając rozkazy swoim podwładnym.

– Gdy przyjdzie do tego pomieszczenia, a na pewno tak zrobi, nie doczekawszy się jej w umówionym miejscu, rzucicie się na niego we czterech i rozbroicie go. Jeśli to, co o nim opowiadają jest prawdą, musicie robić to wszyscy naraz, połączonymi siłami. Potem go zanieście do piwnic pod siedzibą jeddaka i zakujcie w kajdany, aby w każdej chwili był do dyspozycji Tal Hajusa. Nie pozwólcie mu z nikim rozmawiać. Nie wpuszczajcie też nikogo do tego pokoju zanim on się pojawi. Dziewczyna tu nie wróci, gdyż w tej chwili jest już bezpieczna w rękach Tal Hajusa i niech wszyscy jej przodkowie się nad nią zlitują, bo od Tal Hajusa nie można tego oczekiwać. Tak, wielka Sarkoja dokonała tej nocy wspaniałego czynu! Teraz odchodzę, a jeśli on się tu zjawi, a wam nie uda się go pojmać, rozkażę rzucić wasze trupy na dno Issy.

Znów w niewoli

Umilkł i odwrócił się, by wyjść z pokoju przez drzwi, za którymi stałem. Nie było sensu dłużej czekać – usłyszałem wystarczająco dużo, by mój niepokój przerodził się w przerażenie. Wycofałem się cicho tą samą drogą, którą tu dotarłem i zszedłem na dziedziniec. Ułożyłem szybko plan działania. Przeszedłem przez plac i przylegającą doń po przeciwnej stronie ulicę i wkrótce znalazłem się na dziedzińcu pałacu Tal Hajusa. Jasno oświetlone okna na parterze podpowiedziały mi od jakiego miejsca muszę rozpocząć poszukiwania. Zbliżyłem się do nich i zajrzałem do środka. Wkrótce doszedłem do wniosku, że nie pójdzie mi tak łatwo, jak się spodziewałem, gdyż przylegające do dziedzińca pokoje były wypełnione wojownikami i kobietami. Spojrzałem w górę i zauważyłem, że drugie piętro jest ciemne, a więc najprawdopodobniej puste. Zdecydowałem przedostać się do budynku właśnie tamtędy. W chwilę później wyskoczyłem w górę, dosięgnąłem parapetu i zanurzyłem się w ciemnościach.

Tak jak przypuszczałem pokój, do którego wszedłem był nie zamieszkany. Bezszelestnie wymknąłem się na korytarz i zauważyłem, że w pomieszczeniach przede mną świeci się światło. Podszedłem do czegoś, co wyglądało jak zwykłe drzwi, ale, uchyliwszy je ostrożnie, odkryłem, że otwierają się na ogromną salę, sięgającą od parteru, dwa piętra pode mną, aż po kopułowaty dach pałacu. Podłoga tego wielkiego, okrągłego pomieszczenia była zatłoczona dowódcami, wojownikami i kobietami. Naprzeciw mnie, pod ścianą stało duże podwyższenie, a na nim siedział ze skrzyżowanymi nogami najohydniejszy stwór, jakiego zdarzyło mi się w życiu zobaczyć. Na jego twarzy odbijały się bezlitosny chłód i okrucieństwo, cechy, które leżą w charakterze każdego zielonego wojownika, ale podkreślone jeszcze i skażone zwierzęcą namiętnością, której od lat ulegał. W jego postawie nie było cienia dumy czy godności. Sześć kończyn olbrzymiego, wystającego poza obręb platformy cielska upodobniło go do wielkiego, ustawionego pionowo pająka.

Jednak naprawdę przestraszyłem się dopiero, gdy zauważyłem, że przed tym monstrum stoją Dejah Thoris i Sola. Dejah Thoris stała wyprostowana, z wysoko uniesioną głową i nawet z odległości, która mnie od nich dzieliła, mogłem odczytać na jej twarzy wyraz pogardy i odrazy. Była prawdziwą córką tysięcy jeddaków i mimo iż tak drobna w porównaniu z otaczającymi ją wojownikami, majestatem przewyższała ich nieskończenie. Była wśród nich najsilniejsza duchem i jestem głęboko przekonany, że oni to czuli. Coś mówiła, ale nie mogłem usłyszeć ani jej słów, ani odpowiedzi, która dotarła do mnie jedynie jako niskie, gardłowe pomruki.

W pewnej chwili Tal Hajus dał znak, aby wszyscy wyszli z sali, zostawiając go samego z więźniami. Dowódcy, wojownicy i kobiety powoli znikali w przyległych pomieszczeniach i w końcu Dejah Thoris i Sola stały samotnie przed jeddakiem Tharkian. Jeden tylko dowódca zwlekał z wyjściem. Stał w cieniu ogromnej kolumny, wpatrzony pełnymi nienawiści oczyma w Tal Hajusa, bawiąc się nerwowo rękojeścią miecza. To był Tars Tarkas. Z jego twarzy mogłem czytać wypełniające go myśli i uczucia, jak z otwartej księgi. Myślał o kobiecie, która stała tutaj przed czterdziestu laty tak jak teraz Dejah Thoris. Gdybym mógł mu szepnąć choć słówko, panowanie Tal Hajusa gwałtownie zakończyłoby się w tym momencie. Jednak w końcu on również wyszedł, nie wiedząc, że zostawia na łasce potwora, którego tak nienawidził, swoją własną córkę.

Tal Hajus podniósł się, a ja, przeczuwając, co ma zamiar zrobić pobiegłem jak wariat w dół schodów,

Nasz plan został zrealizowany znakomicie i we wszystkich szczegółach. Dwaj wartownicy, na których się natknęliśmy, zostali wysłani do swoich przodków na brzegi zaginionego morza Korus, a straże przy bramach wkrótce w milczeniu podążyły ich śladem.

Plądrowanie Zodangi

Moich pięćdziesięciu Tharków wjechało na thoatach do środka natychmiast po otworzeniu bramy, przy której czekałem. Prowadził ich sam Tars Tarkas. Podjechaliśmy do muru, otaczającego należące do pałacu tereny i odszukaliśmy najbliższe wejście. Przeskoczyłem mur, jednak miałem pewne kłopoty z zamkiem furty. W końcu udało mi się go sforsować i wkrótce mój oddział jechał przez ogrody jeddaka Zodangi.

Zbliżyliśmy się do pałacu i przez okna na parterze zajrzałem do jasno oświetlonej sali audiencyjnej. Była zatłoczona należącymi do wyższych sfer mieszkańcami miasta i ich żonami, co oznaczało, iż odbywa się tam jakaś ważna uroczystość. Wokół pałacu nie zauważyliśmy żadnych straży. Jak przypuszczałem, należało to przypisać przekonaniu Zodangańczyków, iż miasto i pałac dzięki murom są całkowicie niedostępne.

Podszedłem bliżej okien i zobaczyłem, że Than Kosis, otoczony dworzanami, oficerami i dygnitarzami siedzi pod jedną ze ścian sali, na złotym błyszczącym od diamentów tronie, zaś naprzeciw niego ciągnie się szerokie przejście, oddzielone od tłumu dwoma szeregami żołnierzy. W momencie, w którym spojrzałem, z przeciwnego końca sali wszedł w to przejście początek orszaku i powoli zaczął zbliżać się ku tronowi. Na jego czele szło czterech oficerów gwardii jeddaka, niosących ogromną tacę, na której, na poduszce ze szkarłatnego jedwabiu, spoczywał wielki, złoty łańcuch, zakończony z obu stron zamykanymi na kłódki kołnierzami. Kolejni czterej oficerowie nieśli na podobnej tacy pięknej roboty insygnia księcia i księżniczki Zodangi. U stóp tronu te dwie grupy rozdzieliły się i stanęły po obu stronach przejścia, twarzami ku sobie.

Następna część orszaku składała się z dygnitarzy rządowych, oficerów armii i służby pałacowej, a po nich ukazały się dwie postacie, szczelnie owinięte w szkarłatny jedwab. Zatrzymały się tuż przed tronem, z twarzami zwróconymi ku Than Kosisowi. Pozostała część orszaku weszła do sali i ustawiła się na swoich miejscach, a wtedy jeddak wstał i zaczął coś mówić. Nie słyszałem słów, ale zauważyłem, że jakiś oficer podszedł do jednej z postaci i zdjął z niej szkarłatne okrycie. Zrozumiałem, że Kantos Kanowi nie udało się zakończyć sukcesem swojej misji, gdyż przed tronem stał Sab Than, cały i zdrowy.

Than Kosis wziął z jednej z tac insygnia i podał synowi, potem nałożył mu na szyję przymocowany do łańcucha kołnierz i zamknął kłódkę. Powiedział do niego jeszcze kilka słów, a potem odwrócił się ku drugiej postaci. Oficer zdjął z niej jedwabne okrycie i moim oczom ukazała się Dejah Thoris, księżniczka Helium.

Cel tej uroczystości stał się dla mnie zupełnie jasny – za chwilę Dejah Thoris zostanie połączona na zawsze z księciem Zodangi. Zapewne była to bardzo piękna, robiąca duże wrażenie uroczystość, ale mnie wydała się ona najwstrętniejszą ze wszystkich, jakie dotychczas widziałem. W chwili, gdy zobaczyłem, że insygnia zostały przypięte do piersi Dejah Thoris, a Than Kosis trzyma w rękach gotowy do zapięcia kołnierz, uniosłem nad głowę miecz i jego ciężką rękojeścią uderzyłem w szybę, rozbijając ją na drobne kawałki. Wpadłem do środka i jednym skokiem znalazłem się obok skamieniałego ze zdumienia Than Kosisa. Podniosłem miecz i potężnym uderzeniem rozciąłem łańcuch, który miał połączyć Dejah Thoris z innym mężczyzną.

Powstało ogromne zamieszanie, błysnęło tysiąc mieczy, a każdy z nich był dla mnie groźbą. Jednak nie miałem czasu się nimi przejmować, gdyż Sab Than, wyciągnąwszy ze stroju weselnego wysadzany drogimi kamieniami sztylet, rzucił się na mnie, jak rozjuszona pantera. Mógłbym go z łatwością zabić, ale obyczaj, zakorzeniony na Barsoomie od wieków, wstrzymał mą rękę i tylko, chwyciwszy jego dłoń, uzbrojoną w zmierzający ku memu sercu sztylet i trzymając ją jak w imadle, wskazałem końcem mego miecza przeciwległy kraniec sali.

– Zodanga upadła! – krzyknąłem. – Spójrzcie!

Wszystkie oczy skierowały się w stronę, którą wskazywałem, a tam, przez wejściowe portale, wjeżdżał Tars Tarkas na czele swych pięćdziesięciu, dosiadających ogromnych thoatów wojowników.

Z gardeł zebranych wyrwały się okrzyki zdziwienia, lecz nie trwogi, i już po chwili żołnierze i szlachta Zodangi wspólnie rzucili się na nadchodzących Tharków.

– John Carter przedstawił propozycję – powiedział Tars Tarkas, zwracając się do rady – która zyskuje moją całkowitą aprobatę. Wytłumaczę wam krótko, na czym ona polega. Dejah Thoris, która była naszym więźniem, znajduje się teraz w rękach jeddaka Zodangi. Jest zmuszona poślubić jego syna, aby uchronić swój kraj przed zniszczeniem przez siły Zodangi. John Carter proponuje, abyśmy ją uwolnili i zwrócili Helium. W Zodandze oczekują na nas wspaniałe łupy, a ja często myślałem o tym, że gdybyśmy się sprzymierzyli z Helium moglibyśmy otrzymywać wystarczające dostawy żywności, aby nam to pozwoliło na zwiększenie rozmiarów i częstotliwości wylegów. W ten sposób osiągnęlibyśmy niekwestionowany prymat wśród zielonych ludzi na Barsoomie. Co wy na to?

Widząc przed sobą perspektywę walki i bogatych łupów przystali na moją propozycję z niesłychanym, jak na Tharków, entuzjazmem. W ciągu pół godziny dwudziestu posłańców galopowało przez wyschnięte dna mórz, zwołując poszczególne plemiona na wyprawę.

Trzy dni później maszerowaliśmy już w stronę Zodangi w sile stu tysięcy wojowników, gdyż obietnicą bogatych łupów udało się Tars Tarkasowi pozyskać również trzy mniejsze plemiona. Jechałem na czele kolumny, tuż za ogromnym Tharkiem, a przy nogach mojego thoata biegł wierny Woola.

Podróżowaliśmy wyłącznie nocą, ułożywszy plan przemarszu w ten sposób, aby dnie spędzać w opuszczonych miastach, kryjąc się wraz ze zwierzętami wewnątrz budynków. Po drodze Tars Tarkas, dzięki swej zręczności i talentom dyplomatycznym, potrafił zwerbować jeszcze pięćdziesiąt tysięcy wojowników z rozmaitych plemion i narodów, tak więc o północy dziesiątego dnia po wymarszu zatrzymaliśmy się pod murami Zodangi mając ze sobą stupięćdziesięciotysięczną armię.

Jej siła bojowa była równa dziesięciokrotnie liczniejszej armii czerwonych ludzi. Tars Tarkas powiedział, że jeszcze nigdy w historii Barsoomu nie maszerowała do boju tak wielka liczba zielonych wojowników. Utrzymanie choćby pozorów spokoju między nimi było prawdziwie nadludzkim zadaniem, a z cudem graniczyło to, że udało się wszystkich doprowadzić pod mury miasta bez żadnych poważniejszych, wzajemnych walk.

W miarę zbliżania się do Zodangi osobiste kłótnie i zatargi były coraz rzadsze, ustępując przed wspólną im wszystkim nienawiścią do czerwonej rasy, a szczególnie do Zodangańczyków, którzy od lat prowadzili kampanię, mającą na celu wytrzebienie zielonych ludzi, zaś szczególną uwagę przywiązywali do niszczenia inkubatorów.

Otwarcie drogi do miasta zostało powierzone mnie. Poradziłem Tars Tarkasowi, aby podzielił siły na dwa oddziały, z których każdy miał się ustawić w bezpiecznej odległości na wprost dwóch głównych bram, prowadzących do miasta. Sam wziąłem dwudziestu pieszych wojowników i podszedłem do jednego z mniejszych wejść, znajdujących się w regularnych odstępach w otaczających Zodangę murach. Nie miały one stałych straży, ale były pilnowane przez wartowników, którzy patrolowali odpowiednie odcinki biegnącej tuż za murami obwodnicy, tak jak nasza policja miejska patroluje swoje rewiry.

Mury Zodangi, zbudowane z ogromnych bloków karborundum, miały siedemdziesiąt pięć stóp wysokości i pięćdziesiąt stóp grubości. Towarzyszącym mi wojownikom wejście do miasta wydawało się zupełnie niemożliwe. Należeli oni do jednego z mniejszych narodów i dotychczas mnie nie znali. Ustawiłem trzech z nich twarzami do muru i kazałem im trzymać się za ramiona, a na nich poleciłem stanąć następnym dwóm, zaś szóstemu na szczycie tej piramidy. Głowa tego ostatniego znajdowała się na wysokości około czterdziestu stóp nad ziemią. W ten sposób przy pomocy dziesięciu wojowników zbudowałem trzy stopnie, z których ostatnim były ramiona Marsjanina stojącego najwyżej w pierwszej piramidzie. Potem wziąłem krótki rozbieg i skacząc z jednego szczebla tej ludzkiej drabiny na następny, odbiłem się mocno od jej wierzchołka. Zdołałem dosięgnąć palcami krawędzi muru i po chwili stałem już na szerokiej płaszczyźnie, będącej jego szczytem. Ciągnąłem sześć związanych ze sobą rzemieni, które uprzednio wziąłem od sześciu z towarzyszących mi wojowników. Powstała w ten sposób długa lina i teraz jeden jej koniec podałem stojącemu najwyżej wojownikowi, a drugi opuściłem ostrożnie na ulicę po drugiej stronie muru. Upewniwszy się, że w pobliżu nikogo nie ma, zszedłem na chodnik przylegający do muru od wewnętrznej strony.

Kantos Kan nauczył mnie wcześniej sposobu, którym można otworzyć te bramy i w chwilę później dwudziestu wielkich zielonych wojowników znalazło się w obrębie miasta Zodangi.

Z zadowoleniem zauważyłem, że weszliśmy w punkcie przylegającym do granicy ogromnych terenów, otaczających pałac. Zdecydowałem, że pójdę tam z niewielkim oddziałem, a główne siły będą atakować koszary wojskowe.

Wysłałem do Tars Tarkasa posłańca z prośbą o pięćdziesięciu Tharków i rozkazałem dziesięciu z towarzyszących mi ludzi opanować i otworzyć jedną z głównych bram, a dziewięciu pozostałym – drugą. To zadanie musiało być wykonane w ciszy, bez jednego wystrzału. Otwarty atak miał nastąpić dopiero w chwili, gdy znajdę się z moim oddziałem w pałacu.

prowadzących na niższe piętra. Nikogo nie spotkałem i niezauważony dotarłem na parter do głównych drzwi, a potem wśliznąłem się do środka i skryłem za tą samą kolumną, przy której stał przed chwilą Tars Tarkas. Teraz już wyraźnie słyszałem słowa Tal Hajusa.

– Księżniczko Helium – mówił – gdybym cię zwrócił nie robiąc ci krzywdy dostałbym niewątpliwie potężny okup od twego narodu. Jednak tysiąc razy bardziej wolę widzieć twoją piękną twarzyczkę wykrzywioną bólem podczas tortur. Obiecuję ci, że będziesz bardzo długo umierać. Dziesięć dni takiej przyjemności nie wystarczy, aby ukazać głębię miłości, jaką żywię do twojej rasy. Czerwoni ludzie będą drżeli na wspomnienie twojej śmierci przez wszystkie nadchodzące wieki, myśl o straszliwej zemście zielonych ludzi będzie im spędzać sen z powiek, będą płakać ze strachu, ilekroć przypomną sobie potęgę, okrucieństwo i siłę nienawiści Tal Hajusa. Ale przed torturami będziesz przez jedną krótką godzinę moja i wiadomość o tym również dotrze do Tardos Morsa, jeddaka Helium, twojego dziadka, a gdy o tym usłyszy, z rozpaczy będzie się tarzał po ziemi. Jutro rozpoczną się tortury, ale tej nocy należysz do Tal Hajusa! Chodź tu!

Zeskoczył z platformy i chwycił ją brutalnie za ramię. Nic więcej nie zdążył zrobić, gdyż wpadłem między nich z krótkim mieczem, połyskującym w mojej prawej dłoni. Mogłem go wbić w jego serce, zanim by się zorientował co się dzieje, ale pomyślałem o Tars Tarkasie i mimo wypełniającej mnie nienawiści i gniewu, nie mogłem go pozbawić tej słodkiej chwili, dla której żył od tylu długich lat. Zadowoliłem się więc rąbnięciem Tal Hajusa z całej siły pięścią w twarz. Osunął się na ziemię jak nieżywy, nie wydając jednego dźwięku.

Wśród grobowej ciszy złapałem Dejah Thoris za rękę, skinąłem na Solę i wyszliśmy z sali. Wspięliśmy się po schodach na wyższe piętro i niezauważeni przez nikogo doszliśmy do wychodzącego na dziedziniec okna. Zdjąłem z siebie przytrzymujące ozdoby pasy, związałem je w linę i opuściłem Solę i Dejah Thoris na ziemię. Wyskoczyłem za nimi i kazałem im biec za sobą wokół dziedzińca, trzymając się rzucanych przez budynki cieni. W ten sposób wróciliśmy na skraj miasta, tą samą drogą, którą przeszedłem niedawno samotnie.

Dotarliśmy do thoatów, czekających tam, gdzie je zostawiłem. Założyliśmy im uprząż i wyprowadziliśmy przed budynek na ulicę. Sola wsiadła na jednego, ja i Dejah Thoris na drugiego i wyjechaliśmy z miasta Thark, mijając otaczające je od południa wzgórza. Zamiast okrążyć miasto i pojechać na północny zachód w stronę najbliższej drogi wodnej, skierowaliśmy się na północny wschód i wjechaliśmy na porośnięte mchem pustkowie, za którym w odległości dwustu niebezpiecznych i męczących mil leżała inna prowadząca do Helium droga.

Nie powiedzieliśmy ani słowa aż do chwili, gdy miasto zostało już daleko za nami, przez cały jednak czas słyszałem za sobą oddech Dejah Thoris, opierającej głowę o moje ramię.

– Jeśli nam się uda, mój dowódco – szepnęła – Helium będzie miało wobec ciebie ogromny dług wdzięczności, tak wielki, że nigdy nie zdoła się wypłacić. Jeśli nam się nie powiedzie, ten dług wcale nie będzie mniejszy, gdyż uratowałeś ostatnią z naszego rodu od losu gorszego niż śmierć.

Nie odpowiedziałem, lecz sięgnąłem ku jej dłoni, trzymającej się mego boku i uścisnąłem mocno. Potem jechaliśmy w milczeniu przez zalaną księżycowym światłem żółtą równinę, pogrążeni we własnych myślach. Ja, gdybym nawet próbował, nie mógłbym czuć niczego innego niż radość i mimo niebezpieczeństw, jakie nas jeszcze czekały, moje serce, czując bliską obecność Dejah Thoris biło tak wesoło, jakbyśmy już wjeżdżali w bramy Helium.

Nasze pierwotne plany spaliły na panewce i teraz byliśmy pozbawieni jedzenia i picia, a tylko ja byłem uzbrojony. Zmuszaliśmy więc nasze thoaty do szybkiego biegu, mimo iż wiedzieliśmy, że zanim dotrzemy do jakiegoś miejsca, które nadawałoby się na zakończenie pierwszego etapu podróży, taki wysiłek może je drogo kosztować.

Jechaliśmy całą noc i cały następny dzień, robiąc tylko kilka krótkich przerw na odpoczynek. Następnej nocy wszyscy, zarówno my, jak i nasze zwierzęta, byliśmy kompletnie wyczerpani. Położyliśmy się więc na mchu i przespaliśmy pięć czy sześć godzin, wyruszając znowu w drogę przed nastaniem nowego dnia. I znów jechaliśmy cały dzień, a gdy do późnych godzin popołudniowych nie zauważyliśmy w oddali rzędów drzew, które na całym Barsoomie porastają brzegi dróg wodnych, musieliśmy pogodzić się ze straszną prawdą – zbłądziliśmy. Najwyraźniej zboczyliśmy z właściwego kierunku, ale nie potrafiliśmy określić, w którą stronę. W każdym razie w zasięgu naszego wzroku nie było ani śladu drogi wodnej, a cała nasza grupa niemal padała z głodu, pragnienia i wyczerpania. Daleko przed nami, nieco w prawo zauważyliśmy pasmo niskich gór i postanowiliśmy do nich dotrzeć, mając nadzieję, że z jakiegoś wzniesienia zdołamy dojrzeć znaki, świadczące o bliskości kanału. Zanim do nich dojechaliśmy zapadła noc i ułożyliśmy się do snu, niemal mdlejąc z wyczerpania i osłabienia.

Zostałem obudzony przez jakieś tulące się do mnie olbrzymie cielsko, a gdy otworzyłem oczy zoba-

czyłem mego wiernego Woolę, leżącego tuż obok mnie. Biedne zwierzę pobiegło za nami przez pustkowia, by dzielić nasz los, jakikolwiek on będzie. Objąłem rękami jego szyję i przytuliłem do pyska policzek. Nie wstydzę się tego, że to zrobiłem, ani łez, które popłynęły mi z oczu, gdy pomyślałem o jego przywiązaniu. Wkrótce potem Sola i Dejah Thoris obudziły się również i zdecydowaliśmy wyruszyć natychmiast, aby jak najprędzej dotrzeć do wzgórz.

Przejechaliśmy może milę, gdy zauważyłem, że mój thoat zaczyna się potykać, chwiać i popiskiwać żałośnie, mimo iż od poprzedniego południa nie zmuszaliśmy zwierząt do większego wysiłku niż marsz. Nagle thoat pochylił się gwałtownie na jedną stronę, a potem runął na ziemię. Dejah Thoris i ja zostaliśmy wyrzuceni i upadliśmy na mech, nie robiąc sobie na szczęście nic złego. Jednak zwierzę było w pożałowania godnym stanie i, mimo że uwolnione od naszego ciężaru, nie było nawet zdolne się podnieść. Sola powiedziała, że chłód nocy oraz wypoczynek powinny wrócić mu siły, zdecydowałem więc, że go nie zabiję, chociaż w pierwszej chwili miałem taki zamiar, gdyż okrucieństwem wydawało mi się pozostawienie zwierzęcia samego, na straszną śmierć z głodu i pragnienia. Zdjąłem z niego uprząż i zostawiliśmy je własnemu losowi, ruszając dalej z jednym tylko thoatem. Sola i ja szliśmy na piechotę, Dejah Thoris zmusiliśmy natomiast wbrew jej woli, by jechała. Zbliżyliśmy się w ten sposób na odległość około mili do wzgórz, gdy nagle Dejah Thoris, siedząca wysoko na grzbiecie thoata i dzięki temu lepiej widząca okolicę, krzyknęła, że kilka mil od nas, z wąwozu między wzgórzami wyjeżdża duży oddział. Sola i ja spojrzeliśmy w tym kierunku i zobaczyliśmy kilkuset jadących wierzchem wojowników. wydawali się zmierzać na południowy zachód, a jeśli tak, to znaczyło, że będą się od nas oddalać.

Byli to bez wątpienia wojownicy tharkijscy, którzy zostali wysłani, aby nas schwytać i westchnęliśmy z ulgą, gdy się upewniliśmy, że jadą w przeciwną stronę. Szybko zdjąłem Dejah Thoris z thoata i kazałem zwierzęciu się położyć. My również ułożyliśmy się obok, tuląc się do ziemi w nadziei, że żaden z wojowników nas nie zauważy.

Widzieliśmy, jak wyjechali z wąwozu, a potem skryli się za następnym wzgórzem – dla nas był to bardzo pomyślny przypadek, gdyż musieliby nas zauważyć, gdyby jechali dłużej po otwartej przestrzeni. Jednak ostatni wojownik zatrzymał się i, ku naszemu przerażeniu, wyjął małą, lecz bardzo silną lornetkę, przez którą zaczął przepatrywać okolicę we wszystkich kierunkach. Najwyraźniej był dowódcą – w niektórych rodzajach kolumn marszowych zielonych ludzi dowódca jechał na samym końcu, za całym oddziałem. Gdy lornetka zwróciła się w naszą stronę, poczułem zimny pot, występujący mi na całym ciele. Lornetka znieruchomiała. Mieliśmy nerwy napięte do ostateczności i wątpię czy ktokolwiek z nas odważyło się oddychać przez te kilka chwil, w czasie których wojownik patrzył na nas. W końcu opuścił lornetkę i zauważyłem jak wykrzykiwał rozkazy do oddziału, który już skrył się za wzgórzem. Potem ruszył galopem w naszą stronę, nie czekając na innych. Dzięki temu pojawił się dla nas cień szansy, należało jednak działać błyskawicznie. Podniosłem do ramienia marsjańską strzelbę, wycelowałem i nacisnąłem spust. Nastąpił krótki ostry wybuch, gdy pocisk dosięgnął celu, a dowódca zwalił się w tył z galopującego thoata. Zerwałem się na nogi, podniosłem thoata i rozkazałem Soli i Dejah Thoris wsiadać na niego i gnać w stronę wzgórz tak szybko, jak to możliwe. Wiedziałem, że wśród wąwozów i żlebów znajdą jakieś tymczasowe schronienie, a nawet gdyby miały tam umrzeć z głodu i pragnienia, będzie to lepsze niż ponowne wpadnięcie w łapy Tharków. Oddałem im oba rewolwery, które mogły posłużyć przez czas jakiś do obrony lub, w razie potrzeby, jako środek ostatecznej ucieczki, eliminującej już na zawsze możliwość powtórnego schwytania. Podniosłem Dejah Thoris i posadziłem za Solą na grzbiecie thoata.

– Do widzenia, moja księżniczko – powiedziałem. – Może się spotkamy w Helium. Wydostawałem się już z gorszych opresji – kłamiąc siliłem się na uśmiech.

– Jak to? – krzyknęła. – Nie jedziesz z nami?

– Nie mogę. Ktoś musi powstrzymać przez chwilę pogoń, a ja sam łatwiej się wymknę niż gdybyśmy uciekali we troje.

Zeskoczyła z powrotem na ziemię, zarzuciła mi ramiona na szyję i zwróciła się do Soli, mówiąc z godnością:

– Uciekaj, Solu! Dejah Thoris zostaje, by umrzeć z człowiekiem, którego kocha.

Te słowa są na zawsze wyryte w moim sercu. Chętnie oddałbym życie za to, by móc je jeszcze raz usłyszeć. Wtedy jednak nie mogłem zostać ani chwili dłużej w jej objęciach, przycisnąłem tylko po raz pierwszy usta do jej ust, potem odepchnąłem ją od siebie i posadziłem w siodle, rozkazując Soli, aby zatrzymała ją tam siłą. Potem popędziłem thoata i patrzyłem, jak się oddalają, a Dejah Thoris szarpie się i wyrywa z uścisku Soli.

Obejrzałem się i zobaczyłem, że zieloni wojownicy weszli na wzgórze i rozglądają w poszukiwaniu

Nie sprzeciwiał się już, gdy zaproponowałem, abyśmy poszli do Tal Hajusa, powiedział tylko, że musi przedtem porozmawiać z Sarkoją. Poszliśmy razem do jej kwatery, a pełne jadowitej nienawiści spojrzenie, jakie mi posłała, było dla mnie niemal dostateczną rekompensatą za wszystkie przyszłe nieprzyjemności, mogące mnie spotkać w związku z tym przypadkowym powrotem do państwa Tharków.

– Sarkojo – powiedział Tars Tarkas – czterdzieści lat temu sprowadziłaś tortury i śmierć na kobietę, imieniem Gozawa. Przed chwilą mi powiedziano, że wojownik, który ją kochał, dowiedział się o roli, jaką w tej sprawie odegrałaś. Nie zabije cię, Sarkojo, gdyż nasze obyczaje na to nie pozwalają, ale nic go nie może powstrzymać przed przeprowadzeniem na tobie naukowego eksperymentu. Przywiąże jeden koniec sznura do twojej szyi, a drugi do nogi dzikiego thoata. Sprawdzi w ten sposób twoją odporność i zdolność do przeżycia, co niewątpliwie przyczyni się do ulepszenia naszej rasy. Usłyszałem, że ma zamiar to zrobić wczesnym rankiem, postanowiłem więc cię ostrzec. Przygotowania do pielgrzymki nad rzekę Iss nie zabiorą ci dużo czasu, Sarkojo. Idziemy, Johnie Carter.

Nazajutrz rano Sarkoja zniknęła i od tej pory nikt już jej nie widział.

W milczeniu poszliśmy do pałacu jeddaka i zostaliśmy natychmiast zaprowadzeni do pomieszczenia, w którym Tal Hajus czekał na nas, jak się wydawało z wielką niecierpliwością, gdyż zastaliśmy go stojącego na podwyższeniu i nerwowo spoglądającego w stronę wejścia.

– Przywiązać go do tej kolumny – krzyknął na mój widok. – Ośmielił się uderzyć potężnego Tal Hajusa! Rozgrzać żelazo! Własnoręcznie wypalę mu oczy, aby więcej nie obrażał mojej osoby swoim bezczelnym spojrzeniem!

– Wodzowie i dowódcy Tharków! – zwróciłem się do stojącej w pobliżu rady, ignorując Tal Hajusa. – Byłem wśród was dowódcą, a dzisiaj walczyłem z waszymi wrogami, ramię przy ramieniu z największym tharkijskim wojownikiem. Przez wzgląd na to wszystko powinniście mnie chociaż wysłuchać. Uważacie się przecież za sprawiedliwych ludzi...

– Milczeć! – wrzasnął Tal Hajus. – Zakneblować mu usta i przywiązać jak rozkazałem!

– Miej wzgląd na sprawiedliwość, Tal Hajusie – powiedział Lorquas Ptomel. – Kim jesteś, że wolno ci lekceważyć odwieczne prawa Tharków?

– Tak, sprawiedliwość! – zawtórował mu tuzin głosów.

Podczas, gdy Tal Hajus sapał i parskał ze złości, ja mówiłem dalej:

– Jesteście dzielnymi wojownikami i cenicie odwagę. Powiedzcie, gdzie był wasz potężny jeddak podczas dzisiejszej bitwy? Nie zauważyłem go w ogniu walki. Nie było go tam. Znęca się nad bezbronnymi kobietami i dziećmi, ale kiedy ostatni raz widziano go walczącego z mężczyzną? Nawet ja, o tyle od was mniejszy, powaliłem go jednym uderzeniem pięści. Czy takich wojowników Tharkowie mają w zwyczaju obwoływać jeddakami? Obok mnie stoi wielki Thark, potężny wojownik i szlachetny człowiek. Wodzowie, jakby to brzmiało: Tars Tarkas, jeddak Tharku?

Moja propozycja została powitana pełnymi zadowolenia, potakującymi okrzykami.

– Wystarczy, aby rada wyraziła takie życzenie, a Tal Hajus będzie musiał udowodnić swoje prawo do rządzenia waszym narodem. Gdyby był odważnym mężczyzną, już dawno by wyzwał Tars Tarkasa na pojedynek, gdyż, jak wam wszystkim wiadomo, bardzo go nie lubi. Nie zrobił tego, gdyż się boi. Wasz jeddak, Tal Hajus, jest tchórzem. Ja sam mógłbym go zabić gołymi rękami i on o tym wie.

Zamilkłem, a sala wypełniła się pełną oczekiwania ciszą. Wszystkie oczy zwróciły się na Tal Hajusa. Nie powiedział ani słowa, ale jego zielona twarz wyraźnie zbladła.

– Tal Hajusie – powiedział Lorquas Ptomel zimnym, wyzywającym głosem – jeszcze nigdy, w ciągu całego swojego życia nie widziałem, aby ktoś tak obraził jeddaka Tharków. Na taką zniewagę jest tylko jedna odpowiedź. Czekamy na nią.

Tal Hajus stał jak skamieniały.

– Wodzowie – ciągnął Lorquas Ptomel – czy żądamy, aby Tal Hajus udowodnił swoją wyższość nad Tars Tarkasem?

Wokół podwyższenia było zgromadzonych około dwudziestu wodzów i dowódców i dwadzieścia mieczy zostało podniesionych w powietrze na znak potwierdzenia.

Teraz już nie było wyboru. Życzenie rady było jasne i ostateczne. Tal Hajus dobył miecza i ruszył w stronę Tars Tarkasa. Walka była bardzo krótka i Tars Tarkas, opierając stopę na gardle pokonanego władcy, został obwołany nowym jeddakiem Tharku. Jego pierwszym zarządzeniem było mianowanie mnie pełnoprawnym dowódcą w randze równej tej, jaką sobie wywalczyłem podczas mego poprzedniego wśród nich pobytu.

Widząc, że wojownicy są przychylnie nastawieni zarówno do Tars Tarkasa, jak i do mnie, postanowiłem wykorzystać okazję i nakłonić ich do rozpoczęcia wojny z Zodangą. Opowiedziałem Tars Tarkasowi swoje przygody i w kilku słowach wyjaśniłem, co mam na myśli.

Tars Tarkas zyskuje przyjaciela

Około północy przeleciałem na niewielkiej wysokości ponad wymarłym miastem starożytnych Marsjan i, gdy płynąłem ku leżącej poza nim równinie, natknąłem się na kilka tysięcy zielonych wojowników, pogrążonych w okrutnej bitwie. Ledwie ich zobaczyłem, a już runęła w moją stronę lawina strzałów, których niemal nieomylna celność sprawiła, iż po chwili mój mały statek był tylko pożałowania godnym wrakiem, dryfującym bezwolnie ku ziemi.

Spadłem niemal dokładnie w centrum zażartej walki, pomiędzy wojowników, którzy byli tak zajęci śmiertelnymi zmaganiami, iż nie zauważyli mego upadku. Walczyli pieszo przy użyciu długich mieczy i tylko od czasu do czasu strzał snajpera, ukrytego na obrzeżach pola walki, powalał wojownika, który na moment odłączył się od skłębionej masy walczących.

Gdy byłem tuż nad ziemią zorientowałem się, iż będę musiał walczyć lub umrzeć, przy czym szanse na śmierć były wcale niemałe, toteż gruntu dotknąłem z wyciągniętym już mieczem, gotowy bronić się, jak będę umiał.

Znalazłem się tuż za ogromnym potworem, stawiającym czoła trzem przeciwnikom i gdy przez moment ujrzałem jego okrutną, rozjaśnioną ogniem bitwy twarz rozpoznałem w nim Tars Tarkasa. On mnie nie zauważył, gdyż stałem nieco z tyłu. W tym właśnie momencie jego trzej wrogowie, w których rozpoznałem Warhoończyków, przypuścili jednoczesny, wściekły atak. Olbrzym szybko uporał się z jednym, ale, robiąc krok do tyłu, by zadać następny cios, potknął się o leżące za nim martwe ciało i upadł. Dwaj przeciwnicy błyskawicznie rzucili się ku niemu i jeszcze chwila, a Tars Tarkas byłby równie martwy, jak starożytni Marsjanie. Skoczyłem między niego a szarżujących Warhoończyków i mieczem zmusiłem ich do zatrzymania się. Powaliłem jednego i zobaczyłem, że Thark, który zdążył się już podnieść, kładzie trupem drugiego.

Dopiero teraz mi się przyjrzał. Uśmiechnął się lekko i położył mi dłoń na ramieniu.

– Bardzo trudno cię poznać, Johnie Carter – powiedział – ale żaden inny śmiertelnik na Barsoomie nie zrobiłby dla mnie tego, co ty przed chwilą. Chyba jednak istnieje coś takiego, jak przyjaźń, przyjacielu.

Nic więcej nie powiedział, ale warunki nie sprzyjały dłuższej rozmowie, gdyż Warhoończycy znów zaczęli na nas nacierać. Walczyliśmy razem, ramię przy ramieniu, przez całe długie, gorące popołudnie, aż resztki oddziałów Warhoonu dopadły swoich thoatów i uciekły galopem w napływające ciemności.

W tej wielkiej bitwie uczestniczyło dziesięć tysięcy wojowników, z których trzy tysiące zginęło, a ich ciała gęsto zaścielały całą łąkę. Żadna ze stron nie prosiła, ani nie dawała pardonu, nikt też nie brał jeńców.

Po bitwie poszliśmy bezpośrednio do kwater Tars Tarkasa. Zostałem tu sam, gdyż wódz musiał udać się na naradę, którą przeprowadzano zawsze po tego typu wydarzeniu.

Gdy siedziałem, oczekując na powrót zielonego wojownika, usłyszałem, że w sąsiednim pomieszczeniu coś się porusza. Za chwilę padłem na jedwabie i futra, przygnieciony cielskiem dużego, okropnego stworzenia. To był Woola, wierny, kochający Woola. Odnalazł drogę powrotną do Tharku i, jak mi później powiedział Tars Tarkas, pobiegł natychmiast do pomieszczeń, w których w tym mieście mieszkałem i nie opuszczał ich aż do tej nocy, niezmordowanie oczekując na mój powrót.

– Tal Hajus wie, że tu jesteś – powiedział Tars Tarkas po powrocie z narady. – Sarkoja widziała nas, gdy wracaliśmy i rozpoznała cię. Jeddak rozkazał mi, abym cię dostarczył do niego jeszcze tej nocy. Mam dziesięć thoatów, Johnie Carter, możesz wybrać jednego z nich. Odprowadzę cię do najbliższej drogi wodnej, prowadzącej do Helium. Tars Tarkas jest być może okrutnym zielonym wojownikiem, ale również potrafi być przyjacielem. Chodź, musimy się spieszyć.

– A co będzie z tobą, gdy wrócisz? – spytałem.

– Prawdopodobnie dzikie kaloty albo nawet coś gorszego – odpowiedział. – Chyba, że nadarzy się sposobność do walki z Tal Hajusem, na którą czekam od dawna.

– Zostaniemy, Tars Tarkasie, i pójdziemy dziś w nocy do jeddaka. Nie mogę pozwolić, abyś się poświęcał. Być może właśnie dzisiaj będziesz miał szanse na spełnienie marzeń.

Oponował jeszcze przez chwilę przeciwko mojej decyzji, twierdząc, że Tal Hajus na samą myśl o mnie wpada we wściekłość i gdy tylko dostanę się w jego ręce będę poddany najwymyślniejszym torturom, ale w końcu zrezygnował, widząc, że mnie nie przekona.

Podczas posiłku opowiedziałem Tars Tarkasowi historię, przekazaną mi przez Solę dwej nocy podczas marszu do Tharku. Nie odezwał się ani słowem przez cały czas mojej opowieści, ale naprężające się pod skórą muskuły świadczyły jak głęboko przeżywał wspomnienie o jedynej istocie, którą kiedykolwiek kochał.

swego dowódcy. Po chwili go zauważyli, a potem mnie. Natychmiast zacząłem do nich strzelać. Miałem prawie sto nabojów w magazynku strzelby i drugie sto w pasie na plecach, strzelałem więc raz za razem, aż zauważyłem, że ci wojownicy, którzy wspięli się na wzgórze polegli bądź zdążyli się schować.

Czas, jaki mi dano na wypoczynek był jednak bardzo krótki, gdyż po chwili zobaczyłem oddział, składający się z kilku tysięcy wojowników, wyjeżdżający zza wzgórza i ruszający dzikim galopem w moim kierunku. Strzelałem aż do chwili, gdy skończyły mi się naboje, a oni byli już bardzo blisko. Upewniwszy się, że Dejah Thoris i Sola już zniknęły wśród wzgórz, podniosłem się, odłożyłem nieprzydatną strzelbę i rzuciłem się do ucieczki w kierunku przeciwnym do tego, w którym odjechały kobiety.

Jeśli jacyś Marsjanie widzieli kiedykolwiek pokaz prawdziwych skoków, to właśnie ścigający mnie wojownicy. Skakałem, wkładając w to wszystkie siły, a oni gonili mnie zawzięcie. Jednak w pewnym momencie potknąłem się o jakiś kamień i runąłem jak długi na żółty mech. Gdy podniosłem wzrok stali nade mną i mimo że wyciągnąłem miecz, chcąc sprzedać swoje życie jak najdrożej, wkrótce było już po wszystkim. Zacząłem chwiać się pod naporem ich ciosów, spadających na mnie jak wodospad, huczało mi w głowie, wszystko wokół zaczęło ciemnieć i w końcu upadłem, straciwszy przytomność.

W kajdanach

Musiało upłynąć kilka godzin zanim przyszedłem do siebie i doskonale pamiętam zdziwienie, jakie mnie opanowało, gdy stwierdziłem, że nie jestem martwy.

Leżałem na stercie jedwabiu i futer w kącie niewielkiego pomieszczenia. Nachylała się nade mną stara, brzydka kobieta, a obok stało kilku zielonych wojowników. Gdy otworzyłem oczy, kobieta powiedziała do jednego z wojowników:

– Będzie żył, jedzie.

– To bardzo dobrze – odpowiedział ten, do którego się zwróciła i podszedł do mojego posłania. – Dostarczy nam wiele atrakcji podczas wielkich igrzysk.

Spojrzałem na niego i stwierdziłem, że nie był to Thark, gdyż jego insygnia i ozdoby wyglądały zupełnie inaczej. Był bardzo wysoki i potężny, twarz i pierś miał pooraną bliznami, jeden kieł złamany i odcięte ucho. Na piersi wisiał mu naszyjnik z ludzkich czaszek, przeplatanych wyschniętymi ludzkimi rękami.

Wzmianka o wielkich igrzyskach, o których tak wiele słyszałem od Tharków, przekonała mnie, że wpadłem z deszczu pod rynnę.

Marsjanin zamienił jeszcze kilka słów z kobietą, a gdy zapewniła go, że mogę podróżować rozkazał, byśmy dosiedli wierzchowców i pojechali za główną kolumną.

Zostałem mocno przywiązany do najbardziej dzikiego i nieposłusznego thoata, jakiego kiedykolwiek widziałem. Po obu jego stronach ustawili się na swoich wierzchowcach dwaj wojownicy, najwyraźniej w celu uniemożliwienia zwierzęciu ucieczki i ruszyliśmy galopem, starając się dogonić kolumnę.

Rany prawie wcale mi nie dokuczały. Był to rezultat wspaniałych właściwości leków i zastrzyków, które zastosowała stara kobieta oraz niezwykle starannego opatrzenia i zabandażowania skaleczeń.

Krótko przed zapadnięciem ciemności dołączyliśmy do głównych sił, które zdążyły już rozbić obóz na noc. Natychmiast zaprowadzono mnie do wodza, którym, jak się okazało, był sam jeddak Warhoonu.

Podobnie jak jed, który mnie przywiózł, był on przerażająco poznaczony bliznami i również nosił napierśnik z ludzkich czaszek i suszonych rąk, który zdawał się być ozdobą mającą świadczyć o okrucieństwie wszystkich wielkich wojowników.

Jeddak Bar Comas, stosunkowo młody, był przedmiotem dzikiej nienawiści i zazdrości swego porucznika, Dak Kova – jeda, który mnie schwytał. Nie mogłem nie zauważyć nieustannych wysiłków jeda, starającego się w wymyślny sposób obrażać swego zwierzchnika. Gdy stanęliśmy przed jeddakiem, całkowicie pominął zwykłe, formalne powitanie i, wypchnąwszy mnie przed siebie, głośno, wyzywającym tonem powiedział:

– Przyprowadziłem dziwne stworzenie, noszące insygnia Tharków. Mam zamiar zmusić go do walki z dzikim thoatem podczas wielkich igrzysk.

– Umrze w taki sposób, jaki uzna za odpowiedni Bar Comas, twój jeddak, jeśli w ogóle umrze – powiedział młody władca z godnością.

– Jeśli w ogóle umrze? – ryknął Dak Kova. – Klnę się na ręce umarłych zawieszone na mojej piersi, że on umrze, Bar Comasie. Twoja sentymentalna słabość go nie uratuje. O, niechby Warhoon był wreszcie rządzony przez prawdziwego jeddaka, a nie przez zniewieściałego młodzika z wodą zamiast krwi w żyłach, z którego nawet stary Dak Kova potrafiłby zedrzeć insygnia gołymi rękoma!

Bar Comas patrzył przez chwilę na zuchwałego, nieposłusznego dowódcę, a w jego oczach nie było cienia strachu, tylko pogarda i nienawiść. Potem bez jednego słowa, nie sięgając po broń rzucił się do gardła dowódcy.

Nigdy przedtem nie widziałem marsjańskich wojowników walczących swą naturalną bronią. Zwierzęca drapieżność, emanująca z ich postaci była tak przeraźliwa, iż trudno ją opisać słowami. Próbowali wydrapać sobie oczy, oberwać uszy, bez przerwy cięli się, kąsali i pruli ogromnymi kłami, aż obaj sprawiali wrażenie poszarpanych na strzępy od stóp do głów.

Bar Comas brał wyraźnie górę, był silniejszy, szybszy i inteligentniejszy. Wydawało się, że walka dobiega końca i wkrótce zostanie zadane śmiertelne uderzenie, gdy nagle Bar Comas pośliznął się w kałuży krwi, usiłując zrobić unik przed ciosem przeciwnika. Odsłonił się na chwilę i to było wszystko, czego Dak Kova potrzebował. Rzucił się naprzód, zatopił swój jedyny kieł w brzuchu jeddaka i ostatnim, szaleńczym wysiłkiem rozpruł go całego, aż po szczękę. Zwycięzca i pokonany zwalili się na mech, tworząc ogromną nieruchomą masę poszarpanego, zakrwawionego mięsa.

Bar Comas był martwy, a Dak Kovę od losu, na jaki w pełni zasługiwał ustrzegły tylko niezwykłe wysiłki jego kobiet. Trzy dni później już bez pomocy podszedł do ciała Bar Comasa, które jak nakazywał zwyczaj, ciągle leżało w tym miejscu, w którym upadło i postawiwszy stopę na szyi byłego władcy przybrał tytuł jeddaka Warhoonu.

Głowa i ręce zabitego jeddaka zostały odcięte i dołączyły do napierśnika zwycięzcy, zaś pozostałe szczątki zostały spalone przez kobiety wśród dzikich, przeraźliwych śmiechów.

Rany odniesione przez Dak Kovę opóźniły marsz tak bardzo, że odłożono, na okres po zakończeniu wielkich igrzysk, wyprawę na małe plemię Tharków w odwet za zniszczenie inkubatora. Cały oddział, liczący prawie dziesięć tysięcy wojowników, ruszył w drogę powrotną do Warhoonu.

Opisana wyżej walka była tylko pierwszą z całego szeregu podobnych, które oglądałem niemal bez przerwy podczas mego pobytu wśród tych okrutnych i żądnych krwi istot. Byli mniej liczni niż Tharkowie, ale znacznie bardziej dzicy i krwiożerczy. Nie było dnia, który by minął bez starcia między należącymi do różnych plemion wojownikami. Raz byłem świadkiem aż ośmiu śmiertelnych pojedynków.

Przybyliśmy do Warhoonu po trzydniowym marszu i natychmiast potem zaprowadzono mnie do piwnicy i przykuto łańcuchami do ściany i podłogi. Przynoszono mi co pewien czas pożywienie, ale wskutek tego, że w moim więzieniu panowały kompletne ciemności nie wiedziałem czy siedzę tam dni, tygodnie czy miesiące. Było to najstraszniejsze doświadczenie w całym moim życiu i do dzisiaj się dziwię, że w tej ciemnicy nie zwariowałem. Mieszkały tam jakieś pełzające i wijące się stwory, gdy leżałem łaziły po mnie zimne, dziwaczne cielska, a od czasu do czasu widziałem utkwione we mnie spojrzenia dzikich, pałających oczu. Z leżącego nade mną świata nie docierał żaden dźwięk, a przynoszący mi jedzenie strażnik również nie odzywał się ani słowem, chociaż z początku zasypywałem go pytaniami.

Wkrótce cała nienawiść i maniakalny wstręt, jakie czułem do istot, które umieściły mnie w tego typu miejscu skupiły się na tym strażniku. Stał się on dla mnie symbolem całej hordy Warhoończyków.

Zauważyłem, że zawsze podchodził ze swą nikłą pochodnią do miejsca znajdującego się w zasięgu moich rąk i gdy stawiał tam jedzenie jego głowa znajdowała się na poziomie mojej piersi. Gdy następnym razem usłyszałem, że się zbliża, wycofałem się z przebiegłością szaleńca w róg celi i zebrawszy w dłonie część długiego łańcucha, którym byłem przykuty, czekałem na niego zaczajony, jakbym polował na dzikiego zwierza. Pochylił się, by położyć na podłodze moje jedzenie, a ja zakręciłem łańcuchem nad głową i uderzyłem go w łeb z całą siłą, jaka mi jeszcze pozostała. Padł na podłogę martwy, bez jednego dźwięku. Śmiejąc się i chichocząc jak wariat podszedłem do ciała i sięgnąłem palcami w stronę gardła. Wyczułem mały łańcuszek, na którego końcu wisiał pęk kluczy. Dotyk tych kluczy przywrócił mi rozsądek. Już nie byłem podskakującym kretynem, ale trzeźwo myślącym więźniem, trzymającym w ręku klucze od swego więzienia.

Gdy starałem się zdjąć łańcuszek z szyi mojej ofiary, podniosłem na chwilę wzrok i zobaczyłem sześć par nieruchomych, utkwionych we mnie oczu. Zaczęły się powoli zbliżać, a ja cofałem się, zdjęty panicznym strachem. Wtuliłem się w kąt, z rękami wyciągniętymi przed siebie, a oczy zbliżały się i wreszcie zatrzymały nad martwym ciałem u moich stóp. Potem zaczęły się powoli cofać i tym razem towarzyszył temu dziwny skrzypiący dźwięk. Wreszcie zniknęły w głębi pieczary.

nigdzie nie znaleźć – odpowiedziałem i wskazałem w dół, gdzie dwadzieścia stóp niżej, na końcu pasa dyndało moje wyposażenie i broń. Wartownik, kierując się ciekawością podszedł do mnie i pochylił się, by spojrzeć w dół. W tym momencie jedną ręką chwyciłem go za gardło, drugą za przegub trzymającej broń dłoni. Pistolet upadł na dach i natychmiast zatkałem mu usta, by uniemożliwić wzywanie pomocy. Ogłuszyłem go, skrępowałem, a potem zawiesiłem na pasie – tak, jak sam przed chwilą wisiałem. Wiedziałem, że nie zostanie odnaleziony przed nastaniem dnia, a to mogło mi dać trochę czasu, którego tak bardzo potrzebowałem.

Włożyłem na siebie odzyskane wyposażenie i poszedłem do hangarów, w których trzymane były łodzie. Wyciągnąłem zarówno moją, jak i Kantos Kana. Przywiązałem jego maszynę do ogona mojej, włączyłem silnik i przeskoczywszy przez skraj dachu skierowałem się w dół. Poleciałem na dużo mniejszej wysokości, niż ta, na której latały zazwyczaj patrole i po minucie wylądowałem na dachu naszego budynku, obok zdumionego Kantos Kana. Nie traciłem czasu na zbyteczne wyjaśnienia, ale przystąpiłem od razu do omawiania planów na najbliższą przyszłość. Zdecydowaliśmy, że ja polecę bezpośrednio ku Helium, a Kantos Kan będzie się starał dostać do pałacu i zabić Sab Thana. Jeśli mu się powiedzie, uda się później za mną. Kantos Kan ustawił mój kompas, sprytne małe urządzenie, które zawsze wskazuje wybrany przedtem punkt na powierzchni Barsoomu. Życząc sobie wzajemnie powodzenia unieśliśmy się w powietrze i polecieliśmy razem w kierunku pałacu.

Zbliżaliśmy się właśnie do wysokiej wieży, gdy nagle z góry nadleciał patrol, oświetlił moją łódkę reflektorem i zażądał zatrzymania się. Gdy nie zastosowałem się do wezwania, oddał ostrzegawczy strzał. Kantos Kan skrył się szybko w ciemnościach, a ja pomknąłem naprzód prując z oszałamiającą prędkością marsjańskie niebo, ścigany już przez tuzin łodzi patrolowych, które dołączyły do pierwszej. Wkrótce zauważyłem, że dogania mnie bardzo szybki krążownik, mający na pokładzie stuosobową załogę i baterie szybkostrzelnych karabinów. Klucząc, rzucając moją maszynę to w górę, to w dół udawało mi się przez cały niemal czas uniknąć ich szperających reflektorów, jednak te wszystkie manewry sprawiły, że krążownik zbliżał się do mnie coraz bardziej. Postanowiłem więc zaryzykować ucieczkę na wprost i zdać się na los i szybkość mojej łódki.

Kantos Kan nauczył mnie zwiększającej znacznie prędkość sztuczki, znanej tylko we flocie Helium, byłem więc pewien, że zostawię z tyłu moich prześladowców, jeśli tylko uda mi się przez kilka chwil uniknąć trafienia z ich karabinów.

Wyrównałem kurs i nagle ze wszystkich stron usłyszałem świst kul. Pomyślałem, że tylko cud może mnie uratować, ale kości zostały rzucone. Zwiększyłem więc prędkość do maksimum i pomknąłem prostu do Helium. Stopniowo zostawiałem pościg coraz dalej za sobą i zaczynałem już gratulować sobie szczęśliwej ucieczki, gdy dobrze wymierzony strzał uderzył w dziób mej łódki. Wstrząs niemal wywrócił ją dnem do góry. Leciała rozpędem jeszcze kawałek do przodu, ale potem zaczęła coraz szybciej opadać ku pogrążonej w ciemnościach ziemi.

Nie wiem, na jakiej wysokości udało mi się wreszcie zapanować nad maszyną, ale musiałem być bardzo nisko, gdyż wyraźnie słyszałem dobiegające mnie z dołu ryki zwierząt. Przeszukałem wzrokiem niebo nade mną i daleko z tyłu zauważyłem zniżające się ku ziemi światła. Najwyraźniej moi prześladowcy lądowali, by odszukać moje szczątki.

Dopiero, gdy ich światła przestały być widoczne, odważyłem się zapalić małą lampkę i spojrzeć na kompas. Z przerażeniem stwierdziłem, że odłamek pocisku zniszczył zarówno mojego jedynego przewodnika, jak i pozostałe przyrządy – szybkościomierz i wysokościomierz. To prawda, że mogłem ustalić ogólny kierunek ku Helium według gwiazd, ale nie znając dokładnego położenia miasta ani prędkości, z jaką się poruszałem miałem bardzo niewielkie szanse trafienia do celu.

Helium nie było położone tysiąc mil na południowy zachód od Zodangi i ze sprawnym kompasem mogłem pokonać tę odległość w cztery do pięciu godzin, zakładając oczywiście, że nie spotkałyby mnie po drodze jakieś przykre przygody. Jednakże gdy nadszedł dzień, a ja miałem za sobą już sześć godzin lotu z dużą prędkością, okazało się, że lecę nad rozległym dnem wyschniętego morza. Wkrótce ujrzałem pod sobą wielkie miasto, ale nie było to Helium, gdyż ono, jako jedyne na Barsoomie, składa się z dwóch wielkich, otoczonych murami ośrodków, odległych od siebie o siedemdziesiąt pięć mil i z wysokości, na której się znajdowałem byłoby one oba łatwo widoczne.

Zawróciłem na południowy zachód, gdyż wydawało mi się, że poleciałem za bardzo na północ i zachód. W ciągu pierwszych godzin nocy natknąłem się na kilka dużych miast, ale żadne z nich nie odpowiadało opisowi Helium, jaki otrzymałem od Kantos Kana. Cechą wyróżniającą to miasto, obok faktu, iż jest ono podwójne, są dwie gigantyczne wieże: pierwsza z nich, o barwie żywego szkarłatu wyrasta niemal na milę z centrum jednego grodu, druga natomiast, jaskrawożółta, ale o równej wysokości, znaczy w podobny sposób gród siostrzany.

Kantos Kan położył mi rękę na ramieniu, wyciągnął miecz i powiedział:
– Gdyby zostawiono mi prawo wyboru nie mógłbym znaleźć bardziej odpowiedniego męża dla pierwszej księżniczki Helium. Położyłem rękę na twoim ramieniu, Johnie Carter, i przyrzekam ci, że Sab Than zginie od ciosu tego miecza, który trzymam w dłoni. Zrobię to z miłości do Helium, do Dejah Thoris i do ciebie. Jeszcze tej nocy spróbuję się przedostać do jego apartamentów w pałacu.
– W jaki sposób? – spytałem. – Nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę, że jesteś bardzo uważnie pilnowany, a patrole powietrzne zostały zwiększone czterokrotnie.
Zamyślił się, a potem powiedział:
– Potrafiłbym tego dokonać, gdyby mi się udało zmylić te straże. Znam sekretne wejście do pałacu, prowadzące przez wierzchołek najwyższej wieży. Natknąłem się na nie przypadkowo pewnego dnia, gdy latałem nad miastem pełniąc służbę patrolową. Wymaga się od nas, byśmy w czasie patroli badali wszystko, co wyda nam się dziwne, a twarz na szczycie najwyższej wieży pałacowej wydała mi się bardzo dziwnym zjawiskiem. Podleciałem bliżej i zobaczyłem, że ta twarz należy do Sab Thana. Był nieco niezadowolony, że go odnalazłem i nakazał mi, abym zachował wszystko w tajemnicy, wyjaśniając przy tym, że przejście prowadzi wprost do jego apartamentu i tylko on o nim wie. Gdybym się mógł dostać na dach i wziąć moją maszynę, byłbym u niego w ciągu pięciu minut. Ale jak mam wydostać się z tego budynku, jeśli jest tak pilnowany?
– Jak są strzeżone stanowiska maszyn w koszarach? – spytałem.
– W nocy zwykle pilnuje ich tylko jeden strażnik.
Nie tracąc czasu na bliższe wyjaśnienia wyszedłem z powrotem na ulicę tą samą drogą i pospieszyłem w stronę koszar. Nie odważyłem się wejść do środka – budynek był wypełniony żołnierzami zwiadu powietrznego, którzy, tak jak wszyscy w Zodandze, mieli polecenie mnie poszukiwać.
Był to ogromny gmach, jego szczyt wznosił się tysiąc stóp nad ziemią. Niewiele było w Zodandze budynków wyższych niż te koszary. Tylko lądowisko wielkich statków bojowych było ustawione na wysokości około półtora tysiąca stóp nad ziemią, na podobnej wysokości znajdowały się również przystanie towarowe i pasażerskie floty handlowej.
Wspinanie się po frontowej ścianie budynku było trudne i niebezpieczne, ale nie miałem innego sposobu dostania się na dach. Na szczęście, dzięki temu, iż architektura barsoomska jest niezwykle ozdobna, okazało się to znacznie prostsze, niż przypuszczałem. Wchodziłem do góry, chwytając się różnych listew i występów niemal tak wygodnie, jak po drabinie. Dopiero na górze, pod samym okapem, pojawił się pierwszy problem. Okap dachu wystawał prawie dwadzieścia stóp od muru i mimo, że obszedłem wokoło cały budynek, nie znalazłem w nim żadnej przerwy, przez którą mógłbym się przecisnąć. Nie mogłem też przejść na dach przez najwyższe piętro budynku, gdyż było ono jasno oświetlone i pełne zajętych swoimi sprawami żołnierzy.
Był tylko jeden, bardzo ryzykowny i niebezpieczny sposób, pomyślawszy jednak o Dejah Thoris, zdecydowałem się go wykorzystać, gdyż nie narodził się jeszcze mężczyzna, który by dla takiej jak ona po tysiąckroć życia nie zaryzykował. Czepiając się muru stopami i jedną dłonią, poluźniłem długi, zakończony wielkim hakiem rzemień, wchodzący w skład mego wyposażenia. Rzemieniami takimi powietrzni żeglarze czepiali się boków i dna swoich statków przy okazji różnych napraw, za ich także pomocą opuszczały się na ziemię grupy desantowe.
Zachowując ostrożność zarzuciłem ten hak na dach. Musiałem tę czynność powtarzać kilkakrotnie zanim znalazł on jakieś zaczepienie. Naciągnąłem rzemień – trzymał mocno, ale nie mogłem wiedzieć czy utrzyma ciężar mego ciała. Hak mógł zaczepić się o sam skraj dachu i ześliznąć zeń, gdy będę wisiał w powietrzu, rzucając mnie na spotkanie chodnika, leżącego tysiąc stóp niżej.
Wahałem się przez moment, ale potem puściłem podtrzymujący mnie występ muru i wyleciałem w przestrzeń, uczepiony końca rzemienia. Daleko pode mną leżały jasno oświetlone ulice, twarde trotuary i śmierć. Ponad okapem rozległo się krótkie skrzypnięcie i drapanie – zgrzytliwy dźwięk, który mroził mi krew w żyłach. Potem hak zaczepił o coś i byłem bezpieczny.
Wspiąłem się szybko po rzemieniu i złapawszy za skraj okapu, wydźwignąłem się na dach. Gdy wstałem, stwierdziłem, iż spoglądam prosto w lufy rewolweru, trzymanego przez pełniącego służbę wartownika.
– Kim jesteś i skąd się tu wziąłeś? – zakrzyknął.
– Jestem powietrznym zwiadowcą, przyjacielu – odpowiedziałem – i to bardzo bliskim śmierci, gdyż tylko cudem udało mi się uniknąć spadnięcia na leżącą tam, w dole, aleję.
– Ale skąd się wziąłeś na dachu, człowieku? Przez ostatnią godzinę nikt nie wylądował ani nie przyszedł z wnętrza budynku. Wytłumacz się i albo to szybko wyjaśnisz, albo wezwę straże.
– Spójrz tutaj, wartowniku, a zrozumiesz jak się tu znalazłem i jak blisko byłem tego, aby się już nigdy

Walka na arenie

Z wolna przychodziłem do siebie i odzyskiwałem zdolność trzeźwego myślenia. Wreszcie postanowiłem podjąć ponowną próbę zdjęcia kluczy z martwego ciała mojego byłego strażnika. Jednak, gdy podszedłem do miejsca, w którym ono powinno leżeć i w ciemnościach zacząłem macać wokół rękami, z przerażeniem zauważyłem, że ciało zniknęło. Zrozumiałem, iż stwory z celi zawlekły je do jakiejś kryjówki w pobliżu, aby je pożreć. Pojąłem również, że czekają one od samego początku, od pierwszej chwili, którą spędziłem w tym lochu, aby z moim trupem zrobić to samo.
Przez dwa dni nie przynoszono mi jedzenia, ale potem zjawił się nowy strażnik i czas niewoli zaczął upływać tak jak przedtem. Teraz jednak już nie pozwalałem, aby mój rozum znów został zmącony przez grozę sytuacji.
Niedługo potem przyprowadzono i przykuto niedaleko ode mnie nowego więźnia. W świetle pochodni zobaczyłem, że był to czerwony Marsjanin i z niecierpliwością czekałem na odejście strażników, by rozpocząć z nim rozmowę. Gdy oddalające się kroki wreszcie umilkły, powiedziałem łagodnie „kaor" – słowo, oznaczające powitanie.
– Kim jesteś, ty, który mówisz w ciemnościach? – spytał.
– John Carter, przyjaciel czerwonych ludzi z Helium.
– Pochodzę z Helium – powiedział – ale nie przypominam sobie twego imienia.
Opowiedziałem mu moją historię tak, jak ją tutaj opisałem, pominąłem jednak milczeniem moją miłość do Dejah Thoris. Był bardzo ucieszony wiadomościami o księżniczce Helium. Uważał, że z tego miejsca, w którym je zostawiłem Dejah Thoris i Sola mogły z łatwością dotrzeć w bezpieczne okolice. Powiedział, że doskonale zna tamte strony, gdyż wąwóz, przez który przeszli Warhoończycy przed schwytaniem mnie był jedyną drogą, wiodącą na południe i korzystali z niego wszyscy.
Dejah Thoris i Sola prawdopodobnie dotarły do wzgórz w odległości nie większej niż pięć mil od drogi wodnej i teraz już są zapewne zupełnie bezpieczne – mówił. Moim towarzyszem niedoli był Kantos Kan, padwar (porucznik) floty Helium. Uczestniczył w tej niefortunnej ekspedycji, która natknęła się na Tharków, w wyniku czego Dejah Thoris dostała się w ich ręce. Opowiedział pokrótce wypadki, jakie miały miejsce po klęsce statków w starciu z Tharkami. Ciężko uszkodzone i tylko pobieżnie ponaprawiane leciały powoli w stronę Helium, jednak gdy mijały miasto Zodanga, stolicę najbardziej zaciekłych wśród czerwonych ludzi wrogów Helium, zostały napadnięte przez dużą grupę statków bojowych i niemal wszystkie uległy zniszczeniu lub dostały się w ręce napastników. Ocalał tylko statek, do którego załogi należał Kantos Kan. Przez trzy dni uciekał przed pogonią, w końcu zdołał się jej wymknąć dzięki ciemnościom bezksiężycowej nocy.
Trzydzieści dni po dostaniu się Dejah Thoris do niewoli, czyli mniej więcej w tym samym czasie, gdy przybyliśmy do Tharku, statek dotarł do Helium, mając na pokładzie tylko dziesięciu ludzi z załogi, która liczyła siedmiuset oficerów, żołnierzy i uczonych. Natychmiast siedem potężnych flotylli, każda licząca po sto statków bojowych, udało się na poszukiwanie Dejah Thoris.
Mszczące się oddziały starły z powierzchni ziemi dwa plemiona zielonych Marsjan, ale na ślad księżniczki nie natrafiono. Poszukiwania były prowadzone wśród plemion zamieszkujących północne regiony i dopiero kilka dni temu objęto nimi również południe.
Kantos Kan został wyznaczony na pilota małej, jednoosobowej łodzi rozpoznawczej i na skutek nieszczęśliwego zbiegu okoliczności został złapany przez Warhoończyków w trakcie przeszukiwania ich miasta. Odwaga tego człowieka wzbudziła we mnie głęboki szacunek. W pojedynkę wylądował na granicy miasta, przeszedł aż do placu, a potem starannie i metodycznie przeszukał stojące wokół niego budynki. W ręce zielonych wojowników wpadł po dwóch dniach poszukiwań, gdy ostatecznie utwierdził się w przekonaniu, że księżniczki tam nie było i właśnie zamierzał udać się w drogę powrotną. W czasie naszego wspólnego uwięzienia poznaliśmy się wzajemnie bardzo dobrze i poczuliśmy do siebie szczerą sympatię. Jednak nie było nam dane przebywać długo razem, gdyż kilka dni po jego przybyciu wyprowadzono nas z lochów. Nadszedł czas wielkich igrzysk. Pewnego poranka zaprowadzono nas do ogromnego amfiteatru. Był on dla mnie nowością architektoniczną, gdyż nie został wybudowany na powierzchni, ale mieścił się w wielkiej, wykopanej w ziemi jamie. Trudno było ocenić jego pierwotne rozmiary, gdyż teraz był już częściowo zrujnowany i wypełniony obsuniętą ziemią. Jednak nawet w tym stanie mógł pomieścić wszystkie plemiona Warhoończyków – dwadzieścia tysięcy ludzi. Arena była bardzo duża, ale chropowata i nierówna. Otoczono ją murem, ułożonym z kamieni pochodzących ze zrujnowanych budynków, by uniemożliwić zwierzętom i więźniom ucieczkę na widownię. W każdym jej końcu ustawiono klatki, w których zawodnicy oczekiwali na chwilę, gdy przyjdzie ich kolej, by wyszli na arenę i umarli. Kantos Kan i ja znaleźliśmy się razem w jednej z takich klatek. W innych były

dzikie kaloty, thoaty, wściekłe zitidary, zieloni wojownicy, kobiety z innych społeczności i wiele innych dziwnych bestii, których nigdy przedtem nie widziałem. Ryki, piski, pomruki zlewały się w jeden ogłuszający hałas, a widok każdego z tych monstrów z osobna mógłby wypełnić najmężniejsze serce przeczuciem śmierci.

Kantos Kan wyjaśnił mi, że pod koniec dnia jeden z więźniów odzyska wolność, a pozostali zginą. Zwycięzcy różnych walk będą się potykać ze sobą, aż tylko dwóch pozostanie przy życiu. Ten, który zwycięży w ostatniej walce zostanie wypuszczony na wolność, bez względu na to, czy będzie to zwierzę czy człowiek. Następnego ranka w klatce znajdą się nowe ofiary, turniej zostanie powtórzony i tak będzie się dziać przez dziesięć dni igrzysk.

Wkrótce po umieszczeniu nas w klatkach amfiteatr zaczął się zapełniać i po godzinie wszystkie miejsca były zajęte przez tłoczących się widzów. Dak Kova usiadł w otoczeniu jedów i dowódców w centrum amfiteatru na ustawionym dla niego dużym podwyższeniu.

Na sygnał jeddaka otworzono drzwi dwóch klatek i dwanaście zielonych kobiet wybiegło na środek areny. Każdej z nich wręczono sztylet, a potem z przeciwległego końca areny wypuszczono kaloty, dzikie psy. Zwierzęta, warcząc i parskając, rzuciły się na niemal bezbronne kobiety, a ja odwróciłem głowę, by nie patrzeć na tę okropną scenę. Wrzaski i śmiech widzów świadczyły, że widowisko było wspaniałe, a gdy Kantos Kan powiedział, że się już skończyło i z powrotem spojrzałem na arenę zobaczyłem, że nad martwymi ciałami powarkiwały tylko trzy zwycięskie kaloty. Kobiety drogo sprzedały swoje życie. Potem na trzy ocalałe psy wpuszczono wściekłego zitidara i w ten sposób zaczął się długi, upalny, straszliwy dzień. Mnie wystawiono najpierw przeciwko ludziom, a potem przeciw zwierzętom, ale dzięki temu, że byłem uzbrojony w miecz i przewyższałem każdego z moich przeciwników zwinnością, a część z nich także siłą, ze wszystkimi uporałem się stosunkowo łatwo. Wielokrotnie żądny krwi tłum nagradzał mnie gorącymi oklaskami, a pod koniec dnia rozległy się nawet okrzyki, aby mnie zabrać z areny i zrobić członkiem ich społeczności. W końcu zostało nas tylko trzech - ogromny zielony wojownik któregoś z północnych plemion, Kantos Kan i ja. Najpierw mieli walczyć Kantos Kan i zielony wojownik, a ostateczna walka, ta, w której nagrodą była wolność, miała się odbyć między mną a zwycięzcą ich pojedynku. Kantos Kan stoczył tego dnia kilka pojedynków, z wszystkich, podobnie jak ja, wychodząc zwycięsko. Jednak często, szczególnie w starciach z zielonymi wojownikami, jego przewaga była bardzo niewielka. Nie miałem dużej nadziei na to, że uda mu się pokonać ogromnego zielonego Marsjanina, który przedtem dosłownie miażdżył swoich przeciwników. Miał blisko szesnaście stóp wzrostu, podczas gdy Kantos Kanowi brakowało kilka cali do sześciu.

Zaczęli iść ku sobie i po raz pierwszy dane mi było zobaczyć, by ktoś zastosował tego typu sztuczkę, na jakiej Kantos Kan oparł swoją nadzieję na zwycięstwo. Decydując się na nią postawił życie na jedną kartę. Zbliżył się na odległość około dwudziestu stóp do swego ogromnego przeciwnika i nagle wyrzucił w górę i do tyłu tę rękę, w której trzymał miecz, wziął potężny zamach i cisnął broń w szeroką pierś przed sobą. Ostrze poleciało jak strzała i wbiło się w serce zielonego wojownika, kładąc go trupem na miejscu.

Teraz Kantos Kan i ja musieliśmy stanąć naprzeciw siebie. Zdołałem mu szepnąć, aby przeciągnął walkę aż do zmroku, gdyż miałem nadzieję, że uda nam się wtedy znaleźć jakiś sposób ucieczki. Tłum jakby się domyślił, że niechętnie ze sobą walczymy i w tych chwilach, w których wyraźnie unikaliśmy zadawania groźnych, decydujących ciosów wył z wściekłości. Gdy zauważyłem, że wkrótce zapadną ciemności, szepnąłem Kantos Kanowi, by wetknął swoj miecz między moje lewe ramię, a ciało. Zrobił to, a ja się zatoczyłem do tyłu i upadłem na ziemię. Z dalszej odległości i w niepewnym już świetle mogło to wyglądać jakby miecz rzeczywiście sterczał z mojej piersi. Kantos Kan szybko podszedł do mnie, postawił mi stopę na szyi i wyciągnąwszy ostrze z mego ciała, zadał mi ostatni, śmiertelny cios, który wydawał się przecinać aortę szyjną, lecz w rzeczywistości ugrzązł tuż obok. Ciemności, które już spowiły arenę ukryły prawdę przed wzrokiem widzów i wszyscy uważali, że zostałem właśnie dobity. Szepnąłem Kantos Kanowi, aby wykorzystał zdobytą wolność i czekał na mnie na wzgórzach na wschód od miasta. Skinął lekko głową i odszedł.

Poczekałem aż amfiteatr opustoszał i wyczołgałem się z niego ostrożnie, a ponieważ był położony w odległej od centralnego placu, nie zamieszkanej i rzadko w normalne dni odwiedzanej części miasta, nie miałem większych kłopotów w dotarciu do okolicznych wzgórz.

W fabryce powietrza

Czekałem na Kantos Kana przez dwa dni. Nie pojawił się jednak. Potem poszedłem na północny zachód, gdzie, jak mi mówił, znajdowała się najbliższa droga wodna. Moim jedynym pożywieniem było

wyraźniej kuzyn jeddaka, którego wyrwałem z rąk zielonych wojowników. - Opis pasuje do niego, zwłaszcza zaś te nadzwyczajne umiejętności walki.

- Gdzie jest ten człowiek? - krzyknął Than Kosis. - Przyprowadźcie mi go natychmiast. Co o nim wiesz, kuzynie? Teraz, gdy o tym myślę, wydaje mi się mało prawdopodobne, żeby w Zodandze mieszkał tak wspaniały żołnierz, a nikt z nas wcześniej o nim nie słyszał. Także jego nazwisko jest dziwne - John Carter. Czy ktoś słyszał kiedykolwiek takie nazwisko na Barsoomie? Wkrótce przyniesiono wiadomość, że nigdzie mnie nie można znaleźć, ani w pałacu, ani w mojej poprzedniej kwaterze w koszarach powietrznych zwiadowców. Odnaleziono i przesłuchano Kantos Kana, ale on przecież nie wiedział, gdzie ja się w tej chwili znajduję, a gdy spytano go o moją przeszłość, powiedział, że wie o niej bardzo niewiele, gdyż spotkał mnie niedawno, podczas wspólnego uwięzienia w Warhoonie.

- Obserwujcie tego Kantos Kana - powiedział Than Kosis. - On również jest obcy i istnieje prawdopodobieństwo, że obaj przyszli z Helium. Tam, gdzie jest jeden, prędzej czy później pojawi się również drugi. Powiększyć czterokrotnie patrole powietrzne, a każdy, kto opuszcza miasto ziemią lub powietrzem ma być poddawany starannej kontroli.

Wszedł następny posłaniec z wiadomością, że ciągle przebywam na terenie pałacu.

- Sprawdzono starannie tożsamość każdej osoby, która dzisiaj przybyła do pałacu lub opuszczała go - mówił posłaniec - i żadna z nich nie odpowiada opisowi tego nowego padwara gwardii. Zanotowano tylko jego wejście.

- A więc niedługo wpadnie nam w ręce - powiedział jeddak z zadowoleniem - a tymczasem chodźmy do apartamentów księżniczki i spytajmy ją jeszcze raz o całą tę sprawę. Może wiedzieć znacznie więcej, niż chciała ci powiedzieć, Notanie. Chodźmy!

Wyszli z sali. Czekałem aż nadejdzie ciemność, a potem zeskoczyłem z mojej kryjówki i wyszedłem na balkon. Zauważyłem kilku kręcących się ludzi, ale wkrótce odeszli i gdy wydawało mi się, że już nikogo nie ma w pobliżu, przeskoczyłem na szczyt szklanego muru, a stamtąd na leżącą poza terenami pałacowymi ulicę.

Zabłąkany na niebie

Nie starając się specjalnie ukrywać, pospieszyłem w pobliże mojej poprzedniej kwatery, gdzie, jak się spodziewałem, znajdę Kantos Kana. Stałem się bardziej ostrożny w pobliżu budynku, który, jak słusznie przypuszczałem, był strzeżony. Kilku mężczyzn noszących cywilne ozdoby kręciło się w pobliżu frontowego wejścia, a inni stali przy wejściu od tyłu. Jedynym sposobem na dostanie się niepostrzeżenie na jedno z wyższych pięter, na którym znajdowała się nasza kwatera było przejście po dachu sąsiedniego budynku. Po pewnych wysiłkach udało mi się wejść na dach sklepu, oddzielonego od koszar kilkoma domami. Skacząc z dachu na dach dotarłem do otwartego okna budynku, w którym miałem nadzieję znaleźć Heliumitę, a w chwilę później stałem już przed nim. Był sam i nie okazał zdziwienia na mój widok, powiedział jedynie, że spodziewał się mnie znacznie wcześniej, jako że musiałem skończyć służbę już kilka godzin temu.

Zrozumiałem, że nic nie wie o wypadkach, jakie zaszły dziś w pałacu, a gdy mu je opowiedziałem, wpadł w wielkie podniecenie. Wiadomość, że Dejah Thoris przyrzekła rękę Sab Thanowi napełniła go przerażeniem.

- Nie może być! To niemożliwe! Nie ma człowieka w Helium, który by nie przedkładał śmierci nad sprzedanie ukochanej księżniczki panującemu domowi Zodangi. Musiała chyba postradać zmysły, aby zgodzić się na taki ohydny handel. Ty nie wiesz, jak bardzo mieszkańcy Helium kochają członków rodziny królewskiej i nie możesz sobie wyobrazić przerażenia, jakie odczuwam na myśl o tak odrażającym związku. Co mamy robić? Jesteś pomysłowym człowiekiem, Johnie Carter - kontynuował - proszę, wymyśl coś, by uratować Helium od tego nieszczęścia.

- Gdybym mógł zbliżyć się do Sab Thana na odległość równą długości miecza - powiedziałem - dla Helium ten problem przestałby istnieć, jednak z przyczyn osobistych wolałbym, aby to kto inny zadał cios, który uwolni Dejah Thoris.

Kantos Kan przyglądał mi się uważnie przez chwilę, a potem powiedział:

- Kochasz ją. Czy ona o tym wie?

- Wie i odrzuca mnie tylko dlatego, że dała słowo Sab Thanowi.

– To nic nie pomoże – powiedziała. – Nie wolno mi poślubić człowieka, który zabił mego męża, nawet w obronie własnej. Taki jest zwyczaj. Tutaj, na Barsoomie, jesteśmy niewolnikami zwyczajów. To bezcelowe, mój przyjacielu. Musisz się z tym pogodzić i cierpieć wraz ze mną. Tylko tyle wolno nam wspólnie posiadać – cierpienie i wspomnienia dni, które spędzaliśmy razem u Tharków. Żegnaj!

Wyszedłem, odrzucony, z krwawiącym sercem. Jednak nie wyrzekłem się jeszcze nadziei i nie pogodziłem się z myślą, że Dejah Thoris jest dla mnie stracona, gdyż, mimo tego co mówiła, formalny ślub jeszcze się nie odbył.

Włóczyłem się wśród korytarzy, znów straciwszy orientację. Wiedziałem, że muszę uciekać z miasta, gdyż w sprawie czterech martwych strażników na pewno zostanie podjęte śledztwo, a gdy moja nieobecność na posterunku zostanie odkryta, podejrzenie z pewnością padnie na mnie. Wszedłem na prowadzące w dół spiralne schody i zszedłem kilka pięter w dół. Znalazłem się przed wejściem do obszernego pokoju, w którym siedziało kilku gwardzistów. Ściany były zawieszone przezroczystymi gobelinami i wśliznąłem się za nie niezauważony.

Rozmowa gwardzistów dotyczyła jakichś błahych spraw i nie wzbudziła we mnie zainteresowania, aż do chwili, gdy wszedł jeden z oficerów i rozkazał czterem z nich zmienić strażników księżniczki Helium. Wiedziałem, że teraz się zaczną moje kłopoty. I rzeczywiście – czterech gwardzistów wyszło z pomieszczenia, a za chwilę jeden z nich wpadł z powrotem, krzycząc, że strażnicy leżą martwi w przedpokoju, prowadzącym do apartamentów księżniczki.

W chwilę później cały pałac wypełnił się ludźmi. Gwardziści, oficerowie, dworzanie, służba i niewolnicy biegali tam i z powrotem po korytarzach i apartamentach, roznosząc polecenia i rozkazy oraz poszukując sprawcy zbrodni.

W tym rozgardiaszu dostrzegłem szansę ucieczki i jakkolwiek była ona niewielka, zdecydowałem się. Dołączyłem do przebiegającego obok mej kryjówki większego oddziału żołnierzy i biegłem za nimi poprzez labirynt pałacowych korytarzy, aż zobaczyłem światło dzienne wpadające przez duże okna jakiejś mijanej sali.

Opuściłem moich przewodników i podszedłem do jednego z okien. Prowadziło na duży balkon, wiszący na wysokości około trzydziestu stóp nad ziemią i wychodzący na jedną z miejskich ulic. W pewnej odległości od budynku stał mur o wysokości około dwudziestu stóp, zbudowany z grubego na stopę, gładkiego szkła. Czerwonemu Marsjaninowi ucieczka tą drogą wydawałaby się niemożliwa, ale dla mnie dysponującego ziemską siłą i zręcznością, była ona bagatelką. Moje jedyne zmartwienie wiązało się z tym, że mogę zostać odnaleziony przed zapadnięciem ciemności. Nie mogłem wykonać skoku teraz, w pełnym świetle dnia, gdyż podwórzec i ulica były zatłoczone Zodangańczykami.

Rozejrzałem się za jakąś kryjówką. Spojrzawszy w górę zobaczyłem dużą ozdobę, mającą kształt wazy, która wisiała pod sufitem, około dziesięć stóp nad podłogą. Wskoczyłem do niej z łatwością i niemal natychmiast potem usłyszałem, że do pokoju wchodzą jacyś ludzie. Zatrzymali się wprost pod moją kryjówką, toteż wyraźnie słyszałem każde wypowiedziane przez nich słowo.

– To jest robota ludzi z Helium – powiedział jeden z nich.

– Masz rację, jeddaku, ale w jaki sposób przedostali się do pałacu? Mógłbym uwierzyć, że do wnętrza prześliznął się mimo czujnych straży jakiś jeden, samotny człowiek, ale nie mogę sobie wyobrazić, jak mogła tego dokonać grupa, składająca się z sześciu czy ośmiu mężczyzn. Jednakże wkrótce się czegoś dowiemy, gdyż oto nadchodzi królewski psycholog.

Do grupy dołączył jeszcze jeden mężczyzna i po zwyczajowym przywitaniu jeddaka, powiedział:

– Potężny jeddaku, dziwną opowieść wyczytałem w martwych umysłach twoich wiernych gwardzistów. Zostali zabici nie przez kilku napastników, lecz przez jednego.

Zamilkł, aby waga jego wypowiedzi w pełni dotarła do słuchaczy. Nie uwierzono mu jednak, gdyż za chwilę usłyszałem zniecierpliwiony głos Than Kosisa:

– Cóż to za bzdury mi tu opowiadasz, Notanie?

– To jest prawda, jeddaku – odpowiedział psycholog. – W mózgach wszystkich czterech gwardzistów jest wyraźnie wyryty taki sam obraz. Ich przeciwnikiem był bardzo wysoki mężczyzna, noszący odznaki twojej własnej gwardii, posiadający nadludzką siłę, zręczność i opanowaną po mistrzowsku sztukę walki mieczem. Mimo że nosił insygnia Zodangi, jeddaku, człowieka odpowiadającego temu opisowi nie widziano ani w tym, ani w żadnym innym kraju na Barsoomie. Niestety, umysł księżniczki Helium, którą również przesłuchiwałem, jest dla mnie zamknięty – posiada nad nim znakomitą kontrolę i nie mogę nic z niego odczytać. Powiedziała, że widziała część walki, że z gwardzistami walczył tylko jeden człowiek, którego nie zna i którego nigdy przedtem nie spotkała.

– A gdzie jest ten mężczyzna, który mnie niedawno uratował – powiedział ktoś inny z grupy, naj-

mleko, uzyskiwane z rośliny, którą na szczęście w tych okolicach dosyć łatwo było odnaleźć. Błąkałem się przez dwa długie tygodnie. Szedłem tylko nocą, kierując się światłem gwiazd. W dzień chowałem się za jakieś przygodne skały lub wśród mijanych od czasu do czasu wzgórz. Kilka razy zostałem zaatakowany przez dzikie zwierzęta – jakieś dziwne bestie, które skakały na mnie w ciemności, zmuszając do ciągłego niesienia miecza w dłoni. Zwykle moje nowo nabyte zdolności telepatyczne ostrzegały mnie na czas, ale którejś nocy zanim się zorientowałem, że coś mi zagraża zwaliło się na mnie jakieś cielsko, poczułem zęby na szyi i zobaczyłem tuż przed moją twarzą owłosiony pysk. Nie wiem, co to było za stworzenie, ale czułem, że było ciężkie, duże i miało wiele kończyn. Zanim zdołało zatopić zęby w moim karku schwyciłem je za gardło i powoli odpychałem od siebie włochaty pysk, zaciskając palce na tchawicy.

Bestia starała się dosięgnąć kłami mego gardła, a ja próbowałem utrzymać chwyt i wreszcie ją zadusić. Stopniowo jednak ramiona mi słabły i błyszczące kły cal za calem zaczęły się ku mnie zbliżać. Gdy poczułem na twarzy dotyk włochatego pyska, zdałem sobie sprawę, że to już koniec. Nagle z ciemności wyprysnęło jakieś drugie zwierzę i rzuciło się na przygniatającą mnie do ziemi bestię. Oba stwory potoczyły się po mchu, gryząc i szarpiąc się wzajemnie. Wkrótce jednak było już po wszystkim. Mój wybawca stał ze spuszczonym łbem nad gardłem mojego niedoszłego zabójcy. Wszeszedł właśnie bliższy księżyc i w jego świetle zobaczyłem, że stworzeniem, które mnie uratowało był Woola, ale w żaden sposób nie mogłem odgadnąć ani skąd przybył, ani jak mnie odnalazł. Nie muszę chyba wspominać, że byłem bardzo zadowolony z jego obecności, jednak moja radość była zmącona niepokojem o Dejah Thoris. Wiedziałem, że Woola bardzo wiernie wykonywał moje rozkazy i tylko śmierć księżniczki mogła być powodem, dla którego ją opuścił.

Biedne zwierzę było zaledwie cieniem siebie samego z tego okresu, w którym widziałem je po raz ostatni, a gdy uwolniło się z moich pieszczot i zaczęło żarłocznie pożerać martwe ciało swego przeciwnika zrozumiałem, że było straszliwie wygłodniałe. Ja również byłem w niewiele lepszym stanie, ale nie zdecydowałem się na zjedzenie surowego mięsa, a nie miałem żadnego sposobu, by rozpalić ogień. Gdy Woola skończył posiłek znów ruszyłem na ciężkie i jak się wydawało nie mające końca poszukiwania drogi wodnej. Rankiem piętnastego dnia mojej wędrówki z ogromną radością zauważyłem wysokie drzewa, świadczące, że wreszcie natknąłem się na obiekt moich poszukiwań. Około południa dowlokłem się do ogromnego budynku o powierzchni prawdopodobnie nie mniejszej niż cztery mile kwadratowe, wysokiego na około dwieście stóp. W zupełnie gładkich ścianach znalazłem tylko jedne małe drzwi. Były zamknięte. Wokół nie zauważyłem żywej duszy. Usiadłem wyczerpany przed drzwiami i zacząłem wzrokiem szukać dzwonka lub jakiegoś innego przyrządu, za pomocą którego mógłbym oznajmić mieszkańcom tego gmachu o mojej obecności. Dostrzegłem mały, okrągły otwór umieszczony obok drzwi i pomyślałem, że może to być jakiś rodzaj tuby. Podniosłem się i zbliżyłem do niego usta. Nie zdążyłem jednak nic powiedzieć, gdyż z otworu dobiegł mnie głos, pytający kim jestem, skąd pochodzę i po co tu przyszedłem. Odpowiedziałem, że uciekłem z Warhoonu i umieram z głodu i wyczerpania.

– Nosisz insygnia zielonego wojownika, idzie za tobą kalot, a masz postać taką, jak czerwoni ludzie. Kolor twojej skóry nie jest jednak ani zielony, ani czerwony. W imię dnia dziewiątego, kim jesteś?

– Jestem przyjacielem czerwonych ludzi i umieram z głodu. W imię ludzkich uczuć, otwórzcie mi – odpowiedziałem.

Drzwi drgnęły i zaczęły się cofać w tył, aż zagłębiły się w ścianę na około pięćdziesiąt stóp. Potem się zatrzymały i odsunęły gładko w lewo. Za nimi ukazał się krótki, wąski korytarz, zakończony następnymi drzwiami, identycznymi jak te, przez które przed chwilą przeszedłem. Nie zauważyłem nikogo, ale natychmiast, gdy Woola i ja minęliśmy pierwsze drzwi zamknęły się one za nami łagodnie i wycofały na swoją pierwotną pozycję we frontowej ścianie budynku. Zauważyłem, że były niezwykle masywne, miały około dwudziestu stóp grubości, a gdy dotarły na swoje miejsce z sufitu korytarza wysunęły się duże stalowe cylindry i ich końce zanurzyły się w otworach, które pojawiły się w podłodze. Drugie, a potem trzecie drzwi cofały się przede mną i tak jak pierwsze odsuwały w bok. Gdy je minąłem, wszedłem do dużego wewnętrznego pomieszczenia, w którym na wielkim kamiennym stole znalazłem jedzenie i napoje. Ten sam głos powiedział, abym zaspokoił głód i nakarmił swego kalota, a potem, gdy z niemałą przyjemnością zająłem się jedzeniem, zarzucił mnie pytaniami.

– To wszystko jest bardzo dziwne – powiedział po zakończeniu wypytywania – ale najwyraźniej mówisz prawdę. Na pewno nie pochodzisz z Barsoomu. Stwierdziłem to, przyjrzawszy się twemu mózgowi, dziwnemu umiejscowieniu wewnętrznych organów oraz wielkości i kształtowi serca.

– Możesz zajrzeć w moje ciało?! – krzyknąłem.

– Tak, mogę zajrzeć we wszystko, poza twymi myślami, a gdybyś był z Barsoomu również w nich mógłbym czytać, jak w otwartej księdze.

W ścianie naprzeciw mnie otworzyły się drzwi i do pomieszczenia wszedł dziwny, mały, zasuszony człowieczek. Jedynym jego ubraniem, czy ozdobą był niewielki złoty kołnierz, przy którym wisiał duży napierśnik, gęsto wysadzany diamentami. W jego centrum widniał dziwny kamień o średnicy około jednego cala, rozszczepiający światło na dziewięć promieni, przy czym siedem z nich było takich, jak w naszym ziemskim widmie, natomiast kolory dwóch pozostałych były dla mnie zupełnie nowe. Nie potrafię ich opisać, tak jak nikt z was nie potrafi opisać koloru, na przykład czerwieni, człowiekowi ślepemu. Wiem jedynie, że były bardzo piękne.

Stary człowiek usiadł koło mnie i rozmawialiśmy przez wiele godzin. Najdziwniejsze było w naszej wymianie zdań to, że ja potrafiłem odczytać każdą jego myśl, podczas gdy on na temat moich nic nie wiedział, póki pozostawały nie wypowiedziane.

Nie zdradziłem mu, że czytam w jego myślach i dzięki temu dowiedziałem się wielu rzeczy, które w przyszłości okazały się mi niezwykle przydatne, a których nigdy bym nie poznał, gdyby on o tym wiedział, gdyż Marsjanie tak doskonale panują nad swoim mózgiem, iż potrafią kontrolować myśli z absolutną precyzją.

W gmachu, w którym siedzieliśmy znajdowała się maszyneria produkująca sztuczne powietrze, wypuszczane w atmosferę w celu podtrzymania życia na Marsie. Sekret procesu produkcyjnego polega na użyciu dziewiątego promienia z tych, które rzucał kamień, umieszczony w centrum napierśnika mego gospodarza.

Ten promień był wydzielany z innych promieni słonecznych przez skomplikowane instrumenty, umieszczone na dachu budynku. Trzy czwarte jego powierzchni zajmują zbiorniki, w których ów promień jest magazynowany. Następnie ten produkt jest poddawany działaniu elektryczności, a raczej łączony w pewnej proporcji z wysublimowanymi wibracjami elektrycznymi, a potem przepompowywany do pięciu wielkich zbiorników, rozrzuconych po całej planecie i wypuszczany, by połączył się z atmosferą.

W gmachu zawsze jest zmagazynowany wystarczający zapas dziewiątego promienia, aby przez tysiące lat utrzymać atmosferę Marsa w takim stanie, jak jest obecnie, a jedyne zagrożenie stanowi możliwość zajścia jakiegoś nieprzewidzianego wypadku, w wyniku którego uszkodzeniu ulegną urządzenia pompujące.

Starzec zaprowadził mnie do pomieszczenia, w którym znajdowało się dwadzieścia pomp, każda zdolna zapewnić dostawy powietrza dla całego Marsa i powiedział mi, iż od ośmiuset lat opiekuje się tymi pompami, pracującymi kolejno, każda jedną marsjańską dobę, czyli nieco ponad dwadzieścia cztery i pół ziemskich godzin. Ma jednego asystenta, z którym na zmianę doglądają tych urządzeń. Każdy z nich spędza samotnie połowę marsjańskiego roku, czyli około trzystu czterdziestu czterech naszych dni w tej wielkiej, stojącej na odludziu fabryce.

Każdy czerwony Marsjanin od wczesnego dzieciństwa uczy się zasad funkcjonowania fabryki i przebiegu zachodzącego w niej procesu produkcji powietrza, jednak tylko dwóch jednocześnie zna sposób na przedostanie się do wnętrza tego budynku, który, mając mury pięćdziesięciostopowej grubości, jest całkowicie niedostępny. Nawet dach jest zabezpieczony przed statkiem floty powietrznej warstwą szkła o grubości pięciu stóp.

Mimo tych środków ostrożności wtajemniczeni obawiają się w głębi duszy ataku zielonych wojowników lub jakichś niespełna rozumu czerwonych ludzi, gdyż wszyscy inni Marsjanie rozumieją, że życie na ich planecie zależy od niezakłóconej pracy fabryki.

Słuchając jego myśli odkryłem ciekawy fakt – zewnętrzne drzwi są otwierane środkami telepatycznymi. Mechanizm zamków pobudzany jest przez pewną kombinację fal mózgowych. Postanowiłem wypróbować moją nowo zdobytą umiejętność, a przy okazji dowiedzieć się, jak wygląda ta kombinacja. Niby przypadkowo podczas rozmowy spytałem go, w jaki sposób zdołał mi otworzyć masywne drzwi nie zbliżając się do nich z wewnętrznego pokoju. W jego mózgu zabrzmiało przez moment dziewięć dźwięków, ale natychmiast zniknęły, a on powiedział, że jest to tajemnica, której nie może mi wyjawić. Od tej chwili jego stosunek do mnie uległ zmianie, jakby się bał, że przez zaskoczenie wydarłem mu jego wielki sekret. W spojrzeniach, jakimi mnie obrzucał i w myślach czytałem podejrzliwość i strach, jakkolwiek w dalszym ciągu rozmawiał ze mną bardzo uprzejmie.

Zanim udałem się na spoczynek obiecał mi dać list polecający do przebywającego w pobliżu oficera rolnego, który mógłby mi dopomóc w dotarciu do Zodangi, najbliższego miasta czerwonych Marsjan.

– Nie mów im jednak, że twoim ostatecznym celem jest Helium, gdyż między tymi dwoma krajami toczy się wojna. Mój asystent i ja nie mamy ojczyzny, należymy do całego Barsoomu. Znak, który nosimy chroni nas wszędzie, nawet wśród zielonych ludzi, mimo iż zwykle unikamy spotkania z nimi, jeśli nie jest ono konieczne.

W końcu udało mi się powalić drugiego strażnika. Mając już tylko dwóch przeciwników zmieniłem taktykę i z kolei ja stałem się stroną nacierającą. Trzeci padł w dziesięć sekund po drugim, a wkrótce również ostatni leżał na podłodze w kałuży krwi. Byli dzielnymi ludźmi i wspaniałymi żołnierzami i byłem zmartwiony tym, iż zostałem zmuszony do odebrania im życia, jednak chętnie bym ogołocił z mieszkańców cały Barsoom, gdyby nie było innego sposobu na dotarcie do Dejah Thoris.

Schowałem do pochwy zakrwawiony miecz i podszedłem do księżniczki, która stała bez słowa, najwyraźniej mnie nie poznając.

– Kim jesteś Zodangańczyku? – spytała w końcu. – Następnym wrogiem, który pragnie naigrywać się z mojej niedoli?

– Jestem przyjacielem – odpowiedziałem. – Kiedyś bardzo cenionym.

– Żaden przyjaciel księżniczki Helium nie nosi takich odznak – powiedziała. – Ale twój głos? Już go przedtem słyszałam... Ale przecież... nie, to niemożliwe, ten człowiek nie żyje.

– A jednak, księżniczko, to jestem właśnie ja, John Carter. Czy nie poznajesz, nawet pod farbą i obcymi ozdobami, serca swego dowódcy?

Zrobiłem ku niej krok, a ona podbiegła ku mnie z wyciągniętymi rękami, lecz gdy otworzyłem ramiona, by ją przytulić zatrzymała się i cofnęła ze smutkiem na twarzy.

– Za późno, za późno – powiedziała rozpaczliwie. – Gdybyś przyszedł godzinę wcześniej! Sądziłam, że nie żyjesz i teraz jest już za późno.

– A więc nie przyrzekłabyś poślubić księcia Zodangi, gdybyś wiedziała, że żyję? – spytałem.

– Czy sądzisz, Johnie Carter, że ofiarując ci wczoraj moje serce, dzisiaj dałabym je następnemu? Sądziłam, że leży ono pogrzebane wraz z twoimi popiołami w podziemiach Warhoonu. To, co ze mnie zostało – moje ciało – przyrzekłam innemu, aby uchronić mój naród przed nieszczęściami, jakie sprowadziłaby nań zwycięska armia Zodangi.

– Ale ja nie umarłem, moja księżniczko. Przyszedłem cię stąd zabrać i cała armia Zodangi nie może mi w tym przeszkodzić.

– Za późno, Johnie Carter. Już dałam przyrzeczenie, a na Barsoomie nigdy nie łamiemy danych obietnic. Sama ceremonia zaślubin nastąpi później, ale to tylko mało ważna formalność. Potwierdza tylko fakt małżeństwa, tak jak pogrzeb jeddaka stanowi tylko potwierdzenie jego śmierci. Jestem już niemal żoną, Johnie Carter. Już nie możesz mnie nazywać swoją księżniczką, ani ja ciebie moim dowódcą.

– Niewiele wiem na temat waszych zwyczajów, ale wiem, że cię kocham, a jeśli twoje ostatnie słowa wtedy, gdy szarżował na nas oddział Warhoończyków, były wypowiedziane poważnie, żaden inny mężczyzna nie będzie cię mógł nigdy nazwać swoją żoną. Mówiłaś wtedy poważnie i teraz również myślisz tak samo. Powiedz, że to prawda, że się nie mylę.

– Tak, Johnie Carter, mówiłam wtedy prawdę – szepnęła – ale teraz już nie mogę powtórzyć tych słów, gdyż ofiarowałam siebie innemu. Gdybyś znał nasze zwyczaje – ciągnęła na wpół do siebie – obietnica byłaby dana tobie już długie miesiące temu i teraz mógłbyś się o mnie upomnieć. To mogłoby oznaczać upadek Helium, ale zrezygnowałabym z należnego mi dziedzictwa dla mego tharkijskiego dowódcy.

Potem powiedziała głośno:

– Pamiętasz tę noc, gdy mnie obraziłeś? Nazwałeś mnie swoją księżniczką, nie prosząc o rękę, a potem chełpiłeś się, że o mnie walczyłeś. Teraz widzę, że nie powinnam się była obrażać, po prostu nie zdawałeś sobie sprawy z tego, jakie znaczenie mają u nas słowa, które wypowiadasz. Nie było nikogo, kto by ci wytłumaczył, że na Barsoomie w miastach czerwonych ludzi są dwa rodzaje kobiet – jeden z nich to te kobiety, o które mężczyźni walczą, by móc prosić je o rękę, o drugi rodzaj kobiet również walczą, ale nigdy nie proponują im małżeństwa. Jeśli mężczyzna zwycięży w walce o kobietę może ją nazywać swoją księżniczką lub używać jednego z kilku pozostałych zwrotów, a to oznacza, że ją posiada, że należy ona do niego. Walczyłeś o mnie, ale nigdy nie poprosiłeś mnie, abym została twoją żoną, więc gdy nazwałeś mnie swoją księżniczką... – zawahała się – byłam urażona. Jednak nawet wówczas nie obraziłam się na ciebie, jak powinnam była zrobić. Czara się jednak przelała, gdy ubliżyłeś mi, wypominając, że zdobyłeś mnie w walce.

– Nie będę cię teraz prosił o przebaczenie, Dejah Thoris – powiedziałem – gdyż, jak wiesz, moja wina wynikała z nieznajomości waszych zwyczajów. To, czego nie zrobiłem wówczas, gdyż wydawało mi się, że moja prośba będzie przedwczesna i źle widziana, robię teraz – proszę cię, abyś została moją żoną.

– Nie, Johnie Carter, nie mogę być twoją, póki Sab Than żyje.

– Podpisałaś na niego wyrok śmierci, moja księżniczko, Sab Than umrze.



– A więc dobrej nocy, przyjacielu – dodał. – Śpij długo i spokojnie. Tak, śpij długo...

Uśmiechnął się przyjaźnie, ale w jego myślach odczytałem postanowienie, a potem zobaczyłem go niewyraźnie stojącego nade mną w nocy ze sztyletem w dłoni i usłyszałem na wpół sformułowane słowa: „Bardzo mi przykro, ale to dla dobra Barsoomu".

Zamknął za sobą drzwi mojego pokoju i jego myśli urwały się nagle.

Co powinienem zrobić? Jak miałem uciec, jak pokonać te potężne ściany? Teraz, gdy zostałem ostrzeżony, mógłbym go z łatwością zabić, ale to by nie rozwiązało problemu wydostania się stąd, a gdyby fabryka przestała funkcjonować umarłbym zarówno ja, jak i wszyscy pozostali mieszkańcy planety, nawet Dejah Thoris, o ile jeszcze była żywa. Myśl o Dejah skłoniła mnie do całkowitej rezygnacji z planu uśmiercenia niegościnnego starca.

Ostrożnie wyszedłem z pokoju i udałem się na poszukiwanie pierwszych wielkich, prowadzących na zewnątrz drzwi. Przyszła mi do głowy szaleńcza myśl – spróbuję otworzyć potężne zamki za pomocą tych dziewięciu dźwięków, które usłyszałem w umyśle mego gospodarza.

W towarzystwie stąpającego za mną bezgłośnie Wooli skradałem się przez kilka korytarzy, potem w dół krętymi schodami, aż wreszcie dotarłem do sali, w której dziś rano zaspokajałem głód. Nigdzie nie zauważyłem mego gospodarza, ani też nie domyśliłem się, gdzie spędza tę noc.

Miałem właśnie wejść do tej sali, gdy lekki szelest gdzieś z tyłu zmusił mnie do cofnięcia się w ciemność korytarza. Pociągnąłem za sobą Woola i przykucnąłem pod ścianą, otulony mrokiem.

Starzec przeszedł tuż obok mnie i wszedł do sali. Była oświetlona i zauważyłem, że trzyma w ręku długi, wąski sztylet. Po chwili zaczął go ostrzyć o kamienny stół, a w jego myślach wyczytałem, iż ma zamiar najpierw sprawdzić pompy, co zajmie około trzydziestu minut, a potem pójść do mojej sypialni i zabić mnie.

Gdy w końcu przeszedł przez salę i zniknął na schodach prowadzących do pomp, wyszedłem z cienia i przeciąwszy na ukos salę zbliżyłem się do pierwszych z trojga stojących między mną a wolnością drzwi.

Skoncentrowałem się na masywnym zamku i wysłałem ku niemu dziewięć fal mózgowych. Czekałem z zapartym tchem na rezultat i wreszcie drzwi ruszyły powoli w moim kierunku, a potem odsunęły w bok. Mój rozkaz otworzył również pozostałe drzwi i Woola i ja wyszliśmy w ciemność nocy – wolni, ale jedyna różnica z naszym stanem sprzed doby polegała na tym, że teraz mieliśmy pełne żołądki.

Oddaliliśmy się pośpiesznie od potężnej budowli i poszliśmy na przełaj z zamiarem dotarcia do obszarów zamieszkałych najszybciej, jak to będzie możliwe. Nad ranem doszliśmy do terenów uprawnych i postanowiłem poszukać mieszkańców pierwszej farmy, na jaką się natknąłem.

Składała się ona z niskich, betonowych budynków, opatrzonych masywnymi, zamkniętymi drzwiami. Dobijałem się i nawoływałem, ale bez odpowiedzi. Zmęczony i wyczerpany bezsennością rzuciłem się na ziemię, polecając Wooli, aby został na straży.

Niedługo potem zbudziło mnie wściekłe warczenie Woola i gdy otworzyłem oczy, zobaczyłem trzech czerwonych Marsjan, stojących niedaleko od nas i mierzących do mnie ze strzelb.

– Nie mam broni i nie jestem waszym wrogiem – zacząłem tłumaczyć – Byłem więźniem zielonych ludzi i staram się dotrzeć do Zodangi. Proszę was tylko o pożywienie i możliwość wypoczynku dla mnie i mego kalota oraz o wskazanie kierunku, w jakim powinienem iść dalej.

Opuścili strzelby i podeszli do nas, uśmiechając się przyjaźnie. Położyli mi prawe ręce na lewym ramieniu w przyjętym na Marsie geście pozdrowienia i zaczęli wypytywać o mnie i dzieje mojej wędrówki. Potem zabrali nas do domu, mieszczącego się niedaleko stamtąd.

Okazało się, że budynków, do których rano się dobijałem używano wyłącznie jako magazynów. Domy mieszkalne stały wśród olbrzymich drzew i były, podobnie jak wszystkie siedziby czerwonych Marsjan, unoszone na noc na wysokość czterdziestu do pięćdziesięciu stóp nad ziemią przez ogromne, ukryte w ziemi podnośniki, napędzane małymi radowymi silnikami, których pulpity sterownicze znajdowały się wewnątrz budynków. Zamiast kłopotać się instalowaniem zapór i zamków i martwić się, że zostaną one wyłamane podczas napadu, czerwoni Marsjanie unosili po prostu w nocy swoje domostwa w górę, poza niebezpieczną strefę. Dysponując również specjalnymi, działającymi tylko w rękach właściciela urządzeniami, które pozwalają podnosić i opuszczać domy z zewnątrz, mogli także wyjeżdżać, gdy zaistniała taka konieczność, nie kłopocząc się o dobytek.

Ci trzej bracia, wraz z żonami i dziećmi, zajmowali trzy podobne do siebie budynki na terenie farmy. Nie pracowali osobiście, gdyż byli rządowymi oficerami nadzorującymi. Praca była wykonywana przez więźniów, jeńców wojennych, niewypłacalnych dłużników i starych kawalerów, zbyt biednych, by stać ich było na płacenie wysokiego, obowiązującego wszystkich czerwonych Marsjan podatku od celibatu.

Bracia byli uosobieniem serdeczności i gościnności. Spędziłem u nich kilka dni, odpoczywając i odzyskując siły po długiej i wyczerpującej wędrówce.

Gdy usłyszeli moją historię – nie wspominałem w niej ani o Dejah Thoris, ani o starym człowieku w fabryce powietrza – poradzili mi, abym pomalował ciało na kolor bardziej zbliżony do koloru skóry ich rasy i spróbował znaleźć zatrudnienie w Zodandze w armii albo we flocie powietrznej.

– Małe są szanse na to, aby od razu uwierzono w twoją historię – powiedział jeden z braci. – Może później, gdy dowiedziesz szczerości intencji i zdobędziesz wysoko postawionych przyjaciół, będziesz mógł ją opowiedzieć bez narażania się na ryzyko okrzyknięcia cię łgarzem. O zasługi i przyjaciół najłatwiej jest w wojsku, gdyż, jak wiesz, jesteśmy walecznymi ludźmi i żołnierzy obdarzamy specjalnymi względami.

Gdy byłem już gotowy do drogi, podarowano mi małego thoata, z gatunku specjalnie hodowanego przez czerwonych Marsjan pod siodło i do innych domowych celów. Zwierzę to, prócz tego, że było mniejsze – wielkości konia – oraz bardzo łagodne, było dokładną kopią swoich dzikich krewniaków.

Bracia wyposażyli mnie w czerwony olej, którym wysmarowałem całe ciało, a jeden z nich podciął moje włosy, w tym czasie już dość długie, według obowiązującej ostatnio mody. Tak przygotowany mogłem wszędzie na Barsoomie uchodzić za rodowitego Marsjanina. Podarowano mi również ozdoby i insygnia, noszone przez rodzinę Ptor, do której należeli moi gospodarze. Małą torbę, którą miałem nosić przy boku, wypełniono zodangańskimi pieniędzmi. Środki płatnicze na Marsie nie różnią się wiele od tych, których my używamy, jedynie monety są owalne. Papierowe pieniądze są emitowane przez poszczególne osoby w zależności od potrzeb i dwa razy do roku sprawdza się ich pokrycie w majątku trwałym i zgromadzonych dobrach. Jeśli ktoś wypuści więcej pieniędzy, niż jest w stanie wykupić, rząd zwraca jego wierzycielom różnicę, a dłużnik odpracowuje ją w kopalniach lub na farmach, które w całości należą do rządu. Taki system zadowala wszystkich, z wyjątkiem zadłużonych.

Gdy wspomniałem, że być może nie będę mógł odwdzięczyć się im za okazaną mi dobroć i pomoc, powiedzieli, że jeżeli zostanę dostatecznie długo na Marsie będę miał po temu nie tylko niejedną sposobność, ale i możliwość. Potem pożegnaliśmy się, a oni patrzyli za mną jeszcze długo, aż zniknąłem im z oczu w oddali.

Zwiadowca powietrzny w armii Zodangi

Jechałem w kierunku Zodangi, przyglądając się wciąż nowym i interesującym widokom, a w kilku farmach, w których się zatrzymałem po drodze dowiedziałem się wielu pożytecznych rzeczy, dotyczących panujących na Barsoomie obyczajów i metod gospodarowania.

Używana na farmach woda pochodzi z topniejących lodowców na biegunach. Gromadzona jest tam w ogromnych podziemnych zbiornikach, a następnie pompowana wodociągami do miejsc zamieszkanych przez ludzi. Na całej długości tych wodociągów, po każdej ich stronie, leżą pola uprawne, podzielone na mniej więcej równej wielkości obszary, z których każdy jest zarządzany przez jednego lub kilku rządowych nadzorców.

Zamiast nawadniania pól przez wylewanie drogocennego płynu na ich powierzchnię, co prowadziłoby do ogromnych strat na skutek parowania, stosuje się system cienkich rurek, ukrytych w ziemi i doprowadzających wodę bezpośrednio do korzeni roślin. Plony na Marsie są każdego roku jednakowe, gdyż nie ma tam ani deszczów, wichrów czy innych klęsk żywiołowych, ani też owadów i małych ptaków niszczących zasiewy.

Podczas tej podróży miałem okazję po raz pierwszy od opuszczenia Ziemi spróbować dania mięsnego – dużych, soczystych steków i zrazów, zrobionych z mięsa jakichś dobrze wypasionych zwierząt hodowlanych. Częstowano mnie również owocami i jarzynami – bardzo smacznymi, ale w niczym nie przypominającymi ziemskich. Każdy kwiat, jarzyna, krzew owocowy czy zwierzę zostały za pomocą starannej opieki prowadzonej naukowymi metodami przez całe stulecia tak udoskonalone, że ich ziemskie odpowiedniki wydają się być tylko bladymi, pozbawionymi wyrazu odbiciami.

Podczas drugiego postoju spotkałem bardzo kulturalnych, szlachetnie urodzonych ludzi i po pewnym czasie nasza rozmowa zeszła na temat Helium. Jeden ze starszych mężczyzn był tam z misją dyplomatyczną kilka lat wcześniej i z pewnym żalem mówił o okolicznościach, które od dłuższego czasu zmuszają te dwa kraje do prowadzenia wojny.

pewna jego miłości do mnie, ale teraz już jestem i przyszłam tutaj prosić cię, byś zapomniał o moich pochopnych słowach i przyjął zapewnienie, że gdy przyjdzie czas, księżniczka Helium poślubi Sab Thana, księcia Zodangi.

– Cieszę się z twojej decyzji – odpowiedział Than Kosis. – Nie chcę już dłużej prowadzić wojny z narodem Helium. Twoje przyrzeczenie zostanie zaprotokołowane, a natychmiast potem ogłoszone moim poddanym.

– Lepiej będzie, Than Kosisie – powiedziała Dejah Thoris – jeśli zostanie to ogłoszone dopiero po zakończeniu wojny. Zarówno twój, jak i mój naród może uważać za dziwne, że księżniczka Helium oddaje rękę nieprzyjacielowi w trakcie działań wojennych.

– Czy wojny nie można zakończyć natychmiast? – spytał Sab Than. – Wystarczy jedno słowo Than Kosisa, by nastał pokój. Wypowiedz je ojcze, wypowiedz słowo, które da mi szczęście i zakończy ten niepopularny konflikt.

– Zobaczymy, jak Helium zareaguje na propozycję zakończenia wojny. Ja w każdym razie taką propozycję im złożę.

Zamienili jeszcze kilka słów i Dejah Thoris, wciąż w towarzystwie strażników, wyszła z pokoju.

W ten oto sposób rzeczywistość obróciła w gruzy gmach moich marzeń. Kobieta, w której ręce złożyłem swoje życie i z której ust jeszcze tak niedawno słyszałem zapewnienia o miłości, zdążyła już zapomnieć o moim istnieniu i z uśmiechem ofiarowała się synowi najbardziej zaciekłego wroga swego narodu. Nie mogłem w to uwierzyć, mimo że słyszałem przecież jej słowa na własne uszy. Musiałem ją odszukać i zmusić, aby w oczy mi powtórzyła tę okrutną prawdę, dopiero wtedy zostanę przekonany. Opuściłem mój posterunek i korytarzem za gobelinami pobiegłem w stronę drzwi, przez które wyszła z pokoju. Otworzyłem je ostrożnie i po ich drugiej stronie zobaczyłem istny labirynt krętych korytarzy i przejść. Pobiegłem pierwszym z nich, potem skręciłem w jakiś inny i stwierdziłem, że zupełnie nie wiem, gdzie się znajduję. Stałem przez chwilę z rozpaczą w sercu, oparty o ścianę, gdy nagle usłyszałem głosy, rozlegające się w pobliżu, najwyraźniej po drugiej stronie ściany, o którą się opierałem. Jeden z nich należał do Dejah Thoris. Nie mogłem rozróżnić słów, ale nie ulegało wątpliwości, że to była ona.

Przeszedłem kilka kroków do przodu i natknąłem się na następny korytarz, na końcu którego zobaczyłem drzwi. Śmiało w nie wszedłem i znalazłem się w małym przedpokoju, w którym siedzieli ci czterej strażnicy, których przedtem widziałem. Jeden z nich natychmiast wstał i zapytał mnie, w jakim celu tu przyszedłem.

– Zostałem wysłany przez Than Kosisa – odpowiedziałem – i chcę rozmawiać w cztery oczy z Dejah Thoris, księżniczką Helium.

– Pokaż rozkaz – powiedział strażnik.

Nie wiedziałem, co ma na myśli, ale odpowiedziałem, że jestem członkiem gwardii jeddaka, a potem, nie czekając na jego reakcję, poszedłem ku drzwiom w przeciwległej ścianie przedpokoju, za którymi słyszałem głos Dejah Thoris. Jednak nie udało mi się przez nie przejść tak łatwo, gdyż strażnik zastąpił mi drogę i powiedział:

– Każdy, kto przychodzi od Than Kosisa posiada pisemny rozkaz albo przepustkę. Musisz mi pokazać jedno lub drugie i dopiero wtedy będziesz mógł wejść.

– Jedyna przepustka, przyjacielu – powiedziałem – jakiej potrzebuję, aby wejść gdzie mi się podoba, wisi u mego boku.

Wyciągnąłem miecz i spytałem:

– Przepuścisz mnie dobrowolnie, czy mam cię do tego zmusić?

W odpowiedzi strażnik wyciągnął swoją broń i przywołał kolegów. Stanęli naprzeciw mnie, zagradzając mi drogę.

– Nie przyszedłeś tu z rozkazu Than Kosisa – powiedział podniesionym głosem pierwszy ze strażników – i nie tylko nie wpuszczę cię do apartamentów księżniczki Helium, ale odeślę pod strażą do jeddaka, abyś wytłumaczył się ze swego postępowania. Odrzuć miecz, nie możesz liczyć na to, że uda ci się pokonać nas wszystkich jednocześnie.

Moją odpowiedzią był szybki cios, po którym zostało mi już tylko trzech przeciwników i zapewniam was, że byli to znakomici szermierze. Przyparty przez nich do ściany wkładałem w walkę wszystkie moje siły i umiejętności. Powoli udało mi się przesunąć w róg pokoju, w którym mogli mnie atakować tylko pojedynczo. Walczyliśmy w ten sposób blisko dwadzieścia minut, a ścierająca się ze sobą stal naszych mieczy wypełniała małe pomieszczenie prawdziwie piekielnym hałasem.

Ten harmider wywabił z pokoju Dejah Thoris. Otworzyła drzwi i stała w nich, przyglądając się walce. Z tyłu, za nią, zauważyłem Solę, patrzącą z równą ciekawością. Ich twarze były zupełnie obojętne i wywnioskowałem z tego, że żadna z nich mnie nie rozpoznała.

rozkazując mu wystąpić z szeregu. Następnie głośno scharakteryzował czyn, którym zdobył sobie uznanie jeddaka, a monarcha podszedł do szczęśliwego bohatera i przypiął mu na lewym ramieniu metalowe odznaczenie.

Udekorowano w ten sposób dziesięciu ludzi, a potem mistrz ceremonii krzyknął:

– John Carter, powietrzny zwiadowca!

Nigdy w życiu nie byłem tak zdziwiony, ale wojskowa dyscyplina jest we mnie głęboko zakorzeniona, więc natychmiast wylądowałem i poszedłem naprzód, tak jak to robili inni. Zatrzymałem się przed oficerem, a on powiedział głosem tak donośnym, że musiał być słyszany przez wszystkie zgromadzone tu oddziały i widzów:

– Johnie Carter, w uznaniu twojej niezwykłej odwagi i umiejętności, wykazanych w obronie osoby kuzyna jeddaka Than Kosisa, podczas której w pojedynkę pokonałeś trzech zielonych wojowników nasz jeddak z przyjemnością obdarowuje cię dowodem swego szacunku.

Podszedł do mnie Than Kosis i przypinając mi na ramieniu odznaczenie powiedział:

– Mój kuzyn opowiedział mi szczegóły twego niezwykłego czynu, który wydaje się graniczyć z cudem. Jeśli tak dobrze potrafisz bronić kuzyna jeddaka, o ile lepiej będziesz ochraniał osobę samego jeddaka. Od tej chwili jesteś padwarem mojej gwardii i miejscem twego zamieszkania będzie mój pałac.

Podziękowałem władcy i stosując się do jego rozkazu dołączyłem do członków świty. Po zakończeniu uroczystości odprowadziłem łódkę na jej miejsce na dachu koszar dywizjonu zwiadu powietrznego i w towarzystwie przysłanego z pałacu przewodnika zameldowałem się u oficera dyżurnego w moim nowym miejscu zamieszkania

Odnajduję Dejah

Oficerowi, u którego się zameldowałem polecono, aby zakwaterował mnie w pobliżu jeddaka, którego życie podczas wojny było stale zagrożone, gdyż Marsjanie uważali, iż podczas działań wojennych wszystko, łącznie z morderstwem, jest dozwolone.

Odprowadzono mnie natychmiast do pomieszczenia, w którym przebywał Than Kosis. Władca zajęty był rozmową z synem, Sab Thanem i kilkoma dworzanami i nie zauważył mego wejścia.

Ściany tego pomieszczenia były całkowicie zasłonięte wspaniałymi gobelinami, zakrywającymi okna i drzwi, jeśli one w ogóle tam były. Światła dostarczały uwięzione promienie słoneczne, trzymane między właściwym stropem a szklaną taflą, znajdującą się kilka cali niżej.

Mój przewodnik podniósł jeden z gobelinów, odsłaniając rodzaj korytarza otaczającego pokój, utworzonego dzięki powieszeniu tych ogromnych dywanów ściennych w pewnej odległości do właściwych ścian pomieszczenia. Powiedział, że właśnie w tym korytarzu powinienem przebywać, dopóki Than Kosis pozostaje w apartamencie za gobelinami. Gdy wyjdzie, mam iść za nim. Moim jedynym obowiązkiem było pilnowanie władcy w sposób maksymalnie dyskretny. Po czterech godzinach zostanę zmieniony. Po udzieleniu mi tych wyjaśnień oficer odszedł.

Gobeliny były utkane z dziwnego przędziwa, które nadawało im wygląd bardzo ciężki i solidny, gdy się na nie patrzyło od strony pokoju, z miejsca, w którym miałem pełnić służbę, mogłem obserwować wszystko, co się działo w pomieszczeniu tak wyraźnie, jakby były one zrobione z cienkiego, bardzo przeźroczystego szkła.

Jakiś czas po objęciu przeze mnie posterunku zasłona po przeciwnej stronie odsunęła się i do pomieszczenia weszło czterech gwardzistów, prowadząc drobną kobietę. Cała grupa zbliżyła się do Than Kosisa, strażnicy odsunęli się na bok i nie dalej niż dziesięć kroków ode mnie zobaczyłem Dejah Thoris. Jej twarz promieniała uśmiechem.

Sab Than podszedł do niej i oboje, trzymając się za ręce, stanęli tuż przed jeddakiem. Than Kosis spojrzał na nich ze zdziwieniem, wstał i ukłonił się księżniczce.

– Jakiemu dziwnemu kaprysowi zawdzięczam wizytę księżniczki Helium, która zaledwie dwa dni temu, nie zważając na to, iż obraża moją dumę, zapewniała mnie, że wolałaby Tal Hajusa, zielonego Tharka, od mego syna?

Dejah Thoris uśmiechnęła się jeszcze szerzej, a w jej oczach pojawiły się filuterne błyski.

– Od zarania dziejów kobieta ma prawo kaprysić, zmieniać zdanie i być obłudną w sprawach, które dotyczą jej serca. Przebacz mi, Than Kosisie, tak jak przebaczył mi twój syn. Dwa dni temu nie byłam

– Helium słusznie szczyci się najpiękniejszymi kobietami na Barsoomie – mówił – a prawdziwą perłą wśród nich jest Dejah Thoris, córka Mors Kajaka. Ludzie ją wprost uwielbiają, a od czasu, gdy zaginęła podczas tej nieszczęsnej ekspedycji, całe Helium pogrążyło się w żałobie. To, że nasz władca rozkazał zaatakować osłabione i zniszczone statki, powracające z tej wyprawy do domu – ciągnął – było następnym z jego niewybaczalnych błędów, które prędzej czy później doprowadzą do tego, iż naród Zodangi postawi kogoś mądrzejszego na jego miejscu. Nawet teraz, chociaż nasze zwycięskie armie otaczają Helium, ludzie w Zodandze głośno wyrażają swoje niezadowolenie. Ta wojna nie cieszy się popularnością, gdyż nie jest walką o prawdę i sprawiedliwość. Nasze siły wykorzystały nieobecność głównej floty Helium, która udała się na poszukiwanie księżniczki i z łatwością radzą sobie z osłabioną obroną. Mówi się, że miasto podda się w ciągu najbliższych dni.

– A co się dzieje z księżniczką Dejah Thoris? – spytałem z pozorną obojętnością.

– Zginęła – odpowiedział. – Dowiedziano się tego od zielonego wojownika, schwytanego ostatnio przez nasz oddział na południu. Uciekła Tharkom z jakąś dziwną istotą z innego świata tylko po to, by wpaść w łapy Warhoończyków. Ich thoaty błąkały się po dnie wyschniętego morza, a w pobliżu znaleziono ślady krwawej walki.

Ponieważ te wiadomości nie były wcale pewne i nie stanowiły ostatecznego dowodu na to, że Dejah Thoris rzeczywiście zginęła, postanowiłem starać się w każdy możliwy sposób dotrzeć jak najprędzej do Helium i przekazać Tardos Morsowi posiadane przeze mnie wiadomości o jego wnuczce.

Dziesięć dni po opuszczeniu farmy braci Ptor dotarłem do Zodangi. Już podczas mego pierwszego kontaktu z czerwonymi mieszkańcami Marsa zauważyłem, że obecność Woola budzi niezbyt przychylne, a za to duże zainteresowanie moją osobą, gdyż należał on do gatunku zwierząt, które nigdy nie były udomowione przez czerwonych ludzi. Gdybym wszedł do Zodangi z Woolem u nogi, wrażenie byłoby podobne do tego, jakie zrobiłby człowiek przechadzający się po Broadwayu z lwem.

Myśl o rozstaniu z moim wiernym przyjacielem zasmuciła mnie szczerze i odłożyłem decyzję do czasu, aż staniemy przed bramami miasta. Jednak później stało się jasne, że musimy się rozdzielić. Gdyby w grę wchodziło tylko moje bezpieczeństwo, nic nie mogłoby mnie zmusić do oddalenia od siebie jedynej istoty na Barsoomie, która od chwili spotkania odbarzyła mnie szczerym i gorącym przywiązaniem. Ponieważ jednak chciałem odnaleźć kobietę, w której służbie obiecałem oddać życie i musiałem rzucić wyzwanie nieznanym niebezpieczeństwom tego tajemniczego dla mnie miasta, nie mogłem pozwolić, by troska o bezpieczeństwo Woola rozpraszała moją uwagę i w ten sposób być może przyczyniła się do niepowodzenia mojego przedsięwzięcia. Pożegnałem się więc z nim czule obiecując sobie, że jeśli wyjdę cało z czekających mnie przygód, znajdę sposób, aby go potem odnaleźć.

Woola zdawał się rozumieć wszystko, co mu tłumaczyłem i gdy wskazałem w stronę Tharku odwrócił się ode mnie ze smutkiem w ślepiach. Nie mogłem się zmusić by patrzeć na to, jak odchodzi. Pojechałem natychmiast ku murom Zodangi.

Dzięki listowi polecającemu, który otrzymałem od braci, zostałem wpuszczony bez żadnych przeszkód do miasta, ogromnego i otoczonego wysokimi murami. Był bardzo wczesny ranek i ulice świeciły jeszcze pustkami. Rezydencje, uniesione wysoko na metalowych kolumnach, przypominały wielkie ptasie gniazda, zaś same kolumny zdawały się być pniami metalowych drzew. Sklepy nie były uniesione w górę, nie miały też szczególnie masywnych zamków czy zapór na drzwiach, gdyż pojęcie kradzieży było właściwie na Barsoomie zupełnie nieznane. Obawiano się tylko morderstw i to właśnie ochrona przed nimi zmusza Marsjan do unoszenia domów w górę na noc lub w razie niebezpieczeństwa.

Bracia Ptor dali mi dokładne wskazówki, gdzie mam się w mieście udać, by znaleźć jakieś mieszkanie, i być w pobliżu urzędów agentów rządowych, do których napisali listy polecające. Moja droga wiodła w stronę centralnego placu. Place takie znajdują się w każdym marsjańskim mieście. Ten w Zodandze ma około mili kwadratowej powierzchni i jest otoczony pałacami rodziny królewskiej i wyższej szlachty, gmachami użyteczności publicznej, kawiarniami i sklepami. Gdy szedłem przez plac, podziwiając wspaniałą architekturę i piękno, szkarłatną roślinność, porastającą szerokie kwietniki, zauważyłem czerwonego Marsjanina idącego szybko w moim kierunku od wylotu jednej z ulic. Nie zwrócił na mnie najmniejszej uwagi, ale gdy podszedł bliżej rozpoznałem go i, położywszy dłoń na jego ramieniu, powiedziałem:

– Kaor, Kantos Kan!

Odwrócił się błyskawicznie i zanim zdążyłem opuścić rękę ostrze długiego miecza znalazło się przy mojej piersi.

– Kim jesteś? – warknął, a gdy jednym skokiem oddaliłem się od niego o pięćdziesiąt stóp opuścił miecz i ze śmiechem powiedział:

– Nie potrzebuję innej odpowiedzi. Tylko jeden człowiek na całym Barsoomie potrafi skakać jak gumowa piłka. Na oba księżyce, Johnie Carter, skąd się tu wziąłeś? Czy stałeś się Darseenem, że potrafisz dowolnie zmieniać kolor skóry?

– Zawdzięczam ci kilka przykrych sekund, przyjacielu – powiedział, gdy w skrócie opowiedziałem mu swoje przygody od chwili, gdyśmy się rozstali na arenie w Warhoonie. – Gdyby mieszkańcy Zodangi dowiedzieli się, jak się nazywam i skąd pochodzę, siedziałbym wkrótce nad brzegiem zaginionego morza Korus wraz z mymi dawno umarłymi i zapomnianymi przodkami. Zostałem tutaj wysłany przez Tardos Morsa, jeddaka Helium, aby dowiedzieć się, gdzie przebywa Dejah Thoris, nasza księżniczka. Sab Than, książę Zodangi, śmiertelnie się w niej zakochał i ukrył ją gdzieś w tym mieście. Jego ojciec, jeddak Zodangi Than Kosis cenę za zawarcie pokoju między naszymi miastami uczynił dobrowolną zgodę księżniczki na poślubienie jego syna. Jednak Tardos Mors nie chce przyjąć takiego warunku i kazał przekazać jeddakowi Zodangi, że on i wszyscy ludzie z Helium wolą oglądać swoją księżniczkę martwą niż poślubioną człowiekowi, którego nie wybrała sama oraz że on osobiście woli zostać pogrzebany pod popiołami naszego miasta niż połączyć godła swego rodu z godłami Than Kosisa. Ta odpowiedź była straszliwą obelgą dla Than Kosisa i ludzi z Zodangi, ale Tardos Mors jest dzięki niej otaczany w Helium jeszcze większą miłością poddanych i ma w tej chwili nad nimi większą władzę niż kiedykolwiek.

– Jestem tu już od trzech dni – ciągnął dalej – ale jeszcze nie udało mi się odkryć, gdzie Dejah Thoris jest więziona. Dzisiaj wstąpiłem na służbę do armii Zodangi jako zwiadowca powietrzny. Mam nadzieję zdobyć zaufanie księcia Sab Thana, który dowodzi tą formacją i w ten sposób dowiedzieć się czegoś o Dejah Thoris. Cieszę się, że cię tu spotkałem, gdyż znam twoją życzliwość dla księżniczki, a gdybyśmy połączyli nasze siły, moglibyśmy naprawdę wiele dokonać.

Plac zaczął się wypełniać ludźmi, spieszącymi wypełnić swoje codzienne obowiązki. Zaczęto otwierać sklepy, a w kawiarniach zasiadali poranni goście. Kantos Kan zaprowadził mnie do jednej z nich. Obsługa w kawiarni była całkowicie zmechanizowana, jedzenia nie dotykała ludzka ręka od momentu, w którym zostało przywiezione w stanie surowym aż do chwili, gdy gorące i gotowe do spożycia ukazywało się na stoliku przed gościem, który uprzednio nacisnął tylko odpowiednie guziki, wyrażające jego życzenia.

Po posiłku poszliśmy do kwatery głównej dywizjonu zwiadu powietrznego i Kantos Kan przedstawił mnie swojemu dowódcy, prosząc o przyjęcie do służby. Zgodnie z obowiązującą procedurą musiałem przedtem poddać się badaniom, ale Kantos Kan powiedział, abym się nie obawiał, gdyż tę sprawę bierze na siebie. Załatwił to sam stając przed komisją i przedstawiając się jako John Carter.

– Oczywiście, ta mistyfikacja wyjdzie później na jaw – powiedział śmiejąc się – wtedy, gdy porównają wagę, wzrost i inne cechy charakterystyczne na papierze i w rzeczywistości, ale do tej chwili może upłynąć kilka miesięcy, a w tym czasie powinniśmy już dawno zakończyć naszą misję, bez względu na to, czy nam się powiedzie, czy nie.

Kilka następnych dni Kantos Kan spędził ucząc mnie sztuki latania i reperowania maszyn. Kadłub jednoosobowej łódki rozpoznawczej ma około szesnastu stóp długości, dwie stopy szerokości i zwęża się przy obu końcach. Pilot zajmuje siedzenie umieszczone nad małym, bezdźwięcznym silnikiem, napędzającym łódkę. Środek napędowy jest zgromadzony wewnątrz cienkich, metalowych ścian kadłuba i składa się z ósmego promienia, zwanego ze względu na swe właściwości promieniem napędowym.

Ten promień, podobnie jak dziewiąty, jest nieznany na Ziemi, jednakże Marsjanie odkryli, że znajduje się w każdym rodzaju światła, niezależnie od jego źródła. Pozwala on na tak doskonałą nawigację powietrzną, że ich statki bojowe znacznie przewyższają wszystko, co zostało osiągnięte w tej materii na Ziemi. Żeglują lekko i z gracją przez rozrzedzone powietrze Marsa, jak dziecięce baloniki w atmosferze Ziemi.

Podczas pierwszych lat po odkryciu tego promienia, zanim Marsjanie nauczyli się go kontrolować i precyzyjnie się nim posługiwać, zdarzyło się wiele dziwnych wypadków. Na przykład około dziewięciuset lat temu wybudowano pierwszy statek bojowy, napędzany tym sposobem. Niestety, zbiorniki ósmego promienia wypełniono zbyt wielką jego ilością i statek po wyruszeniu z Helium nigdy tam nie wrócił. Siła napędowa była tak duża, iż wyniosła go daleko w przestrzeń kosmiczną, gdzie do dziś może być obserwowany za pomocą teleskopów – mały satelita, który będzie po wieczne czasy okrążał Barsoom na wysokości dziesięciu tysięcy mil.

Czwartego dnia po przybyciu do Zodangi wykonałem mój pierwszy lot. W jego rezultacie zostałem awansowany oraz otrzymałem kwaterę w pałacu Than Kosisa.

Wzleciałem w powietrze i zatoczyłem kilka kół nad miastem, tak jak to robił Kantos Kan, a następnie ustawiwszy maszynę na maksymalne obroty poleciałem z przerażającą szybkością na południe, wzdłuż jednej z wielkich dróg wodnych, dochodzących do Zodangi z tej strony.

Przebyłem prawie dwieście mil w czasie krótszym niż godzina. Nagle daleko w dole zauważyłem trzech zielonych wojowników, ścigających galopem małą, pieszą figurkę, która najwyraźniej starała się dobiec do otaczającego pola uprawne muru. Zmniejszyłem gwałtownie wysokość lotu i krążąc z tyłu, za zielonymi wojownikami, zauważyłem, że obiektem ich pościgu jest czerwony Marsjanin, noszący odznaki dywizjonu zwiadu powietrznego, do którego byłem przydzielony. W pobliżu zobaczyłem łódkę i porozrzucane wokół narzędzia. Widocznie w momencie, w którym zaskoczyli go zieloni wojownicy, pilot zajęty był naprawą jakiegoś uszkodzenia.

Już prawie go doganiali, wierzchowce gnały z zatrważającą prędkością na maleńką, w porównaniu z nimi, figurkę, a wojownicy nachylili się w prawo i wystawili przed siebie długie dzidy. Każdy z nich starał się przebić biednego Zodangańczyka jako pierwszy i niewątpliwie jego los już za chwilę byłby przesądzony, lecz na szczęście ja się zjawiłem.

Skierowałem statek z pełną prędkością dokładnie na wojowników i wkrótce ich dopędziłem. Bez zmniejszania prędkości wycelowałem przód łódki w plecy najbliższego z nich. Uderzenie wystarczająco silne, by przebić kilkucalowej grubości stal, wyrzuciło ponad łbem thoata pozbawione głowy ciało wojownika daleko w przód, gdzie spadło i potoczyło się po mchu. Spłoszone wierzchowce dwóch pozostałych zielonych ludzi piszcząc ze strachu rozbiegły się w przeciwnych kierunkach. Zmniejszywszy prędkość zakreśliłem koło i wylądowałem przed zdumionym zwiadowcą. Gorąco podziękował mi za pomoc, udzieloną na dodatek w najbardziej odpowiednim momencie i przyrzekł, że zostanę odpowiednio nagrodzony, okazało się bowiem, że uratowałem życie jednemu z kuzynów jeddaka Zodangi.

Nie traciliśmy czasu, wiedząc, że wojownicy wrócą natychmiast po odzyskaniu kontroli nad swymi wierzchowcami. Zabraliśmy się do naprawy uszkodzonej maszyny i wytężaliśmy wszystkie siły, aby na czas ją zakończyć. Pozostało nam tylko kilka końcowych operacji, gdy zauważyliśmy, że wojownicy wracają ku nam pełnym galopem z dwóch przeciwległych stron. Gdy zbliżyli się na odległość około stu jardów, ich thoaty znów odmówiły posłuszeństwa, nie chcąc zbliżać się do statku powietrznego, który je przed chwilą tak przestraszył.

W końcu wojownicy zsiedli z wierzchowców i zaczęli iść ku nam z wyciągniętymi mieczami. Wyszedłem większemu z nich naprzeciw, życząc przedtem Zodangańczykowi powodzenia w starciu z drugim z zielonych Marsjan. Dzięki coraz większej praktyce uporałem się z przeciwnikiem szybko i niemal bez wysiłku i natychmiast pospieszyłem do mego nowego znajomego. Zastałem go w bardzo przykrej sytuacji – leżał na ziemi, ranny, a zielony wojownik, postawiwszy mu nogę na szyi unosił miecz do decydującego ciosu. Pokonałem jednym skokiem dzielące nas pięćdziesiąt stóp i wyciągniętym przed siebie mieczem przebiłem zielonego Marsjanina na wylot. Wypuścił swój oręż i upadł na ziemię tuż obok swojej ofiary.

Zbadałem Zodangańczyka i na szczęście okazało się, że jego rany nie były poważne. Po krótkim odpoczynku stwierdził, że czuje się dobrze i jest gotów wyruszyć w drogę powrotną. Musiał jednak pilotować swą własną łódkę, gdyż były one zbyt małe, by zmieściły się w nich dwie osoby.

Szybko dokończyliśmy naprawy, wznieśliśmy się razem w zawsze bezchmurne marsjańskie niebo i z dużą prędkością, bez dalszych przygód powróciliśmy do Zodangi.

Gdy zbliżaliśmy się do miasta, zauważyliśmy na pobliskiej równinie tłum cywilów i żołnierzy. Niebo było czarne od statków bojowych, prywatnych i publicznych łodzi wycieczkowych, długich pasm unoszącego się barwnego jedwabiu i różnego rodzaju proporców i flag.

Mój towarzysz dał mi sygnał, abym zwolnił i zbliżywszy się do mnie na niewielką odległość, zaproponował, byśmy wylądowali i przyjrzeli się ceremonii, podczas której, jak powiedział, odbędzie się nagradzanie oficerów i osób cywilnych za odwagę i zasługi wobec państwa. Potem rozwinął mały proporzec, który świadczył, że w łódce leci członek rodziny królewskiej i wspólnie przebiliśmy się przez ciżbę różnego rodzaju aparatów latających i zawiśliśmy dokładnie nad jeddakiem Zodangi i jego świtą. Wszyscy oni dosiadali małych, domowych thoatów, a w ich paradnych strojach i ozdobach była taka ilość różnokolorowych piór, że nie mogłem nie zauważyć ich ogromnego podobieństwa do czerwonych Indian z mojej ojczyzny.

Jeden z członków świty zwrócił uwagę Than Kosisa na wiszącego mu nad głową krewniaka i jeddak gestem nakazał memu nowemu znajomemu lądowanie. Oczekując na ustawienie się oddziałów w szyku, jeddak toczył ożywioną rozmowę ze swym kuzynem i zauważyłem, że zarówno oni, jak i bliżej stojący członkowie świty spoglądają do czasu do czasu w górę, na mnie. Nie słyszałem czego dotyczyła ta rozmowa, ale urwała się ona nagle i wszyscy zsiedli z thoatów, gdyż ostatni oddział zajął już swoją pozycję w szyku. Jeden z członków świty poszedł w stronę oddziałów i wywołał imię jakiegoś żołnierza,

Zabójca czarownic

Krzysztof Kochański

Noc jest porą, w której większość żywych istot pogrąża się w stan zwany snem. Tak bywa na wszystkich planetach, do których człowiek dotarł i które skolonizował. Ogólnie rzecz biorąc, ludzie szanują ten stan rzeczy i przestrzegają go, a gdy sytuacja nie pozwala na dostosowanie się do ogólnego prawa, łamią je niechętnie. Bo nie tylko zmeczenie, lecz również ciemność i cisza wywołują potrzebę snu. Chyba, że ktoś jest czarownicą.

Nik Anders doskonale o tym wiedział i przed snem nigdy nie zapominał zostawić w drzwiach, oknach i otworach wentylacyjnych magicznych znaków zabraniających wstępu sługom Szatana. Dla niego była to sprawa życia lub śmierci. Miał podstawy, by obawiać się zemsty czarownic – był ich zabójcą. Jedynym zabójcą, który zabijał i żył nadal.

Tego wieczoru zabezpieczył swój apartament hotelowy bardzo wcześnie. Zapowiadała się mglista i bezgwiezdna noc. Księżyc, choć był w pełni, nie przebijał wilgotnej zasłony chmur, czasami tylko rozbijanej podmuchami wiatru.

Nagle Andersa ogarnęła fala niepokoju i zaraz potem usłyszał pukanie do drzwi. Wytężył swój zmysł telepatyczny i już wiedział, że na korytarzu stoi kobieta. Nie zdołał odczytać jej uczuć ani stanu emocjonalnego, ale mogło to być spowodowane istnieniem przegrody, jaką stanowiły drzwi. Drewno jest doskonałym izolatorem utrudniającym telepatyczne rozpoznanie. Ze względu na odebraną wcześniej falę niepokoju należało zachować szczególną ostrożność. Anders upewnił się co do prawidłowego położenia magicznych znaków i otworzył drzwi. Mężczyzna, którego ujrzał, uśmiechał się niepewnie.

– Dobry wieczór – powiedział. – Czy mam przyjemność z panem Nikiem Andersem?

Anders skinął głową. Nie podobało mu się to – wyczuwał kobietę, a widział mężczyznę. Stan emocjonalny gościa był bardzo trudny do odczytania, dominował strach, który można było tłumaczyć tym, że przybysz wiedział do kogo przyszedł – zabójcy czarownic boi się każdy. Jednak inne uczucia były zadziwiająco przytłumione, brakowało przede wszystkim zwykłej ciekawości człowieka uczciwego.

W tym momencie Anders odebrał uczucie ciekawości.

Żaden fachowiec nie da się nabrać na takie rzeczy. Spóźniona fala ciekawości stawia pod znakiem zapytania jej autentyczność. Anders zrozumiał, że to blef.

„Brakuje uczucia zadowolenia" – pomyślał. Była to z jego strony prowokacja.

Nie mógł powstrzymać się od śmiechu, gdy odebrał uczucie zadowolenia. Prawie natychmiast zniknęło ono, ale było też za późno – Anders nabrał pewności, że ma przed sobą czarownicę. Czarownicę bardzo utalentowaną, ze zmysłem telepatycznym, ale... głupią. Dała się podejść w bardzo prosty sposób.

Wyciągnął rękę, ale działał zbyt wolno. Mężczyzna zdążył się odwrócić i począł uciekać w kierunku schodów. W momencie, gdy dotknął poręczy zamienił się w zgrabną blondynkę, która z dźwięcznym śmiechem zbiegła na dół. Anders nie gonił jej. To mogła być pułapka. W nocy wolał nie oddalać się od pomieszczenia obwarowanego magicznymi znakami.

Podszedł do telefonu i wywołał recepcję.

– Mówi Nik Anders z pokoju 411 – powiedział. – Czy pytał ktoś o mnie?

– Teraz nikt, ale...

– Wcześniej?

– Tak, po południu. Jakiś mężczyzna.

– Jak wyglądał?

– Ja... nie wiem. Rozmawiałam z nim przez telefon.

– O co pytał?

– Właściwie to o nic. – Recepcjonistka umilkła na moment. – Chciał tylko wiedzieć czy pan tu mieszka.

– I powiedziała mu pani – skwitował Anders.

– Oczywiście – w głosie recepcjonistki zabrzmiało zdumienie. – Przepraszam, ale nie widziałam powodu...

– Jasne – przerwał Anders. – Dziękuję pani – odłożył słuchawkę.

„Chyba jutro się wyprowadzę" – pomyślał. Nie bał się. Zbyt dużo czarownic widział już w swoim życiu i umiał sobie z nimi radzić, ale równocześnie wiedział o nich wystarczająco wiele, aby docenić niebezpieczeństwo. Jeżeli tylko jest to możliwe, należy unikać spotkania z czarownicą.

Zaczął przygotowywać się do snu, gdy ponownie ktoś zastukał do drzwi. Nie zapominając o ostrożności otworzył je. W progu stał mężczyzna. Ten sam co wcześniej. Tym razem jego sygnał telepatyczny był normalny – mieszanina lęku, zakłopotania i ciekawości.

– Dobry wieczór – powiedział przybysz skłaniając głowę. – Pan nazywa się Nik Anders?

– Proszę wejść – Anders otworzył szerzej drzwi. Uważnie obserwując nieznajomego zrobił krok do tyłu. Nagle dotarł do niego sygnał wyraźnej niepewności. Spojrzał na podłogę, na której widniał wyrysowany kredą magiczny znak. Czyżby czarownica powróciła?

– Mam bardzo ważną i pilną sprawę – rzekł mężczyzna. – Może pan wyjść? W drodze wszystko wyjaśnię.

– Teraz? – zdziwił się Anders. W zasadzie nie miał zastrzeżeń do telepatycznego odczytu, ale dlaczego mężczyzna nie chciał wejść do pokoju? Bał się magicznego znaku?

– Poczekam na pana w holu – powiedział nieznajomy. – Bardzo się śpieszę.

– Chwileczkę! – Anders nastąpił na magiczny znak i gwałtownym ruchem chwycił mężczyznę za szyję. Ten krzyknął, a odczyt jego uczuć był jednoznaczny – tylko strach. Nie wyjaśniało to jeszcze sytuacji, więc Anders począł wciągać go do pokoju. Stało się:

– Nieee! – rozległ się okrzyk rozpaczy i nagle Anders spostrzegł, że szamoce się z kobietą. Jej paniczny lęk przed przekroczeniem magicznego znaku wynikał z faktu, że była czarownicą.

Wtedy popełnił błąd, którego nie mógł przewidzieć: spojrzał dziewczynie prosto w oczy. I nagle opuściły go siły. Przekonał się, że jeszcze nigdy nie spotkał tak pięknej istoty, przez całe jego ciało przebiegły dreszcze, wzmagając uczucie oszołomienia. Wspaniałe oczy zdawały się zaglądać w głąb duszy, biorąc ją w swoje posiadanie. I choć nie zdołały zawładnąć umysłem, tajemniczą siłą zatrzymały wszelkie myśli zła. Anders opuścił ręce. Kobieta odwróciła się na pięcie i wybiegła na korytarz. Naraz zatrzymała się i spoglądając przez ramię na oniemiałego Andersa powiedziała:

– Nigdy nie staraj się mnie spotkać. Zapamiętaj to! W przeciwnym wypadku zabiję cię! – napotkała oczy Andersa i uśmiech, który zjawił się na jej wargach – zgasł. Otworzyła usta i nagle jej twarz przybrała zaskakujący wyraz odzwierciedlający wewnętrzną walkę. I z nią działo się coś dziwnego. Szarpnęła gwałtownie głową, jakby zrywając niewidzialną nić łączącą ją z Andersem.

Gdy zbiegała po schodach, słyszał jej przeciągły krzyk:

– Nieee!

Anders stał nieruchomo przed rozwartymi na oścież drzwiami i wpatrywał się w pusty korytarz. Wciąż był pod wrażeniem niezwykłej urody kobiety, której czar wtargnął do jego wnętrza; widział jej twarz i słyszał jej głos:

– Eeee...

Głos, którego nie było.

Niemoc powoli ustępowała. Anders spostrzegł, że wciąż stoi na magicznym znaku. Ten symbol zawsze skutecznie chronił go przed wpływem zaklęć czarownic. I nie tylko jego. Każdego człowieka. Kto stał na magicznym znaku, tego nie imały się tajemne siły.

Ale tym razem stało się coś dziwnego. Na szczęście było już po wszystkim, lecz Anders doskonale pamiętał swoje wrażenia sprzed paru chwil. Wyraźnie znajdował się pod wpływem czarownicy.

A przecież stał na magicznym znaku.

Jak to możliwe?!

Był pod wpływem jakiegoś zaklęcia!

A przecież stał na magicznym znaku.
Było wykluczone, by istniała moc mogąca pokonać prawidłowo wykreślony znak.
Wszystkie znaki w pokoju Andersa były wykreslone prawidłowo.
Nagle przeraziła go szalona myśl: nie działały na niego żadne czary, nie znajdował się pod wpływem żadnej siły. To mogło być zjawisko naturalne.
Absurd?
Jedynym zjawiskiem naturalnym, które pasowało do sytuacji i które Anders mógł sobie wyobrazić, była miłość.
Oszołomiony odkryciem, podszedł chwiejnym krokiem do tapczanu. Zebrał myśli. Było prawdopodobne, że czarownica potrafiła rzucić na mężczyznę urok, wzbudzając w nim miłość do siebie. Pod warunkiem jednak, że mężczyzna ten n i e b ę d z i e stał na magicznym znaku. Jedno wyklucza drugie, jak woda wyklucza ogień. Czy zatem możliwe jest naturalne pokochanie czarownicy? Anders odrzucał od siebie to pytanie, bo gdy słowo „czarownica" potraktuje się jak „kobieta"...
Nagle zadzwonił telefon. Anders podniósł słuchawkę.
– Tak?
– Tu recepcja – usłyszał żeński głos. – Przepraszam, że przeszkadzam, ale jest tu ktoś do pana. Mężczyzna. Tłumaczyłam mu, że jest późno, ale on nie chce odejść. Mówi, że ma pilną sprawę i musi się z panem widzieć. Zaraz.
– Jak się nazywa?
– Chwileczkę... – recepcjonistka zawahała się. Anders usłyszał przytłumiony odgłos rozmowy. – Blend. Nazywa się Blend. Specjalnie przyleciał z układu Atora. Bardzo prosi o rozmowę. Zejdzie pan na dół?
– To jego pomysł?
– Nie rozumiem... z czym?
– Z tym zejściem na dół.
– Tak. Tak zaproponował. Nie chce panu przeszkadzać.
– W nocy nigdy nie opuszczam pokoju.
– W takim razie – zaczęła.
– Dobrze – przerwał Anders. – Porozmawiam z nim. Proszę skierować go do mojego apartamentu.
Odłożył słuchawkę. „Blend" – po raz pierwszy słyszał to nazwisko. Czyżby czarownica była aż tak uparta?
Spostrzegł, że drzwi są wciąż otwarte, z tego wszystkiego zapomniał je zamknąć. Ale rozmowa z recepcjonistką pozwoliła mu ochłonąć. Znowu był sobą. Twardym, trzeźwo myślącym zabójcą czarownic.
Ledwie zatrzasnął drzwi, telefon zadzwonił powtórnie.
– Słucham – rzucił w słuchawkę.
– To jeszcze raz ja, z recepcji. Ten gość już idzie do pana. Dzwonię, bo przypomniałam sobie, że przed godziną pytał pan, czy ktoś może dowiadywał się o pana. To był chyba ten człowiek, poznałam go po głosie.
– Dziękuję bardzo.
– I jeszcze jedno. Nie chciałam tego przy nim mówić, ale wygląda jakoś dziwnie.
– Dziwnie? – Anders roześmiał się.
– No... podejrzanie.
– Proszę się nie obawiać – odparł Anders. – Mam przy sobie dwa granaty i karabin maszynowy.
Recepcjonistka zachichotała.
– To już nie będę przeszkadzała. Dobranoc.
– Dobranoc.
Anders wyjął z szuflady kredę i poprawił zamazany nieco magiczny znak przy drzwiach. Potem stanął przy wejściu i czekał. Za chwilę usłyszał pukanie.
– Otwarte! – krzyknął i w skupieniu rozeznał telepatycznie sytuację.
Odczyt był pozytywny, ale w progu stał mężczyzna, którego twarz oglądał tej nocy już dwukrotnie.
– Dobry wieczór – powiedział nieśmiało przybysz. – Czy to pokój pana Nika Andersa?
Anders przyjrzał się nieznajomemu. Oto już trzeci raz w ciągu ostatniej godziny słyszał z tych samych ust prawie identyczne pytanie. Z t y c h samych, albo z t a k i c h samych.
– Zgadza się – odrzekł i powiedział najprostsze zdanie, które mogło mu wszystko wyjaśnić: – Proszę wejść.
Mężczyzna bez wahania przeszedł po magicznym znaku, a Anders nie odebrał nawet małej zmiany jego stanu emocjonalnego. Wszystko było w porządku. Wreszcie pojawił się człowiek, którego przybycie poprzedziła wizyta czarownicy. Dwukrotna wizyta. Musiało jej bardzo zależeć. Na czym?
– Nazywam się Abejder Blend – przedstawił się przybysz. – Przybyłem z planety Chiropter w układzie gwiazdy Ator. Jestem przedstawicielem osady kolonistów i zostałem delegowany, aby prosić pana o pomoc.
– Czarownica? – wtrącił Anders.
Abejder Blend przytaknął z błyskiem w oczach.
– Dlaczego akurat ja? – zapytał Anders.
– Prawdę mówiąc, to przypadek. Szukałem kogoś, kto podjąłby się zabi... to znaczy...
– Zabicia czarownicy – podpowiedź była bezlitosna.
– Właśnie. Pewni ludzie... przyjaciele... polecili mi pana. Podobno cieszy się pan dużą sławą.
– To prawda – przytaknął nonszalancko Anders – Jako zabójca – owszem.
– Jako zabójca czarownic – zaznaczył niepewnie Blend.
– Tak.
Anders uśmiechając się ironicznie celowo prowokował swojego rozmówcę. Mimo wszystko, w odczycie telepatycznym jego uczuć była pewna drobna niejasność – jakaś zagadkowa obawa. Ale chyba nic poważnego z tego nie wynikało.
Usiedli na kanapie.
– Zanim w ogóle zaczniemy rozmowę o szczegółach – podjął Anders – muszę zapytać o pewien drobiazg. Jak wygląda wypłacalność pana i pańskich przyjaciół?
W tym momencie odebrał gwałtowne zachwianie stanu emocjonalnego Blenda. To było to – zabójca czarownic uśmiechnął się z niesmakiem - to była ta obawa. Trywialna sprawa, nie są bogaci. Anders wolał pracować dla ludzi bogatych.
Blend zwlekał z udzieleniem odpowiedzi.
– Konkretnie – ponaglił Anders. – Ile możecie zaoferować?
– Gdy opuszczałem Chiroptera – rzekł Blend – dostałem do dyspozycji kwotę czterystu pięćdziesięciu tysięcy lentów. Z tego sto trzydzieści pochłonęła podróż. Drugie tyle trzeba przewidzieć na powrót. Po odjęciu zostaje sto dziewięćdziesiąt tysięcy lentów. Jestem upoważniony do przelania tej sumy na pańskie konto – uniósł dumnie głowę.
Anders roześmiał się.
– Za ostatnią robotę dostałem półtora miliona – powiedział.
Zapadła cisza. Blend poruszył się niespokojnie. Przymknął powieki i zamyślił się. Widać było, że jest bardzo zmęczony.
– To prawie wszystko co posiadamy – powiedział wreszcie. – Osadnicy na mnie czekają. Wierzą, że przyprowadzę kogoś, kto potrafi pomóc. Pan m u s i ze mną lecieć.
– Ja nie muszę robić niczego... prawie niczego.
Pomarszczona twarz Blenda upodobniła się kolorem do czystej kartki papieru. Zaciśnięte wargi odznaczały się czerwienią niczym pomalowane szminką. Powstał bez słowa i skierował się ku drzwiom.
– Chwileczkę – powstrzymał go Anders. – Nie powiedziałem: nie!
Blend powrócił na swoje miejsce.
– Wiedziałem, że nie jest pan bez serca – powiedział szeptem.
– Nic pan nie rozumie – rzekł Anders. – Nawet nie wie pan, że ta czarownica uprzedza pańskie posunięcia.
Na twarzy Blenda pojawiło się zdumienie. Dziwne, ale Anders nie zauważył uczucia strachu. Blend nie bał się czarownicy.
– Pojawiła się przed panem. I to dwukrotnie. Zagroziła nawet, że mnie zabije. Nie rozumiem jak to się stało, że pana zostawiła w spokoju.
Ostatnie zdanie było trafieniem w dziesiątkę. Blend przygryzł wargę i zwieszając głowę powiedział:
– Nie lubię o tym mówić. Nie znałem swojej matki, ale wiem, że była złą kobietą. Jestem synem czarownicy i to zapewnia mi nietykalność.
– Wydawało mi się, że wiem o czarownicach wszystko – oświadczył Anders. – Ale przyznaję, że nigdy nawet nie słyszałem o czymś takim.
– Przypuszczam – dodał Blend – że nikt inny nie dotarłby do pana. Czarownica z Chiroptera jest przerażająco inteligentna i sprytna. Mimo młodego wieku posiada zadziwiające umiejętności.
– Zauważyłem to. O ile podczas pierwszej wizyty popełniła mnóstwo gaf i pomyślałem nawet, że jest głupia, to za drugim razem nieomal dałbym się nabrać. Błyskawicznie się uczy. Czy wie pan, w jaki sposób usiłowała mnie podejść? Pojawiła się w pańskiej postaci.
Blend zamarł na chwilę w bezruchu. Westchnął głośno; jego oddech drżał.
– Można się było tego spodziewać. Widziałem już kiedyś, jak zmieniała się w starą kobietę.
– To niezupełnie tak wygląda. Nawet czarownice nie potrafią czynić transformacji – wyjaśnił Anders. – Zjawisko polega na pewnego rodzaju hipnozie: czarownica sugeruje swój wygląd wybranemu człowiekowi. Ja widziałem ją jako pana, lecz w rzeczywistości wciąż była sobą, młodą kobietą. Zresztą, sztuczkę tę łatwo zdemaskować, gdyż hipnoza polega na koncentracji. Udało

mi się rozproszyć czarownice, stąd znam jej prawdziwy wygląd.
Ostatnie zdanie Anders wypowiedział powoli, można było odnieść wrażenie, że zapomniał o obecności Blenda i przekazuje je samemu sobie. Przed oczami stanęły mu delikatne rysy twarzy czarownicy. Widział jej postać, rozwiane włosy, gdy mówiła mu: „Nigdy nie staraj się mnie spotkać". I jak zbiegała po schodach – spłoszona, lecz nie pokonana.
– Panie Anders! Panie Anders... – dotarł do niego głos Blenda. – Źle się pan czuje?
Otrząsnął się. Co się z nim dzieje? To ona. Musi ją pokonać!
– Nic mi nie jest – powiedział przytomnie. – Zamyśliłem się.
– Dlaczego czarownica pojawiła się właśnie w mojej postaci? – zapytał Blend.
– Teraz dopiero rozumiem, jakie to było mądre posunięcie – odrzekł Anders. – Przede wszystkim chciała mnie zniechęcić do pana, może trochę przestraszyć. Można było oczekiwać, że po tych jej wizytach w ogóle nie będę chciał z panem rozmawiać. Choćby dlatego, że uznam pana za kolejne jej wcielenie. Stało się inaczej. Nie doceniła mnie, tak zresztą, jak ja nie doceniłem jej.
Abejder Blend spojrzał na zegarek. – Jest już późno, mam zamówiony start swojego statku na jutro, na godzinę jedenastą. Wolałbym, żebyśmy byli punktualni. Opłaty za parkowanie są bardzo duże. Oczywiście, o ile pan decyduje się lecieć ze mną?
– Tak – odparł Anders. – Zainteresowała mnie ta historia. I ta kobieta. – Naraz zorientował się, że po raz pierwszy w życiu przyjął zlecenie, nie znając właściwie szczegółów. A w dodatku na tak niską cenę zgodził się ostatnio przed wielu laty, gdy był jeszcze młody i niedoświadczony.
Wciąż zastanawiał się, czy to możliwe, by czarownica rzuciła urok na człowieka stojącego na magicznym znaku. Wolał nie wspominać Blendowi o tym incydencie, nie chciał wspominać o nim nawet samemu sobie.
– Skoro doszliśmy do porozumienia – podjął Anders rozpierając się na kanapie – proponuję, żeby opowiedział pan o waszych kłopotach. Zaraz, zanim się rozstaniemy. Trzeba dążyć do jasnych sytuacji.
– Oczywiście – przytaknął Blend. – Planeta Chiropter nie jest rajem, ale cokolwiek by mówić, jest dobrym miejscem na rozpoczęcie nowego życia dla takich ludzi jak ja i moi towarzysze – nie mających nic prócz bezzwrotnego dofinansowania od rządu popierającego akcje kolonizacyjne. Jest nas dwustu trzydziestu czterech. Na Chiropterze osiedliliśmy się jakieś dwa lata temu. Znajdowała się tam stacja naukowo-badawcza, ale była nią tylko z nazwy, gdyż nie posiadała obsługi. Jednym z warunków rządu oddającego nam Chiroptera było prowadzenie w niej badań zgodnych z jej przeznaczeniem. Nic specjalnie trudnego – zwyczajne statystyczne spostrzeżenia dotyczące klimatu, flory, fauny itp. Przyznam, że bardzo nas dziwiła ta pusta baza, wybudowana z rozmachem i mająca wszelkie wygody, lecz nie użytkowana. Nie wnikaliśmy jednak w szczegóły, ponieważ warunki i tak były bardzo dogodne.
Wokół bazy zbudowaliśmy osiedle. Urządziliśmy się całkiem nieźle, podniecała nas przygoda i świadomość, że jesteśmy pionierami, a przyszłe pokolenia potraktują nas może jak bohaterów. To jest naprawdę wspaniałe uczucie, gdy robi się coś, co tworzy podwaliny przyszłości i przetrwać może przez tysiąclecia.
Czekała nas jednak wielka niespodzianka. Okazało się, że na Chiropterze żyła samotnie kobieta. To było niesamowite – sama jedna na olbrzymiej planecie. Nic o niej nie wiedzieliśmy i niczego nie mogliśmy się dowiedzieć, gdyż unikała kontaktu z kimkolwiek z nas. Brzmi to jak baśń.
Pewnego dnia, zupełnie nieoczekiwanie coś zaczęło się psuć w naszej wspaniale zapowiadającej się przygodzie. Najpierw masowo zaczęły wymierać nam zwierzęta domowe. Był to straszny cios, szybkie odnowienie inwentarza okazało się praktycznie niemożliwe wobec oddalenia od planet cywilizowanych. Miejscowa fauna nie dawała się oswoić. Nie dopracowaliśmy się jeszcze mutacji roślinnych, gwarantujących obfite plony, zresztą wkrótce nawet nasze nędzne poletka nawiedziła jakaś nieznana zaraza. Wszystko to bez żadnej logicznej przyczyny. Obawialiśmy się głodu. Gdy zaczęły chorować dzieci, niektórzy spośród nas poczęli myśleć o powrocie. Straszne było to, że nie wiedzieliśmy dlaczego tak nagle odmienił się nasz los.
Alarmowaliśmy o pomoc, rząd jednak jak gdyby o nas zapomniał. Wreszcie przyleciał pewien człowiek, jak się okazało wysłano go tylko dlatego, że zaniedbaliśmy badań. Od niego dowiedzieliśmy się prawdy: kobieta, która żyła tu samotnie była czarownicą i właśnie jej zaklęcia okazały się przyczyną klęsk. Na Chiropterze pojawiła się jeszcze przed naszym przybyciem, gdy bazę naukowo-badawczą obsługiwała kilkudziesięcioosobowa specjalistyczna ekipa. Ludzie ci szybko ugięli się przed mocą czarownicy i wkrótce nikt już nie chciał pracować na Chiropterze, szczególnie po tym, gdy zdarzyły się dwa śmiertelne wypadki. Trudno powiedzieć, czy zawiniła tu czarownica, w każdym razie zapisano te wypadki na jej konto. Paradoksalne, iż czarownicy właśnie zawdzięczamy, że rząd zrezygnował z tej planety i przekazał ją w nasze ręce.
Cóż dalej? Nie chcemy opuszczać Chiroptera, tu jest nasze życie, nasza nadzieja. Wszystko, co posiadamy i co cenimy, znajduje się na tej planecie. Nie możemy teraz poddać się i po prostu odejść, jak zrobili to naukowcy, ale walka z czarownicą wydaje się ponad nasze siły. Ta kobieta udowodniła nam swoją przewagę w dniu, gdy zawładnęła umysłem i duszą dziewięcioletniej dziewczynki. Straszne... nie rozumiem, jak coś takiego w ogóle jest możliwe... to dziecko wyrzekło się swoich rodziców i całej naszej społeczności. Mieszka razem z czarownicą i nie ma sposobu, by sprowadzić je z powrotem. Matka dziewczynki popełniła samobójstwo. Był to pierwszy śmiertelny wypadek w naszym osiedlu, na razie jedyny.
To potworne wydarzenie bardzo nami wstrząsnęło i przyśpieszyło podjęcie decyzji; tylko śmierć czarownicy może nas uwolnić. Ale sami nie jesteśmy w stanie z nią walczyć, do tego potrzebny jest ktoś o wyjątkowych zdolnościach, zawodowiec potrafiący dokonać rzeczy niemożliwej. Nie mówię tego, aby panu schlebiać. Taka jest prawda. Jeżeli pan przegra, przegrają wszyscy koloniści.
Anders słuchał opowieści Blenda schowawszy twarz za podpierającą czoło dłonią. Oczy miał zamknięte. Równocześnie słuchał i analizował fakty. Walki z czarownicami nigdy nie rozgrywały się w myśl szablonów, ale ten przypadek zdawał się wypadać z jakichkolwiek ram. Każda czarownica szkodzi ludziom, lecz nigdy nie do tego stopnia, aby groziła jej samotność. Działanie przeciw człowiekowi jest podstawą jej egzystencji, jakiż zatem sens miałoby dążenie do wypędzenia wszystkich ludzi? Czy nie byłby to swoisty rodzaj masochizmu? A w przypadku czarownicy z Chiroptera wydarzenia zdawały się zmierzać właśnie ku takiej absurdalnej sytuacji. Mieszkała samotnie przed przybyciem kolonistów i chce być sama nadal. Dlaczego? Czyżby nie była czarownicą? Bzdura! Widział ją, bała się magicznego znaku. Więc co?! Cóż znaczy czarownica bez ludzi?
– Fascynująca historia – powiedział i naraz zrobiło mu się przykro, że określił takim banalnym słowem tragedię Blenda i jego towarzyszy. – Czy próbowaliście sami zabić czarownicę?
– Tak – odrzekł Blend. – Zaraz po tym, gdy zabrała nam tę dziewczynkę. Ktoś z nas przypomniał sobie o legendzie palenia czarownic żywcem na stosie. Byliśmy tak wzburzeni, że nie wahaliśmy się ani chwili.
– To bardzo dobry sposób – myślę o paleniu na stosie – zauważył Anders. – Ale niestety praktycznie niewykonalny dla kogoś, kto nie wie, jak się do tego zabrać. Czarownica potrafi wymknąć się nawet dużej gromadzie ludzi.
– Tak też się stało. Nie zdołaliśmy nawet odzyskać dziewczynki.
Anders wstał z kanapy. – Na razie wystarczą mi te informacje – powiedział. – Muszę wszystko dokładnie przemyśleć. Na jakim kosmodromie znajduje się pańska rakieta?
– W Toczont.
– A więc spotkamy się jutro o ósmej.
– Bardzo panu dziękuję – Blend uścisnął rękę Andersa. Jego zmęczona twarz wypogodziła się.
– Taki jest mój zawód – odparł sztywno Anders. Nie lubił żenujących sytuacji.
– Panie Blend! – krzyknął za wychodzącym.
– Tak? – Blend odwrócił się.
– Wcześniej wspominał pan coś o moim sercu. Wyjaśnijmy to do końca. Ja j e s t e m bez serca. Inaczej nie byłbym zabójcą.

W Toczont znajdowało się lotnisko samolotowe, natomiast sam kosmodrom mieścił się czterdzieści kilometrów od miejscowości. Ten odcinek drogi musieli przebyć wynajętym samochodem. Była piękna pogoda, a wysokie ciśnienie atmosferyczne powodowało dobre samopoczucie. Napawające optymizmem.
Za kierownicą siedział Abejder Blend. Rozparty na drugim siedzeniu Anders beztrosko przyglądał się okolicy. Nie jechali szybko, mieli prawie dwie godziny.
– Wczoraj powiedział pan, że jest synem czarownicy – zagadnął Anders. – Bardzo mnie to zaciekawiło.
– Przyniosło mi to więcej kłopotów niż korzyści – odparł Blend obserwując uważnie szosę. – Szczególnie gdy byłem chłopcem.
– Ale żadna czarownica nie uczyni panu nic złego. Tak, zdaje się, pan to określił.
Blend westchnął i uśmiechnął się smutno.
– To pomyłka – powiedział. – Źle mnie pan zrozumiał. Nie chroni mnie żadna nadprzyrodzona siła, prawda nie jest aż tak tajemni-

cza. Po prostu jako potomek czarownicy noszę w genach określony kod informacyjny. Moja córka może go odziedziczyć, ale ja nigdy nie dopuszczę do tego. Dlatego nie mam i nie będę miał dzieci. Czarownice jakimś niepojętym sposobem rozszyfrowują moje pochodzenie i pozostawiają w spokoju, bez względu na to, co robię. Zresztą, w swoim życiu spotkałem się z nimi tylko trzy czy cztery razy.

Anders słuchał bardzo uważnie. Każda nowa informacja o zwyczajach czarownic mogła się przydać w jego zawodzie.

– Jak to się stało, że mimo wszystko jest pan wrogiem czarownic? – zapytał.

Blend zerknął przez ramię, po czym wyjął ściereczkę i przetarł przednią szybę, chociaż wydawała się czysta.

– Wychowywał mnie ojciec – odparł. – Bardzo kochał matkę. Dopiero, gdy była w ciąży dowiedział się kim jest naprawdę. Nigdy za wiele o tym nie mówił, ale wiem, że dla niego były to ciężkie chwile. Należał do ludzi prostolinijnych, a pokochał kobietę stworzoną do czynienia zła... Matka zmarła przy porodzie. Przykro tak mówić, ale było to dla mnie szczęśliwe...

Anders nie przerywał chaotycznej opowieści Blenda. Najbardziej uderzył go jeden szczegół: zdarzyło się już, że zwykły śmiertelnik pokochał czarownicę i zdobył jej wzajemność. W tym świetle wczorajsze wydarzenia nabrały odmiennego znaczenia. Znowu ożyła w jego wyobraźni kobieca postać. I chyba to powoduje, że jedzie teraz z Blendem. Nie pieniądze, nie serce.

– Ojciec nigdy już nie był szczęśliwy – kontynuował Blend. – Nie mógł zapomnieć o matce. Nie wierzył, że jego miłość mogła być wymuszona czarem, że wszystko można zniszczyć innym zaklęciem. Był przekonany, że darzył ją prawdziwym uczuciem i to jeszcze bardziej go przygnębiało.

Słowa Blenda docierały do Andersa jak odpowiedzi na pytania, które pojawiały się w jego mózgu. Odpowiedzi niejasne, budzące nowe wątpliwości, ale jednak odpowiedzi. Był jak dziecko, dla którego każda odpowiedź rodzi nowe pytanie.

– Gdy miałem dwanaście lat ojciec umarł – mówił Blend. – Od tej pory żyję na własny rachunek. Różnie mi się układało, na ogół niezbyt szczęśliwie, dopiero na Chiropterze odnalazłem samego siebie. W sumie krótko przebywałem na tej planecie, ale łączy mnie z nią trudna do określenia więź... tam jest moja ojczyzna, moi przyjaciele... Trzeba to ratować bez względu na cenę.

Nagle Anders wyczuł w powietrzu jakieś groźne fluidy. Jego zmysł telepatyczny ledwo zdążył zarejestrować niebezpieczeństwo – a już było za późno. Samochód pędzący z prędkością osiemdziesięciu kilometrów na godzinę błyskawicznie zbliżał się do centrum sygnałów agresji.

Z pobliskich zarośli wyprysnęły widoczne nawet przy dziennym świetle ogniste smugi. Huk wystrzałów połączył się z piskiem opon i trzaskiem łamanej karoserii. Samochód przekoziołkował, wtoczył się do rowu i zatrzymał na ścianie krzaków. Brzdęknął jeszcze opadający kawałek blachy, po czym zapadła cisza; tak zupełna, jakby umarł cały świat.

Anders otworzył oczy. Nad nim wisiał kawałek błękitu – to niebo zaglądało przez rozbitą szybę.

Stwierdził, że leży na tylnym siedzeniu, przysypany trudnymi do zidentyfikowania odłamkami. Poruszył się i wtedy całe jego ciało przeszył potworny ból. Przełamał go. Z wysiłkiem podgiął nogi; uniósł ręce. Był cały, potłuczony, ale cały. Ponownie zamknął oczy i skupił się na odczycie sygnałów zewnętrznych. Docierało do niego wiele przemieszanych stanów emocjonalnych, wskazujących, iż w pobliżu znajduje się kilku ludzi, ale spośród nich wybijał się jeden. Krzyczał bólem i męką. Beznadziejnością.

Pomocy!

To musiał być Abejder Blend.

Anders podniósł się, pokonując niemoc własnego ciała. Spostrzegł, że przednie siedzenie zmieniło swoją pozycję – oparcie leżało niemal poziomo, a nad nim wisiał wepchnięty do środka przód samochodu. W utworzonej w ten sposób szczelinie tkwiło ciało mężczyzny, chociaż wydawało się niemożliwe, by mogło zmieścić się tam choćby dziecko. Odbierany przez Andersa sygnał wskazywał, że Blend żyje.

Nagle przy samochodzie pojawiło się kilku mężczyzn. Jeden z nich po krótkiej szarpaninie zdołał otworzyć pogięte samochodowe drzwi. Zajrzał do środka, trzymając w wyciągniętej ręce rewolwer. Jego oczy spotkały się z oczami Andersa; zmarszczył brwi i naraz twarz wykrzywił mu wyraz przestrachu i niedowierzania. Gwałtownie cofnął się.

– Czy pan... nazywa się... Anders? – zapytał wykrzykując niemal nazwisko.

Opierając się na odczycie telepatycznym, Anders zdecydował nie ukrywać swojej tożsamości. Przytaknął.

Nieznajomy wyskoczył z rozbitego samochodu.

– Chłopaki! – krzyknął rozpaczliwym głosem do towarzyszy. – Co myśmy narobili?! To Anders!

Upłynęła dłuższa chwila, nim któryś z mężczyzn zapytał:

– Zabójca czarownic?

– Widziałem go kiedyś na wiecu w Bonon. To z pewnością on! O rany! Co myśmy najlepszego zrobili?!

– Dość – krzyknął Anders. – Lepiej wyciągnijcie mnie z tego wraka.

Mężczyźni pomogli Andersowi wydostać się z samochodu.

– Nie chcieliśmy tego – powiedział ten, który go rozpoznał. – Nie mieliśmy pojęcia, że to pan.

– Jak się nazywasz?

– Ramos.

– Porozmawiamy o tym później, Ramos – rzekł Anders. Dzięki swemu telepatycznemu darowi wiedział, że usłyszał prawdę; kłamstwo wywołuje zaburzenia odczytu, które tu nie wystąpiły. – Najpierw pomóżcie mojemu towarzyszowi. Źle z nim, ale żyje.

Położyli Blenda na murawie. Bardzo krwawił. Anders rozpiął mu podartą koszulę i stwierdził złamanie kilku żeber. Wyglądało to paskudnie.

Naraz Blend otworzył oczy. Jego spojrzenie było zupełnie przytomne. Wpatrywał się w pochylonego nad nim Andersa z taką natarczywością, jakby chciał przekazać mu coś niezwykle ważnego. Poruszył wargami, lecz nie zdołał wykrztusić słowa. Anders nie umiał rozszyfrować tego sygnału. Odbierał wielką pustkę z jednym tylko zaburzeniem, niezłomną wolą czegoś, prośbą i rozkazem równocześnie. Błaganie połączone z nienawiścią.

„Czego chcesz?"

Nagle w powietrzu zawisł przeciągły grzmot; odległy i przytłumiony, lecz zdający się nie mieć końca. To z kosmodromu startowała rakieta. Z kosmodromu, do którego zdążali, ale który nagle stał się nieosiągalny.

Usłyszał go również Abejder Blend. I wtedy jakaś niewytłumaczalna siła wtargnęła w jego ciało; graniczący z cudem zastrzyk energii. Usta przestały mu drgać, a oczy rozwarły się szeroko.

– Nie zapominaj – powiedział chrapliwym głosem. – Tylko ty... Musisz im pomóc!

Jego wola była tak potężna, że napięty do granic wytrzymałości zmysł telepatyczny Andersa nie wytrzymał naporu. Człowiek, który swoimi czynami zasłużył na miano zabójcy czarownic upadł zemdlony. Pokonał go cios odwagi i – tak jest! – miłości!

Gdy Anders ocknął się, po Abejderze Blendzie zostało już tylko ciało. Jego dusza zdążała do krainy śmierci. Anders zrozumiał, jaki bliski stał się mu ten nieznany prawie człowiek. Łączył ich wspólny los; obaj przez całe swoje życie związani byli z czarownicami – każdy w inny sposób, ale obaj dla tego samego celu. Walka z nienawiścią i złem.

„Musisz im pomóc!"

Musisz pomóc samemu sobie.

– Proszę nam wybaczyć – odezwał się Ramos. Jego trzej towarzysze przez cały czas milczeli. – Skąd mogliśmy wiedzieć, że to pan jedzie tym samochodem? Całe szczęście, że wyszedł pan z tego cało.

– Ten człowiek był ważniejszy niż ja – odparł Anders. – A wy kim właściwie jesteście?

– Wynajął nas pewien mężczyzna. Dobrze zapłacił i polecił ostrzelać pański samochód.

– To jest wóz z wypożyczalni.

– Czekaliśmy na wiadomość w budce telefonicznej na rogatkach Toczont. Ten mężczyzna zadzwonił i podał numer rejestracyjny samochodu, powiedział, że w środku będzie siedziało dwóch ludzi, którzy muszą umrzeć... – Ramos dopiero teraz spostrzegł, że wciąż trzyma w ręku rewolwer. – Wetknął go za pasek spodni.

– Jak nazywa się ten mężczyzna?

– Ja... nie wiem. To Bystry z nim rozmawiał. Bystry! Kto to był ten facet?

Mężczyzna nazwany Bystrym wzruszył ramionami.

– Widziałem go po raz pierwszy w życiu, nawet nie wiem, kto go do mnie skierował... Miał dużo forsy i jeździł kapitalnym samochodem z szoferem. Takim gogusiem w czapce i z czerwonymi lampasami na spodniach. Ale ten wóz nie należał chyba do niego, bo do szofera mówił „pan".

– Marka tego samochodu, numer rejestracyjny – rzucił Anders.

– Nie wiem. – Bystry pokręcił głową. Numeru nie pamiętam, nie przyglądałem się. A co do marki... nigdy nie widziałem takiego wozu, może robiony na zamówienie?

– Dobra – Anders niewiele się dowiedział, ale i te wiadomości mogły mu się przydać. – Która jest godzina? – zapytał.

– Dwadzieścia po dziesiątej.

– Pomożecie mi? Najpóźniej za piętnaście minut muszę być na kosmodromie.

– Jasne! – wyraził gotowość Ramos. Jego towarzysze przytaknęli.

– Za tymi krzakami stoi nasz samochód.

– A co z nim? – Anders wskazał na ciało Blenda.



M. Kozłowski „Laleczka" – olej – fragmenty

Ramos zawahał się. Potrząsnął głową. - Nie zmieści się, musi tu zostać. Zaraz powinien przejeżdżać jakiś samochód. Zresztą, możemy zadzwonić po pogotowie z kosmodromu.

- To nie wchodzi w rachubę - zdecydował Anders. - On musi jechać ze mną. Mam zamiar zabrać go do jego ojczyzny.

I ani przez chwilę nawet przez myśl mu nie przeszło, że nie m u s i robić niczego.

Chiropter to dzika planeta.

Obszary, na których cywilizacja nie odcisnęła jeszcze swojego piętna, człowiek zwykł nazywać dzikimi, obojętnie czy są one piękne czy smutne i nieprzyjazne. Jedna baza naukowa i skupiona wokół niej mała kolonia nie uczyniły jeszcze Chiroptera prowincją Ziemi, ale stały się zaczątkiem nowego. Przygody, którą warto przeżyć, władzy, o którą warto walczyć. Wszystko po to, aby móc powiedzieć: „To moje, tu żyję i tu umrę".

Trzeba ogromnego hartu ducha i zapału, aby budować nowy świat. Ludzie, którzy nie znaleźli szczęścia w swoich rodzinnych stronach, szukają go na obcej ziemi. I często nieważne jest nawet czy je znajdują; poszukiwanie też bywa szczęściem.

Chiropterski kosmodrom mieścił się zaledwie o kilkanaście kilometrów od stacji naukowo-badawczej. Był zaniedbany i chociaż sama płyta startowa pozostawała w dobrym stanie, to baraki na obrzeżach wymagały gruntownego remontu. Tym bardziej że okoliczny las zaczął odzyskiwać stracony teren.

Nik Anders wylądował bez kłopotów. Odczekał, aż spadnie temperatura osłon ablacyjnych statku i zmaleje promieniowanie płyty kosmodromu, po czym zebrał się do wyjścia. W luku wyjazdowym znajdował się terenowy samochód, z którego zamierzał skorzystać. Wyniósł z chłodni foliowy worek z ciałem Abejdera Blenda i umieścił go na tylnym siedzeniu. Mimo rękawic, ręce skostniały mu z zimna - temperatura w chłodni wynosiła minus trzydzieści stopni Celsjusza.

Otworzył luk i uruchomił mechanizm trapu; gdy opadł, zjechał po nim na płytę lądowiska. Na kosmodromie nie było nikogo, mimo że przed lądowaniem Anders rozmawiał z kolonistami przez radio.

Podjechał do skraju kosmodromu, przystanął i rozejrzał się. Nie miał mapy, a trzeba było odnaleźć drogę. Kierunek znał, bo zanim wylądował, obserwował okolicę przez ekran iluminatora. Ściana lasu wydawała się nie do przebycia, nie zauważył żadnej wycinki. Ruszył. Posuwając się wolno wzdłuż prowizorycznego ogrodzenia wciąż obserwował teren. Wreszcie dotarł do niskiej bramy; od niej prowadziła droga, która kilkadziesiąt metrów dalej skręcała w las. Zdecydował, że pojedzie w tym kierunku.
Gdy minął zakręt, jego oczom ukazał się zaskakujący widok: na drodze stało kilkunastu ludzi. Znajdowali się zbyt daleko, aby mógł odczytać ich uczucia, ale gotów był założyć się, że przeważa w nich agresja. Byli uzbrojeni. Za nimi stała wielka, nakryta plandeką ciężarówka, której światła - mimo dnia - pozostawały włączone.

Anders zatrzymał samochód i wyskoczył na drogę. Uniósł w górę obie ręce. Po chwili namysłu odpiął pasek spodni i wymownym gestem odrzucił go daleko od siebie. Nie miał broni, ale uznał, że taka demonstracja wzbudzi zaufanie. Jeszcze raz podniósł ręce, po czym bez pośpiechu wsiadł do samochodu. Rozparł się na tylnym siedzeniu, wyjął ze skrytki paczkę papierosów. Zapalił. Przymknął oczy i czekał. Minęła może minuta, gdy jego zmysł telepatyczny odebrał pierwszy odczyt; nie był zbyt przyjazny, ale nie nosił już w sobie morderczych zamiarów. Raczej obawę i podniecenie ciekawością.

Anders otworzył oczy dopiero, gdy odczyty zaczęły mieszać się ze sobą, co wskazywało na bliskość wielu ludzi. Obok samochodu zobaczył silnie zbudowanego mężczyznę w brązowej, skórzanej kurtce, który widząc, że został zauważony trochę się przestraszył. Ale nie zrobił ani kroku w tył. W prawej dłoni mężczyzny tkwił rewolwer.

- Witam - rzekł do niego Anders. - Przybyłem w przyjaznych zamiarach. - Zaciągnął się, otworzył drzwiczki i po raz drugi wysiadł z samochodu. Wyciągnął rękę na przywitanie.
Mężczyzna w skórze po chwili wahania przełożył rewolwer i uścisnął podaną dłoń, lecz jego twarz nie zmieniła wyrazu.

- Kim jesteś? - zapytał.
- Nazywam się Nik Anders. Zabójca czarownic.
Mężczyzna spojrzał znacząco na tłumok zajmujący tylne siedzenie samochodu. Tajający szron na plastykowym worku nie był w stanie ukryć jego zawartości.
- Przywiozłem ciało Abejdera Blenda - powiedział Anders.
Nieznajomy wzdrygnął się, a kilku stojących za nim towarzyszy uniosło w górę automatyczne karabinki. Przez chwilę stali tak wszyscy w bezruchu. Nagle jeden z mężczyzn przyskoczył do Andersa, odepchnął go brutalnie i pochylił się nad ciałem Blenda. Wyciągnął z kieszeni nóż i rozciął worek. Rozdarta folia odsłoniła zmarzniętą, martwą twarz.
- To Abejder! - mężczyzna krzyknął przeraźliwie. - Abejdeeer! Gdzieś w lesie echo powtórzyło imię, które, odbijając się między pniami drzew, w końcu wróciło na drogę. Tylko imię; nic nie wróci życia człowiekowi, który je nosił.

Anders do późnej nocy wertował książkę zapisów badań naukowych, prowadzonych na Chiropterze. Szczególnie interesował go okres poprzedzający pojawienie się czarownicy. Jeszcze nie był pewien, ale wydawało mu się, że wpadł na trop, który pozwoli mu rozpocząć równorzędną walkę z kobietą działającą na szkodę kolonistów. Na razie - osiągnął niewiele, chociaż na Chiropterze przebywał już ponad tydzień. Sprawa zaczynała się przeciągać, a on wciąż tkwił w zerowym punkcie. Wszystkie sztuczki i pułapki, jakie znał, a które prowokowały czarownice do konfrontacji, nie odnosiły tutaj skutku. Kilkakrotnie robił wypady, nawet w nocy, instruował osadników i szli wszyscy razem, obwarowani magicznymi znakami, próbował w pojedynkę - i nic. Zawsze przybywał za późno. Czarownica była w miejscach, które typował, lecz za każdym razem zdołała w porę wymknąć się. I to na tyle wcześnie, że nawet zmysł telepatyczny Andersa nie zdołał podać kierunku jej ucieczki. Rozumiała, że spotkanie z zabójcą może być dla niej kresem życia.

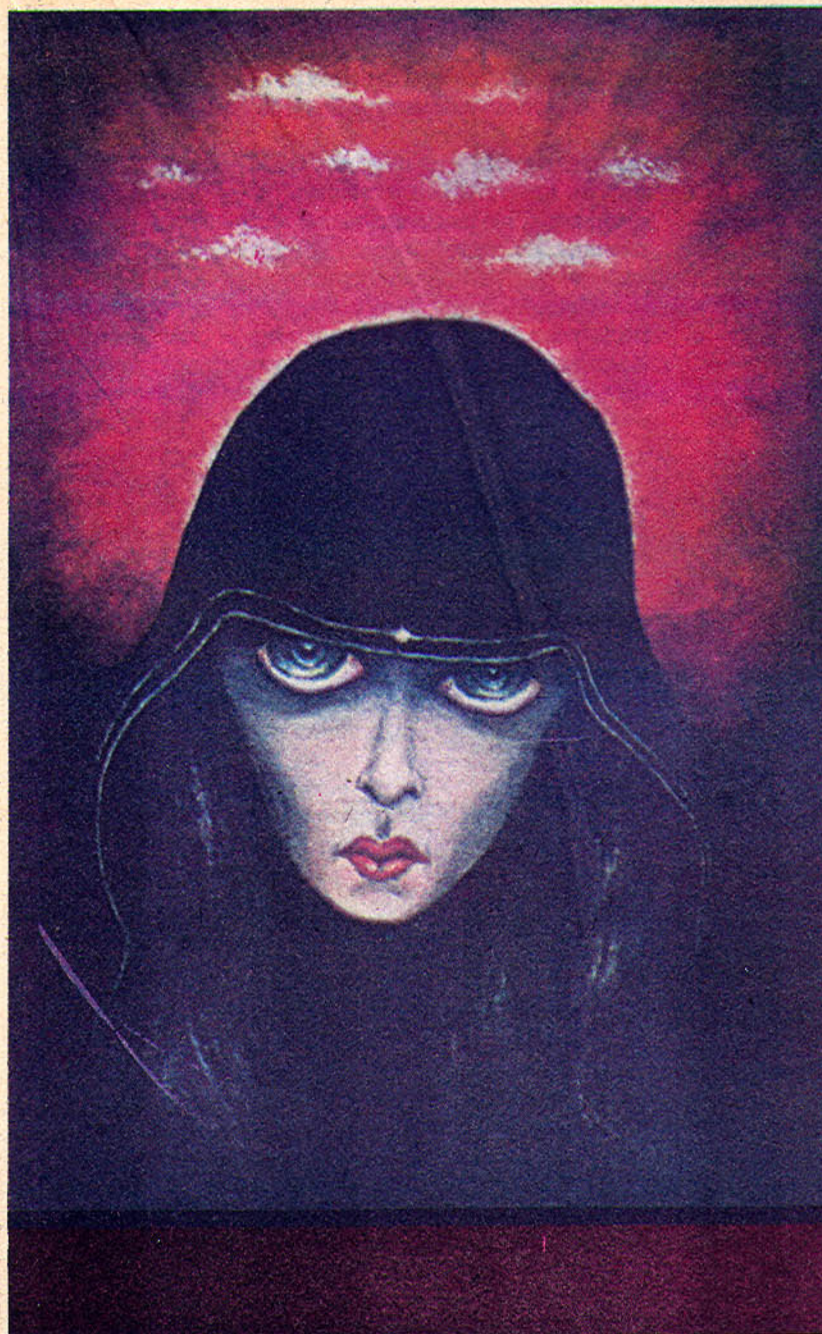
Ale powinna również zrozumieć, że w końcu musi dojść do spotkania. I do walki. Dlaczego zwlekała tak długo? Ma przecież przewagę Mocy. Mocy Zła. Tymczasem on atakował, a ona stosowała uniki. Wciąż uniki. Jak długo jeszcze? Anders czuł, że powodem takiego zachowania jest ta sama p r z y c z y n a, dla której chciała opanować planetę. Ale była to przyczyna nieznana.

- Cholerny świat! - zaklął. „Nieznana przyczyna".
Jak to możliwe, aby czarownica postępowała wbrew własnym zwyczajom? Przecież musi mieć w tym jakiś cel. Anders wielokrotnie analizował jej postępowanie, ale wciąż układał te same pytania. Dlaczego osiedliła się na Chiropterze? Planeta jest praktycznie bezludna - nawet teraz, gdy przebywają na niej koloniści. A wcześniej było tu zaledwie kilkudziesięciu naukowców. Czarownice zawsze trzymają się ludzkich skupisk, gdzie mogą działać zgodnie ze swym charakterem i przeznaczeniem. Chiropter wydawał się ostatnim miejscem, jakie można wybrać, gdy jest się czarownicą.

A najważniejsze: Dlaczego tak brutalnie dąży do zupełnego wyniszczenia kolonistów? Anders przekonał się, że jest rzeczywiście tak, jak mówił Abejder Blend. Koloniści żyli w skrajnej nędzy. Czarownica wyraźnie chciała, aby opuścili tę planetę. Dlaczego? Przecież bez nich jest niczym - jak światło w próżni. Istnieje, lecz nic z tego nie wynika. Tylko człowiek może o drugim powiedzieć: jesteś złem. Samotnie nie jest się ani złym, ani dobrym.
Gdy jesteś sam, to jakby ciebie nie było.

Nagle Anders wzdrygnął się. Wcześniej określił przybliżony termin pojawienia się czarownicy na Chiropterze - było to na rok przed przybyciem kolonistów - i oto teraz stwierdził, iż niecały miesiąc przed tym dokonano dość ważnego odkrycia geologicznego, o którym nikt z kolonistów dziwnie nie wspominał. Czyżby nie wiedzieli? Na to wyglądało, zresztą zapis był lakoniczny, świadczący, że jego twórca nie przywiązywał do niego większej uwagi.

Ale było napisane - czarno na białym - „URAN".
Mógł istnieć ktoś, dla kogo miało to olbrzymią wagę.
Nazajutrz Anders wstał wcześnie. Spał krótko, lecz nowo dostrzeżone fakty popychały go do działania. Najpierw zawiadomił


K. Białek

– Ilu ich jest? – zapytał.
– Dwudziestu trzech. Dziewięć rodzin. Gdyby nie czarownica, zostaliby.
Anders zacisnął pięści. Był bezradny. Działał zbyt wolno.
– Zatrzymaj ich. Daj mi jeszcze kilka dni.
– To na nic – odparł Claud. – Nie mogę dopuścić do konfliktów. To by nas dobiło.

W milczeniu podeszli do śmigłowca. Anders ułożył na bocznym siedzeniu walizeczkę z licznikiem Geigera i sprawdził zawartość pojemnika z prowiantem. Byli gotowi do drogi.
Claud siadł za sterami. Włączył silniki.

– Nie pożegnasz się z nimi? – zapytał Anders spoglądając na ludzi pracujących przy ciężarówce.

– Wczoraj powiedzieliśmy sobie wszystko. Nawet słowa pożegnania – głos Clauda brzmiał ochryple. Usiłował zamaskować wzruszenie. Nie wiedział, że dzięki swemu telepatycznemu darowi, Anders czytał w jego uczuciach, jak w otwartej książce. Uczucia to nie myśli, ale ich znajomość wystarcza, aby poznać człowieka. A przy osiągnięciu wprawy – nawet przewidzieć jego zamiary. Tylko dlatego Anders mógł być zabójcą czarownic. Swój dar przeciwstawiał Mocy Zła i jak dotąd – wygrywał. Ale za każdym razem stawiał na szalę swoje życie, bo dla czarownic „miłość" to słowo abstrakcyjne.

Nikt na świecie nie wiedział o telepatycznym zmyśle Andersa, nikt... A teraz istnieje ktoś, kto prawdopodobnie orientuje się w jego możliwościach – czarownica z Chiroptera! Pamiętał pierwszą z nią rozmowę. Uczyła się szybko, bo sama również posiadała podobny dar. Skoro on ją rozszyfrował, to logika wskazywała, że ona jego również.

„A może jest lepsza?" – Andersa przeszły dreszcze. Nie wiedział czy jest to strach, czy podniecenie. – „Może czyta nie tylko uczucia, ale i... myśli?!"

Obawiał się, że niewiele jest na świecie rzeczy, które byłyby do końca niemożliwe.

Lecieli na południe. Anders co pewien czas sprawdzał z mapą kierunek. Czerwonym flamastrem zaznaczył punkt, do którego zdążali – miejsce dawnych badań geologicznych.

Clauda, aby przygotował do lotu śmigłowiec. Claud był tym mężczyzną w brązowej skórze, z którym rozmawiał zaraz po wylądowaniu. Wiele mu zawdzięczał, bo koloniści, wzburzeni śmiercią Abejdera Blenda, nie dowierzali słowom Andersa i wtedy, przy lądowisku, gotowi byli go zabić. Kto wie, jak by się to skończyło, gdyby nie rozsądek Clauda, który rozkazał przeszukać rakietę i gdy nie znaleziono niczego podejrzanego, przywołał swoich towarzyszy do porządku. Na szczęście znalazł posłuch.
Ale Anders nie zdołał jeszcze zdobyć pełnego zaufania osadników. Wiele szkody przyniosło mu ponowne pojawienie się czarownicy tuż przed jego przylotem. Bo – jak należało się spodziewać – nikt nie widział jej od czasu odlotu Blenda; kolonistom zaczęło się po jej zniknięciu lepiej powodzić, aż tu nagle znowu! Trudno było wyjaśnić im, że przez cały czas nieobecności kontrolowała poczynania Blenda i z pewnością powróciłaby, niezależnie od postępowania Andersa.

– Możemy jechać – do pokoju wszedł Claud. Miał zatroskaną minę i Anders odczuł, że troska dominuje również w jego stanie uczuć.

– Co się stało?

– Nic. Możemy jechać – powtórzył Claud.
Wyszli z budynku. Na dziedzińcu stała ciężarówka, do której kilku ludzi ładowało bagaże. Pracowali mężczyźni, kobiety i dzieci. Anders zrozumiał, że jest to przeprowadzka. A mówiąc konkretniej: ucieczka z Chiroptera. Pierwsi, którzy nie wytrzymali trudów.

Z zainteresowaniem obserwował okolicę i musiał przyznać, że Chiropter jest piękną planetą. Zupełnie odmienną od Ziemi, lecz równie wspaniałą. Zasługującą na to, by ją kochać.
– Ilana! – krzyknął nagle Claud.
Anders spojrzał na niego ze zdumieniem. Nie rozumiał tego słowa. Claud wpatrywał się z napięciem w punkt na powierzchni ziemi. Dążąc za jego wzrokiem, Anders spostrzegł ludzką sylwetkę. Gdy przyjrzał się dokładniej, rozpoznał, że jest to dziewczynka.
– Ilana! – powtórzył Claud. – Kilka miesięcy temu porwała ją czarownica. To straszne!
– Wiem – przerwał Anders. – Mówił mi Blend.
Dziewczynka biegła. Machała ręką w ich kierunku, ale zbliżała się do lasu.
Helikopter zakołysał się.
– Co robisz?! – krzyknął Anders.
– Trzeba lądować. Ona nas woła!
– Stój! Nie wierzę temu. Nie znasz terenu.
– Ląduję.
– Claud! Opamiętaj się! Dobrze znam czarownice, to pułapka. – Anders chwycił pilota za ramię. Ten odtrącił jego rękę.
– Przecież nie mogę jej tam zostawić – powiedział.
– Poczekaj! Sprowadź śmigłowiec nad powierzchnię ziemi i wyrzuć drabinkę. Zejdę i wyszukam miejsce dogodne do lądowania.
Ilana zatrzymała się kilkanaście metrów przed ścianą lasu. Znowu pomachała ręką. Wyraźnie ich przywoływała.

Anders schodził po drabince. Wiatr wytwarzany przez śmigło miotał nim na wszystkie strony. Zeskoczył na grunt, który ugiął się pod jego ciężarem. Wpadł po kostki w mech. Zrobił dwa kroki do przodu i obejrzał się: w głębokich zagłębieniach, które pozostawiły jego stopy, zbierała się woda. Miał rację! Teren był grząski i z pewnością ustąpiłby pod ciężarem śmigłowca.
W ostatniej chwili, przeczącymi wymachami skrzyżowanych rąk, powstrzymał lądującego już Clauda. Puścił się biegiem w kierunku lasu, na skraju którego stała jeszcze Ilana. Niebezpiecznie było biec po tak grząskim gruncie, ale na szczęście skończył się on kilkadziesiąt metrów dalej. Anders wskazał Claudowi miejsce, gdzie bezpiecznie może osiąść, i nie czekając pobiegł dalej za dziewczynką niknącą właśnie za pniami drzew. Gdy wszedł do lasu, widział jeszcze przez chwilę czerwoną sukienkę Ilany, ale zaraz zniknęła mu z oczu. Przez moment biegł w zapamiętanym kierunku.
„Bez sensu jest ta pogoń" - pomyślał.
Nagle usłyszał okrzyk i przed nim zamajaczyła czerwień. Ilana! Skoczył za nią.
Jeszcze kilkakrotnie, na przemian, to gubił ją, to odnajdywał, nigdy jednak nie mógł zbliżyć się na tyle, aby ją pochwycić. Zdawał sobie sprawę, że jest to gra, dziewczynka celowo wciąga go głęboko w las, ale zdecydował się zaryzykować. Może wreszcie nadeszła możliwość konfrontacji z czarownicą. To nic, że ona dyktuje czas i miejsce spotkania. Nie może czekać na lepszą okazję, osadnicy już opuszczają kolonię, dalsze zwlekanie to groźba, że nie będzie dla kogo walczyć.
Wyjął z kieszeni kredę, zdjął kurtkę i wyrysował na plecach i kieszeniach magiczne znaki. Większość z nich sam wymyślił i wypróbował. Lata spędzone na walce z magią zła obfitowały doświadczeniem, które w połączeniu z jego szczególnymi zdolnościami dawały rezultaty niepojęte dla zwykłego człowieka. Sam Anders nie rozumiał czasami wszystkiego, co się z nim dzieje; bywały chwile, gdy tajemnicze siły wprowadzały go w stan powodujący utratę kontaktu z rzeczywistością. Przebywał wtedy jakby w innym świecie, czuł się potężny, niezłomny; był we władzy Mocy, która mogła czynić wszystko. Zdarzało się to bardzo rzadko, ale za każdym razem w osobowości Andersa zostawało coś nowego, co czyniło go bogatszym i silniejszym.
Ścisnął jeszcze zawieszony na szyi amulet i ruszył za wabiącą okrzykiem i czerwienią Ilaną. Jak byk za matadorem. Lecz świadomie.
Po blisko godzinie takiej włóczęgi, poczuł dym. Niespodziewanie las przerzedził się i Anders wyszedł na niewielką polanę. Na środku płonęło ognisko. Dołożono do niego dopiero przed chwilą, bo ogień buchał wysoko, a gałęzie pękały z trzaskiem. Oddzielona od Nika płomieniami stała kobieta. Rozgrzane powietrze dygotało i przesłaniało obraz, ale rozpoznał ją natychmiast. Czarownica.

W tym momencie coś uderzyło Andersa pod sercem. Cios pochodził od własnej duszy. Stał oczarowany, choć chronił go pancerz magicznych znaków. Ale każdy pancerz broni tylko przed wtargnięciem sił zewnętrznych; nic nie obroni człowieka przed samym sobą. Nic! Może jedynie własna silna wola.
Trzeba niezwykłej siły woli, by postąpić wbrew sobie.
Tymczasem stali naprzeciwko siebie: czarownica i człowiek będący zabójcą jej rasy. A między nimi żywy ogień – ściana nie do przebycia. Oboje podeszli tak blisko, że żar poczerwienił ich twarze. Czarownica – ogień – zabójca. Osobno Zło i osobno Moc zwalczająca je. A ogień jest tym, co dzieli. Czyli wszystkim.
Nagle Anders poczuł pożądanie. Tak silne, jak silnie może mężczyzna pożądać kochanej kobiety. KOCHANEJ! Nie bał się teraz tego słowa. Patrzył w jej oczy i rosło w nim pożądanie. Zmysł telepatyczny mówił mu, że to samo dzieje się po drugiej stronie ogniowej zasłony. Płonął nie jeden, lecz trzy ognie.

Krzysztof KOCHAŃSKI
(ur. 18.10.58 r.) ukończył WSI w Koszalinie uzyskując tytuł magistra inżyniera inżynierii środowiska. Fantastyką interesuje się od dawna jako czytelnik i autor. W numerze 7/1979 tygodnika „Na przełaj" opublikował swoje pierwsze opowiadanie SF „Nie oszukasz czasu". Pracuje w WPEC – Słupsk.

Strzał padł z boku! Wraz z hukiem Anders poczuł piekący ból w prawym przedramieniu. Zachwiał się i przyklęknął. Odwrócił twarz od ognia i zobaczył Ilanę. Trzymała w obu dłoniach rewolwer. Mierzyła w Andersa, gotując się do oddania drugiego strzału.
Wtedy Anders pojął perfidię całej sytuacji. On sam, dzięki magicznym znakom był dla czarownicy nietykalny. Choć pragnęła go zniszczyć, nie mogła uczynić nic, dopóki chroni go Moc. Ale ktoś inny, kto nie jest czarownicą, mógł działać jak każdy człowiek – zabijać kiedy zechce, jeśli nie boi się prawa.
Ilana podeszła bliżej. Anders zobaczył otwór lufy wycelowanej w swoją twarz. Odruchowo próbował odczytać uczucia dziewczynki i naraz zrozumiał, dlaczego czarownica ma na nią taki wpływ. Ilana była chora psychicznie. Cały jej umysł był chaosem opanowanym przez zaklęcia. Zamknął oczy, choć nie mógł uwierzyć, że to koniec.
– Stój! – głośny okrzyk pochodził z drugiej strony ogniska.
Ilana spojrzała w stronę czarownicy i widząc jej przyzywający gest – podbiegła. Czarownica wyjęła rewolwer z dłoni dziewczynki i wyłuskała z bębenka naboje.

Siedzieli we trójkę przy dogasającym ognisku: Anders, czarownica i Ilana. Zapadał zmrok i na niebie pojawiły się gwiazdy.
– W śmigłowcu mam licznik Geigera – mówił Anders. – Ale bez sprawdzania wiem, że złoża uranu są bardzo bogate. Kim jest człowiek, który chce nimi zawładnąć?
– Nie wiem o niczym – odparła czarownica. – Ostrzegam, wycofaj się, bo za drugim razem nie daruję ci życia.
– Zapominasz, że czytam twoje uczucia. Kim jest człowiek, który cię wynajął? Najpiew kazał ci wypędzić naukowców, potem, gdy koloniści ubiegli go w prawach do Chiroptera, przyszła kolej na nich. Wszystko dla zysku, dla uranu. Pieniądze! Nieważne szczęście, nieważny pokój. Kim on jest?
Czarownica milczała. Ilana bełkotała coś niezrozumiale i patykiem wygarniała popiół z ogniska. Nie obchodziło jej, co mówi Anders, nie obchodził jej ten świat. Miała własny.
– Znajdę go! Próbował mnie zabić. Wynajął ludzi z mafii i tylko przypadek sprawił, że wyszedłem z tego cało. Wtedy jeszcze nie domyślałem się niczego, sądziłem, że to zwyczajny napad, potem, że pomyłka. Dopiero twoje przeloty z Chiroptera na Ziemię i z powrotem dały mi do myślenia. Ktoś musiał je finansować. Wiadomość o złożach uranu była trafnym śladem. Zrozumiałem wtedy twoje dziwne zachowanie – nie działałaś dla siebie, lecz dla kogoś innego. Bogatego i gotowego na wszystko. Takie to proste, wynająć czarownicę i swoje zło zapisać na nią.
Czarownica wciąż milczała. Wpatrywała się w tańczący ogień, który niczym w krysztale odbijał się w jej oczach.
Anders nie potrafił określić formy rządzących nią emocji. Czuł się osłabiony, rana w przedramieniu dawała się we znaki.
Wciąż nie ufał czarownicy i nie zmazał z siebie magicznych znaków. One sprawiały, że był nietykalny. Nikt nie odważy się dotknąć wrzącego metalu.
– Kim jest ten przeklęty bogacz?! – wykrzyknął.
– Odejdź – powiedziała kobieta.
– Najważniejsi są dla mnie osadnicy – Anders wstał. Przypadkowo naprężył zraniony mięsień i skrzywił się z bólu. Wyjął kompas i określił kierunek marszu.
– Kocham cię – powiedział wreszcie to słowo.
– Jutro kończymy rozejm.
– Kończymy – Anders chwycił rękę Ilany. Zabierał dziewczynkę ze sobą. Robił to dla Clauda.
– Wynoś się! – usłyszał, gdy opuszczał polanę. Potem w lesie długo jeszcze gonił go upiorny śmiech.
A czarownica siedziała w bezruchu. Skaczący płomień ogniska wywoływał wrażenie drgania jej posągowej twarzy. Pochyliła głowę i wtedy coś zasyczało.
To syknął popiół, na który spadła wielka łza.
– Niech mnie piekło pochłonie!
Pochłonęło ją piekło.

Krzysztof Kochański

Andrzej
Zimniak

Najdłuższa podróż poślubna



Weselisko mieliśmy dosłownie szampańskie – pienisty płyn lał się strumieniami wprost do gardzieli pilotów pierwszej klasy doborowej kompanii dalekiego zwiadu kosmicznego, a ich panie też nie żałowały sobie i nie zostawały daleko w tyle. Gdzieś koło północy, gdy gwar mieszanych głosów stał się już nieco mniej artykułowany, z płyty lotniska, na której wszyscy siedzieli po turecku, wydźwignął w gwiaździste niebo swój potężny tors kapitan Wielema, pociągając za sobą żonę Wieledę.

A. Aldridge

Kapitan wziął zamach i cisnął pełną butelką szampana o błyszczący kadłub rakiety, a białe strumyki cieczy rozkraczyły się na nim niby nogi plechowatych pająków z Aldebarana. Gdy wreszcie zrobiło się cicho, Wielema zagrzmiał:
– Pp... pan młody ma głos!!
– Tak, Fallucjusie, powiedz coś na pożegnanie! – zawtórowała piskliwie Wieleda.
– Moi mili – zacząłem i odchrząknąłem. – Jesteście wszyscy kochani, uświetniając swoją obecnością tak piękne dla nas wydarzenie – tu wyciągnąłem dłoń do mojej żony Hymelicji, która raźno powstała, śląc wokół promienne uśmiechy. Jej oczęta błyszczały, jak dwie supernowe na chwilę przed wybuchem.
– Opuścimy was teraz – głos żonki był o tej późnej porze już lekko zachrypnięty, choć wciąż kokieteryjnie melodyjny. – Chcemy...
– He, he, to wiemy – wtrącił się rubasznie Wielema. – I wcale was nie zatrzymujemy, dobrze znamy moc łaskotliwie kąśliwej chuci, he, he! Ale zanim ulecicie na skrzydłach miłości, macie tutaj, na naszych oczach, dopełnić uświęconego prastarym zwyczajem obrzędu...
Zrobiło się zupełnie cicho, tylko nocne chrząszcze kląskały w ciemności, kopulując na nagrzanym korpusie naszego statku. Mesmeryczny dreszcz przebiegł mi kręgosłup i lędźwie, gdy poczułem na swoim biodrze chwytliwą dłoń Hymelicji.
– ...czyli wypić z nami strzemiennego, jak to się kiedyś mówiło, he, he! – dokończył kapitan. W wygwieżdżone niebo buchnął chóralny śmiech, zaś Wielema wyczarował skądś dwa pękate kielichy na wysmukłych nóżkach. Po wychyleniu ich rubinowej zawartości zagrały w duecie marsza Mendelssohna.
To było tak, jakby ktoś dolał mi do krwi ukropu. Całe towarzystwo zrobiło się raptem czerwone, a Hymelicja – nawet łososiowa. Zwiniętą w kosmicznym geście pożegnania pięścią pozdrowiłem zebranych, porwałem nowiuteńką, apetyczną żonkę i jednym susem dopadłem do luku. Z grzmotem przebiliśmy atmosferę i pędziliśmy z rosnącą prędkością międzygwiezdnym szlakiem miłości.

Z rozkoszliwego błogostanu wzajemnego obłapiania ocknęliśmy się dopiero w okolicach Kasjopei – ten drań Wielema musiał nam dodać do wina niezłego lubczyku!
Hymelicja przeciągnęła się przymilnie, najwidoczniej nie myśląc jeszcze o przyrządzaniu śniadania. Wtem klasnęła w dłonie i wskazała na ślepia monitorów.
– Prażołce na Chutniku! To będzie cudowne!
– Naprawdę tak sądzisz? – spytałem niezdecydowany. Kusiła mnie wizja przyzwoitego posiłku; na przykład jąderka dmuchawnika w migdalikowym sosie stanowiłyby niezłe danie.
– Ależ tak! Zaczniemy od Prażołców i to zaraz!
Nie było rady. Nago wskoczyliśmy do urządzenia transformującego, które w ciągu nanosekund optymalnie dostosowało nasze ciała do warunków panujących na Chutniku, oczywiście uwzględniając także miejscową faunoflorofolklorystykę. Następnie kanałem zmodulowanej przestrzeni opuściliśmy się wprost w magmowe oceany jaśniejącej pod nami planety.
Było nieźle, nawet zupełnie dobrze, chociaż czerwone, ciężkie fale miały temperaturę sześciu tysięcy stopni. Wokół baraszkowały wielkie jak góry Prażołce, rycząc wesoło i zionąc niebieskim ogniem. Sam ryknąłem i żwawo zanurkowałem, szukając swojej samicy, bo już przenikały mnie drażniące ukłucia koncentrycznych dreszczów przedzapłodnieniowych. Byłem w doskonałej kondycji; lubiłem to dziwne uczucie, kiedy ludzka świadomość nakłada się na fizjologię i odruchy innej formy życia, udostępniając niezwykłą gamę wrażeń.
– Tutaj jestem, Fallucjusie! – Hymelicja dudniła jak wulkan. Jej ogromne, baniaste ciało unosiło się swobodnie, otoczone gromadą obłych cielsk przypadkowych wielbicieli.
– Już płynę! – zahuczałem i rzuciłem się do niej wskroś morza ognia i lawy. Igiełkowate dreszcze zogniskowały się gdzieś w górnej części worka ciała, a za chwilę wstrząsnął mną istny spazm rozkoszy, gdy dojrzałem cztery niewielkie wgłębienia w głowie mojej wybranki. Zespoliliśmy się, aż lawa zagotowała się wokół; otaczający nas pierścień rodzimych mieszkańców przez cały czas wydawał głuche grzmoty na cześć nowożeńców.
Nie zwlekając opuściliśmy Chutnika, a pokładowe urządzenie bezbłędnie przetransformowało nas z powrotem na ludzi.
– To było piękne, mój kochany Fallucjusku! – Hymelicja zarzuciła mi ręce na szyję.
– Owszem, Hymciu złotousta. Ale teraz pora na śniadanie – to mówiąc wsunąłem do stosu tacę jąderek dmuchawnika.
– Niech będzie – przystała nie bez ociągania i włożyła przejrzysty jak rozbryzg źródlanej wody peniuar, nie sięgający jej nawet do pępka.
Jedliśmy z apetytem, nabierając sił do dalszych ociekających słodkim miodem dni i nocy poślubnego miesiąca. Nie mogłem przewidzieć dalszego jego ciągu, a szkoda. Gdybym posiadał nie wynaleziony jeszcze w tych czasach turystyczny antycypator futurystyczny i gdyby jeszcze wszyto mi go w lewą ściankę wewnętrznej części żołądka, na pewno odczułbym mdłości i skrócił podróż. Wtedy wszystko potoczyłoby się normalnie: osiedlibyśmy na jakiejś spokojnej planecie z różowym słoneczkiem, spłodzilibyśmy ze dwa albo trzy tuziny potomstwa, ja bym oddawał jej pensję, a ona by mi gotowała gulasz z członków orankutana, których to zwierząt mnóstwo by pląsało po zielonych skałach naszego seledynowego globu. Ale nie uprzedzajmy wypadków.
Póki co Hymcia poprzez pełne jąderek usta nuciła ulubioną melodię, wspinając się pod stołem bosymi stopami po moich kolanach i udach. Nagle wydała nieartykułowany dźwięk i skoczyła do monitorów.
– Patrz, Falucjusie! – wykrzyknęła wreszcie, przełknąwszy strawę.
– Nic takiego. Gwiazda – żułem nadal spokojnie, choć kark musnął mi szpilkowaty dreszcz.
– Przecież to Canopullus Wielki z rojem swoich wspaniałych planet, a w ich liczbie Flik-Fluk-Uchatek i Bajecja, na której żyją Rozkoszniaki Wielkouste! Czyżbyś już zdążył zapomnieć o naszych przednarzeczeńskich wypadach?
– Nie zapomniałem – powiedziałem zduszonym głosem, wstając. Czułem wzbierające żądze. – Chodź już!
– Zaraz, chwileczkę – Hymelicja mocowała się przez moment z peniuarem, wreszcie cisnęła go na podłogę i wskoczyliśmy oboje do czeluści urządzenia transformującego.

Na Flik-Fluk-Uchatku wszystko falowało ruchem posuwisto-zwrotnym i miało długie, spiczaste uszy: nibytrawy, niby-grzyby, niby-drzewa, niby-chmury i już nie niby, ale prawdziwe Wchlądrzaki. Fajne one były: takie niby-ludziki, kładły się na ziemi, małe i śliczne, właziły na siebie i biebrzyły. I ja też biebrzyłem.

Robiłem to tak: wskakiwałem na niby-Hymcię nogami i od razu stawałem się lekki, leciutki, bo cały się nadmuchiwałem. Pieściłem jej ciało swoimi delikatnymi stopami, przy czym czułem coraz większą przyjemność, a uszy moje rosły, potężniały i stawały sztorcem. Wreszcie z tych wilkołaczych uszu zaczynała lecieć substancja zapładniająca w granulkach. Przy każdym trafieniu taką granulką w ciało niby-Hymci dźgała mnie rozkosz, a gdy trochę substancji rozpłodowej dostawało się do samej chlądry, nasza wspólna ekstaza osiągała szczyty wszelkich możliwości. Tak trwaliśmy bez żadnych przerw w stanie siódmoniebiańskiej przyjemności wiele godzin, a w tym czasie granule uzupełniane były sukcesywnie od tyłu przez rozświergotane niby-ptaszki, podobne do amorków. Przerywać musieliśmy tylko z głodu, bo spożywanie posiłku w stanie permanentnej rozkoszy albo umniejsza przyjemność, albo też utrudnia trawienie.

Kolejną planetą, którą odwiedziliśmy, była Bajecja. Tam współżyliśmy jako dorodne egzemplarze Rozkoszniaków Wielkoustych w sposób zgoła dla nas nietypowy, chociaż obserwowany w zbliżonych wariantach nawet wśród ziemskiej fauny. Przez miliony lat ewolucji samiczy narząd rozrodczy wrósł przedstawicielkom tego gatunku tak głęboko w ciało, chowając się zapewne przed niesprzyjającymi warunkami zewnętrznymi, że samiec musi dobierać się do niego od środka. W tym celu ona połyka jego, otwierając rozkosznie swoje szerokie usteczka, a on po omacku, pośród miękkiej śliskości trzewi, wykonuje swoją powinność. Dalsze losy samca zależą wyłącznie od samicy; jeśli spisał się do-

brze, może wyjąć go przez gardziel, sięgając w głąb wężowatym odnóżem lub też strawić, gdyby coś nie wyszło lub gdy jest głodna. Osobników męskich, gabarytowo oczywiście o wiele mniejszych od żeńskich, jest w tamtejszych stronach pod dostatkiem i o nowego nietrudno.
Jak można się domyślać, nie bez oporów odwiedziłem rozkoszną Bajecję, ale w końcu zrobiłem to dla mojej pięknej Hymci. Zapewne nikt nigdy nie wniknął w subtelności jej ciała tak głęboko, jak ja wtedy!
Z ulgą opuściłem tę planetę krańcowego matriarchatu, a szczęśliwa Hymelicja, chcąc wynagrodzić mi wszelkie trudy, skierowała statek do siedziby Wspanielic. Spływały one łagodnym lotem z ciepłopomarańczowego nieba wprost do ustronnych buduarów, którymi zastawiona była cała planeta. Samo oczekiwanie w takim buduarze było już rozkoszą, nie mówiąc o dalszym ciągu.
Odwiedziliśmy jeszcze wiele planet i współżyliśmy ze sobą w licznych postaciach ich mieszkańców. Na przykład bluzgizdrzyliśmy się z Piżmowielkokończystymi Nagłołykochciejkami (aż wstyd pisać, co one wyprawiają, a potrzeba do tego aż pięciu sztuk, więc trójkę musieliśmy, chcąc nie chcąc, dokooptować), człowpchędgwigliłem w postaci tęgiego Glajshulusa z Hymcią-Odwzbytnikiem, kochaliśmy się obrotowo, wcieliwszy się w śrubowce, a także obłapwydupściskaliśmy się jako ameboidalne Glutowce-Wjamowchłony. Uff, to był kawał dobrej roboty!
Kiedyś przelatywaliśmy niedaleko nie zamieszkałej planety Mhrrr, a że akurat postanowiłem oddać mocz normalnie pod skałką, zamiast jak zwykle spółkować z destylarką, zatrzymałem statek i wskoczyłem do urządzenia transformującego. Za mną – jak zwykle łasa wrażeń – Hymelicja. Nie wiem, co za licho mnie wtedy podkusiło – chyba sam Szatan z czarnego Jądra Kosmosu, zazdrosny o nasz orgiastyczny sposób współżycia. Ale w końcu to był miesiąc poślubny!
Opadliśmy na powierzchnię globu jako dwa wielogłowe, wieloogoniaste i pokryte sterczącą łuską smoki. Lecz Hymcia nadal była piękna, przynajmniej w moich stu czterdziestu smoczych oczkach. Pomachałem jej kilkoma ogonami i truchtem pobiegłem za wiszącą skałę, podniosłem kilkanaście nóg i ulżyłem sobie.
Dopiero po jakichś dziesięciu minutach spostrzegłem przyglądającego się mi z zaciekawieniem innego smoka. Nie, nie była to Hymelicja. A więc planeta okazała się jednak zamieszkała!
– Witaj, bracie – zamruczał jedną z paszcz. – Jestem Ghrmb.
– Fallucjus.
– Poczęstuj się siarką, proszę.
Po wszystkich językach zaczęła mi spływać ślina. Zbliżyłem się ufnie, a on wtedy przyładował mi w żołądek największą ze swoich nóg. Zobaczyłem miliony figlujących ogników i straciłem przytomność. Gdy ocknąłem się wreszcie, nasz statek ulatywał już z głuchym grzmotem poza granice nikłej atmosfery tej cholernej planety.
Wtedy dopiero zrozumiałem. Tam, na pokładzie, ten przeklęty smok w mojej własnej powłoce cielesnej cudzołożył z nieświadomą niczego Hymelicją!
W szczerej rozpaczy waliłem wszystkimi ogonami o skały, rycząc z wściekłości. Wtedy przyszła Ghrmba.
– Wstawaj, stary! Patrzcie go, opił się siarkocieczy i rozrabia!
Podniosłem głowy. Była wstrętna, a na dodatek zachowywała się jak udzielna władczyni.
– No, jazda do lasu, zbierać korzenie!
– Wypraszam sobie. Nie jestem tym, za kogo mnie masz.
– A kim miałbyś być?! Nie zaczynaj mi starej pieśni, jak zwykle po nasiarkowaniu, że jesteś właściwie kim innym i grasz tutaj tylko jakąś przypadkową rolę!
Rad nierad, zabrałem się do wykopywania korzeni, które znosiłem Ghrmbie i czeredzie rozbrykanych smocząt. Swojej przybranej małżonce nie mogłem przeciwstawić się w niczym, bo była większa i cięższa, poza tym małe zawsze brały jej stronę. Musiałem więc spełniać wszelkie zachcianki smoczycy, a już szczególnie sumiennie, gdy łyknęła płynnej siarki – wtedy stawała się niemożliwa. W efekcie rok w rok ze skórzastych jaj wykluwały się małe smoczęta.
Wyobraźcie sobie, że na tej planecie spędziłem z górą sto pięćdziesiąt lat! Smoczy glob musiał być odpowiednikiem ziemskiej bezludnej wyspy, bo w tym okresie nie wylądował tu żaden statek.
Lecz kiedyś moje marzenie nareszcie spełniło się. Daleko na burym niebie zawisła rtęciowa kropla, a z niej spiralą translacyjną opuścił się na powierzchnię planety dorodny smok. Powęszył głośno i puścił się truchtem wprost pod wiszącą skałę.
– Witaj, bracie – wymruczałem, drżąc ze zniecierpliwienia. – Napijesz się siarkopłynu?
– Spokojnie, braciszku, nie denerwuj się, nie na mnie te metody. Jestem Ghrmb, przybyłem cię zluzować.
– Co?! – ryknąłem prąc do przodu i ziejąc.
– Stój! Jeśli mnie uszkodzisz, będziesz musiał pozostać tu z Ghrmbą. Ona wciąż potrzebuje sprawnego samca, dałbym sobie za to uciąć z pięć ogonów.
Zatrzymałem się, dysząc z wściekłości. Jego słowa wywarły na mnie wrażenie.
– Ty cholerny gadzie! – ryknąłem.
– Przepraszam cię tylko za cios w żołądek. Nie było po prostu innego sposobu. A reszta, czyli ciąg dalszy, wszędzie jest podobny: u Ludzi, Smoków, Prażołców czy Wchlądrzaków. Możesz mi wierzyć, wszak nie próżnowałem przez te sto pięćdziesiąt lat. A teraz bywaj! Wracam do swojej pierwszej, bo mam do niej sentyment jeszcze ze szczenięcych lat.
Oddalił się, a ja nie tracąc czasu wskoczyłem w ognisko transformujące i już byłem na pokładzie. Z rozkoszą obmacałem twarz: najprawdziwszy nos, oczy i jedne, jedyne usta! Dałem od razu pełny ciąg i pędziłem wskroś przestrzeni, jak diabeł, uciekający od święconej wody.

I byłbym do dziś spokojnie latał jako pilot pierwszej klasy dalekiego zwiadu kosmicznego, gdyby pokrętna ludzka myśl nie wydała na świat Eliksiru. Nie mogłem oprzeć się kusicielskim wizjom i już po paru łykach poczułem, jak wszystkie członki tężeją młodzieńczą energią, a w głowie robi się pstro. Odszukałem Hymelicję – jak ona wyglądała! Jednak smoki są bardziej długowieczne niż ludzie. Niepostrzeżenie domieszałem jej Eliksiru do ziółek i z przyjemnością patrzyłem, jak zwiotczała skóra napina się, kształty nabierają jędrnej krągłości, a w oczach pojawia się błysk. Tak, to znów była moja Hymcia!
Na wszelki wypadek wzięliśmy jeszcze raz ślub. Weselisko mieliśmy iście szampańskie – cała doborowa kompania pilotów dalekiego zwiadu kosmicznego wraz z żonami i przyjaciółkami, po opiciu się Eliksirem poprawiała innymi trunkami, siedząc po turecku na płycie lotniska. Wreszcie kapitan Wielema wydźwignął swój potężny tors w gwiaździste niebo, wziął zamach i cisnął pełną butelką szampana o błyszczący kadłub rakiety.
– Pp... pan młody ma głos!! – zagrzmiał.
– Moi mili – zacząłem i odetchnąłem głęboko. Z tego miejsca widziałem wyraźnie wielkie chrząszcze, wściekle kopulujące na nagrzanym kadłubie rakiety. A dalej była wieczna noc, pośród której w niepojętym rytmie stale rodziły się i umierały gwiazdy.

Andrzej Zimniak

Andrzej ZIMNIAK
(ur. 1946 r.) dr inż. chemik, absolwent Politechniki Warszawskiej – pracuje na uczelni jako specjalista w Instytucie Chemii i Technologii Organicznej. Debiutował w 1980 r. w tygodniku studenckim „Politechnik" opowiadaniem „Pojedynek". Publikował teksty SF w „Młodym Techniku", „Problemach", „Odgłosach", „Kalejdoskopie". Pisywał także felietony satyryczne. Nie dzieli literatury na piękną i SF, tylko na dobrą i złą. Przygotowuje zbiór swoich opowiadań dla wydawnictwa książkowego.

Głos mistrza

Temat „Cesarstwa Galaktycznego" ma w literaturze SF tradycję blisko sześćdziesięcioletnią. Zapoczątkował go w roku 1929 Edmond Hamilton powieścią „Within the Nebula". Od tego czasu nieprzerwanie aż do współczesności ów temat przewija się przez science fiction, systematycznie zyskując na znaczeniu. Trudno się temu dziwić – wydaje się wymarzony dla wszystkich odmian tej literatury. Pozwala na zestawianie przeróżnych, zwykle heterogenicznych, elementów: nadprzestrzennych statków kosmicznych, miotaczy energii (słynnych „blasterów", słowo to zna już każde dziecko), zbroi rycerskich (zawsze „siłowych") i mieczy (koniecznie „laserowych"). Intelektualnie nie bywa zbyt nośny, ale – jak dowodzi przykład „Gwiezdnych wojen" – bawi zawsze. Właśnie „Gwiezdne wojny", o których sam George Lucas pisał: *„to film dla dziecka w każdym z nas"* najdoskonalej prezentują współczesny stereotyp Cesarstwa; z całą jego nonsensowną, ale zabawną i malowniczą rekwizytornią. Są realizacją najgłośniejszą i najbardziej dochodową, ale wątpię, czy ktokolwiek i kiedykolwiek uzna ją za najlepszą. Wątek imperium ma już bowiem swego mistrza, nie całkiem nieznanego czytelnikom „Fantastyki".

Isaac Asimov – o nim bowiem mowa – zainteresował się tym tematem już dość dawno i zrealizował go z ogromnym rozmachem. Z cyklu opowiadań publikowanych w latach 1942-1949 na łamach słynnego „Astounding Science Fiction" powstała wydana w latach 1951-1953 trylogia, na którą złożyły się tomy „Foundation", „Foundation and Empire" i „Second Foundation" i która otrzymała w roku 1966 nagrodę Hugo. Wspomniana trylogia ma być wkrótce przełożona na język polski staraniem Wydawnictwa Poznańskiego. Jaka będzie reakcja czytelników i krytyki? Opóźnienie trzydziestoletnie nie jest wprawdzie rekordem, ale wystarczy, by książka nieco się spatynowała. W dodatku, tak czy inaczej otrzymamy dzieło niekompletne – bowiem w roku 1982 wydał Asimov czwartą część cyklu, która błyskawicznie weszła na listy bestsellerów usuwając w cień „2010 – Odyseję drugą" Clarke'a i natychmiast otrzymała nagrodę Hugo (1983).

Naiwnością byłoby przypuszczać, że „Foundation's Edge" zostanie przetłumaczona przed upływem kilkunastuletniej karencji. Szkoda – bo jest to w SF wydarzenie szczególne. Ma tetralogia „Foundation" prawdziwie epicki rozmach. Oto trwające od 12 tysięcy lat Cesarstwo Galaktyczne chyli się ku powolnemu upadkowi. Matematyk Hari Seldon, najwybitniejszy przedstawiciel nauki zwanej psychologią, oblicza, że do powstania z chaosu galaktycznych wojen Drugiego Cesarstwa upłynie 30 tysięcy lat. Istnieje jednak sposób, by cykl rozkwit-upadek został przerwany, a ludzkości w galaktyce nie groziła zagłada. Decydują możliwości psychohistorii – nauki umożliwiającej przewidywanie i sterowanie procesami społecznymi w wielkich masach ludzkich. *„Na dwóch przeciwnych końcach Galaktyki"* umieszcza Seldon dwie Fundacje, grupy uczonych wprowadzających w życie plan skrócenia interregnum do lat zaledwie tysiąca. Pierwsza Fundacja, skupiająca fizyków, działa jawnie, dokonując podbojów ze swej siedziby na peryferyjnej planetce Terminus i jest przodującą technologicznie siłą Galaktyki. Druga – jest jej lustrzanym odbiciem. Składa się z „mentalistów" – psychologów i psychohistoryków, działa z ukrycia kształcąc kadry dla elity rządzącej Drugim Cesarstwem. W toku jednego z kryzysów, którego Seldon nie przewidział, Pierwsza Fundacja zdaje sobie sprawę z istnienia i roli Drugiej.

Czwarty tom cyklu Asimova rozpoczyna się w roku 498. Wydaje się, że Druga Fundacja, pobita i zniszczona po przezwyciężeniu najtragiczniejszego z kryzysów, nie istnieje od 120 lat. Wszystko idzie jednak zbyt gładko. Pojawiający się okresowo holograficzny wizerunek Seldona opisuje wydarzenia zbyt dokładnie jak na możliwości psychohistorii – nauki statystycznej. Jeden z członków rady Pierwszej Fundacji – Goldan Trevize, który najszybciej zdał sobie sprawę, że Fundacja jest manipulowana i miał pecha wyrazić to publicznie, szantażowany i oskarżony o zdradę zostaje wygnany. Wraz z historykiem Janovem Peloratem, pod pozorem poszukiwania mitycznej planety Ziemi, kolebki ludzkości, rusza na poszukiwanie Drugiej Fundacji. Nie jest to podróż łatwa. Trevize w pełni zdaje sobie sprawę z tego, że ktoś czegoś po nim oczekuje. Rozpaczliwie próbuje pokrzyżować plany swego tajemniczego animatora. Krok w krok podążają za nim szpiedzy Pierwszej Fundacji, licząc na ujawnienie i zniszczenie – tym razem definitywne – Drugiej. Ta także zdaje sobie sprawę z niezwykłości sytuacji. Jest zaniepokojona podróżą Trevize'a, lecz wie więcej. Istnieje w Galaktyce „trzecia siła" czuwająca nad Planem. Losy ludzkości rozstrzygną się na tajemniczej planecie Gai, gdzie Trevize, wreszcie wolny, będzie musiał podjąć decyzję o kształcie Drugiego Cesarstwa, a tym samym o losach Galaktyki.

Streszczanie książki jest zajęciem niewdzięcznym. Nie można tym sposobem określić jej zalet i wad. Nie można także zdać sprawy z irytującej doskonałości Asimova, która nie mieści się w granicach fabuły, a w ramach pojedynczej książki bywa nieuchwytna. Jest doskonale widoczna pod warunkiem, że obserwujemy całą tetralogię łącznie.

Pewne zabiegi Asimowa są zrozumiałe i oczywiste. Podejmując decyzję kontynuacji swojego cyklu po 30 latach, musiał rozbudować świat Galaktyki. Stąd niezwykła, żyjąca w telepatycznej symbiozie ze swym środowiskiem cywilizacja Gai, wielokrotnie potężniejsza od obu Fundacji, lecz nie agresywna. Stąd motyw Ziemi – zapomnianej kolebki ludzkości – odgrywającej tak ważną, choć niejasną rolę w realizacji Planu. Stąd wreszcie wątek cywilizacji mieszanej, ludzko-cybernetycznej, prowadzący wprost do drugiego fascynującego Asimova tematu – kultury C/Fe. W ten sposób w cykl „Fundacji" włączona zostaje część wcześniejszej twórczości pisarza: „The Stars Like Dust", „Pebble in the Sky", czy wreszcie znany doskonale w Polsce „Pozytronowy detektyw". Książki te wymienia sam autor w posłowiu do „Foundation's Edge".

Znacznie ciekawsze wydaje się to, czego Asimov nie zrobił. Nie zmienił mianowicie stylu, nie czuł absolutnie konieczności uwolnienia się od rygorów klasycznej science fiction. Zlekceważył wszystkie mody ostatnich lat. Ciągle brak na planetach Galaktyki tajemniczych, obdarzonych nadludzkimi możliwościami Obcych, masowo zamieszkujących imperia fantasy i space opera. Nie ma smoków, cyklopów, pegazów, aniołków, żaginionych cywilizacji, małych zielonych ludzików. Innymi słowy nie ma typowego „imperialnego sztafażu", co zdecydowanie służy książce.

FANTASTYKA MEDYCZNA

Aleksander Bielajew jest niewątpliwie jednym z klasyków rosyjskiej literatury fantastyczno-naukowej: szeroko znana była u nas jego „Wyspa zaginionych okrętów", powodzeniem cieszył się film zrealizowany według powieści „Człowiek-amfibia". Teraz docierają do nas dwa jego utwory, wydane w jednym tomie, ale stanowiące klamrę zamykającą całą tę bogatą twórczość: pierwszy, „Głowa profesora Dowella" z 1926 roku zapoczątkował literacką działalność Bielajewa, drugi, „Ariel" z 1941, jest ostatnią książką pisarza, który zmarł po prawie trzydziestu latach walki z nieuleczalną chorobą w styczniu 1942 roku.

Oczywiście, powieści Bielajewa mają w swoim klimacie coś w nieuchwytny sposób staroświeckiego, bliższe są fantastyce Verne'a niż współczesnej science fiction. Opierają się na śmiałych, wizjonerskich pomysłach, ale wyizolowanych z rzeczywistości, której dotyczą. Są to z reguły jakieś cudowne wynalazki i odkrycia dokonane przez samotnych, genialnych uczonych-dziwaków, nie mające jednak wyraźnego związku z resztą świata, który nie zmienia swego wyglądu, jest taki sam, jak w dziewiętnastowiecznych powieściach. Współcześni pisarze starają się tworzyć wizje światów spójne wewnętrznie, w których niezwykłe wynalazki nie pojawiają się w próżni technologicznej, jak króliki z kapelusza, ale są wynikiem ogólnego rozwoju, również społecznego. To zasadnicza i najbardziej rzucająca się w oczy różnica pomiędzy fantastyką „staroświecką" i dzisiejszą (chociaż to rozgraniczenie, na szczęście, jest zakłócane przez sporo utworów, chociażby przez ostatni tom „księżycowej trylogii" Żuławskiego).

Bielajew jednak wyraźnie nie mógł i pewnie nie chciał rozstać się z modelem powieści „o cudownym wynalazku" i przyznać trzeba, że pomysły miał świetne. Tym bardziej są one godne podziwu, jeśli uświadomimy sobie, że w okresie, gdy pisał swoje powieści, nie przeprowadzano jeszcze na szerszą skalę eksperymentów biologicznych, medycznych, transplantacyjnych, nie pisano i nie myślano wiele o takich sprawach, które przecież dzisiaj są tematem wielu lektur i rozmyślań codziennych. „Cudowne wynalazki" z utworów Bielajewa to głównie wynalazki medyczne, poszerzające znakomicie możliwości działania ludzkiego organizmu. Tworzył więc powieści paradoksalne – w staroświecką formułę, szczytem wytrzymałości której zdawał się być okręt podwodny i armatni pocisk zmierzający w stronę księżyca, wprowadzał pomysły rodem z najbardziej współczesnych nam badań medycznych.

Oto powieść „Głowa profesora Dowella" opisuje transplantację głowy do nowego, zdrowego ciała. Bielajew nie bierze przy tej okazji pod uwagę wielu czynników oczywistych dla dzisiejszego czytelnika, ale też wiarygodnie opisuje komplikacje i ewentualne zagrożenia, jakie mogą zaistnieć w trakcie i po operacji. Z kolei „Ariel" opowiada o człowieku, który nabył możliwości latania i stał się człowiekiem-ptakiem. W obu przypadkach same pomysły z dziedziny – nazwijmy to tak – fantastyki medycznej są jakby pretekstem do snucia sensacyjnej fabuły, pełnej pościgów, dramatycznych zwrotów akcji i przewrotnych intryg, jakie wypracowała literatura rozrywkowa, żadna z postaci nie zaskakuje nas swym zachowaniem, żadna nie zakłóca harmonijnego przebiegu fabuły. Wszystko jest znane i sprawdzone już gdzie indziej, ale też w wykonaniu Bielajewa brzmi nadal świeżo i po prostu nie nuży w trakcie lektury.

Zyskuje Asimov na ekonomii środków, stawiając przed lustrem ludzkość bez figowego listka. Obraz tanich politycznych rozgrywek doprowadzających do tego, że Fundacje dążąc do wzajemnego podporządkowania przypominają psa beznadziejnie próbującego złapać własny ogon, obraz głupoty ożenionej z ambicją jest dzięki temu znacznie dobitniejszy i czystszy. Zyskuje na klarowności, ukazując bohatera rozpaczliwie poszukującego najmniejszego choćby marginesu dla ludzkiej wolnej woli i w zamian za to obciążonego koniecznością podjęcia przerastającej go decyzji.

Zyskuje na dobitności, gdy decyzja zostaje podjęta i okazuje się, że nie przesądza ona niczego.

Nie ukrywam – lubię Asimova. Więcej jeszcze – uważam go za mistrza. Oczywiście, błędem byłoby poszukiwać w jego książkach – jak zresztą w całej literaturze SF – nieśmiertelnej prozy i wielkiej filozofii. Jest Asimov mistrzem paperbacku i nie udaje nikogo innego. Lubię go za to, że stoi obydwiema nogami na ziemi, a nie buja w obłokach, najczęściej niebieskich, myślących i zbawiających ludzkość. SF pozostanie zawsze literaturą rozrywkową, narodzoną z cywilizacyjnego boomu, a lepsza wydaje mi się rozrywka zawierająca odrobinę prawdy o świecie, niż odreagowująca ten świat wśród gwałtownych mdłości. Być może bohaterowie Asimova za dużo mówią, ale to i tak lepiej niż gdyby mieli walczyć grawitacyjnymi dzidami. Istnieje znakomita fantasy, ale na ogół wyobraźnia pisarzy jest płaska, a pod pokrywką cudów łatwo ukryć zwykłą niekompetencję. Space opera to guma do żucia, tyle że często pachnąca i balonowa. Dydaktyzm, będący największą z wad SF, błyszczy na tym tle, jak brylant czystej wody. Przyszły polski czytelnik „Fundacji", niezależnie od tego, że otrzyma książkę starą i niekompletną, z pewnością będzie umiał docenić to, co w każdej rozrywce najważniejsze – literacką zręczność Asimova.

Krzysztof Sokołowski

Isaac Asimov: *Foundation's Edge*. Granada Publishing 1984.

Wybaczamy mu z ochotą demonicznego uczonego i niewinną cud-dziewicę w roli pielęgniarki, jak również bezwzględnych amerykańskich gangsterów i gardzących wszystkim angielskich arystokratów, bo autor „Ariela" jednocześnie przekonuje nas, że traktuje swoich czytelników serio, że na miarę wiedzy, jaką dysponuje współczesna mu medycyna stara się uwiarygodnić swe pomysły. Szczególnie jest to widoczne w powieści „Głowa profesora Dowella" przytaczającej – dla nas już naiwne – opisy zasad podtrzymywania przy życiu głowy oddzielonej od reszty organizmu. „Ariel" zresztą też „wyjaśnia" teoretycznie, dlaczego bohater powieści może fruwać.

Staroświeckość prozy Bielajewa przejawia się również tym, że powieści kończy szczęśliwe wydarzenie, w które już coraz trudniej dzisiaj wierzyć, że sprawiedliwość zwycięża, konieczne ofiary nie idą na marne, zdrowa jednostka ludzka opuszcza złe otoczenie i wraca tam, gdzie ludzie prości i dobrzy. Brzmi to może nazbyt złośliwie i sarkastycznie, ale taka jest prawda, co nie przeszkadza jednak bawić się w trakcie lektury. Bielajew był bowiem pisarzem utalentowanym.

Leszek Bugajski

Aleksander Bielajew: *Głowa profesora Dowella. Ariel.* Wydawnictwo Literackie, Kraków–Wrocław 1984. Cena 190 zł.

POŻYCZONA PODŁOGA

Bardzo się zrobiliśmy po „Seksmisji" wymagający. Wiemy teraz, że fantastyczny film polski może być biedny i goły, lecz mimo to wesoły. Wiemy, że technologicznego kształtu przyszłości nie pokaże nasze kino zbyt olśniewająco, ale może powiedzieć na jej temat parę rzeczy mądrych lub przynajmniej ciekawych. Wiemy, że nie skorzysta raczej kino na Lemie (pisarzu wybitnym, lecz filmowi niechętnym i z natury rzeczy mało wizyjnym), ale za to wizje kłębiące się w młodszych głowach dadzą się przełożyć na obraz z tempem i rytmem.

Niby wszystkie te nadzieje zawierają się potencjalnie w „Syntezie" Macieja Wojtyszki, a jednak jest to rzecz znacznie mniej od „Seksmisji" satysfakcjonująca. Raczej nie tylko dlatego, że powstała za o połowę mniejsze pieniądze.

Wojtyszko, paradoksalnie, mierzy wyżej niż Machulski, a trafia niżej. Zatrudnia więcej gwiazd. Opowiada o problemie szerszym i rozleglejszym; zło, przemoc, ubezwłasnowolnienie w historii to temat bardziej na czasie niż zgrywy z feminizmu. W dodatku Wojtyszko zrobił film dla wszystkich, a na „Seksmisję" młodocianych nie wpuszczają (nawiasem mówiąc niesłusznie). Mimo to Machulski bierze zdecydowanie pierwszą wygraną.

Spytajmy skąd tak zdecydowany werdykt publiczności, skoro przecież i Wojtyszko ma rękę do kina, a „Syntezę" zrobiono w sumie z dużą, dość nawet rozrzutnie demonstrowaną kulturą. Może zresztą w tym problem. Machulski ogranicza i kondensuje tam, gdzie Wojtyszko rozrzedza. Punkt wyjścia obu filmów jest podobny. Machulski zamraża bohaterów, budzą się po latach w tym samym miejscu, akcja mimo komplikacji toczy się automatycznie, bez wątpliwości. Wojtyszko natomiast splata losy chorego na serce pokłóconego z ojcem chłopaka, z południowoamerykańskim strasznym dziaduniem, dyktatorem Muantą. Skąd później dyktator w tej samej co chłopiec zamrażarce, skąd w przyszłej Polsce Muantowe pociski paraliżujące wolę? Czyżby w czasie hibernacji nie tylko płynął czas, ale i wędrowały lodówki? Patrzmy dalej. Wojtyszko opowiada rozwlekle o sztucznie hodowanych ludziach-ideałach; Machulski o damskich dysydentach. Wojtyszko pokazuje (wywód jest długi, miejscami malowniczy, ale teza od początku wydaje się oczywista), że ludzie ubezwłasnowolnieni nie są szczęśliwi, a potem jeszcze mało czytelnie dla masowego widza kpi z dialektyki: „teza + antyteza = synteza". Machulski zaś zwyczajnie opowiada o tym, jak to chłop przebrał się za babę i stanął, też niezbyt zadowolony, na czele matriarchatu. Machulski, jak widać, jest za każdym razem prostszy, dosadniejszy; w małym widzi duże i dlatego wygrywa.

W „Syntezie" jest materiał na parę rzeczy, realizatorzy nie potrafili się do końca zdecydować na żadną z nich. Dobre, najlepsze jest pierwszych kilkanaście minut: bunty uliczne, sceny w gabinecie dyktatora, wyjazd Muanty z pałacu, strzelanina, wyprawa na wyspę, wyrzutnia. Potem zaczynają się perełki aktorskie, skecze, które coraz trudniej nizać na nitkę filmu; synteza części nie dokonuje się bodaj tak jak autor zamierzył. Śmiejemy się oczywiście z nieznośnej cioci, z nieporadnych robotów, ze scen w klinice, z paradoksów czasowych, ale wartki, klarowny film z początku rozpada się na barwne epizody z bajki dla dzieci. I od tego momentu chyba tylko najmłodsi są w kinie naprawdę usatysfakcjonowani.

Machulski zrobił dynamiczne, świadomie ograniczające się kino podporządkowane jednej sprawie. Wojtyszko wędruje po tematach – od prawa do posiadania dzieci, przydzielanego w przyszłości równie opornie jak dziś mieszkania, przez wizerunek skłóconego rodzeństwa, po problem pocisków obezwładniających ludzkość. W tym nadmiarze każda sprawa osłabia nieco drugą – zamiast ją wzmacniać.



Rzecz, żeby już skończyć, chyba w tym, że Wojtyszko zaufał nadmiernie sukcesowi swej książki, także międzynarodowemu, i spróbował wszystkie jej literackie mądrości i piękności przenieść na ekran. A „Synteza" literacka, rzecz bardzo intelektualna i refleksyjna, (w stylu nieco Lemowska) poddała się temu zabiegowi opornie i nie w całości. Wojtyszko-reżyser związał sobie ręce wiernością wobec książki Wojtyszki-pisarza. Machulski miał ręce swobodne i m.in. dlatego robi lepszy użytek z podświetlanej podłogi, która, co państwo może zauważyli, jest w obu filmach ta sama.

Joanna Salamończyk

„SYNTEZA". Scenariusz na podstawie własnej powieści i reżyseria: Maciej Wojtyszko. Zdjęcia: Włodzimierz Głodek. Wykonawcy: Wiktor Grotowicz, Piotr Fronczewski, Władysław Kowalski, Marta Lipińska, Beata Tyszkiewicz i in. Zespół Filmowy „X", 1983.

TRAGEDIA NA WIEŻY

Jan Huskowski

W okno moje wpadał widok wieży. Ilekroć byłem głębiej wzruszony na niej spoczywał wzrok mój i to mnie uspokajało. Ta wieża i wydzwaniane na jej szczycie przez strażnika godziny tak zrosły się z mym życiem, iż – zda się – zakończyłbym je, gdyby runęła.

Pamięta ona czasy przedwieczne. Była tak wysoka, iż chmury płynące głębiną nieba o jej szczyt wyniosły rozpruwały swe czarne podbrzusza. Umieszczony na wieży zegar był błogosławieństwem dla nędzarzy pozbawionych możności mierzenia czasu. Niejeden samotnik, mieszkający gdzieś na zaśmieconym przedmieściu, odludek, co nawet w czasomierzu nie miał przyjaciela, gdy usłyszał bicie olbrzymiego zegara, otwierał brudne okienko na swym nędznym poddaszu, aby choć przez chwilę pożyć z poważnym dźwiękiem machiny tak bezinteresownie rozdzielonym pomiędzy wszystkich.

Pewnego wieczoru do późna siedziałem bez ruchu przy oknie, nie odrywając oczu od smukłego kształtu mojej wieży. Widziałem, jak błyszczała triumfalnie tęczami barw, posępniała razem z ciemniejącym tłem nieba, aż czarną, grubą linią przecięła jaśniejszy od siebie widnokrąg, zakrzepła w niewyraźny cień bryłowaty.

I kiedy z jej wierzchołka, pogrążonego zupełnie w ciemności, spłynął monotonny jęk godziny dziesiątej, położyłem się do snu.

Zachowany żywo w pamięci obraz wieży, jak czujna piastunka, do snu mnie kołysał. Niewymowny spokój i słodycz coraz silniej mną owładały. Leżałem pogrążony w przejrzystej rozkoszy własnego istnienia. Niezmącona cisza późnego wieczoru uplastyczniała mi do zbytku poczucie własnego stanu. Zauważyłem, iż cały mój organizm drżał śpiewnym rytmem głębokiej tkliwości (...). Wyobrażenie wieży prężyło się w mózgu, wzrastało, wsiąkało w krew, aż słodka miękkość bezwładu sennego poczęła na wskroś mnie przenikać.

Ocknąłem się nagle z półsnu czymś zaniepokojony. Nawinęło mi się niejasne przeczucie, że stanie się lub stało się coś ważnego. Na próżno szukałem wyjaśnienia. Czułem tylko, że poza mną, w otaczającej mnie rzeczywistości zaszło coś niewłaściwego, coś co miejsca mieć nie powinno.

Błyskawica nagłego zrozumienia sytuacji przywiodła mnie do uświadomienia sobie stanu rzeczy.

Na wieży powinna była wybić już godzina jedenasta. Ale bez dźwięku i echa minęła jej pora. Ze snu mnie wyrwała moc zachwianych niespodzianie przyzwyczajeń do równomiernych, niezawodnych uderzeń zegara.

Począłem się zastanawiać, czy nie było w tym mojej pomyłki. Zliczyłem czas, ubiegły od chwili położenia się do łóżka i skonstatowałem, że już stanowczo po jedenastej, że w momencie ocknięcia się z mego półsnu powinien ją był wybić zegar na wieży. Tymczasem dzwon milczał, mogę przysiąc, że milczał. W dziejach starego zegara był to niezwykły wypadek.

Cisza. Otchłań mroku. Słyszę niemal bulgotanie krwi w żyłach. Głębokie wzruszenie ani na chwilę mnie nie opuszcza. Mózg tłoczą pytania i dziwaczne przypuszczenia.

Co też zaszło na mrocznym szczycie wieży? Dlaczego zegar nie wybił należnej godziny? Może w mrokach nocy rozegrała się na wieży jakaś wstrząsająca tragedia? Może strażnikowi, w chwili, kiedy miał szarpnąć za linkę, by wydzwonić godzinę, przywarła do ust w palącym pocałunku lubieżna mara nocy i, poczuwszy nagłą niemoc, stoczył się na dno jakiejś piekielnej rozkoszy? A może ugodził go w serce sztylet dłoni skrytobójcy?

A może to tylko wróżba, że niebawem spotka mnie śmierć wczesna i nagła?

Przerażająca cisza nocna chłonie mnie w swój lejek i w obłędny wir porywa. Serce bije niespokojne, puls tętni młotem, żar, gorączka! Czas leci jak błyskawica, a zegar milczy!

Skoczyłem ku oknu: zionęła na mnie otchłań mroku...

Żeby choć jedno małe światełko...

Całe miasto niechybnie zapadło się pod moimi stopami w głąb ziemi, a ja o tym nie wiem! Ono wraz z wieżą było li tylko snem mej wyobraźni? Może nawet nigdy nie istniało? A ja żyję, czy śnię?

Szatańsko wykrzywiona twarz zagadki topi we mnie swe wieczne spojrzenie, w którym stoi wygięty łukowato czarny znak zapytania. Oto nocy tej dopełniła się straszna tajemnica: olbrzymie miasto w zmowie z siłami nieznanej potęgi zczezło z powierzchni ziemi, aby mnie przerazić.

Wydało mi się nagle, iż pokój mój pod dymnikiem oderwał się z ogromnym łoskotem od organizmu domu i runął w przestwór, jak kula armatnia. Czułem, jak ściany mej izby przewalały się z maszynowym rozpędem pode mną i drżały w gwałtownej rytmice szybkości. Zawieszony w powietrznej przestrzeni lecącego

Huskowski Jan

(1883–19..?)

Poeta, prozaik, dramatopisarz

Urodził się 23 kwietnia 1883 r. w Piaskach Wielkich w województwie lubelskim. O jego życiu prawie nic nie wiadomo: kim byli jego rodzice, jakie otrzymał wykształcenie, dlaczego wyjechał do Lwowa i mieszkał tam przez lat kilkanaście? Możemy tylko przeczuwać, że było to życie obfitujące w niespodzianki, gwałtowne zwroty, nieoczekiwane zdarzenia – zmierzające ku tragicznemu końcowi. Jedyne wzmianki biograficzne o Huskowskim (poza słownikiem Stanisława Lama) pochodzą z Archiwum Towarzystwa Literatów i Dziennikarzy Polskich. Notatka zamieszczona w „Świecie" (nr 25 z roku 1919) podaje, iż *„młody literat we Lwowie, w przystępie manii prześladowczej strzelił na ulicy do jednego ze znajomych, raniąc go ciężko"*.

Autorem innej, nieco dłuższej notatki („Świat" 1912/43) jest znany krytyk, publicysta, prozaik – Karol Irzykowski, który stwierdza z wyraźną złośliwością:

„Jeśli wolno małych z wielkimi zestawiać, to trzeba, jako typ niewolnika woli naszkicować sylwetkę obłąkanego dziś poety lwowskiego Jana Huskowskiego, który tworzył rycerzy pani Woli i sam nim był. Autor świetnych wizji Poe'owskich („Hek i Agon uparci", „Tragedia na wieży" – w zbiorniku „Spojrzenia") był zarazem piewcą samotności w mieście, które kochał i nienawidził. Proletariusz literacki, spragniony subtelnych związków przyjaźni i miłości, odczuwał nieznośny kontrast między marzeniem a rzeczywistością w sposób jeszcze naiwnie żywiołowy, z przestarzałą dziś niemal intensywnością: i – jeśli wolno stany patologiczne tłumaczyć psychologicznie – w tym właśnie tkwiła u niego przyczyna manii prześladowczej. Czuł się tak, jak się czuje człowiek noszący z sobą drogocenny skarb, a osaczony przez złodziei. Usposobienie podejrzliwe, ponure: w towarzystwie ciążył nad wszystkimi wiecznym swoim milczeniem. On już nie gromadził, on kuł w sobie wolę, która się czaiła w jego przymrużonych, na pozór spokojnych, siwych oczach ocienionych łukami krzaczastych brwi blond. Był to typ woli obronnej, zajadłej i tak rozpaczliwie bezradnej, jak płomień na mokrym gruncie. W jego nowelach uparcie, maniacko powraca ideał osiągniętej, panującej nad sobą woli, siły, inteligencji, duszy. Najulubieńszym jego słowem jest przymiotnik „stalowy". Oto jego „Zwycięstwo" (zbiorek „W płomienisku"): Wściekają się żywioły, tworzy się wulkan, ziemia pęka, upada potężny zamek – lecz władyka ziemi, stojąc na szczycie baszty zdołał się jeszcze podbić do góry... padł, zginął, ale z mocy własnego ciężaru, nie zabity przez obce przedmioty. Tu mamy kult woli dla woli odłączonej od zadań, ślepej. A ponieważ wola musi przecież mieć wyraźny znak samej siebie, szuka mordu: człowiek opętany nią dławi siebie lub drugich. Huskowski zamachem morderczym zakończył okres bolesnych napięć woli i przeszedł w świat posępnych spełnień".

Niestety, nie mogłem ustalić dalszych losów lwowskiego fantasty, ale należy sądzić, iż zakończył życie w zakładzie dla obłąkanych. Jego nazwisko nie figuruje w bibliografiach i słownikach, kilka zdawkowych uwag poświęca mu Czachowski w podręczniku historii literatury. Twórczość Huskowskiego urywa się gwałtownie w roku 1913, choć data śmierci sięga zapewne poza rok 1922 (w każdym razie Stanisław Lam o niej nie wspomina). Autor „Tragedii na wieży" nie nadesłał odpowiedzi na ankietę A. Peretiakowicza i M. Sobeskiego, którzy przygotowywali biogramy „Współczesnej kultury polskiej" (Poznań, 1936), niemniej sam fakt, iż taką ankietę do niego wysłano jest już wielce znaczący.

Jan Huskowski debiutował tomem poezji „Po drodze" (Księgarnia H. Altenberga, Lwów 1907). Na jednym z egzemplarzy książki zachowała się dedykacja: *„Wielmożnemu Panu Kornelowi Makuszyńskiemu w dowód wielkiej życzliwości i poważania – autor: 8 V 1907"*. Później Huskowski wydał kolejno kilka zbiorów nowel: **„Spojrzenia"** (Nakład Księgarni W. Połonieckiego, Lwów 1909; zawartość: Wiersz, Wojtuś wyzwolony, Przed balem, Dzień Ewy, Skrzydła stalowe, Bez pieniędzy, Dziwny autor, Przed bitwą, Miłość, Oszust, Z momentów jednej doby, Hek i Agon uparci, Tragedia na wieży, Próba miłości, Bajka, Przypadek miasta, Dwie potęgi, Kruk, Głos na puszczy, Puchar whisky, Głowa spiskująca, Zemsta, Narodziny, Wezwanie, Przypowieść o twórcy zaprzedajnym, O karierze wyjątkowej, Ludzie, o których marzyć się nie powinno, Pod łapą lwa, Pretensje pająków, Pieśń o życiu, Rzuty dyskiem, Pęd zachwiany, Sen), **„W płomienisku"** (Nakładem Księgarni W. Połanieckiego, Lwów 1912; zawartość: Wspomnienie, Więzień, Zwycięstwo, Światło, Połykacz szpad, Wywiad u literata, Biała dziewczyna, W słońcu, Cień, Dialog, List, Żart, Historia żałosna, Wiatr, Na pochwałę miasta, W dobę zmierzchu, Przestroga niejednemu, Koń, Ku pamięci słowo zapisane, Towarzyszowi na brzeg przeciwny wędrującemu, Tęsknota podróży, Ja, Wezwanie, Przeciw śmierci, O trawieniu, Ludzie interesu, O konsekwencji, Gdzie nasz przyjaciel? Odzienie, Omen), „Cienie" (szkic powieściowy, Wydawnictwo Kultura i Sztuka, Lwów 1913). W roku 1913 ukazała się jeszcze powieść „Gesty" (Wydawnictwo Kultura i Sztuka, Lwów) – *„historia o młodzieży zawiązującej kółko samokształceniowe (...), przekonanej iż wszelka ogranizacja krępująca członków przeszkadza swobodnemu rozwojowi indywidualności"* (zob. „Świat" 1914/3). Dramat

sześciościanu zapadałem zwolna w znieczulający stan oszołomienia.
Wtem, jakby pod powiewem wiatru, pokój mój wykonywać począł kołyszące się ruchy łódki, rzuconej na fale.
Ogarnął mnie chłód przyjemny.
Początkowo ruchy te były nierówne, gwałtowne, podobne do szarpnięć, stopniowo miękły, stawały się pieszczotliwymi w miarę zmniejszającego się kołysania. Ocuciło mnie nagłe wstrząśnięcie. Spojrzałem szeroko rozwartymi oczyma: uderzyła mnie niespodziana martwota wszystkiego. Tępy bezruch rzeczy przejął mnie lękiem śmiertelnym. Przyczaiłem się w sobie i czekałem.
Dookoła słała się złowrogim szelestem cisza. Każdy mój nerw był naprężony i łechtany przez nią drażniąco. Czarno było wokrąg, czarno było we mnie. Sam dla siebie stałem się paszczą bezdennej otchłani, w którą spadałem głową w dół, coraz niżej i niżej...
Czułem się rozprzestrzeniony na krańce otaczające mnie pomroki, tkwiło w tym coś groźniejszego niż w sekundzie zgonu.
Nie masz straszliwszego upiora nad tego, jakim się sam stajesz.
Czekałem dalej, ale już nie wybicia następnej godziny i nie świtu, jeno ciosu śmiertelnego z przestrzeni tej wszechobejmującej ciszy.
Nagle!
Rozlega się pierwsze, niepewne, zająknięte jakby uderzenie z wieży... pierwsze, drugie, trzecie, czwarte...
W niemej ekstazie słucham.
Uderzenia w noc idą, trwożne wielce, chwiejne, zrazu słabe, potem głośne, huczące burzliwie, brzemienne strasznym jakimś niepokojem. Uczucie lęku wzmaga się, w końcu jak wąż owija szyję i żądłem dopada.
A zegar bije nierówno, gorączkowo...
Woła bez ratunku, gnie się w błaganiu, niby przed grożących nieszczęść wichurą, jęczy żałośnie, huczy złowieszczo, grozi buntowniczo...
Wybił dwanaście.
Ostatnie uderzenie padło tępo, krótsze od innych, przedwcześnie urwane, jakby zdławione paraksyzmem strachu, nagłego przerażenia.
Echa nie było.
Ze spazmaycznym uporem umysł mój, nie mając oparcia, począł odtwarzać zapamiętane dźwięki, pieścić się z nimi, lubować. Była to jedyna dlań teraz ostoja, jedyna nić łącząca go z wyraźnym poczuciem rzeczywistości.
Wiedziałem teraz dobrze, że nie spotkało mnie nic tragicznego. I powoli z grozy, jaką byłem owiany, rodziła się silna i świadoma pewność siebie, jak u żeglarza, który po burzy dotknął wreszcie stopą lądu stałego.
Wtuliłem się wygodnie w poduszki i w ciemności uśmiechnąłem się do siebie na myśl o rozkoszy dalszego spokojnego istnienia. Z ust mi się chciało wyrwać koniecznie jakieś dobre słowo.
Zasypiając, daremnie łamałem sobie głowę nad pytaniem, czy zaszło co na ciemnym szczycie wieży, czy też wszystko było moim przywidzeniem...

Tragedia na wieży (w:) „Spojrzenia", Lwów 1909. Nakładem Księgarni Polskiej B. Połonieckiego, wybór ze stron 121-126.

M. Zalejski

Huskowskiego „Dzieło" grano w Lwowskim Teatrze Niezależnym w roku 1911.

Twórczość polskiego modernisty, nieznana dzisiejszym czytelnikom, imponuje umiejętnością operowania nastrojem, zaskoczeniem, wzmaganiem napięcia aż do ostatecznego rozwiązania. Tego rodzaju historią jest właśnie **„Tragedia na wieży"**, którą Irzykowski porównywał z nowelami Edgara Allana Poego. I rzeczywiście – opowieść Huskowskiego trzyma w napięciu, budzi lęk przed Nieznanym, czymś co ingeruje zdradziecko w losy naszego świata i co ważniejsze – nie rozszyfrowuje zagadki działając przemilczeniem i niedopowiedzeniem. „Tragedia..." może być również traktowana jako rodzaj wizji sennej, marzenia na jawie i dzięki temu uzyskuje wykładnię psychologiczną opisując ucieczkę w podświadomość, wewnętrzne przeżycia jednostki. Genezą tego utworu jest, w pewnym sensie, wiersz Huskowskiego pochodzący z tomu „Po drodze":

„Gdy północ wydzwoni czas swój na zegarze,
Porywam się często bezsenny z posłania
I, tłumiąc rozpaczliwie paroksyzmy łkania,
Błądzę oszalały po myśli obszarze...

I nowe odkrywam niepoznane światy,
Pustynie i lądy, wyspy i oazy.
W ów kraj wyobraźni ileż, ileż razy
Zrywała się myśl ma zza więziennej kraty!

Lecz zawsze daremne były jej poloty,
Dziś za to szczęśliwie wszystko przezwycięża
Mocą niezgaszonej, płomiennej tęsknoty...

Przeklinam wiek dziecka, wielbię dzielność męża
Który struny ducha, jak cięciw napręża
I w dal nieprzejrzaną ciska tęsknot groty!..."

(„Na szlakach Ikara")

Czy Jan Huskowski był naprawdę *„wybitnym talentem nie wzorującym się na nikim, nie poddającym się niczyim wpływom"* – jak sugerował przed laty recenzent jego „Cieni" (1913)? Z pewnością nie. Znać w jego niezrównoważonej, nerwowej, nieco chaotycznej prozie typowe doświadczenia modernizmu: fascynację Schopenhauerem i wolą przeobrażającą świat; uległość wpływom Nietzschego i francuskiego symbolizmu, a w planie formalnym – zindywidualizowanie narracji, otwartość, wylewność, bezpośredniość uczuć, ale zarazem bogactwo skojarzeń, czystość, precyzję języka, która do dziś budzi szacunek i uznanie.
Kontrowersje wokół twórczości Huskowskiego poczęły narastać jeszcze za jego życia, o czym zdają się świadczyć dwie, jakże różne recenzje zbiorów opowiadań:
„Z aforyzmów pisarza połowę można by bez najmniejszej szkody usunąć. Chociaż autor „Gestów" ma szczególny pociąg do groteski i satyry, jednak w tym kierunku uzdolnienia nie ma żadnego, ani niezbędnego humoru i dowcipu. To, co nazwał „groteską" jest nudne i choć pozuje na głębię, głębokiego nie wywiera wrażenia" (1910).
„Huskowski przebił się ku wyżynom o własnej i potężnej sile twórczej i dał społeczeństwu kilka prac wartościowych, cieszących się uznaniem najwytrawniejszych odbiorców" (1913).

Bibliografia wybrana
Ogólna:
– S. Lam: *Współcześni pisarze polscy (Literatura piękna – krytyka literacka).* Warszawa 1922.
– K. Czachowski: *Obraz współczesnej literatury polskiej 1884 – 1933*, Lwów 1934–1936.
– *Obłąkany literat.* (w:) „Świat" 1919/25.

Recenzje:
– (...) „Świat" 1903/24.
– K. Irzykowski (w:) „Świat" 1912/43
– (...) „Świat" 1914/3.

Przygotował
Andrzej Niewiadowski

Tadeusz Gosk (ur. 1936) – autor tekstów krytycznych, popularyzatorskich, a co ważniejsze tłumacz literatury SF debiutował w roku 1965 na łamach „Horyzontów Techniki". Od tego czasu na łamach „Problemów", „Literatury na Świecie", „Perspektyw", „Fantastyki" zamieścił ponad sto przekładów powieści, nowel i tekstów publicystycznych. Autor doskonałych tłumaczeń A. i B. Strugackich, S. Sniegowa, P. Bagriaka, J. Gulakowskiego i K. Bułyczowa zwierza się swoim czytelnikom z tajemnic warsztatu twórczego.

A.N.

Zwierzenia tłumacza

Tadeusz Gosk

Gdy redakcja zaproponowała mi napisanie niewielkiego szkicu poświęconego radzieckiej SF, znalazłem się w doprawdy trudnej sytuacji. Fantastyka radziecka jest zjawiskiem literackim i kulturowym o tak niezwykle szerokim zasięgu, długiej historii i ogromnej różnorodności, że nawet pobieżny jego opis jest po prostu niemożliwy. Musiałem zatem z morza tematów wybrać taki, który nie wymagałby napisania całej książki, co zresztą już przede mną zrobił Z. Dworak, którego szkice z historii radzieckiej SF winny niebawem ukazać się – o ile już się nie ukazały – w wydawnictwie KAW. Na szczęście przypomniałem sobie w porę, że nie jestem zawodowym krytykiem literackim, co od razu zawęziło pole moich poszukiwań. Przez moment miałem zamiar skoncentrować się na recepcji radzieckiej literatury fantastyczno-naukowej w Polsce, ale po przymiarkach, gdy zorientowałem się w liczbie tytułów, które musiałbym omówić, z żalem od tego pomysłu odstąpiłem. Aby tę moją rejteradę usprawiedliwić powiem tylko, iż czytelnikowska „Bibliografia utworów tłumaczonych na język polski" wymienia kilkadziesiąt powieści i zbiorów opowiadań SF radzieckiej, a wydawnictwo to, doprowadzone do roku 1980, nie uwzględnia niezliczonych wręcz publikacji prasowych z tego zakresu. W tej sytuacji nie miałem innego wyjścia, jak tylko odwołać się do moich już bez mała dwudziestoletnich doświadczeń i podzielić się z czytelnikami wypływającymi z nich refleksjami natury osobistej.

Sięgnąłem do własnej bibliografii i stwierdziłem z przykrością, że systematyczna analiza figurujących w niej dzieł i autorów też nie zmieści się w narzuconej mi objętości.

O czym więc będę pisał?

Uważni czytelnicy „Fantastyki" pamiętają zapewne, że jakiś czas temu obiecałem publicznie (co zostało utrwalone w relacji z zeszłorocznego pobytu w Polsce grupy fantastów radzieckich) tłumaczyć nie tylko Kira Bułyczowa. Przyszło mi to tym łatwiej, iż – jak niektórzy z miłośników gatunku zapewne się orientują – przekładałem radziecką fantastykę naukową zanim prof. Igor Wsiewołodowicz Możejko zaczął ją pisywać. Lecz gdy już zaczął, został jednym z najwybitniejszych jej twórców, moim ulubionym autorem i przyjacielem.

Chcę zatem ten szkic poświęcić głównie jemu i to nie tylko ze względu na moje prywatne sympatie, lecz przede wszystkim dlatego, że w jego twórczości, choć niezaprzeczalnie oryginalnej, odnajdujemy nie wpływ (to słowo narzuca myśl o naśladownictwie czy wręcz wtórności), ale z pewnością klimat i ładunek myślowy dzieł jego wybitnych poprzedników.

Było ich bardzo wielu. Mówiłem już, że fantastyka radziecka ma długą historię i odżegnywałem się od jej przedstawiania, ale – nie sięgając nawet do wcześniejszych jeszcze tradycji rosyjskiej literatury baśniowej i utopijnej czy literatury rosyjskiej w ogóle – muszę wymienić tu przynajmniej parę nazwisk. Przytoczę je w porządku chronologicznym, unikając jakiegokolwiek wartościowania. Zatem przed Bułyczowem byli w fantastyce radzieckiej Aleksy Tołstoj i Aleksander Grin, Aleksander Bielajew oraz Iwan Jefremow, był niepowtarzalny Michał Bułhakow, no i naturalnie postać numer jeden radzieckiej fantastyki – bracia Strugaccy. Nie, wcale się nie przejęzyczyłem! Istotnie uważam Arkadego i Borysa Strugackich za jedną postać. Dziennikarze i krytycy wielokrotnie usiłowali wydusić z nich informację, w jaki sposób piszą swe znakomite utwory, jak dzielą między siebie pisarskie zadania. Bez rezultatu. Wcale się temu nie dziwię. Podejrzewam, że sami nie wiedzą, jak to się dzieje, iż powstaje kolejne wybitne dzieło opatrzone ich nazwiskiem. Bracia Strugaccy są bowiem – takie jest przynajmniej moje najgłębsze przekonanie – bardzo często spotykanym w fantastyce, lecz niezmiernie rzadkim w życiu fenomenem określanym nazwą intelektu zbiorowego. Nazwa może w tym wypadku nie jest najszczęśliwsza, ale fakt pozostaje faktem, że gdy tworzący ten tandem astrofizyk i japonista postanowili się usamodzielnić i każdy z nich napisał pod pseudonimem własny tekst – zakończyło się to zupełnym fiaskiem. Miałem w ręku przypisywane im książki. Są poprawne, lecz z ledwością przekraczają granice publikowalności. Smutne to, ale nade wszystko zdumiewające.

Wróćmy jednak do Kira Bułyczowa. Zadebiutował w drugiej połowie lat sześćdziesiątych. Był wówczas dziennikarzem, autorem publikowanych pod własnym nazwiskiem książek popularnonaukowych i przymierzał się do kariery historyka-orientalisty. Swoje pierwsze opowiadanie SF (nie licząc przygodówki z elementami SF, którą opublikował jako rzekome tłumaczenie z języka bodajże birmańskiego) zatytułowane „Kiedy wymarły dinozaury" napisał do gotowej okładki czasopisma. Po prostu ktoś miał to opowiadanie dostarczyć, grafik sporządził projekt, okładkę wydrukowano, ale autor nie złożył na czas tekstu. No i w tej sytuacji narodził się Kirył Bułyczow.

Opowiadanie było takie sobie, minęło bez większego echa i wszyscy zapomnieliby o jego twórcy, gdyby niebawem nie ukazały się „Opowieści o dziewczynce, której nic złego nie może się przydarzyć". Te urocze bajeczki pisane dla malutkiej Alicji Możejkówny znamionowały narodziny pisarza, ale we mnie osobiście (nie przełożyłem ani jednego utworu z obszernego już dziś cyklu o przygodach Alicji) nie wzbudziły szczególnego entuzjazmu, podobnie jak zgrabne i zajmujące dziełka należącego do nurtu fantastyki standardowej, których zresztą wiele przetłumaczyłem.

Kirył (ostatnio Kir) Bułyczow stał się dla mnie sprawą osobistą w chwili, gdy przeczytałem jego pierwsze opowiadanie, którego akcja toczyła się w Wielkim Guslarze. Nie pamiętam już jego tytułu, ale na tle dobrych lub wręcz znakomitych utworów wymienionych już tu braci Strugackich, Sewera Gansowskiego (nb. potomka polskiego zesłańca), Ilii Warszawskiego, Dymitra Bilenkina czy Wadima Szefnera – uderzał oryginalnością i świeżością kreowanego świata. Chyba się trochę zagalopowałem, gdyż świat Wielkiego Guslaru jest w gruncie rzeczy światem potocznym i zwyczajnym, tym tylko różniącym się od realnej codzienności współczesnego prowincjonalnego miasteczka radzieckiego, że ten leżący wśród pól i lasów gród upodobali sobie dla odwiedzin rozliczni przybysze z kosmosu. Skąd więc ta moja (i chyba nie tylko moja) fascynacja?

Wynika ona z tego, że Kir Bułyczow lubi swoich bohaterów, ma dla nich wiele ciepła, wiele im wybacza i potrafi patrzeć na ich niewątpliwe wady z dobroduszną pobłażliwością. Potrafi ocenić ich zalety i przymykać oczy na przywary – po prostu kocha ludzi. Ale jeszcze innym powodem mojego zauroczenia jest zjawisko przeciwstawne temu, które obserwujemy w wypadku Strugackich. Igor Wsiewołodowicz Możejko nawet pod postacią Kira Bułyczowa sprawia na mnie czasem wrażenie człowieka o wielorakiej jaźni, bo przecież poza fantastyką dziecięcą, standardową i „guslarską" uprawia jeszcze jeden rodzaj pisarstwa SF, w którym dla swoich bohaterów jest o wiele surowszy. Mam tu na myśli opowiadania w gruncie rzeczy realistyczne, które z fantastyką wiąże potraktowany pretekstowo jakiś jeden rekwizyt SF (na przykład „Inna polana"). Jak on potrafi to w sobie łączyć...? Poza tym istnieje jeszcze coś takiego, jak podobny rodzaj wrażliwości językowej autora i tłumacza, która sprawia, że translator traktuje przekład jako tekst własny. Tak właśnie jest w wypadku pary Bułyczow-Gosk.

Skoro już o tym mowa, to tłumaczenie literatury pięknej, a zwłaszcza literatury fantastyczno-naukowej wymaga pewnych szczególnych predyspozycji oraz dość rozległej wiedzy z najzupełniej czasem nieoczekiwanych dziedzin, a przynajmniej umiejętności uczenia się rzeczy nowych (że nie wspomnę już o doskonałej znajomości języka, na który się przekłada, co jest conditio sine qua non). Co do dyspozycji ogólnych, to potrzebne są one do jak najlepszego zrozumienia tekstu oryginalnego, wczucia się w myśl autora, jasnego wyobrażenia sobie opisywanych sytuacji. W tym ostatnim pomocna jest właśnie wiedza uprzednio już posiadana lub nabyta umyślnie z okazji konkretnego tłumaczenia. Dlatego w pracach młodych wiekiem tłumaczy bywa tak wiele potknięć natury nie tylko językowej. Po prostu nie mieli oni czasu lub nie czuli potrzeby, żeby nauczyć się „wszystkiego".

Dwa przykłady z mojej praktyki.

Opowiadanie „Metro" A. Pieczenieżskiego toczy się w tunelach kolei podziemnej, zaś „Synteza PSA" M. Kriwicza ma intrygę opartą między innymi na poszukiwaniu dróg syntezy pewnego preparatu. Przy tłumaczeniu pierwszego z nich poza pokonaniem trudności natury stylistycznej (tekst składa się z jednego, ciągnącego się na dziewięć stron zdania) musiałem przebrnąć przez moją względną niewiedzę na temat budownictwa podziemnego, kolejnictwa itp.; drugie zaś poszło mi zupełnie łatwo, bo i język miało zwyczajny, i nie musiałem się doń niczego uczyć, jako że studiowałem kiedyś chemię na politechnice.

Te dwa utwory wymieniłem po pierwsze dlatego, że ich autorzy – zwłaszcza Pieczenieżski – rokują dobre nadzieje na przyszłość, a po wtóre na dowód, że tłumaczę nie tylko mojego ulubionego Kira Bułyczowa. ■

Zelimir Koščević – wieloletni recenzent miesięcznika „Sirius" pisze o fantastyce jugosłowiańskiej. Jego spostrzeżenia – nie pozbawione ironii – mogą stanowić przestrogę dla wielu czytelników SF, kórzy z bezkrytycznym optymizmem chwytają za pióro, aby spróbować swych sił w tym, jakże trudnym, gatunku prozatorskim.

A.N.

Zwierzenia recenzenta

Želimir Koščević

Będąc pełne trzy lata recenzentem literackim zagrzebskiego miesięcznika poświęconego fantastyce naukowej „Sirius", przeczytałem prawie wszystko, co w tym gatunku literackim napisano w Jugosławii. Według moich wykazów jest to około tysiąca opowiadań pióra blisko dwustu pięćdziesięciu autorów, co niedwuznacznie wskazuje na rozmiary zainteresowania fantastyką naukową w naszym kraju. (...)

Potrzeba uprawiania fantastyki naukowej wywodzi się z immanentnych cech samego gatunku. Listy, które jako recenzent dostawałem w wielkiej obfitości, zaczynały się najczęściej tak: *„Jestem wielkim miłośnikiem fantastyki naukowej. Łykam wszystko, co mi wpadnie do ręki. Jestem studentem... i mam pewne pomysły, które przelałem na papier..."* Albo: *„Postanowiłem do Pana napisać. Załączam kilka swoich opowiadanek SF, o których przyjaciele mówili mi, że są dobre..."* Albo: *„Mam ... lat i okropnie lubię fantastykę naukową... Czytając „Sirius" pomyślałem sobie, że mógłbym sprawdzić się w pisaniu SF. Porozmyślałem, wpadło mi do głowy kilka pomysłów i oto wynik leży przed Panem..."* (...)

Wyjście ze stanu anonimowości, krok od pierwszej próby nadania kształtu pomysłowi do druku jest długi i wymaga niezwykłego uporu. Nie ulega wątpliwości, że wielu autorów boryka się z problemem samego pisania. Tu recenzent postępuje bez skrupułów. Do kosza. Ani ja, ani redakcja nie oceniamy półpiśmiennych wypracowań. Jest to sprawa szkoły. Tragedia zaczyna się jednak, gdy nadarzy się autor z dobrym pomysłem, którego nie umie przyoblec w dającą się zaakceptować formę narracyjną. Takie opowiadania stanowią swego rodzaju twórczość amatorską, rzekłbym nawet literaturę naiwną, która na pewno miewa swój urok, ale z trudem poddaje się ocenie według kryteriów estetycznych, obowiązujących w sferze twórczości „profesjonalnej". Teksty te można zresztą rozpoznać po ich specyficznej tematyce i ikonografii. Pod względem tematycznym są to najczęściej opowieści o zagadkach Trójkąta Bermudzkiego, o meteorycie tunguskim albo o Pierwszym Spotkaniu. Źródłem takiej tematyki przy typowo amatorskim charakterze całej jugosłowiańskiej fantastyki naukowej jest bez wątpienia ten rodzaj literatury ludowej, która swoją sensacyjność buduje na duchowym dziedzictwie E. von Daenikena i jemu podobnych. Takich sensycyjnych artykułów i felietonów mamy, dzięki Bogu, mnóstwo i one to stanowią glebę, z której kiełkuje później „intelektualny" wariant amatorskiej fantystyki naukowej. Rzecz ciekawa – ikonografia w takich opowiadaniach ma charakter paleotechniczny. Jako motywy ikonograficzne służą tu *„różnokolorowe przyciski", „spirale", „połyskliwe stroje", „jarzące się korytarze wyłożone jakąś świetlistą materią", „promienie śmierci"* itd. Charakterystyczna jest również mała objętość tych opowiadanek. Są to tak zwane mikroopowiadania. O czym owe mikroopowiadania mówią? O tym, że ich autorom najzwyczajniej brakuje doświadczenia, odpowiedniego zasobu słów oraz spójności logicznej, by pomysł – jak powiadam często całkiem niezły – przyoblec w formę klarownej opowieści. (...)

Pod względem ilościowym takie „opowiadania" zdecydowanie biją wszystkie recenzowane utwory. Stanowi to tylko potwierdzenie znanej prawdy, że 90 procent produkcji z zakresu fantastyki naukowej ląduje w koszu na śmieci. Tak duży odsetek braków dobitnie ukazuje stan kultury piśmienniczej i na to nic już nie można poradzić. Gdyby jednak spojrzeć na to samo zjawisko pod innym kątem, odpady te mogłyby być niepodważalnym świadectwem inspiratorskiej roli fantastyki naukowej w upowszechnianiu jakiej takiej kultury piśmienniczej i kształtowaniu klimatu, w którym człowiek jest już nie tylko biernym przeżuwaczem, ale i aktywnym uczestnikiem kultury w najszerszym rozumieniu tego pojęcia.

Ogólna przewaga anglo-amerykańskiej fantastyki naukowej wywarł swoje piętno i na owych dziewięćdziesięciu procentach prób literackich. Jeff, Mary, Billy, Jane – to często imiona bohaterek i bohaterów jugosłowiańskiej fantastyki. Umiejscowienie akcji bywa określone toponimami angloamerykańskimi. Scenografia kosmiczna pełna jest maszyn US Air Force. Środki płatnicze to albo dolary, albo też credity. (...) Mamy więc tu do czynienia z syndromem anglo-amerykańskiej fantastyki naukowej, a na ten syndrom cierpi SF prawie we wszystkich krajach o stosunkowo wąskim obszarze językowym.

Podsumowując: olbrzymia większość podejmowanych u nas prób pisarskich z dziedziny fantastyki naukowej kończy się niepowodzeniem. Powody są następujące: a) nieumiejętność pisania, b) banalność tematu i wątków, c) stereotypowość ikonograficzna i scenograficzna, d) niewykorzystanie pomysłu. W ujęciu bezwzględnym obraz ów nie jest jednak tak tragicznie ponury. Jeśli wziąć pod uwagę, że przez omawiane trzy lata na adres „Siriusa" przysłało swe prace około dwustu pięćdziesięciu autorów, z czego opublikowano opowiadania siedemdziesięciu trzech, to okaże się, iż ponad 30 procent autorów przebiło się na łamy pisma. Jest to znacznie ponad średnią wyliczoną przez Lema. Ale też „Sirius" plasuje się powyżej średniego europejskiego nakładu dla podobnych miesięczników. (...)

Zanim przyjrzymy się opowiadaniom, które uzyskały pomyślną ocenę renczenzenta, zatrzymajmy się przez chwilę nad znaczną liczebnie grupą opowiadań, o których powiada się, że „niewiele im brakuje". Te opowiadania mają doskonały pomysł, ale zostały nieporadnie napisane, albo mają oryginalny ikonograficznie, pełen wyobraźni scenariusz bez specjalnego pomysłu, albo też są zręcznie napisane, ale temat i wątki banalne. Ich autorzy powinni jeszcze popracować i powiązać wszystkie elementy opowiadania w jednolitą pod względem walorów całość. (...) W takich przypadkach dzięki interwencjom redakcji można doprowadzić opowiadanie do poziomu, który umożliwia publikację. Interewncje te oczywiście nie mogą być zbyt duże, chodzi przede wszystkim o wyprostowanie logicznego biegu narracji i ustanowienie ciągłości tam, gdzie się autor pogubił. Najczęściej zabiegi takie pozostawia się pisarzowi, ale możliwe są również poprawki na miejscu. Są one z zasady minimalne.

Rzuca się w oczy, że pośród opowiadań, którym „niewiele brakuje" do tego, by zostały opublikowane, a więc, by otrzymały pozytywną recenzję, sporo jest takich, które poruszają tematykę kosmogonii i eschatologii. Fantastyka naukowa przydaje atrakcyjnych ram dywagacjom na temat uniwersalnych dylematów związanych z nastaniem i pochodzeniem człowieka, Ziemi, wszechświata, a także z ich końcem. Są to zazwyczaj bardzo pretensjonalne opowiadania, najczęściej zupełnie poprawne formalnie, pisane wprawnym piórem i z niezłą formą narracyjną. Atoli dążenie do tego, by w ramach dziesięcio-piętnastostronicowego opowiadania zawrzeć całą kosmogonię niemal zawsze przynosi rezultat w postaci wyświechtanych komunałów o życiu i śmierci; takie opowiadania w swojej ogólnikowości rezygnują z detalu jako tworzywa konstrukcyjnego. Każde takie opowiadanie rozpoczyna opis Prapoczątku, na przykład: *„W mrokach Wszechświata, w ostatnim i najdalszym jego zakątku, w wirze burz elektromagnetycznych na planecie oświetlonej podwójnym słońcem rodziło się życie..."* albo: *„Masa poczuła, że jej świadomość się budzi. Poczuła ciepło otaczającej ją zewsząd cieczy. Słyszała odgłosy życia, które tak jak ona przechodziło ze stanu spoczynku w stan ruchu..."* i tak dalej. Ziemski wariant kosmogonii, filogeneza, rozpoczyna się zazwyczaj od praczłowieka. Nie trzeba być szczególnie przenikliwym ani mądrym, by dostrzec uderzające podobieństwo takich początków z generalnym początkiem „Odysei kosmicznej". Ten rodzaj naszej fantastyki naukowej jest zwykle blisko związany z eschatologią, ta zaś, w myśl stereotypowego modelu, łączy się z katastrofą nuklearną. Charakterystyczny wariant wyglądałby tu tak: *„Człowiek żył w jaskini. Bez świadomości. Zdobywał pożywienie, wydawał potomstwo i znikał ze świata. Miał siekierę i ogień. Był sam... I wtedy, jeden po drugim, zaczęły wyrastać atomowe grzyby..."* Na drodze od prapoczątku do atomowego końca świata, bliżej czasowo niesprecyzowanego, w kontekście opowiadania pojawia się nieraz motyw „obserwatora", zazwyczaj istoty kosmicznej na wyższym szczeblu rozwoju, bądź „uniwersalnego rozumu". Jest on bezstronnym świadkiem procesów zachodzących na Ziemi od początku do końca. (...) Do bardziej trywialnych odmian kosmogonii i eschatologii bywa też wbudowywana standardowa „daenikenowszczyzna" albo banalne instrumentarium oparte o ikonografię niezidentyfikowanych obiektów latających (UFO).

Ramy tematyczne jugosłowiańskiej SF pokrywają się zasadniczo z rejestrem tematów zadomowionych w światowej fantastyce naukowej. Pewną specyfikę stanowią tak zwane „tematy naiwne", a więc na przykład Trójkąd Bermudzki albo Atlantyda. Dla łatwiejszego zorientowania przygotowa-

Dokończenie na stronie 9

Dokończenie ze strony 59

tem następujący wykaz tematów charakterystycznych dla jugosłowiańskiej fantastyki naukowej:

1. KONTAKT
   - 1.1. Człowieka z Obcym
   - 1.2. Obcego z człowiekiem
   - 1.3. Pierwszy Kontakt
2. ROBOTYKA
   - 2.1. Komputer panuje
     - 2.1.1. Komputer wariuje
     - 2.1.3. Komputer pomaga
     - 2.1.4. Warianty humorystyczne
   - 2.2. Androidy
3. TEMATY SPOŁECZNE
   - 3.1. Utopia
   - 3.2. Totalitaryzm
   - 3.3. Komunizm
   - 3.4. Technokracja
4. HORROR
   - 4.1. Mutanty
   - 4.2. Sztuczny człowiek/transplantacje
   - 4.3. Hibernacja
5. KATASTROFA
   - 5.1. Naturalna
     - 5.1.1. Słońce gaśnie
     - 5.1.2. Kolizja planet (meteor)
     - 5.1.3. Nowa era lodowcowa
     - 5.1.4. Przyczyny biologiczne i różne
   - 5.2. Przyczyny sztuczne
     - 5.2.1. Katastrofa nuklearna
     - 5.2.2. Zagłada wywołana czynnikami zewnętrznymi
6. PRZYGODA
   - 6.1. Porwanie
   - 6.2. Badanie Nieznanego
   - 6.3. Western
   - 6.4. Wojna międzygalaktyczna
7. PODRÓŻE W CZASIE
   - 7.1. Do przodu
   - 7.2. Do tyłu
   - 7.3. Tam i z powrotem (w przeszłość i w przyszłość)
8. POZOSTAŁE
   - 8.1. Tematy biblijne
   - 8.2. Wielkie zagadki pop-kultury XX wieku
   - 8.3. UFO

Ten sumaryczny przegląd ma oczywiście swoje braki, ale ogólnie biorąc pokrywa wszystkie tematy obecne w naszej fantastyce naukowej. Wahania ilościowe w obrębie schematu są bardzo poważne. Przyczyn tego należałoby szukać przede wszystkim w amatorskim poziomie i charakterze jugosłowiańskiej SF. Jak powiedziałem na początku, główny impuls, jakim kierują się piszący science fiction kryje się w samej fantastyce, a nie w motywacjach, które determinują literaturę jako sztukę słowa pisanego. Powiedzmy otwarcie: naszą fantastykę naukową tworzą amatorzy (z kilkoma chlubnymi wyjątkami, które można porachować na palcach jednej ręki). Ten fakt wcale nie przynosi zaszczytu profesjonalistom literackim. Wydaje się, że nie są oni po prostu zainteresowani fantastyką naukową albo – rzecz nie tak znowu dziwna – uważają ją za pośledniejszy gatunek literacki, którego im, zawodowcom, uprawiać nie wypada. Nie ma potrzeby tutaj nikogo przekonywać, jak wielki to błąd. Tak czy owak, cały gatunek tworzony jest w rezerwacie amatorszczyzny, poza głównym nurtem naszej literatury współczesnej i poza obrębem profesji literackiej. (...)

Przełożył Jerzy Chmielewski

„Delo", nr 3/1981, s. 69–76.

Bibliografia prac Iwana Jefremowa wydanych w języku rosyjskim

lp.	Tytuł	Wydawnictwo	Rok wydania	Nakład
1.	*Wstriecza nad Tuskaroroj*	Wojenmorizdat	1944	nie podany
2.	*Piat' rumbow*	Mołodaja Gwardija	1944	25 000
3.	*Biełyj Rog*	*Mołodaja Gwardija*	*1945*	*30 000*
4.	*Tień minuwszewo*	Dietgiz	1945	45 000
5.	*Rasskazy o nieobyknowiennom*	Stalingrad	1946	10 000
6.	*Ałmaznaja truba*	B-ka „Ogońka"	1946	100 000
7.	*Biełyj Rog*	*OGIZ Kujbyszew*	*1948*	*15 000*
8.	*Zwiozdnyje korabli*	Dietgiz	1948	30 000
9.	*Na kraju Ojkumeny*	*Mołodaja Gwardija*	*1949*	*15 000*
10.	*Rasskazy*	Mołodaja Gwardija	1950	75 000
11.	*Na kraju Ojkumeny*	Mołodaja Gwardija	1952	75 000
12.	*Pucziszestwije Baurdziera*	Mołodaja Gwardija	1953	90 000
13.	*Zwiozdnyje korabli*	Dietgiz	1953	75 000
14.	*Ałmaznaja truba*	Dietgiz	1954	75 000
15.	*Oziero Gornych Duchow*	Dietgiz	1954	150 000
16.	*Na kraju Ojkumeny. zwiozdnyje korabli*	Dietgiz	1956	300 000
17.	*Wielikaja Duga*	Mołodaja Gwardija	1956	150 000
18.	*Doroga wietrow*	Trudriezierwizdat	1956	15 000
19.	Wielikaja Duga	Mołodaja Gwardija	1957	150 000
20.	*Tumannost' Andromiedy*	Mołodaja Gwardija	1958	165 000
21.	*Tumannost' Andromiedy*	Roman-Gazieta	1959	500 000
22.	*Buchta Radużnych Struj*	Sowietskij Pisatiel'	1959	75 000
23.	*Na kraju Ojkumeny. Zwiozdnyje korabli*	Dietgiz	1959	150 000
24.	*Na kraju Ojkumeny*	Gorkowskoje Kniżnoje Izd-wo	1959	75 000
25.	*Jurta Worona*	Mołodaja Gwardija	1960	200 000
26.	*Tumannost' Andromiedy*	Mołodaja Gwardija	1960	75 000
27.	*Na kraju Ojkumeny. Zwiozdnyje korabli*	Kirgizskoje Gusud. Izd-wo. Frunze	1961	225 000
28.	*Tumannost' Andromiedy*	Gos. Izd-wo Chudożestwiennoj Lit.	1961	200 000
29.	*Tumannost' Andromiedy*	Mołodaja Gwardija	1963	75 000
30.	*Doroga wietrow*	Giegrafizdat	1962	50 000
31.	*Liezwije britwy*	Mołodaja Gwardija	1964	115 000
32.	*Sierdce Zmieji*	Dietskaja Litieratura	1964	100 000
33.	*Tumannost' Andromiedy*	Siewiero-zap. Izd-wo	1964	90 000
34.	*Liezwije britwy*	Mołodaja Gwardija	1965	100 000
35.	*Tumannost' Andromiedy*	Mołodaja Gwardija	1965	215 000
36.	*Sierdce Zmieji*	Mołodaja Gwardija	1968	100 000
37.	*Sierdce Zmieji*	Dietskaja Litieratura	1970	300 000
38.	*Czas Byka*	Mołodaja Gwardija	1970	200 000
39.	*Tais Afinskaja (pow. historyczna. Dzieła w trzech tomach)*	Mołodaja Gwardija	1973	100 000
40.	*Tom I – Rasskazy*	Mołodaja Gwardija	1975	200 000
41.	*Tom II – Na kraju Ojkumeny, rasskazy*		1975	200 000
42.	*Tom III cz. 1 Liezwije britwy cz. 2 Tumannost' Andromiedy*		1975	200 000
44.	*Tais Afinskaja (ta sama edycja)*	Mołodaja Gwardija	1977	100 000
45.	*Doroga wietrow*	Mołodaja Gwardija	1980	150 000
46.	*Tais Afinskaja*	Izd. „Prawda"	1980	300 000
47.	*Tais Afinskaja*	Izd. „Prawda"	1980	100 000
48.	*Tais Afinskaja* (edycja za makulaturę)	Żazumy, Atma-Ata	1980	380 000 (I seria) 475 000
49.	*Tais Afinskaja* (edycja na kupony)	Dietskaja Litieratura	1981	800 000
50.	*Tumannost' Andromiedy*	Wołgo-Wiatskoje izd-wo Gorkij	1982	100 000
51.	*Na kraju Ojkumeny. Zwiozdnyje korabli* (na subskrypcję)	Strojizdat	1982	416 000

Łączny nakład: 8 156 000

Najważniejsze utwory wydane w czasopismach w języku rosyjskim

1. Tumannost' Andromiedy	w: Tiochnika Maładioży	1957	500 000
2. Liezwije britwy	w: Niewa	1963	200 000
3. Czas Byka	w: Mołodaja Gwardija	1969	230 000
4. Tais Afinskaja	w: Mołodaja Gwardija	1972	367 000

Nakład czasopism: 1 297 000

Nakład ogółem 9 453 000

(tm)

Iwan Jefremow (1907–1973) jeden z czołowych fantastów radzieckich należał bezprzecznie do klasyki światowej science fiction i był autorem popularnym także w naszym kraju. Wielu przyszłych pisarzy SF rozpoczynało swą przygodę z fantastyką od lektur „Białego rogu" i „Mgławicy Andromedy". Dziś przypominamy naszym Czytelnikom mało znane fakty z biografii Iwana Jefremowa przedrukowując wywiad, którego pisarz udzielił na trzy lata przed śmiercią (w roku 1970) reporterowi „Gudoka" oraz przedstawiamy bibliograficzny spis jego utworów.

A.N.



Kraina Fantazji

Z Iwanem Jefremowem rozmawia W. Gitkowicz

W. Gitkowicz: – Jak został pan fantastą?

IWAN JEFREMOW: – Jestem raczej marzycielem. Słowo fantasta sugeruje, że ktoś siedzi i fantazjuje na zadany temat. Ja zaś od dziecka wymyślałem najrozmaitsze wynalazki. Podobnie w nauce. Tu również zajmowałem się niezbadanymi tematami i działami nauki – w geologii i paleontologii.

– W opowiadaniu „Lej diamentowy" przewidział pan odkrycie w Jakucji diamentów. Co panu w tym dopomogło?

– Pomogło mi, że jestem geologiem, który wiele lat przepracował na Syberii i wspólnie z kolegami starł wiele białych plam, jakie w owych czasach istniały na mapach. Nie było to jednak żadne proroctwo. Po prostu przeniosłem w teraźniejszość wizję przyszłości, to co dopiero powinno zostać odkryte. Uważałem, że struktury geologiczne Syberii i Afryki Południowej są do siebie zbliżone. Nawiasem mówiąc, udało mi się przewidzieć jeszcze parę innych rzeczy. Gdy byłem młodym uczonym, postulowałem konieczność prowadzenia badań rzeźby dna oceanów. Napisałem o tym do „Geologische Rundschau". Wtedy było to poważne, naukowe czasopismo. Po jakimś czasie otrzymałem odpowiedź podpisaną przez znanego specjalistę w zakresie morskiej geologii Otto Prate. Stwierdził, że „artykuł pana Jefremowa jest całkowitą fantazją. Nie istnieje rzeźba dna oceanicznego. Jest ono całkowicie płaskie i pokryte grubą warstwą osadów". „Zniszczył" mnie w ten sposób i artykuł nie został opublikowany. Obecnie wiemy, że na dnie są grzbiety górskie, wąwozy i powierzchniowe złoża minerałów.

Podobnie przedstawiała się sprawa z opowiadaniem „Cień przeszłości". W „Litieraturnoj gazietie" J. N. Denisiuk, wynalazca holografii, stwierdził, że zajął się wspomnianymi badaniami pod wpływem mojego opowiadania, opublikowanego w roku 1944. Pisałem wtedy, że jedynym problemem jest brak odpowiednio silnego źródła światła. Gdy wynaleziono lasery i masery otrzymaliśmy takie źródło.

W opowiadaniu „Jezioro Górskich Duchów" pisałem o rtęciowym jeziorze na Ałtaju. Niedawno właśnie na Ałtaju znaleziono rtęć. Oczywiście nie można tego traktować jako jakiegoś „daru proroczego". Po prostu, gdy jest się uczonym o dość rozległych horyzontach, wyłapuje się wszystko co „wisi w powietrzu". Potem, jeśli dysponujemy jakąś szczyptą fantazji, możemy bez specjalnych trudności pomysł ten „urealnić". Dlatego też sądzę, że fantazja jest rzeczą niesłychanie ważną. Gdyby nie fantazja, wszelkie nauki stałyby w miejscu. Fantazja to fala, ze szczytu której można sięgać wzrokiem o wiele dalej, zobaczyć więcej, choć może niezbyt wyraźnie. Pamięta pan wiersze Feta?

„Na grzbiecie fali wzbić się w życie inne
i w wietrze poczuć nieznanych kwiatów woń"

To właśnie czynią fantaści.

– Większość zagranicznych pisarzy przedstawia spotkanie Ziemian z innymi cywilizacjami w nader minorowej tonacji. W utworach naszych autorów panuje optymizm. W czym upatruje pan jego źródło?

– Człowiek z istoty swej nie jest zły, jak zakładają to niektórzy fantaści. W czasie swej historii przezwyciężył wiele niedostatków, nauczył się tłumić egoistyczne instynkty, wykształcił w sobie nawyki dążenia z pomocą wspólnej pracy... No, a poza tym istnieje wspaniałe uczucie: miłość. To właśnie pozwala nam wierzyć, że wiele jest w człowieku dobrego i przy odpowiednim wychowaniu społecznym bez trudu osiągnie on tę dyscyplinę, oddanie wspólnej sprawie, troskę o towarzysza, o innego człowieka.

– Jako geolog powinien pan interesować się próbkami gruntu przywiezionymi przez „Łunę-16". Co można z nich wywnioskować? Co mogą powiedzieć nam rdzenie wiertnicze z Marsa i innych planet?

– Gdy trafimy do zupełnie niezbadanych miejsc i widzimy w oddali grzbiet górski, zawsze przychodzi do głowy myśl, że przy pierwszym uderzeniu młotkiem dokonamy jakiegoś zupełnie nowego odkrycia. W rzeczywistości prawie nigdy tak się nie zdarza. Należy rejestrować szczegóły budowy geologicznej, pobierać z różnych miejsc próbki i dopiero wtedy, stopniowo zaczyna rysować się obraz. Podobnie i w tym przypadku. Trzeba będzie zdobyć próbki z różnych punktów Księżyca, być może setki próbek. Będą one przeczyć sobie nawzajem, dane nie będą się pokrywać, uczeni będą dyskutować. I dopiero po solidnych badaniach wyłoni się klarowny obraz.

– Jak wyobraża pan sobie środki transportu na Ziemi za jakieś 100–200 lat?

– W tym przypadku moje poglądy odbiegają dość daleko od koncepcji kolegów-fantastów. Uważam, że prędkość naziemnych środków transportu nie powinna wzrosnąć zbyt dużo – w komunikacji masowej wielkie prędkości nie są potrzebne. W wyjątkowych przypadkach, takich jak pomoc medyczna, powinny być dostępne superszybkie środki transportu, choćby rakiety. Poza tym jednak powinny one być ekonomiczne. Wydaje mi się, że prędkość pociągu w granicach 200 km/godz. jest zupełnie wystarczająca, byleby pociąg ten mógł zabierać duże ilości ładunków. Postęp polega nie tyle na zwiększaniu prędkości, ile ładowności, udźwigu, rozstawu szyn. Myślę o nasypach szerokości sześciu, a nawet dziesięciu metrów. Każdy wagon będzie miał ładowność średniego statku. Poza tym, duża część linii komunikacyjnych, szczególnie w górach, powinna znaleźć się pod ziemią. Przecież w przyszłości technika wyposaży nas w mechanizmy, które będą szybko drążyć tunele.

– Sprecyzujmy. To, o czym pan mówi, dotyczy pociągów towarowych. No, a czy za sto lat będą istnieć pociągi pasażerskie, czy wymyśli się coś zupełnie nowego?

– Oczywiście, że będą istnieć – o prędkości 200–300 km/godz. Kto będzie chciał podróżować szybciej, wybierze rakietę albo samolot. Wie pan, przypominam sobie, jak po wyjściu z tajgi, po kąpieli, spakowaniu i nadaniu na bagaż rzeczy wsiadałem wreszcie do pociągu, w którym są miękkie siedzenia, jest ciepło i jasno... Była to taka rozkosz, że gotów byłem jechać nawet dziesięć dni. Mówiąc krótko – jestem zwolennikiem „powolnych" środków transportu, które nie tylko umożliwiają przenoszenie się z miejsca na miejsce, ale również pozwalają rozkoszować się pięknem Ziemi.

– A teraz, Iwanie Antonowiczu, ostatnie, tradycyjne pytanie. Czym pasjonuje się pan w wolnych chwilach?

– Rzecz w tym, że nie mam wolnych chwil.

– Tak odpowiadać nie wolno. To nie fair.

– No dobrze, ale to nie pasja, lecz takie sobie maleńkie hobby. Gdy trzeba było sporządzić ilustracje do „Mgławicy Andromedy" okazało się, że artyści-graficy nie potrafią rysować pięknych kobiet. Oduczyli się... Zacząłem wtedy wycinać z różnych czasopism fotografie, aby dostarczyć grafikom materiały. No i teraz mam kilka teczek portretów pięknych kobiet, z którymi nie wiem, co robić...

Przełożyła Teresa Marciniszyn

Gudok", 24 listopada 1970 r., nr 275 (13768)

1957 (dokończenie)

Krytyka, biografia, film (R):

235. BEYLIN Stefania: *O cudach, czarach i upiorach ekranu.* Warszawa. Filmowa Agencja Wydawnicza. 8° ss. 102, nlb. 1, tabl. 32. 4 000 egz.

„Zagadki nauki" (MS):

LEM S.: *Dialogi...* – zob. Utopia.

Futurologia (F):

236. CLARKE Arthur C[harles], SMITH R. A.: *Zdobywamy Księżyc.* Tłum. z ang.: Henryka Stępień-Sluckin i Janusz Thor. Przedm. Olgierd Wołczek. Koment. J[anusz] Thor. Warszawa. Państwowe Wydawnictwa Techniczne. 8° ss.118, nlb. 1. liczne tabl. objęte liczbowaniem. 25 000 egz.
LEM S.: *Dialogi...* – zob. Utopia.

1958

SF dla dorosłych (ASF):

237. ARMAND Antoni: *Człowiek z lustra.* Warszawa. Wyd. MON. 16° ss. 219, nlb. 1. 20 000 egz. – Labirynt.
238. DOYLE Art[h]ur Conan: *Świat zaginiony.* Tłum. [z ang.] Tadeusz Evert. Wyd. II. Warszawa. Iskry. 16° ss. 247, nlb. 4. 20 000 egz. – Druk z matryc wyd. I.
ĚFRĚMOV I.: *Biały...* – zob. Utopia.
239. HOLLANEK Adam: *Katastrofa na „Słońcu Antarktydy".* Powieść fantastyczno-naukowa. Warszawa. Wiedza Powszechna. 16° ss. 381, nlb. 1. 10 000 egz.
240. LEM Stanisław: *Dzienniki gwiazdowe.* [Wyd. II.] Warszawa. Iskry. 8° ss. 257, nlb. 3. 10 000 egz. – Zestaw opow. ten sam, co w wyd. I.
241. OSTOJA Andrzej: *Aspazja.* Łódź. Wyd. Łódzkie. 16° ss. 265, nlb. 1. 10 000 egz. – Na obwolucie podt.: *Opowieść fantastyczna.*
242. *RAKIETOWE szlaki.* Opowiadania fantastyczno-naukowe. [Aut.:] C[yryl] M. Karnbluth [i in.] Tłum. [z ang.] Julian Stawiński, Jan Zakrzewski i Krzysztof Zarzecki. Red. i koment.: Julian Stawiński. Warszawa. Czytelnik. 8° ss. 487, nlb.1. 30 000 egz.
243. SCHELE Tadeusz: *Wynalazek profesora Brenka.* [Tyt. okł.]. W: *Wynalazek profesora Brenka i inne opowiadania.* Katowice. Śląsk. 16° ss. 3–40. 65 000 egz. – Złota Podkowa.
244. *SKRADZIONY głos i inne opowiadania naukowo-fantastyczne. [Aut.: Nikolaj Daškiěv i in.]. Tłum. z ros. Stanisław Rurański. Katowice. Śląsk. 16° ss. 53, nlb. 3. 62 000 egz. – Złota Podkowa.*
245. *SUCHORZEWSKI Tadeusz: Chihuahua i inne opowiadania.* Warszawa. Nasza Księgarnia. 8° ss. 93, nlb. 2. 20 000 egz. – Cztery opowiadania, w tym trzy fantast. – ASF/CJSF.
246. UNKIEWICZ Tadeusz: *Skradzione głowy.* Warszawa. Iskry. 8° ss. 471, nlb. 1. 10 000 egz.
247. WELLS H[erbert] G[eorge]: *Wojna światów.* Tłum. [z ang.] Marian Józefowicz. Warszawa. Iskry. 16° ss. 236, nlb. 4. 30 000 egz. – Klub Srebrnego Kluczyka.
248. *W STRONĘ czwartego wymiaru. Wczoraj, dziś, jutro.* Zbiór opowiadań popularno- i fantastyczno-naukowych. Aut.: Orville Wright [i in.]. Red., wstęp i koment. Julian Stawiński. Warszawa. Wiedza Powszechna. 16° ss. 384, nlb. 2. 10 000 egz. – Siedemnaście opow., w tym pierwszych sześć niefantast.

SF dla dzieci i młodzieży (CJSF):

249. CZYŻOWSKI Kazimierz Andzej: *Maciek, król powietrza.* Powieść dla młodzieży. Wyd. II, powoj. I. Warszawa. Lud. Spółdz. Wyd. 8° ss. 219, nlb. 4, tabl. 8.
250. STEINOWA Bronisława: *Kamiennym toporem.* Wyd. III, powoj. II. Warszawa. Nasza Księgarnia. 8° ss. 239, nlb. 4. 10 000 egz.
SUCHORZEWSKI T.: *Chihuahua...* – zob. ASF.
SWIFT J.: *Podróże...* – zob. Utopia.
251. VERNE Jules: *Wokół Księżyca.* Wyd. I powoj., skr. Tłum. z franc. Ludmiła Duninowska. Wstęp Jan Gadomski. Warszawa. Nasza Księgarnia. 8° ss. 355, nlb. 5, mapa. 50 000 egz.

Utopia (U):

252. CHESTERTON Gilbert Keith: *Człowiek, który był Czwartkiem. Koszmar.* Tłum. [z ang.] Maria Skibniewska. Wyd. I powoj. i I w tym tłum. Warszawa. Inst. Wyd. Pax. 16° ss. 208, nlb. 2. 20 000 egz.
253. CHESTERTON Gilbert Keith: *Latająca gospoda.* Tłum. [z ang.] Hanna Olędzka. Wyd. I powoj. Warszawa. Ins. Wyd. PAX. 16° ss. 309, nlb. 3. 20 000 egz.
***254.** [ĚFRĚMOV Ivan]: *Biały róg.* Tłum. [z ros.] Maria Kowalewska. [Wyd. VI lub II w tym zest.] Warszawa. Iskry. 16° ss. 205, nlb. 3. 10 000 egz. – Niektóre opow. fantast. – Na k. tyt. aut.: Iwan Jefriemow.
255. FRANCE Anatole: *Bunt aniołów.* Tłum. z franc. Stefan Flukowski (Wyd. IV). Warszawa. Czytelnik. 16. ss. 269, nlb. 3. 10 000 egz.
256. HOFFMANN E[rnst] T[heodor] A[madeus]: *Kota Mruczysława poglądy na życie oraz fragmenty biografii kapelmistrza Jana Kreislera przypadkiem na strzępach makulatury zachowane.* Tłum. [z niem.] Edyta Sicińska. Warszawa. Czytelnik. 16° ss. 493, nlb. 2. 10 000 egz. – Dzieła Wybrane, T. I.
257. PLATON: *Platona Państwo. Z dodaniem siedmiu ksiąg Praw.* Tłum. [z.grec.], wstęp, koment. i ilustr. Władysław Witwicki. T. I–II. Wyd. II powoj. Warszawa. Państw. Wyd. Nauk. 8° T. I ss. 458, nlb.4; T. II ss. 586 nlb. 5. 5 200 egz.
258. SWIFT Jonat[h]an: *Podróże Guliwera.* Tłum. [z ang.] i oprac. Cecylia Niewiadomska. Wyd. XI, powoj. II w tym oprac. Warszawa. Nasza Księgarnia. 8° ss. 184, nlb. 4. 30 000 egz. – Utopia/CJSF.
259. THEMERSON Stefan: *Wykład profesora Mmaa.* Przedmowę Bertranda Russella tłum. [z ang.] Barbara Białostocka. Warszawa. Państw. Inst. Wyd. 16° ss. 414, nlb.1. – Fragmenty ukazały się po polsku w Anglii w latach 1945–46, całość w tłum. ang. w r. 1953.
260. VERNE [Jules]: *Tajemnicza wyspa.* T. I–II. Tłum. z franc. Janina Karczmarewicz. Wstęp i koment.: Zdzisław Rytko. Wyd. III. Warszawa. Nasza Księgarnia. 8° T. I ss. 385, nlb.6, portr.; T. II ss. 374, nlb.1, portr. 30 000 egz. – Na k. tyt. imię aut.: Juliusz.
261. ZECHENTER Witold: *Avaxara.* Warszawa. Iskry. 16° ss. 174, nlb. 2. 20 000 egz. – Klub Srebrnego Kluczyka.

cdn.

Przygotował **Jacek Izworski**

Wybitni uczeni i sławni chirurdzy, specjaliści od przeszczepiania narządów, zgromadzeni na międzynarodowym sympozjum w Fiuggi we Włoszech, w milczeniu patrzyli na film. Sala była wypełniona po brzegi, widziało się nawet tych, którzy zazwyczaj w czasie co dłuższych referatów i filmów zręcznie przemykali do bufetu. W tylnych rzędach, zwykle pustych, tłoczyli się tłumacze, pracownicy obsługi technicznej, nawet panienki z recepcji hotelowej. Film naukowy nie jest czymś niezwykłym, a na sympozjum pokazywano sporo filmów, bo obrazem najlepiej jest przekazać różne nowe techniki chirurgiczne. Ale ten film był niezwykły, chociaż na pozór nie pokazywał nic nadzwyczajnego.

Widać było po prostu siedzące w jakimś pomieszczeniu dwa pawiany. Były osowiałe, nieruchome i zarazem pełne niepokoju. Wobec wrodzonej ruchliwości, impulsywności i towarzyskości pawianów, ich dziwaczna nieruchomość, widoczny niepokój i zarazem obojętność wobec świata zewnętrznego – wszystko to stwarzało nastrój dość niesamowity. Nastrój udzielił się także patrzącym, dlatego milczeli; zwykle wiercący się i gadatliwi siedzieli spokojnie i cicho, nawet jeszcze przez parę sekund po skończeniu tego krótkiego filmu, na którym nic się nie działo.

Widzowie wiedzieli o co chodzi, przed filmem wysłuchali bowiem referatu jego twórcy, profesora Roberta J. White'a, sławnego neurochirurga z Metropolitan General Hospital w Cleveland, USA. Wiedzieli, ale chociaż jako lekarze widywali już niejedno, tym razem niełatwo im było przejść do porządku dziennego nad zobaczonym doświadczeniem.

Otóż sfilmowane pawiany prof. White'a miały z a m i e n i o n e g ł o w y. Amerykański neurochirurg dokonał przeszczepu całych głów – *„i było to technicznie łatwiejsze, niż np. przeszczep serca"* – powiedział, choć zdaje się nie wszyscy mu uwierzyli.

Pawiany z filmu siedziały wprawdzie nieruchomo, ale patrzyły, ich oczy poruszały się nieustannie, omiatając przestrzeń wokół i być może to właśnie owa nieruchomość w połączeniu z nerwowymi ruchami gałek ocznych wytwarzała nastrój niesamowitości. Słychać też było ciężki, chrapliwy oddech zwierząt. Pomagał im niewielki, nowoczesny aparat do sztucznego oddychania. Było to zresztą jedyne urządzenie wspomagające, nawet nie płuco-serce, bo krew tłoczyło już serce naturalne. Właśnie: krew zasilająca mózg zwierzęcia była krwią obcą, pompowaną przez serce nowego tułowia. Małpie głowy niejasno musiały odczuwać, iż c o ś s i ę s t a ł o, że ich ciała są jakoś zmienione, inaczej pachną i inaczej wyglądają. Gdyby małpy mogły myśleć, sytuacja ta wydawałaby im się koszmarem nie do zniesienia. Na szczęście jednak nie myślą – w każdym razie MY dziś sądzimy, iż nie myślą i nie są świadome swego istnienia (choć sąd ten w świetle nowszych doświadczeń z szympansami jest chyba nieco przedwczesny).

Film o pawianach z zamienionymi głowami był pokazywany naukowcom kilka lat temu, ale przeszczepianie głów zwierzętom w laboratoriach w Cleveland zaczęło się jeszcze w latach sześćdziesiątych. Nowe głowy nie są w stanie kontrolować ruchów ciała, bo uczeni nie potrafią jeszcze połączyć około 200 milionów zakończeń nerwowych głowy i tułowia (jest to zresztą tylko kwestia techniki chirurgicznej). Niemniej sam mózg i wszystkie organy ciała (poza płucami) działają zupełnie nieźle. Na tyle nieźle, iż owe „podwójne" pawiany prof. White'a doskonale widziały i sły-

szały, co się wokół nich dzieje, zachowały też węch i smak, reagowały na bliskość opiekunów. Głowy z cudzymi ciałami (czy też ciała z cudzymi głowami...) przeżyły wprawdzie tylko tydzień – ale uznano to i tak za jedno z najbardziej niezwykłych doświadczeń XX wieku.
Jest jednak rzeczą znamienną, iż tzw. środki masowego przekazu nie zajęły się wówczas owym doświadczeniem tak, jak zwykły to czynić przy znacznie mniej sensacyjnych wynikach naukowych. Świat nauki i medycyny także zareagował bardzo spokojnie, spokojniej niż na przykład w sprawie inżynierii genetycznej. Niektórzy zresztą neurochirurdzy i badacze mózgu sceptycznie ocenili wyniki White'a, wręcz wietrzyli w tym jakieś oszustwo.

Z tamtej strony lustra

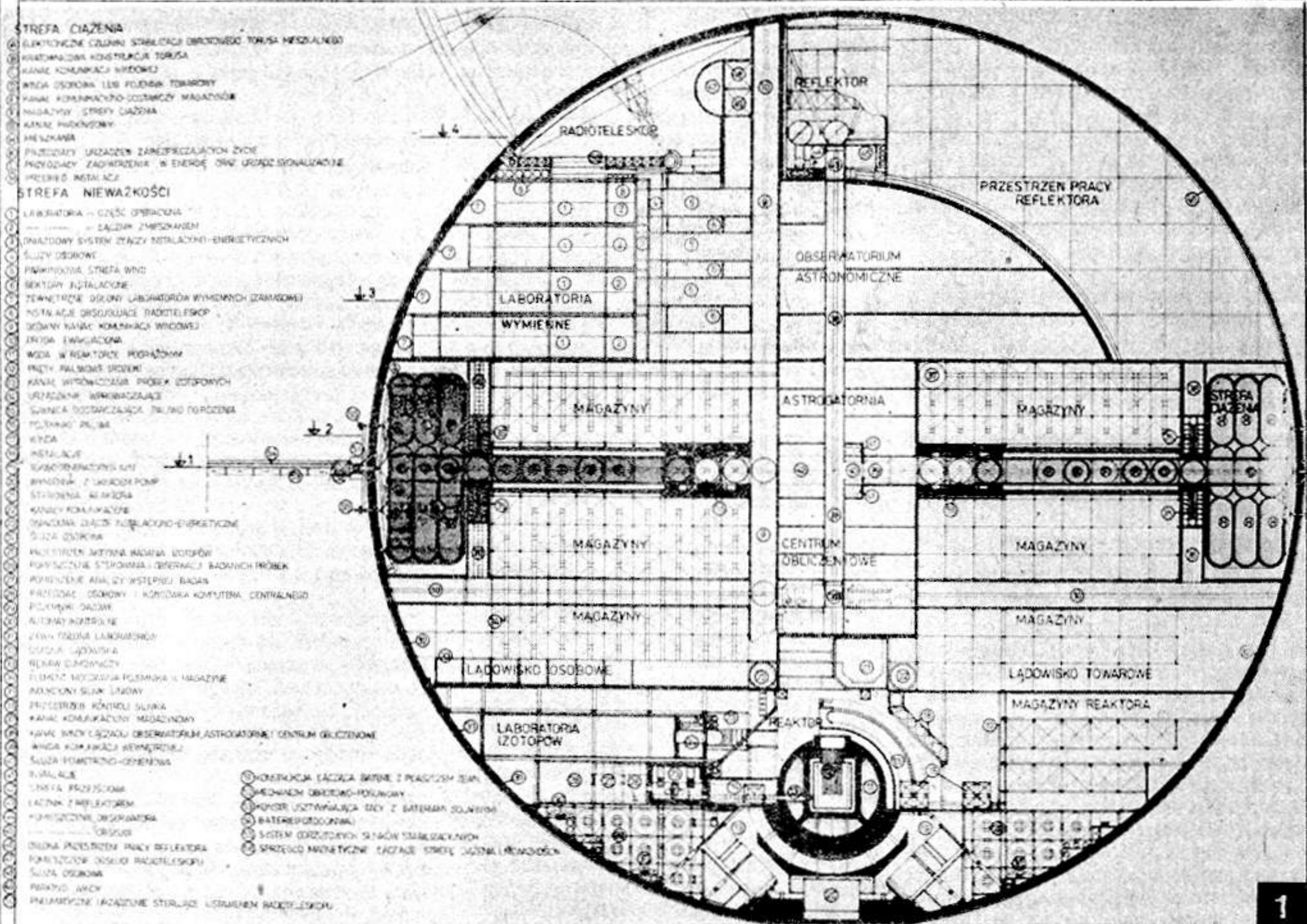
ZAMIENIONE GŁOWY

Maciej Iłowiecki

No tak... Żyjące i reagujące na bodźce małpy, którym zamieniono głowy! Wydaje się to nieprawdopodobne, a przecież jednak cała sprawa nie była zupełną nowością. Już od lat trwały (i trwają do dziś, również w Polsce, w Instytucie Biologii Doświadczalnej im. M. Nenckiego w Warszawie) doświadczenia z długotrwałym utrzymywaniem przy życiu mózgów ssaków (kotów, psów i małp), oddzielonych od reszty organizmów i reagujących na różne bodźce. Jest to jedna z najbardziej płodnych metod badania mózgu, właśnie dzięki niej uzyskano ogromny postęp w rozwikłaniu tajemnic centralnego systemu nerwowego. Mózg, jak wiadomo, nie ma receptorów bólu, więc w czasie tak okrutnych doświadczeń nie cierpi. To znaczy fizycznie nie cierpi, cóż bowiem możemy wiedzieć o odczuciach izolowanego mózgu kota? Zostawmy jednak na boku sprawę granicy doświadczeń na zwierzętach, jest to kwestia odrębna, niesłychanie ważna i niesłychanie – niestety – lekko traktowana przez naukę. W każdym razie jedno przynajmniej jest pewne: bez tego typu doświadczeń nie udałoby się poznać różnych mechanizmów działania mózgu, dzięki takim doświadczeniom możliwy jest postęp w neurochirurgii, leczenie wielu chorób dręczących ludzi. Nie po raz pierwszy zwierzęta padają ofiarą po to, by można było ratować ludzi i zapewne nie ma na to rady.
Wróćmy jednak do wątku głównego: przeszczepiania głów. Zatem oddzielenie żywe głowy od tułowia jest już niemal codziennością w tych ośrodkach, które zajmują się fizjologią wyższych czynności nerwowych. Przed White'm też dokonywano przeszczepów głów, choć w zupełnie inny sposób. Na przykład słynny był eksperyment prof. Władimira Demichowa w Moskwie: wszczepił on zdrowemu psu głowę innego psa, stwarzając w ten sposób psa dwugłowego. I oto „właściwa" psia głowa przymila się do opiekuna, zaś ta druga, wszczepiona, złości się na niego, warczy i chce ugryźć. Oto jedna głowa śpi, druga usiłuje w tym czasie pić mleko z miseczki... Zwykle po krótkim czasie druga, wszczepiona głowa jednak umierała, na szczęście pies-biorca pozostawał żywy i zdrowy.
Doświadczenia White'a były kolejnym krokiem naprzód. Mamy tu bowiem do czynienia nie z „doczepieniem" głowy dodatkowej, ale z zespoleniem obcego tułowia z obcą głową.
Do dziś White przeprowadził już kilkadziesiąt tego rodzaju operacji i wciąż udoskonala ich technikę. Ostatnio wszakże nie słyszałem o nowych jego pracach – być może uczonego przeraziły perspektywy jego własnych dokonań? Być może uświadomił sobie realną możliwość przeszczepienia mózgu człowieka?
W 1978 r. w RFN dokonano udanej transplantacji pewnej istotnej części mózgu pszczoły. „Wymieniono" po prostu część mózgu między dwoma różnymi owadami i okazało się, że obie pszczoły wymieniły się zarazem pamięcią! To znaczy owad z wszczepioną częścią obcego mózgu potrafiły natychmiast odnaleźć drogę do miejsca z pokarmem, którego nie znał, a które przedtem odszukała pszczoła-dawczyni mózgu (naturalnie obie pszczoły przedtem się nie znały, więc przekaz informacji w jakikolwiek sposób był niemożliwy). Był to pierwszy, ostatecznie udowodniony transfer pamięci z mózgu do mózgu, drogą nie przekazu informacji sygnałem, a przez przeniesienie tkanki przechowującej te informacje.
Wiosną 1981 r. Richard J. Wyatt i William J. Freed z Krajowego Instytutu Zdrowia Psychicznego w USA (National Institute of Menthal Health) ogłosili nową metodę leczenia pewnych nieuleczalnych dotąd chorób mózgu (i jego uszkodzeń) drogą przeszczepów. Leczenie polegało na przeszczepianiu chorym szczurom tkanki mózgowej zdrowych, młodych szczurów. Po raz pierwszy udowodniono bez wątpliwości, iż tkanka mózgowa młodych ssaków wszczepiona do mózgu osobników dojrzałych ma zdolność „naprawiania" uszkodzeń mózgu tych ostatnich. Chodziło wprawdzie o zwierzęta, ale już wtedy wiedziano, że możliwe są podobne zabiegi u ludzi. Zdaniem prekursorów tej metody, pozwoli ona kiedyś leczyć najstraszliwsze schorzenia centralnego systemu nerwowego: m.in. paraliż po udarze mózgu, pewien typ zmian starczych, chorobę Parkinsona, chorobę Alzheimera, tzw. pląsawicę Huntingtona (wada genetyczna), a także pewne uszkodzenia mózgu spowodowane nowotworami lub wypadkami. Będzie to prwdziwa rewolucja w leczeniu mózgu, a nie da się ukryć, iż leczenie właśnie wymienionych schorzeń pozostawia dziś wiele do życzenia, jest – bez niedomówień – po prostu bardzo mało skuteczne albo w ogóle nieskuteczne.
Jesienią 1981 r. zespół chirurgów szwedzkich w Karolinska Institute w Sztokholmie dokonał kolejnego kroku naprzód – pierwszej na świecie operacji wszczepienia do mózgu człowieka komórek z innego ludzkiego organu, z nadnercza, co pozwoliło mieć nadzieję na wyleczenie pewnej śmiertelnej formy choroby Parkinsona. Był to pierwszy udany przeszczep innej tkanki do mózgu ludzkiego i zdaniem ekspertów wydarzenie to jest przełomem w neurochirurgii i otwiera nową drogę w leczeniu chorób centralnego systemu nerwowego.
Nie należy chować głowy w piasek i udawać, iż na końcu tej drogi nie znajduje się również i taka możliwość: pełny przeszczep mózgu ludzkiego, wymiana głowy u człowieka. Sam Prof. White uważa, że jest to tylko kwestia ulepszenia techniki operacyjnej. *„Przy obecnym stanie wiedzy* – powiedział niedawno – *potrzeba nie więcej niż rok, aby opracować technikę takiego przeszczepu. (...) Taka operacja jest możliwa. Co do mnie, nie należę do jej zwolenników. Jest to bowiem problem związany bardziej z etyką niż medycyną".*
Powiedzmy, że mamy do czynienia z takim przypadkiem: oto jeden człowiek umiera, mając całkowicie zniszczone przez chorobę wieńcową serce, przeszczep serca nie wchodzi w grę: drugi człowiek, całkowicie zdrowy, padł właśnie ofiarą nieszczęśliwego wypadku, w którym doznał śmiertelnych uszkodzeń mózgu. Z tych dwóch można uratować tego pierwszego, przeszczepiając jego zdrową głowę na zdrowe ciało drugiego. Ratuje się w ten sposób jeden mózg, jedną ludzką świadomość. Czy jednak można dokonać takiej operacji? Czy można skazać czyjąś świadomość, by żyła z c u d z y m c i a ł e m? Czy tak „spreparowany" człowiek nie żyłby w nieustannym koszmarze, nie stałby się szaleńcem? Jak przyjęłaby go rodzina, żona i dzieci? Oczywiście, żona i dzieci tego, którego mózg został przeszczepiony, bo mózg ów byłby świadomą kontynuacją owego człowieka, choć jego ciało byłoby nim i kimś innym zarazem... Oto dylematy medycyny przyszłości.
Według prof. White'a, jak już wspomniałem, przeszczep głowy ludzkiej jest właściwie technicznie możliwy. Wszakże jeszcze dziś rezultatem byłaby „myśląca głowa na słupie" – bo zoperowany tak człowiek nie mógłby się poruszać ani mówić, ale zapewne mógłby czuć, myśleć, zachowałby inteligencję i pamięć. Takie są możliwości neurochirurgii na dzisiaj.
Kiedy słynnemu Barnardowi, pierwszemu lekarzowi, który przeprowadził udany przeszczep serca, zaproponowano podjęcie się przeszczepu ludzkiej głowy, odmówił z oburzeniem. *„Uważam* – powiedział – *że sama idea tego eksperymentu jest anormalna, niepraktyczna i wątpliwa z punktu widzenia prawnego".* Przypomniano mu, że takie same zarzuty padały wobec pierwszych prób przeszczepiania serca. Odpowiedział: *„Jaki rodzaj egzystencji moglibyśmy ofiarować tym ludziom, nawet gdyby te paradoksalne operacje miały szansę powodzenia?"*
W tej sprawie można tylko stawiać kolejne pytania. Przywołując raz jeszcze White'a, pioniera transplantacji głów, przypomnę jego słowa: *„W ciągu tylu lat studiów doszedłem do wniosku, że badanie mózgu i jego funkcji jest równie niebezpieczne, jak rozbijanie bomby".* Myślę, że jest to nawet jeszcze bardziej niebezpieczne, wszakże wiemy dobrze, iż niebezpieczeństwo nie jest akurat tym czynnikiem, który mógłby przed czymkolwiek powstrzymać uczonych.



M. Zalejski



Polski projekt stacji orbitalnej

(konsultowany przez Stanisława Lema)

Na Wydziale Architektury Politechniki Krakowskiej powstała niezwykła praca dyplomowa. Jej tytuł: *Stacja Orbitalna „Ewa" - środowisko życia i pracy człowieka*. Praca została wykonana w Zakładzie Architektury Przemysłowej pod kierunkiem prof. dr.hab. inż. arch. Bohdana Lisowskiego. Autorem jest Zbigniew Domański. Przy realizacji projektu Stacji zostały uwzględnione informacje dostarczone przez fizykę, chemię, medycynę i psychologię. Swoją koncepcję autor konsultował także ze Stanisławem Lemem. Zresztą Zbigniew Domański sam jest wielkim miłośnikiem literatury SF. Komentarz chyba nie potrzebny.

Stacja Orbitalna „Ewa" została tak zaprojektowana, aby znajdującym się w niej ludziom zapewnić warunki najbardziej zbliżone do warunków ziemskich oraz aby ustrzec ich przed wszystkimi szkodliwymi czynnikami występującymi w przestrzeni międzyplanetarnej.

Przed promienowaniem jonizującym typu pierwotnego promieniowania kosmicznego zabezpiecza zlokalizowanie orbity Stacji w płaszczyźnie równoległej do płaszczyzny równika, bo tam promieniowanie jest około pięciu razy mniejsze niż w płaszczyźnie południka. Jest to najprostszy sposób uniknięcia dużego natężenia promieniowania w pasie radiacji van Allena. Projektowana orbita Stacji „Ewa" ma parametry: 400/400 km, 53° (dla porównania: Skylab 416/km, 55°; Salut: 200/222 km, 51,6°). Przed promieniowaniem wtórnym zależnym od liczby zderzeń cząstek promieniowania kosmicznego z powierzchnią statku zabezpiecza odpowiednia konstrukcja powłoki zewnętrznej, która spełnia też oczywiście wymogi pełnej hermetyczności.

Szczególnej troski wymaga kompensacja braku siły grawitacji powodującej tzw. stan nieważkości, narażający przede wszystkim układ krążenia i układ mięśniowo-kostny kosmonautów. Projekt przewiduje, że Stacja będzie składać się z dwóch stref: strefy ciążenia i strefy nieważkości. W strefie ciążenia występuje sztuczna grawitacja powstała wskutek wykorzystania siły reakcji odśrodkowej w poruszającym się ruchem jednostajnym pierścieniu. Tam oczywiście są zlokalizowane wszystkie pomieszczenia mieszkalne.

Krążący ruchem jednostajnym pierścień o trzech poziomach mieszkalnych jest połączony z pozostałymi sektorami systemem wind i kanałów transportowych. Wszystkie urządzenia stymulujące życie w tej części Stacji zostały wbudowane w sieć mieszkań. We wnętrzach mieszkalnych wydzielono pomieszczenie higieny osobistej wyposażone w urządzenia sanitarne.

Istnieje dowolność w kształtowaniu wnętrza poprzez różne przedzielanie go ściankami i ekranami. W każdym pomieszczeniu można dowolnie zmieniać kolorystykę i natężenie światła. Zastosowanie ekranów zbudowanych z diod fotopółprzewodnikowych daje możliwość uzyskania efektu powiększenia przestrzeni we wnętrzu. Umożliwiają one wyświetlanie (holograficzne) nierzeczywistego okna, co ma duże znaczenie psychologiczne. Przez odpowiednie zaprogramowanie komputera „widok za oknem" może być dowolnie zmieniany.

W strefie nieważkości zostały zlokalizowane laboratoria wykorzystujące nieważkość do badań, obserwatorium astronomiczne, które z racji swych funkcji nie może wykonywać ruchu obrotowego, oraz pomieszczenia magazynowe, lądowisko osobowe i towarowe. W centrum bazy w jej rdzeniu, tuż pod obserwatorium, znajduje się zespół urządzeń do kierowania całym obiektem i główny blok obliczeniowy wraz z centrum łączności z Ziemią.

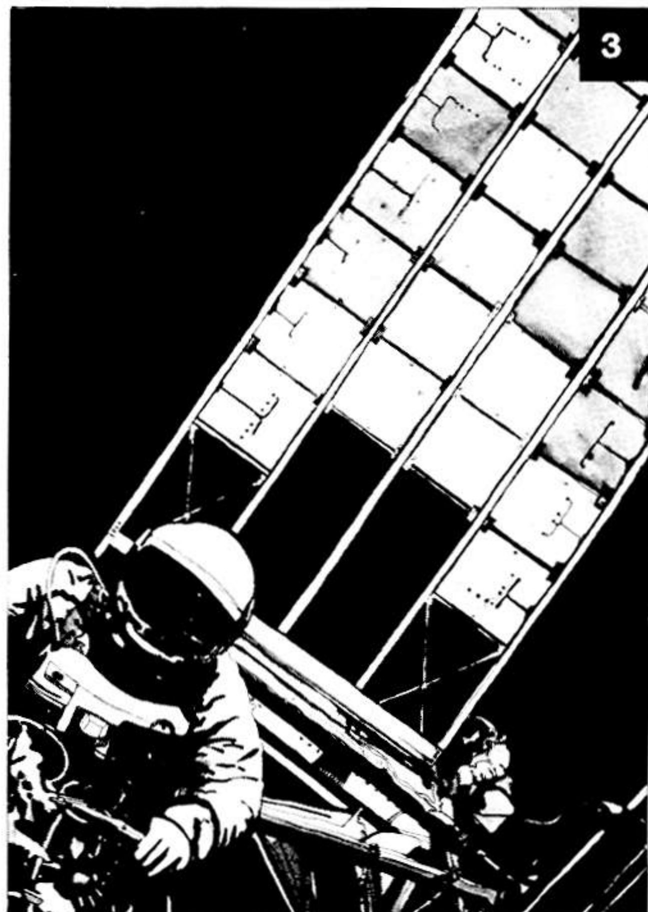
Laboratoria są wyposażane jeszcze na Ziemi. Wymiana kontenerów odbywa się na zewnątrz Stacji, tzn. statek transportowy dostarcza do ładowni „nowy kontener" a odbiera „stary". Podłączenie kontenera do instalacji energetycznych, klimatyzacyjnych i innych odbywa się automatycznie.

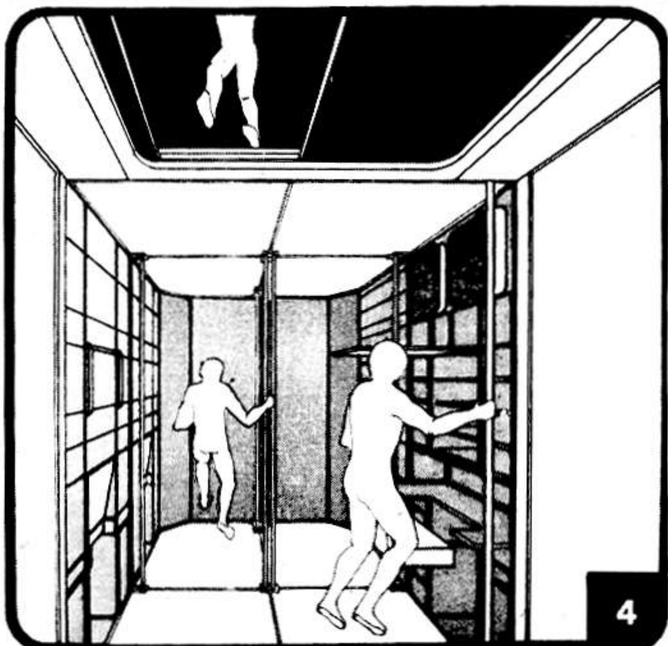
Miejsca robocze strefy nieważkości zostały zaprojektowane na podstawie analizy aktywności ruchowej człowieka oraz analizy mechanizmów działania zmysłów w środowisku odmiennym niż to, w którym kształtowały się ich funkcje. Jak wykazują dotychczasowe doświadczenia kosmonautów, w stanie nieważkości zmysły (poza wzrokiem) przestają prawidłowo funkcjonować, co nie może pozostać bez wpływu na zdolność do pracy.

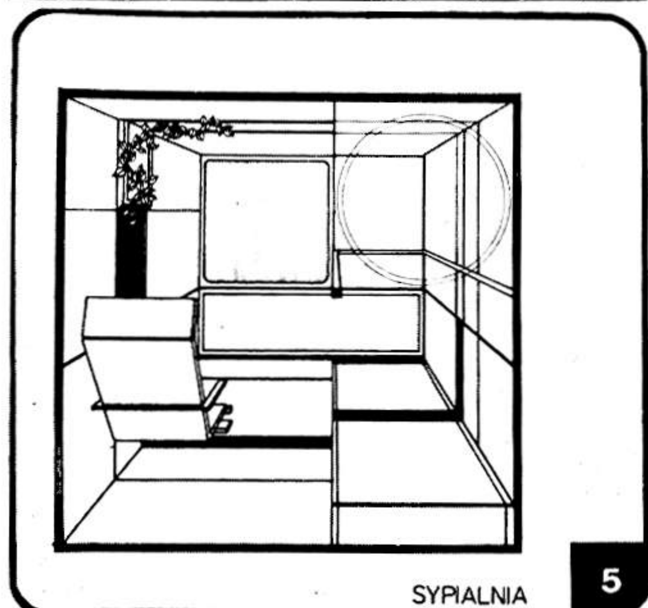
Cały obiekt ma formę kuli o średnicy 100 metrów. Kulę otaczają baterie słoneczne, mogące zmieniać kąt swojego nachylenia do osi pionowej w dwóch płaszczyznach.

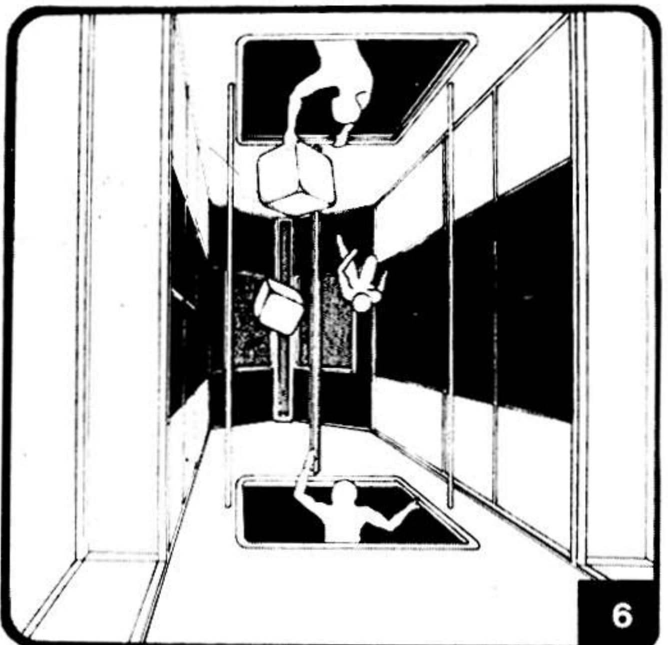
Ewa Latała

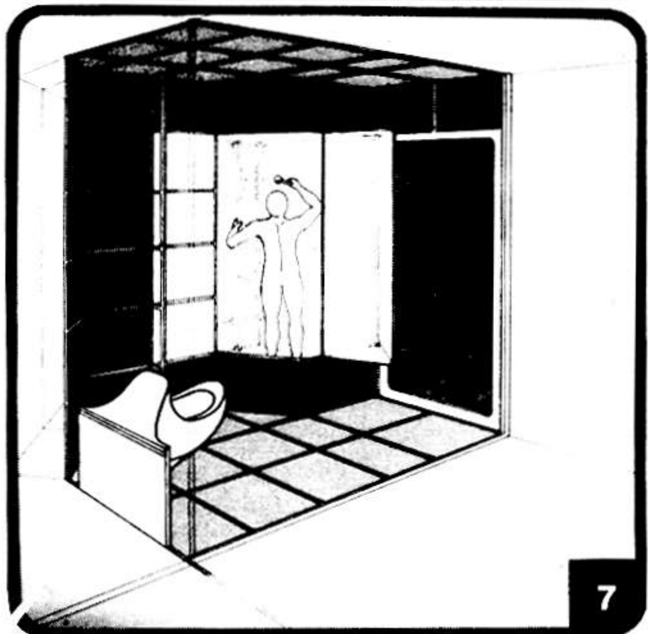




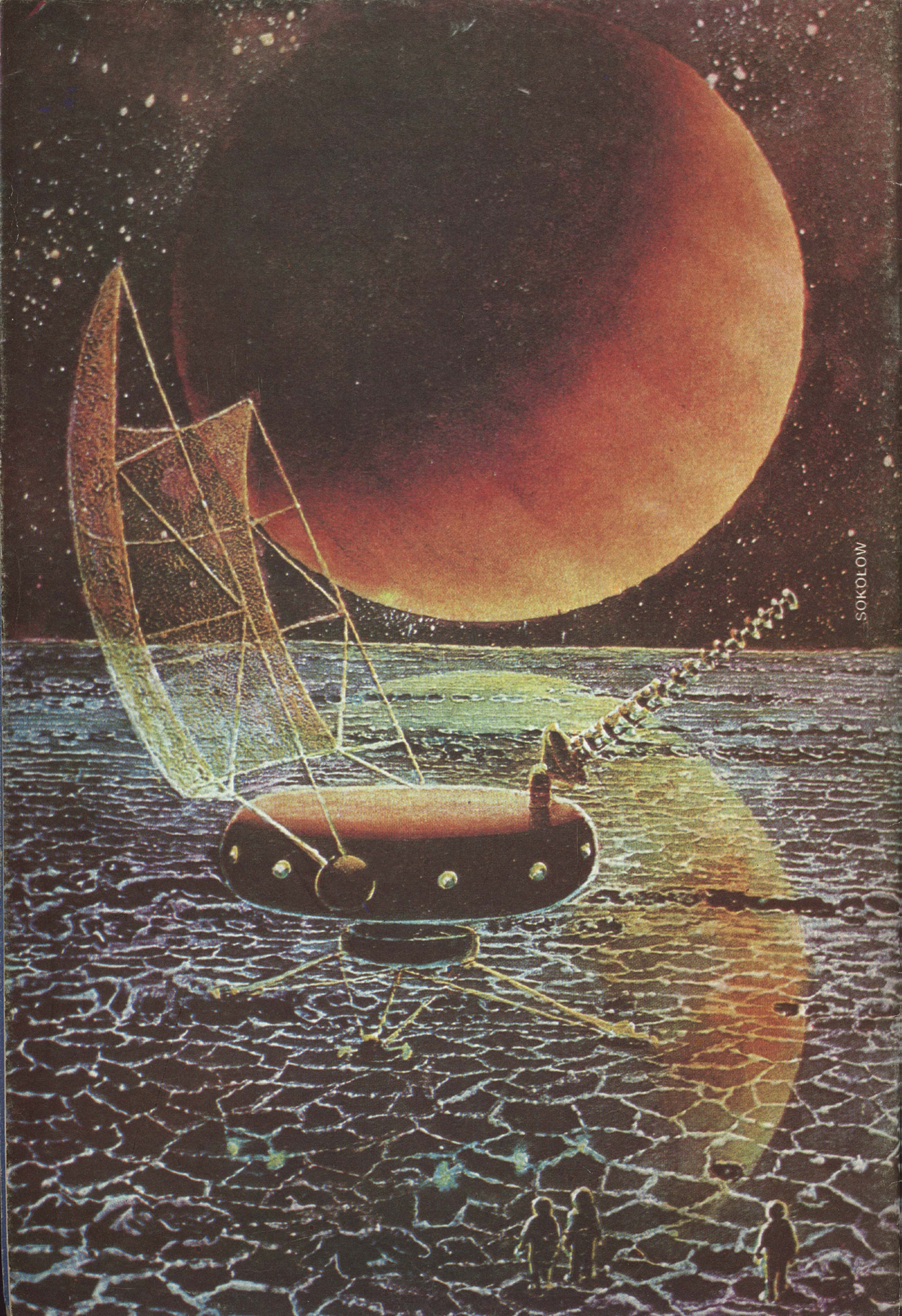








1. Stacja orbitalna „Ewa" – przekrój
2. Stacja orbitalna „Ewa" – widok ogólny
3. Na zewnątrz stacji
4. Pomieszczenia magazynowe
5. Sypialnia
6. Korytarz transportowy
7. Łazienka


SOKOLOW